



alessia gazzola

MIŁOŚĆ I MEDYCYNA

sądowa

Bridget Jones spotyka
doktora House'a

Alessia Gazzola

MIŁOŚĆ
I MEDYCYNA
sądowa

Przełożyła Anna Osmólska-Mętrak

Dedykacja

Wizja lokalna

Przypadkowość i przyczynowość

Każdego ranka, nieważne, czy jesteś lwem, czy gazelą: zaczynaj biec!

Jeśli życie jest polem golfowym, poniedziałki są dołkami w piasku.

I will survive

Bianca

Those who are dead are not dead, they're just living in my head

Nieświadome piękno

Przydałby się przyjaciel

Lepiej umrzeć jako bohater, niż żyć jak tchórz.

Szczery język prawdy. Oraz Silvia.

Pierwsza randka

Dom De Andreisów

Druga randka

Myśli i słowa

Do ataku!

Szczególne kolacja w bistro w Villa Pamphili

Cordelia

Niespodziewane ograniczenia patologii sądowej

Ten wiatr mnie też porusza

Kody geometrii egzystencjalnej

Koniec znanego latin lovera

Odważna wizyta w biurze inspektora Calligarisa

Paradoksy

Historia przeciętnej studentki specjalizacji

Bianca ma w ręku pokera

Lost

Poproś o radę, kiedy nie wiesz, co zrobić

Powiedzieć czy nie powiedzieć?

Gdybym pewnego ranka spostrzegła, że wyjechałeś o świcie...

Usque ad finem

Wszystko w swoim czasie

Renaissance

Postępy

Nigdy nie ufać

Światło na Dorianę

Nowy mały wielki problem

Współpraca, która jeszcze niedawno wydawałaby się nieprawdopodobna

Etiopatogeneza pewnej podróży

Wake up, it's a beautiful morning

Ostatnie podrygi

Prawda (albo jedna z wielu)

The sheltering sky

Okruchy miłosnej rozmowy

Więści z Włoch

Postanowiłam zagubić się w świecie. Nawet jeśli się pogrążę, pozwolę, żeby sprawy
niosły mnie swoim biegiem. Nieważne gdzie. Nieważne gdzie.

We can be heroes, just for one day

Podziękowania

Przypisy

*Mojej matce i moim dziadkom,
którym zawdzięczam to, kim jestem*

Doroczne przyjęcie dobroczynne, zorganizowane przez tych nadaktywnych z pediatrii, przypomina mi dobitnie, że jako osoba robiąca specjalizację z medycyny sądowej jestem – bez żadnej szansy na postęp – ostatnim ogniwem łańcucha pokarmowego Medycyny. Inni, to znaczy pozostali lekarze, są przekonani, że znajdują się na jego początku.

Pod wpływem serialu *Ostry dyżur* mają wykrzywiony obraz rzeczywistości i nikt nie zatroszczy się o to, by wytłumaczyć jakiemuś, dajmy na to, pierwszemu lepszemu z pediatrii, że nie ma on nic wspólnego z George’em Clooneyem. Nie to, żebym ja miała coś wspólnego z *Kryminalnymi zagadkami...*, ponieważ w moim przerażającym instytucie, wielkim sanktuarium poniżania traktowanego jako sport, rola osoby robiącej specjalizację, a konkretnie moja rola, traktowana jest na równi z rolką papieru toaletowego. A nawet gorzej, bo papier toaletowy jest jakoś tam użyteczny. Nie ma możliwości, żeby osobie z moją pozycją przydzielono jakiś poważny przypadek, jeden z tych, o których piszą gazety.

Dlatego też, wyśmiewana przez kolegów zgrywających się na doktora House’a i wykluczona przez tych, którzy czują się bohaterami powieści Patricii Cornwell, mogę się uważać za wyrostek robaczkowy medycyny sądowej.

Może właśnie dlatego przyjęcie charytatywne, którego celem jest pozyskanie środków na badania w dziedzinie neurologii dziecięcej, jest na pewno najbardziej dołującym wydarzeniem w całym moim roku solarnym.

Pokusa, żeby udać chorobę, jest naprawdę silna. Nagła migrena, atak astmy, salmonelloza oporna na imodium. Wiadomo jednak, że na przyjęciach obgaduje się nieobecnych, i szczerze mówiąc, nie chciałabym, by spotkał mnie taki los. Dlatego też nie ma co się zadręczać, potrzebna jest duża doza dobrej woli – a także wysokoprocentowych drinków – żeby znieść ten wieczór.

Odwagi, Alice. To najwyżej trzy godziny. Czym są trzy godziny? Zawsze to lepsze od wykładu Wally na temat asfiksji.

Tuż przed wejściem znowu mam ochotę uciec, ale opieram się pokusie.

W obszernej sali sugestywny głos Dusty’ego Springfieldda śpiewa *The look of love*. W ścisłości – jesteśmy stłoczeni jak śledzie – dostrzegam moich rozwrzeszczanych kolegów z instytutu, którzy dojrzewaniu w psychiczno-emocjonalnym zatrzymali się na etapie licealistów.

Każdy mikrokosmos zawodowy, podobnie jak ul, ma swoją królową matkę. My jesteśmy dumni, że jest nią Ambra Mirti Della Valle, i właśnie w tym momencie wszyscy moi koledzy krążą wokół niej niczym planety wokół Słońca. Wszyscy, z wyjątkiem Lary Nardelli, która być może jako jedyna uczestniczy w tym party z jeszcze mniejszym entuzjazmem niż ja. Lara i ja razem brałyśmy udział w konkursie i jesteśmy teraz koleżankami z roku; zamiast rywalizować, co byłoby wyraźnie na moją niekorzyść, od samego początku oparłyśmy nasze stosunki na

solidarności. Jest ona chyba jedyną osobą w instytucie, której ufam. Lara uśmiecha się do mnie słodko i podchodzi, podając mi talerzyk wypełniony tartinkami. Ma rudawe, nieumiejętnie ufarbowane włosy zebrane w niedbały węzeł, i znudzony wyraz twarzy, który dodaje mi otuchy. Obie obserwujemy Ambrę, która wygłasza jeden ze swoich najlepszych monologów, niezdolna uchwycić różnicę między byciem atrakcyjną a nachalną.

A jednak *ecce homo* naszego instytutu zdaje się ją doceniać.

Claudio Conforti. Rocznik 1975, znak Zodiaku Lew, stan cywilny kawaler. Piękny jak James Franco w reklamie perfum Gucci by Gucci. Skurwiel – na pewno największy skurwiel, jakiego znam, a prawdopodobnie też największy skurwiel na ziemi. Błyskotliwy Jest uznanym instytutowym geniuszem, najlepszym uczniem Bossa. Ma bajeczne CV i stanowi wzór młodego ambitnego naukowca, który po zużyciu sporej ilości wazeliny, wynurzył ostatnio z bezkształtnego grzędawiska doktorantów, awansując do rangi asystenta.

Jego oczy barwy mchu z kilkoma złotymi drobinkami wyrażają stan trwałego niepokoju. Kiedy jest zmęczony lub znużony, lewe oko lekko mu zezuje, co jednak nie wpływa na całościowy obraz jego wybitnej urody. Jest to twarz naznaczona już ekscesami, ale może właśnie dlatego emanuje jakąś nieokreśloną, jemu tylko właściwą rozwiązłością, która decyduje – według mnie – o jego uroku. Kiedy trzeba, jest gotowy do działania, zazwyczaj jednak zwycięża jego charakter spekulacyjno-kontemplacyjny. Claudio jest w instytucie uwielbiany przez wszystkich jako ktoś skuteczny i reprezentacyjny; zwłaszcza ja darzę go szczególną sympatią, odkąd bowiem miałam szczęście podjąć tę długą i niespokojną drogę zawodową, stanowi dla mnie absolutny punkt odniesienia w morzu obojętności i anarchii, jakim jest społeczno-dydaktyczna tkanka instytutu.

Instytut Medycyny Sądowej – w którym pracuję – jest miejscem przeznaczonym do działalności związanej z nekroskopia, a tylko marginalnie do badań naukowych. Świeżo upieczony absolwent medycyny i chirurgii trafia do takiej mroźnej krew w żyłach struktury – nie tyle z powodu tego, co się tam dzieje, ile z uwagi na zaludniających ją osobników – w wyniku bardzo skrupulatnej selekcji dokonywanej na podstawie świadectw oraz po zaliczeniu dwuetapowego egzaminu pisemnego, po zdaniu którego wkracza na to nieprzychylnie i trudne terytorium. Panującą tam hierarchię przedstawić jest bardzo łatwo.

Na szczycie znajduje się ten, o którym wszyscy, łącznie ze mną, mówią po prostu Boss. Chociaż czasem w myślach określam go w inny sposób, jedyny, który zdaje się przystawać do jego profesjonalnego poziomu: Najwyższy. Boss jest postacią legendarną w środowisku medycyny sądowej. A właściwie to ON jest medycyną sądową i jeśli pojawia się jakiś skomplikowany przypadek, można być pewnym, że ostatnie słowo będzie należeć właśnie do niego.

Bezpośrednio pod nim egzystuje mnóstwo przeróżnych elementów, w większości źle dobranych, jeden gorszy od drugiego, jeśli chodzi o umiejętność dokuczania. Ponad wszystkich wyrasta Wally, postać, której credo można streścić w jednym jedynym twierdzeniu: „masz prawo myśleć, co chcesz, oczywiście dopóki ja o tym decyduję”.

Spośród innych, z uwagi na szczególne talenty, wyróżnia się na swój sposób doktor Giorgio Anceschi, człowiek tysiąca cnót, o zbyt słabym jednak charakterze, żeby znaleźć dla siebie przestrzeń w tej dżungli andyjskich wojowników z nożami w zębach. Choć więc jest łagodny i ustępliwy, co często zdarza się najlepszym, niestety, bywa źle widziany przez władze.

Obciążony dodatkowo nabytą w dzieciństwie otyłością, dobry doktor wygląda jak święty Mikołaj: tolerancyjny i dobrotliwy, jest człowiekiem o rzadkiej intelektualnej hojności. Może dlatego, że pozbawiony motywacji, doktor Anceschi uważa pracę w Instytucie za coś w rodzaju hobby, coś, co się robi w miarę wolnego czasu; chociaż, kiedy już się pojawi, jest najlepszym nauczycielem, z jakim można się zetknąć – nic nie obchodzi go błędy, przeoczenia, problemy. Jest epikurejczykiem medycyny sądowej, dlatego błąd popełniony w jego obecności nigdy nie jest zbyt poważny.

Niedawno do tego zespołu dołączył właśnie Claudio, gotowy ożywić naszą atmosferę, w głębi duszy bowiem jest on wielkim pyszałkiem i lubi odgrywać rolę przywódcy, co zresztą znakomicie mu wychodzi. W rzeczywistości, mimo częstych aluzji i dwuznaczności, jakimi ubarwia swoje kontakty z nieliczną grupą dziewczyn robiących specjalizację, a pozostających wobec niego w permanentnym stanie ślepego uwielbienia, Claudio zawsze przestrzega przykazania: „patrz, ale nie dotykaj”. Prawdopodobnie dlatego, że za niestosowne uważa mieszanie się z plebsem. On, badacz, który spędził rok na uniwersytecie Johna Hopkinsa, złoty kawaler Instytutu Medycyny Sądowej, a może nawet całego Wydziału Medycznego, nigdy nie uwiódłby dziewczyny ze specjalizacji – również dlatego, że nie byłoby mu na rękę, by dowiedzieli się o tym Boss albo Wally, o nie – a zatem zabawia się, czasem nawet ostro, ale nigdy nie dochodzi do konkretów. W okazywaniu względów jest jednak hojny – obdarza nimi wszystkie.

W tym szczególnym momencie postanawia okazać je mnie. Trzymając w dłoni kieliszek martini bombay sapphire, podchodzi do mnie z pewnością siebie godną drapieżnika polującego na afrykańskiej sawannie.

– Cześć, Allevi – zagaja, wyciskając pocałunek na moim policzku i otaczając mnie zapachem, który, odkąd go znam, jest zawsze taki sam: to przenikliwa mieszanka *Declaration*, pastylek miętowych, czystej skóry i żelu do włosów. – Masz ochotę? – pyta, podając mi swojego drinka.

– Za mocny – odpowiadam, potrząsając głową. Dla niego najwyraźniej nie jest zbyt mocny, bo wychyla go bez trudu, jakby to była woda.

– Dobrze się bawisz? – pyta, rozglądając się wokół pustym wzrokiem.

– Tak. A ty?

Zanim odpowie, patrzy na mnie ze znudzoną miną.

– Ależ skąd. Z każdym rokiem jest gorzej. Należałoby bojkotować te przyjęcia, ale byłoby to niepoprawne politycznie – komentuje, opadając na sofę. – Chodź tu, jest miejsce dla dwojga.

Podchodzę, poprawiając sukienkę i stąpając ostrożnie, bo nie przywykłam jeszcze do koturnów w nieco kurewskim stylu, które dodają mi dziesięć centymetrów, ale zmuszają też do niebezpiecznie chwiejnego kroku. W istocie, omal się na niego nie zwałam, ale on przytrzymuje mnie instynktownie za przegub.

– Ostrożnie, Allevi. Paść tak do moich stóp na oczach wszystkich to niezbyt stosowne.

– Mowy nie ma, nawet gdybyś był ostatnim człowiekiem na Ziemi – odpowiadam z kwaśnym uśmiechem. W rzeczywistości to nieprawda, całkowita nieprawda, bo żeby mu ulec – przyznaję – nie trzeba by aż takiej sytuacji.

– Oczywiście, i miałbym w to uwierzyć? – odpowiada z wyraźnym sarkazmem i zabawnym

grymasem na urodziwej twarzy. – Prawda jest taka, Alice, że któregoś z najbliższych dni powinniśmy spełnić nasz kaprys – szepce mi do ucha, ledwie muskając mnie po nagim ramieniu.

Lekki i zwykły dotyk, który jest jednak w stanie przyprawić mnie o dreszcz.

Odwracam się i patrzę mu prosto w oczy. Claudio robi tak zawsze, rzuca w powietrze propozycję o sile ręcznej bomby, ale czyni to bardzo lekko i w tonie: chyba nie wierzysz, że mówię serio? Takimi dowcipami sypie niemal codziennie i gdybym miała dać wiarę jego nieustannym deklaracjom o odczuwanym do mnie pociągu fizyczno-seksualnym, w tej chwili powinnam już była umrzeć od złudzeń.

Nie mam czasu odpowiedzieć, ponieważ telefoniczny dzwonek – hymn AC Milan – odrywa go od rozmowy.

– Ale wiocha.

– Wiara to wiara.

Wiemy wyborca Ludu Wolności, posiadacz wszystkich sezonowych kolekcji Ralpha Laurena, które odświeża co roku, mercedesa SLK oraz pióra Mont Blanc z limitowanej serii, które pokazuje zawsze tylko przypadkowo, Claudio naprawdę należy do postaci z innych czasów, zagrożonych wyginięciem bardziej niż panda. Wydaje się bowiem wzorcowym egzemplarzem ambitnego, robiącego karierę lekarza sądowego. Jest postacią, którą starannie zbudował w tym świecie, w którym stały punkt odniesienia staje się coraz bardziej utopią. Daje uspokajające poczucie, że można na zawsze pozostać takim, jakim się jest.

– Halo? Tak, to ja. Rozumiem. Gdzie dokładnie? Via Alfieri 6. Tak, przecznica via Merulana – mówi głośno, dając mi znak, żebym to zanotowała. – Doskonale. Proszę się nie martwić. Zaraz będę.

Wkłada iPhone'a do kieszeni, wstaje, przeczesując niedbale gęstą kasztanową czuprynę, i spogląda na mnie podekscytowany.

– Choć jesteś wyjątkowo kąśliwa, co wynika prawdopodobnie z praktykowanej od lat abstynencji, zabieram cię ze sobą na wizję lokalną. Jesteś mi winna przysługę.

Mimo jego podłej aluzji do faktu, że od jakichś trzech lat nie mam chłopaka, nie mogę ukryć entuzjazmu. Hurra! Wizja lokalna!

– Dokąd idziecie? – pyta Ambra, przyglądając się nam niechętnie, kiedy kierujemy się do wyjścia. Zawsze jest niespokojna, jeśli cokolwiek wymyka się jej spod kontroli.

– Na wizję lokalną – odpowiada pospiesznie Claudio.

– Jadę z wami! – wykrzykuje królowa, odstawiając kieliszek na stolik.

– Dobra, ale pospiesz się. I na Boga – podkreśla wystarczająco snobistycznym tonem – nie rób z siebie gęsi.

W ułamku sekundy, w którym mieści się czarujący uśmiech, jakim obdarza pozostałych kolegów, i skrzeczając: „Poczekajcie na mnie!”, Ambra już depcze nam po piętach. Nachalna i psująca każdą zabawę, jak to tylko ona potrafi w każdym zdumiewającym momencie swojego życia.

Budynek, do którego docieramy, należy do klasycznej architektury rzymskiej z końca osiemnastego wieku i jest jednym z tych, które czynią ulice tego miasta tak zachwycającymi. Okazały – o różowych murach – świadek wielu historycznych zdarzeń najwyraźniej zamieszkały jest przez ludzi z wyższej klasy. Wejście prowadzi na podwórze, gdzie roi się od dziennikarzy, reporterów i policjantów; panuje gorączkowe poruszenie, które ze względu na nocną porę wywołuje we mnie uczucie niepokoju i chaosu. Ambra kuli się zmarznięta w swoim czerwonym płaszczu i przez chwilę mam wrażenie, że ona też czuje się tu nie na miejscu.

Problemu z dobrym samopoczuciem nie ma na pewno Claudio, którego wejście wygląda zawsze tak, jakby był *special guest star*. Jego pewność siebie ma charakter organiczny, co przydaje mu się w każdej okoliczności, zwłaszcza teraz, kiedy wchodzi po schodach, obojętny na spojrzenia zgromadzonych na schodach mieszkańców kamienicy z uszami nastawionymi jak anteny, żeby zrozumieć coś więcej z tego, co się stało. Ambra i ja drepczemy za nim niczym dwa pudelki na smyczy i staramy się możliwie nie zwracać na siebie uwagi, co jest trudne, jeśli się idzie w butach na dziesięciocentymetrowych obcasach. Szpilki Ambry mają może nawet dwanaście centymetrów.

– Doktorze, przyprowadził pan ze sobą asystentki? – komentuje szeptem porucznik Visone, przekonany, że nikt poza Claudiem go nie słyszy. Pochodzący z Salerno porucznik ma około pięćdziesiątki i jest cwaniakiem z gatunku tych, którzy stanowią stały element miejsca zbrodni. W gruncie rzeczy nawet sympatyczny, ale mam niejasne wrażenie, że jest też trochę seksistą. „Doktorze, ale jak te laseczki mają robić za lekarki sądowe? Taki towar powinien się lansować w telewizji” – powiedział kiedyś do Claudia, który powtórzył to w instytucie, znakomicie naśladowując oryginał.

– Dobry wieczór, poruczniku – pozdrawiam go z uśmiechem.

– Dobry wieczór, pani doktor – odpowiada z udawaną powagą.

– Co się stało? – pytam przyciszonym głosem.

– Młodziutka dziewczyna, pani doktor. Coś okropnego!

Claudio daje mi znak, bym milczała, a Ambra mierzy mnie oburzonym spojrzeniem.

Uciszona idę znów krok w krok za Claudiem, który zaczyna metodycznie fotografować wszystkie fragmenty pomieszczenia. Jest to mieszkanie o minimalistycznym wystroju, urządzone przez kogoś wyraźnie mającego wyczucie elegancji. Kuchnia jest z dębiny w kolorze kawy, na ścianach wiszą czarno-białe artystyczne zdjęcia, a obok kanapy pokrytej czarną skórą stoi umierające drzewko bonsai. Całość wygląda jak mieszkanie na Manhattanie, w stylu tych, jakie widuje się w filmach, tymczasem odkrywam ze zdziwieniem, że to lokum dwóch studentek. Lokatorki to Giulia Valenti i Sofia Morandini de Cles, studentki prawa pochodzące z bardzo zamożnych rodzin. Ofiarą jest Giulia, a ciało znalazła właśnie Sofia,

którą ledwie dostrzegłam w ogólnym zamieszaniu i rozpoznałam w zadbanej blondynce o kręconych włosach.

Zbliżamy się do pokoju Giulii Valenti i natychmiast czuję ukłucie w sercu.

Od razu ją rozpoznaję.

Jako że miałam przed sobą „straszne party”, postanowiłam wykorzystać tamten wieczór i kupić piękną nową sukienkę w supereleganckim sklepie przy via del Corso. Wahałam się między jedwabną, w kolorze purpurowej glicynii, w cenie zdecydowanie przewyższającą moje możliwości, być może niezbyt też pasującą do pory roku, i czarną z dekoltem w stylu empire i czarującymi koronkami, takimi bardzo fru-fru. Mierzyłam je na przemian, nie mogąc się zdecydować. Właśnie zrezygnowałam z czarnej, kiedy usłyszałam słaby, ale melodyjny głos.

– Doradzić pani?

Odwróciłam się i ujrzałam dziewczynę nadzwyczajnej urody. Ale nie tylko jej uroda mnie uderzyła, było to coś o wiele więcej. Wyglądała na istotę z innej planety, o skórze doskonalszej od modelek z reklamy mleczka kosmetycznego, o włosach gęstych, gładkich i czarnych, długich prawie do pasa, a także harmonijnych ruchach, które zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Chuda, na granicy niedożywienia, miała pomalowane na czerwono paznokcie, co nie pasowało do jej młodego wieku. Mimo że na jej twarzy nie widać było nawet śladu makijażu, jaśniała jednak niemal nierealną doskonałością. Nie była ekspedientką, bo nie miała na sobie uniformu. Przeciwnie, tak samo jak ja przymierzała stertę ubrań rozłożonych na stołkach w jej przymierzalni.

– Proszę – odparłam odruchowo.

– Powinna pani wziąć tę czarną. Jest nieprawdopodobnie szykowna i znakomicie leży, naprawdę. Wystarczy sznur pereł i będzie pani doskonała. Proszę mi zaufać.

Jeszcze raz przejrzałam się w lustrze, jakbym wcześniej się w nim nie widziała.

– Mówi pani poważnie?

– Proszę wierzyć, mam pewien talent do wybierania sukienek. Przynajmniej dla innych – odparła z czarującym uśmiechem. – Wygląda pani naprawdę dobrze.

Przekonała mnie. Jej spojrzenie sprawiło, że istotnie czułam się doskonała.

Kiedy przebierałam się we własne ciuchy, zamknięta w przymierzalni, usłyszałam, jak z kimś żywo dyskutuje.

– Nie wiem, o czym mówisz, zwariowałaś? Nie? Więc chyba poniosła cię wyobraźnia. Nie zamierzam dłużej o tym rozmawiać, a jeśli chcesz poznać odpowiedź, to ja na pewno nie mogę ci jej udzielić.

Wyszliśmy prawie równocześnie, niemal na siebie wpadając. Wymieniłyśmy uśmiechy, ale tym razem odniosłam wrażenie, że jej twarz zasnuł cień.

– Mam nadzieję, że sukienka przyniesie pani szczęście – powiedziała, ale w jej głosie nie było już nawet śladu wcześniejszego zapału.

Teraz mam na sobie sukienkę, którą ta dziewczyna, Giulia Valenti, dla mnie wybrała.

W ubraniu, które miało przynieść mi szczęście, patrzę na jej zwłoki, sparaliżowana przerażeniem.

Giulia z zamkniętymi oczyma leży na podłodze w progu między jej pokojem a korytarzem.

Wygląda jak jesienny liść, zgaszona i sucha.

Podłoga pod nią poplamiona jest obficie świeżą jeszcze krwią. Długie, zadbane paznokcie są nadal doskonałe i pomalowane na czerwono. Claudio pochyla się nad nią, otwiera jej oczy i dotyka szyi, żeby sprawdzić temperaturę.

– Jest jeszcze ciepła. Mirti, sprawdź hipostazę.

W dość zabawny sposób stawiając drobne kroczki, Ambra podbiega bezzwłocznie, bo nigdy nie trzeba powtarzać jej niczego dwa razy. Już taka jest, podnieca się wszystkim; zresztą szukanie plam krwi, które skupiły się w kilku miejscach na ciele i stanowią niepodważalną oznakę śmierci, nie jest zadaniem wymagającym jakichś nadzwyczajnych kompetencji. Nie wkładając rękawiczek – to wielka nauka Bossa, który jest lekarzem sądowym starej daty: „Nieważne, jak bardzo może to być obrzydliwe, należy dotykać zwłok gołymi rękami, ponieważ nic nie dorówna wrażliwości skóry” – Ambra muska szyję Giulii, leciutko odchylając jej głowę; poza tym, dla podkreślenia, że umie to robić, szczypie jej podbródek, aby skontrolować sztywność szczęki, co jest kolejną jednoznaczną oznaką śmierci.

– Nikła hipostaza. Lekkie zasinienie, ale nic więcej. Sztywnienie jeszcze się nie rozpoczęło. To oznacza, że zgon nastąpił stosunkowo niedawno.

– Mirti, działasz zawsze z wyprzedzeniem. Wielka zaleta. Natomiast ciebie, Allevi, charakteryzują opóźnienia, bierz przykład z koleżanki.

– Z powodu takiego drobiazgu – mruczę, nie czując rzeczywistej przykrości, ale raczej rozczarowanie, że jakość pracy i sukces prawie nigdy nie idą w parze.

Zamiast przejmować się tym dwojgiem dręczycieli, którzy mają czelność rzucać sobie lubieżne spojrzenia nawet podczas wizji lokalnej, wolę skupić uwagę na szczegółach pokoju.

Ściany są w odcieniu trochę przygaszonej i zimnej lawendy; łóżko jest posłane z grubsza, czarny sweterek, który Giulia najwyraźniej wkładała na białą bluzkę, zwisa z krawędzi i wydaje się, że za chwilę spadnie. Na toaletce etui pełne kosmetyków Chanel; para wyszukanych rękawiczek w kolorze hebanu, rzuconych z niedbałą elegancją; otwarty szary portfel Gucci GG plus, wypchany kartami kredytowymi; stara srebrna szczotka do włosów z wygrawerowanymi na grzbiecie inicjałami GV; czarne łańcuszki; puder w kamieniu; opakowanie pigułek antykoncepcyjnych. Na ścianie sporo fotografii: niektóre zrobione nad morzem, inne w jakichś egzotycznych miejscach, których nie rozpoznaję, jeszcze inne wyglądają na zdjęcia pstryknięte z nudów na wykładzie. Przyglądam im się z zaciekawieniem: kilka przedstawia Giulię z bardzo podobną do niej dziewczyną. Inne z chłopakiem, który często ma pod szyją fular. Jeszcze inne przedstawiają grupy przyjaciół, a Giulia ma na nich zawsze entuzjastyczny wyraz twarzy.

Czuję się bardzo przygnębiona. A jednak wracam, żeby jeszcze raz obejrzeć zwłoki.

Gdyby nie ta krew, mogłoby się wydawać, że Giulia śpi: lekko skośne oczy, ciemne, gęste brwi, alabastrowa skóra. Wygląda jak królewna Śnieżka.

Niestety, wrażenie robią na mnie szczegóły i generalnie to właśnie one zawsze mnie wzruszają. I tak jest w przypadku Giulii: bosa stopy, nieco płaskie i nieproporcjonalnie małe w stosunku do wysokiego wzrostu, rozczulają mnie aż do łez. Cienka, kolorowa i zniszczona bransoletka, kupiona zapewne na jakimś straganie, kłócąca się z cenną brylantową bransoletką tenisową, przypomina mi, że w tym martwym ciele kryło się życie, które miało zostać przeżyte,

i że nie będzie już takich beztróskich momentów jak ten, kiedy wybierała tę prostą błyskotkę.

Właśnie z powodu takich myśli Claudio powtarza, że nie nadaje się do tej pracy.

Podchodzę do mojego mentora, który zabiera się do sporządzenia notatki.

– Jak myślisz, co się stało?

– Ma na karku ranę szarpano-tłuczoną. Trzeba ją lepiej obejrzeć w odpowiednim oświetleniu. Spójrz na framugę drzwi: jest poplamiona krwią. Dziewczyna ma także siniak na ramieniu, świeży.

– Myślisz, że została zamordowana?

Claudio marszczy czoło, ustawiając ręczny program aparatu, którym bez przerwy robi zdjęcia.

– Trudno wyrokować tak na szybko. Być może. Ale rana mogła też powstać na przykład w wyniku upadku.

– Tak, ale co wydaje ci się w tej chwili bardziej prawdopodobne? – nalegam.

– Myślisz, że jest jakiś sposób, żeby to teraz rozstrzygnąć? Przed sekcją mogę tylko powiedzieć, że nie żyje – odpowiada sucho, potrząsając butnie głową. – Zewnętrznie nie widać ran wskazujących na samoobronę i to mogłoby nasuwać myśl o wypadku – dodaje. Potem, jakby moje pytania nasunęły mu jakiś pomysł, z wyższością charakterystyczną dla niego, a okazywaną zawsze w sytuacjach, kiedy chce podkreślić swoją przewagę zawodową, akcentując słowa, aby usłyszeli go też Ambra i porucznik Visone, wielki nauczyciel konkluduje: – A więc, Allevi, to odpowiednia chwila na szybką powtórkę z metodologii wizji lokalnej.

Boże, jak ja go nienawidzę, kiedy tak się zachowuje. Niestety, zdarza się to bardzo często, ponieważ po skoku jakościowym wykonanym w łańcuchu fagasów Bossa jest przekonany, że musi wzbogacać swoje występy medyczno-sądowe, zachowując się jak nauczyciel i krzewiciel wiedzy. Szkoda tylko, że bardzo wystrzega się dzielenia swoją mądrością w sytuacjach mniej publicznych.

Jednak, chociaż może mu się to wydać dziwne, jestem w stanie odpowiedzieć. Wbrew pozorom, które tworzą mój obraz jako osoby rozkojarzonej i niemal niezainteresowanej wykonywanym zawodem, ja uwielbiam medycynę sądową.

– Podstawowe zasady! W skrócie, proszę – nalega, ledwie jednak zwracając na mnie uwagę, ponieważ kontynuuje dokumentację fotograficzną.

Kiedy muszę wypowiadać się publicznie, mam skłonność do zająkiwania się, stąd wrażenie, jakbym się ociągała z przedstawieniem wiedzy, o którą mnie zapytano, co oczywiście nie pomaga w tworzeniu wizerunku osoby błyskotliwej.

Stojąca z założonymi rękami Ambra czeka tylko na moje potknięcie.

– Należy zbadać otoczenie, analizując z największą dokładnością wszystkie szczegóły; wszystko opisać, nawet pozornie zbędne detale. Nie zapominać o pozycji ciała, ubraniach, ewentualnych obrażeniach. A także o wszystkich możliwych poszlakach o charakterze kryminologicznym.

– Na przykład?

– Oznaki walki.

– Co jeszcze?

– Oszacować prawdopodobny czas śmierci na podstawie warunków środowiskowych.

– Doskonale. Co dalej?
– Nie ruszać nic z miejsca przed zrobieniem zdjęć albo sporządzeniem notatek.
– Wystarczy. Ambro, zrób notatki na temat stanu zwłok. A ty, Alice, możesz iść do łazienki, jeśli robiłaś pod siebie z przejęcia. – Ambra zasłania dłonią wydatne wargi, jakby chciała ukryć rozbawienie, a Claudio puszcza do mnie oko z tą charakterystyczną tylko dla niego empatią, która każe wybaczyć nawet najbardziej perfidne z jego wystąpienia.

W końcu wychodzi z pokoju, żeby sprawdzić inne pomieszczenia domu; nie podążam za nim, zostaję, żeby przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie. Wciągam wyjęte z jego torby rękawiczki. Podchodzę do Giulii, żeby jej się bliżej przypatrzeć. Rogówki nie są jeszcze matowe, wciąż można w nich dostrzec ciepłą orzechową barwę. Ma bardzo długie rzęsy. Przewornie rozglądam się dokoła.

Jeśli Claudio złapie mnie na gorącym uczynku, utnie mi rękę.

Warunki są jasne: zabieram cię wszędzie ze sobą, ale musisz mieć zdolność znikania.

– Doktor Allevi – słyszę po chwili czyjeś wołanie.

Odwracam się gwałtownie. To Ambra, która w obecności obcych osób udaje, że jest uznaną profesjonalistką, a nie zwykłą lekarką na specjalizacji, do tego ambitną lizuską.

– Tak, Ambro, słucham.

– My już prawie skończyliśmy. – Śmiesz mi forma „my”, ponieważ Claudio jest primadonną i nie ma najmniejszej ochoty dzielić się z nikim honorami, a już na pewno nie z takimi dwiema amebami jak my. Jeśli jednak Ambra jest czegoś pewna, to tego, że jest pępkiem świata. Patrzy na zegarek, rzuca mi zniecierpliwione spojrzenie, następnie podąża za Claudio, który wychodzi, nie przejmując się swoimi dwoma pudelkami.

W aucie Claudio obserwuje mnie w lusterku wstecznym; siedzę wykończona, tymczasem Ambra nie może się powstrzymać i zatruwa nas swoim gadaniem.

– Co z tobą? – pyta wreszcie Claudio, przerywając jej wywód.

– Nic.

– Wyglądasz na wstrząśniętą. Zawsze powtarzam, że nie nadajesz się to tego zawodu.

Z odruchem zniecierpliwienia kładę rękę na czole. Dochodzi druga w nocy i padam ze zmęczenia.

– To nieprawda i dobrze o tym wiesz. W ostatnich latach widziałam wszystko i zniosłam każdy widok i każdy zapach.

– Dlaczego więc tym razem jest inaczej? – napiera, gdy tymczasem Ambra ostentacyjnie ziewa.

– Znam Giulie Valenti z widzenia. A czy tobie nigdy się nie zdarza, że jakiś przypadek szczególnie cię dotyka?

– Tylko z naukowego punktu widzenia. Allevi, musisz się nauczyć, że to jedyny aspekt, który powinien cię interesować, albo będziesz wykonywać swój zawód bez koniecznego obiektywizmu.

– Kiedy zrobisz sekcję? – pytam, ignorując przytyk.

– W poniedziałek albo we wtorek.

Zatem Giulia zostanie zamknięta w komorze chłodniczej, gdzie spędzi co najmniej czterdzieści osiem godzin.

Czuję się, jakby ogarniał mnie i pożerał jakiś wielki kosmiczny smutek.

Kiedy wreszcie wracam do domu, wejście po schodach kosztuje mnie nadludzki wysiłek. Mieszkam w kamienicy bez windy, w maleńkim mieszkanku naprzeciwko stacji metra Cavour, a płacę niewspółmiernie wysoki czynsz. Jest tak małe, że czasem brakuje mi powietrza, poza tym się sypie, ale właściciel, pan Ferreri, jest takim kutwą, że nie zamierza wydać nawet grosza, by uczynić je choć trochę wygodniejszym. „Lokalizacja jest bajeczna” – odpowiada na nasze skargi. Nasze, to znaczy moje i mojej współlokatorki Nakahamy Yukino albo prościej, po zachodniemu, Yukino. Yukino jest Japonką z Kioto. Studiuje język i literaturę włoską i przyjechała na dwa lata do Rzymu, by doskonalić swoją wiedzę. Dwadzieścia trzy lata, drobniutka, ubiera się ekstrawagancko, ma czarne, gęste włosy o grzywce tak perfekcyjnej, że wydaje się sztuczna.

Uwielbiam Yukino. Jest strażniczką mojego domu niczym rodzinne bóstwo opiekuńcze o migdałowych oczach.

Kiedy otworzyłam drzwi do mieszkania, zastałam ją siedzącą w fotelu w pozycji jogi, ze śliczną, zdziwioną buzią wpatrzoną w telewizor, z mangą w rączkach.

– Jeszcze nie śpisz? Jakies problemy? – pytam, rzucając płaszcz na wieszak.

Patrzy na mnie z tym wyrazem twarzy, który nie wiadomo dlaczego sprawia, że zawsze wydaje się poruszona.

– Trzy – odpowiada, pokazując liczbę na małych palcach swojej dziecięcej dłoni. – Po pierwsze, zgubiłam legitymację do stołówki i spędziłam całe popołudnie na załatwianiu, żeby wydali mi drugą. Po drugie, kapie z sufritu, a pan Ferreri nie chce zapłacić za naprawę. Po trzecie, od godziny oglądam ten serial i chce mi się rzygać. A jednak nie jestem w stanie... Jak to się mówi? Odegnąć się od telewizora.

– Oderwać, Yuki. I mówi się sufit, nie sufrit.

– Wszystko jedno.

– Niezupełnie. W każdym razie trzeba jeszcze raz zadzwonić do Ferreriego. Zagrozę mu, że zwrócę się do adwokata.

– Nie możemy zwrócić się do adwokata. To na nic. Jesteśmy tu na czarno. To jedyny sposób, żeby mniej płacić.

– Ale nie może nam też lać się na głowę! Wszystko ma swoje granice!

Yukino gasi telewizor i wstaje z fotela.

– Masz rację. Ale lepiej, jak ty zadzwonisz. On nie rozumie, jak ja mówię.

– Dobrze, jutro zadzwonię – wzdycham, związując byle jak włosy.

Yukino uśmiecha się uroczo.

– Masz ochotę na pidzama party? Kupiłam chipsy paprykowe.

– Jestem wykończona, serio.

– Byłaś na bankiecie, nie ma powodu do zmęczenia – odpowiada urażona.

– Byłam na wizji lokalnej. Jaki tam bankiet.

Yukino wytrzeszcza oczy, w ten swój jakże wyrazisty sposób, który naprawdę upodabnia ją często do postaci z mangi. Czasami nawet mam wrażenie, że za chwilę pojawi się jej nad głową dymek jak w komiksie.

– Och... przykro mi – odpowiada zasmucona. – Więc potrzebujesz relaksu! – wykrzykuje po chwili, zadowolona, że może odwrócić sytuację na swoją korzyść.

- Nie dam rady, naprawdę, chcę tylko położyć się do łóżka.
- Możesz wybrać między *Karekano*, *Inuyasha* i *Full Metal Panic* – proponuje, biorąc do ręki pudełko z DVD. – Mamy oczywiście *Itazura na Kiss*, ale widziałyśmy to już tyle razy.
- Yukino, jest późno!
- No właśnie, poczekamy do trzeciej, a potem idziemy spać, obiecuję. Kiedy wrócę do Japonii, będziesz za mną... jak to się mówi? Stęskniła.
- Tęskniła, Yuki. – Nie poprawiam jej z pedanterii, ale na jej wyraźne życzenie.
- *Versailles no Bara*? – nalega.
- Yuki, jutro.
- Mam pomysł! Ten odcinek *Karekano*, w którym Tsubasa poznaje przyrodniego brata i myśli, że ma dwanaście lat. Groszę cię!
- Mówi się proszę cię.
- Potem wracam do Kioto...

I tak, podstępnie wykorzystując uczucie, jakie do niej żywię, oraz ogarniającą mnie rozpacz na samą myśl, że prędzej czy później wróci do Japonii, a do tego wybierając cudowny odcinek *Karekano*, uruchamia moje ostatnie rezerwy energii, a ja pozwalam się ponieść typowej dla nocy atmosferze nieskończonych możliwości.

*Każdego ranka, nieważne, czy
jesteś lwem, czy
gazelą: zaczynaj biec!*

Nazajutrz, po zwyczajnym ponurym dniu spędzonym w prosektorium, należy mi się nagroda niczym wisienka na torcie – mogę wreszcie wsiąść do pociągu dalekobieżnego i pojechać do rodzinnego domu, gdzie nie byłam co najmniej od dwóch miesięcy. Nie dlatego, że nie chciałam. I to nieprawda, że mi ich nie brakuje, co często mi wypominają. Chodzi o zwykłe, naganne lenistwo.

Wyglądam przez okno, a niecodzienny krajobraz wywołuje uczucie żalu. Nie wiadomo, od ilu lat w Rzymie nie padał śnieg i ziemia niemal wszędzie jest lekko pobieląta od szronu; sceneria przypomina bardziej nastrój Bożego Narodzenia niż dzień z połowy lutego, kiedy czuję się zżerana przez nudę i smutek. Na dodatek pociąg mija przedmieście, które sprawia wrażenie szczególnego opuszczenia i przywodzi na myśl ludzką nędzę.

Zapomniałam wziąć klucze, więc dzwonię. Otwiera mi Marco, mój brat. W ostatnim miesiącu wrócił na łono rodziny – musiał opuścić dotychczasowe mieszkanie, bo właściciel postanowił w nim zamieszkać, a Marco nie znalazł jeszcze niczego innego.

Marco mógłby być gejem – co uważam za niezwykle prawdopodobne – ale mógłby też być przywódcą Al-Kaidy, biorąc pod uwagę, że nie istnieją żadne przecieki na temat jego życia prywatnego.

Kim naprawdę jest mój brat?

Nie wiem, ale wiem, kim był kiedyś. Do ukończenia siedemnastu, osiemnastu lat był dość przeciętnym typem. Może trochę samotnikiem i introwertykiem, zafascynowanym sztukami plastycznymi, niespecjalnie zaś zainteresowanym otaczającym go światem. W tym jesteśmy raczej podobni, bo ja też jestem dosyć oderwana od rzeczywistości – w każdym razie zbyt często wypominają mi to w instytucie. Po ukończeniu liceum mój brat stał się kimś w rodzaju elfa, do czego przyczynił się też niszczący, trwający około pół roku pobyt w Londynie, skąd wrócił podobny do Freddiego Mercury'ego z początków kariery (łącznie z plerezą). Od tamtej chwili nieprzenikniona tajemnica osnuła jego życie prywatne.

Nie wydaje się, żeby rodzice w jakikolwiek sposób się tym przejmowali. Odbierają odmienność syna jako nową wartość. Obydwoje dostrzegają w Marku wielką duszę i są z tego bardzo dumni.

I oto wielka dusza wita mnie kwadrans przed ósmą wieczorem w lutową sobotę tym swoim pięknym, doskonałym uśmiechem – nigdy nie widziałam piękniejszych zębów – z ogórkowym, energizującym kremem na twarzy, w dopasowanej czarnej koszuli (od kilku lat ubiera się wyłącznie *totally black*), z papierosem w smukłych palcach – zawsze miał przepiękne dłonie pianisty – których paznokcie polakierowane są starannie na kolor chyba czarny, ale może to być także ciemna śliwka.

– Cześć, Marco – mruczę. – Zapomniałam kluczy.

– Cześć, rzepie – odpowiada. Nazywa mnie rzepem od czasów dzieciństwa, bo ciągle deptałam mu po piętach i nie mógł nawet pójść swobodnie do łazienki. Uwielbiałam go i dojmująco pragnęłam jego towarzystwa; z nikim zabawa nie była tak znakomita jak z nim.

Jest fotografem konceptualnym – nigdy nie pojęłam, co to znaczy – ale robi wszystko, byle pracować i być niezależnym. Także obsługuje śluby.

– Opłucz dobrze twarz, masz wszędzie krem – mówię tonem bardziej cierpkim, niżbym chciała. On instynktownie dotyka opuszkami palców skóry twarzy.

– Pójdę się umyć – odpowiada nieco zakłopotany, ustępując miejsca idącej mi naprzeciw matce, która trzyma w ręku salaterkę i miesza w niej jakiś dziwny sos.

– Witaj, córeczko. Spodziewaliśmy się ciebie jutro – mówi, całując mnie w policzek.

To prawda, ale wolałam odbyć podróż dzisiaj, żeby mieć następnego dnia czas na odpoczynek. Poza tym całkiem przyjemnie jest obudzić się w niedzielny poranek z dala od zgiełku miasta.

– Marco, poczekaj. Weź bagaż siostry i zanieś do jej pokoju.

Zrezygnowany Marco podnosi torbę swoimi rękami elfa i wchodzi na piętro.

– Mamo, czy wydaje ci się normalne, że Marco używa ogórkowych kremów?

– Co masz na myśli, moja droga? – pyta niewinnie.

– Zostawmy to. Nic, nic.

– Alice, proszę, staraj się nie palić w pokoju. Za każdym razem muszę potem przez cały dzień wietrzyć.

– Obiecuję – mówię, wykonując gest skauta, ale potem wytrzymuję co najwyżej dziesięć minut, zanim rozpaczliwie sięgnę po papierosa.

Marco zagląda do pokoju i zawiadamia mnie, że kolacja gotowa.

Gaszę papierosa wypalonego dopiero w połowie.

– Spokojnie, nie będę donosił – zapewnia z uśmiechem.

– To niesprawiedliwe. Ty możesz, a ja nie. To wbrew konstytucji.

– Na mnie postawiła już krzyżyk.

– Dlaczego wciąż tu jesteś? Czy Sacrofano cię nie deprymuje?

Marco zastanawia się przez chwilę, z dłonią na klamce uchylonych drzwi.

– Kiedy straciłem mieszkanie, poczułem się nagle zagubiony. Zrozumiałem jednak, że nie każde zło jest szkodliwe. W gruncie rzeczy podoba mi się czystość miasteczka. Zażyłość, którą się tu odczuwa, brak ciągłego wystawiania się na widok. Nie tęsknię za chaosem wielkiego miasta. Przynajmniej nie w tym momencie mojego życia. Jeśli czegoś potrzebuję, biorę auto i za chwilę jestem w Rzymie; ale potem mogę tu przyjechać i się oczyścić. To piękne – kończy po prostu, z typową dla niego lekką niejasnością. – Chodź, nie ociągaj się. Czekam na dole.

Otwieram okno, żeby wpuścić powietrze. Niebo jest tak ciemne i zachmurzone, że nie można dostrzec księżyca.

Jest sobota wieczór. Ale smutno.

Jeśli życie jest polem golfowym, poniedziałki są dołkami w piasku.

Po weekendzie spędzonym na całkowitym relaksie powrót do pracy w poniedziałek przynosi efekt, który nazwałabym niszczycielskim.

– Zebranie plenarne w gabinecie dyrektora. Trzeba zawiadomić pozostałych – ogłasza królowa matka, która obnosi dziś *look* w stylu Amandy Lear przebranej za dziwkę.

– Czy nie będzie dziś sekcji Giulii? – pytam.

Prawda jest taka, że w ten weekend bardzo dużo o niej myślałam, naoglądałam się aż do przesytu wszystkich programów telewizyjnych, które mówiły o tej sprawie, a nawet rozmawiałam o niej z rodzicami.

– Claudio nie ma dziś czasu, przesunął sekcję na jutro. Właśnie dzwonił, żeby mnie uprzedzić – wyjaśnia tonem, który chciałby być uprzejmy, ale w rzeczywistości brzmi nutą współzawodnictwa, jakby wyczuwała we mnie rywalkę do serca Claudia.

Nie wie prawdopodobnie, że nie można rywalizować o coś, co nie istnieje; krążą pogłoski, że ostatnia, która próbowała na poważnie do czegoś z nim dojść, ciągnie cały czas na paroksetynie, żeby pokonać depresję.

Wkrótce potem wszyscy jesteśmy w gabinecie władzy, która przybrała postać człowieka: Bossa.

Sławny specjalista, znany w całym kraju, niedawno przekroczył sześćdziesiątkę, ale z tego powodu jego możliwości nie zostały w żaden sposób nadszarpnięte; w każdym razie te, z których czerpie swoje wyjątkowe skurwysyństwo, są niewyczerpane. Jest Anglikiem, nie pamiętam, z Londynu, Birmingham, a może z Brighton, ale w gruncie rzeczy na jedno wychodzi. Nie wiem, za pomocą jakich karierowiczowskich intryg dotarł aż tutaj, żeby nas dręczyć. Jak wielu ludzi, którzy znaleźli się na szczycie w jakiejś dziedzinie – szczególnie na tak wysokim szczeblu drabiny społecznej i akademickiej – jest znanym łajdakiem, ale też prawdziwym geniuszem medycyny sądowej. Jak można przewidzieć, to wielokrotny rozwodnik, o którym mówi się, że ma nieokreśloną liczbę dzieci rozsianych po całym globie. Nie wiem, jak znalazł czas na ich spłodzenie i wychowanie, bo żeby stać się tym, kim jest, musiał zawsze żyć w nieludzkim rytmie pracy.

Boss siedzi za biurkiem odwrócony plecami. Kłęby dymu z cygara złowrogo okalają jego postać; palenie w całym budynku jest zabronione, ale nikt nie ośmiela się zwrócić mu uwagi. Wally – to zdrobnienie imienia profesor Valerii Boschi, jego asystentki i bezpośredniej emanacji jego geniuszu – zajęła już swoje miejsce na *pole position*, z notatnikiem i piórem. Ma siwe na szerokość palca odrosty, a ubrana jest w sukieneczkę z zielonkawego muślinu, jakie były modne za czasów młodości mojej matki.

Boss zaczyna mówić o przypadku na pozór bardzo poważnym; chodzi o ustalenie odpowiedzialności za śmiertelny wypadek drogowy. Każdemu z nas powierza konkretne

zadanie. Ambra wykazuje się, zgłaszając uwagi, szczerze mówiąc, dosyć celne; zawsze tak jest. Trudno zrozumieć, w jaki sposób i dlaczego, ale umiałaby nawet sprzedać lód Eskimosom, choć nie jest jakimś orłem. Ja tylko częściowo chwytam, o co chodzi, bo mój umysł błądzi gdzie indziej. Ciągłe myślę o rozmowie telefonicznej Giulii, którą wtedy usłyszałam, a jej zdenerwowany głos ciągle wzbudza we mnie lekki niepokój. Może powinnam o tym z kimś porozmawiać; mógłby to być ważny szczegół.

– A pani co myśli, doktor Allevi? – pyta nagle Najwyższy. Przekłęty, tak zniecka. Nie wiem dobrze, co myślę i właściwie na jaki temat? Nie wiem, rozkojarzyłam się.

– Może należałoby zebrać komórki nabłonkowe z poduszki powietrznej – proponuję nieśmiało.

– To słuszne, ale niezbyt oryginalne. Właśnie przed chwilą powiedziała to pani koleżanka. Jest pani z nami czy tylko udaje? – pyta surowym tonem, a tymczasem na twarzą Ambry pojawia się złośliwy uśmiech.

Mam dość tych gównianych wpadek, które zaliczam każdego dnia, ale jednocześnie nie robię nic, żeby im zapobiec.

Po zakończeniu zebrania ta perfidna istota, jaką jest Wally, daje mi znak, bym do niej podeszła.

– Czekam na panią w moim gabinecie – mówi cicho, akcentując wyraźnie sylaby. Nie wiem dlaczego, ale za każdym razem, kiedy ktoś mi mówi: „Muszę z tobą porozmawiać”, dostaję palpacji.

Jestem tak pogrążona w myślach, próbując domyślić się, dlaczego Wielka Ropucha mnie wezwała – co jest niezwykłym wydarzeniem, gdyż zasadniczo dla niej nie istnieję – że w końcu zostaję sama. Wszyscy już sobie poszli, a ja nie mam pojęcia, ile czasu minęło.

Biegnij, Alice.

Rzucam się w kierunku pokoju Wally.

Pukam do drzwi. Zastaję ją siedzącą za biurkiem, z założonymi rękami, z twarzą dziwnie uwolnioną od wielkich okularów.

– Nie spieszyła się pani, doktor Allevi.

– Przyszłam najszybciej, jak mogłam – bronię się.

– Proszę usiąść. – W powietrzu czuć zapach tragedii.

– Czy jest jakiś problem? – pytam, już zrezygnowana i gotowa na jej głędzenie.

– Doktor Allevi, proszę przyjąć do wiadomości, że występuję w imieniu wszystkich pani wykładowców. Nie jesteśmy zadowoleni z pani pracy. Jest pani rozkojarzona, mało skoncentrowana.

Już ten wstęp powoduje, że oczy w niekontrolowany sposób zachodzą mi łzami.

– Wdrożyliśmy różne programy badawcze, ale pani nie zdołała włączyć się do żadnego z nich, pani praca nie przyniosła żadnych pożytecznych rezultatów. – Spuszczam głowę. Nie wiem, co powiedzieć. – Jeśli chodzi o technikę sekcji, w ostatnim czasie miałam sposobność przekonać się, że jest pani jeszcze bardzo w tyle. W zeszłym tygodniu zauważyłam, że była pani bliska obcięcia sobie palca i zmiżdżenia badanego mózgowia. A wszystko w tym samym momencie. Od osoby kończącej drugi rok specjalizacji oczekujemy większego zaangażowania i lepszych wyników.

Mimo dogorywającej dumy znajduję jeszcze siłę na reakcję.

– Prawdopodobnie, a wręcz na pewno mogę pracować lepiej. Ale nie więcej. Mam najwyraźniej nieprzekraczalne granice. Oczywiście skorzystam z pani cennych rad. – Wally robi groźną minę.

– Nie potrzebuję kłamliwych pochlebstw. Jeśli się pani ze mną nie zgadza, to znaczy, że nie ma pani ani krzty pokory i samokrytycyzmu.

Ale jeśli ja sama zadrezczam się myślą o własnej przeciętności? To prawda, może nie staram się wystarczająco. Istnieją jednak różne sposoby na powiedzenie pewnych rzeczy. Można użyć tonu stanowczego, ale przepełnionego ludzkim zrozumieniem. Albo można być niszczycielskim sadystą. Jak ona.

– Kiedy trzeba pracować, nigdy się nie wycofuję.

– Na przykład praca nad virtopsy. Jako jedyna nie bierze pani udziału w tym projekcie.

Virtopsy to autopsja wirtualna wykonywana za pośrednictwem badań radiologiczno-diagnostycznych. Super sprawa zdaniem wielu. Nie o to chodzi, że mi się to nie podoba; po prostu mnie przeraża, trochę tak jak wszystkie nowości.

– Bo prawdę mówiąc, nie jestem specjalnie zainteresowana tematem – wyrywa mi się, co wywołuje u Wally prawdziwy wstrząs.

– Jest pani nie tylko ignorantką. Na domiar złego jest pani zuchwała. – Co powiedziawszy, patrzy na mnie krytycznym i surowym wzrokiem. – Doktor Allevi, ja... albo raczej, mówię w imieniu nas wszystkich. Chcemy panią uprzedzić: jeśli nic się nie zmieni, będziemy zmuszeni nakazać pani powtarzanie roku. Czujemy się za panią odpowiedzialni i nie możemy pozwolić, żeby sprawy toczyły się w ten sposób.

Spada na mnie wodospad lodowatej wody. Powtarzać rok?

Nie płacz. Proszę cię, nie płacz. Powstrzymaj się.

– Nie mówi pani tego poważnie! – wyrywa mi się mimo woli.

– Jak najbardziej! – odpowiada z wyzywającym uśmiechem. – Ustalam termin: jeśli do końca następnego trymestru nie zauważymy znacznej poprawy, straci pani rok. Pod koniec każdego tygodnia spodziewam się tu, na moim biurku, sprawozdania z pani pracy. Przy okazji następnej sekcji przemagluję panią: jeden większy błąd i nie będę miała litości.

Nie mogła wyrazić się jaśniej.

– To wszystko wydaje mi się... przesadne. – Znajduję jeszcze siłę na odpowiedź.

– Takie są zasady. Pani przyszłość jest w pani rękach, nie w moich. Żegnam.

Czuję się tak, jakbym wyszła poza swoje ciało. Mam wrażenie, że przyglądam się masakrze i nie kiwnęłam nawet palcem, żeby jej zapobiec. Chwieję się, wracając do mojego pokoju, ale mam zamiar niczego po sobie nie pokazać koleżankom, szczególnie Ambrze.

– Czego chciała Wally? – pyta z małpią ciekawością.

– Och, nic szczególnego. Chciała porozmawiać o pracy, którą u niej złożyłam.

Ambra marszczy fałszywie brwi, a jej mima zdradza, że nie jest przekonana. Wraca do pracy przy komputerze, o nic więcej nie pytając. Siadam przy swoim stanowisku, jestem ciągle jeszcze w szoku.

O Boże. Do diabła. Kuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuurwa!

Sytuacja jest dramatyczna, jeśli nie gorzej.

Zawsze wiedziałam, że w tym instytucie, w tym gabinecie tortur, gdzie – aby doświadczać ciągłych nadużyć władzy – trzeba przejść konkurs i płacić coroczne wpisowe, traktowana

jestem wyłącznie jako ornament. Zawsze podejrzewałam, że nikt się specjalnie ze mną nie liczy, ale nigdy, podkreślam nigdy, nie pomyślałabym, że jestem tak bliska końca.

Oblanie egzaminu kwalifikującego na kolejny rok zdarza się bardzo rzadko i z racji wyjątkowości jest także czymś straszliwie poważnym. Nie przypominam sobie nikogo, kogo spotkał podobny los, i sama myśl, że mogłoby się to zdarzyć właśnie mnie, zapiera mi dech w piersiach. Za chwilę dostanę zawału. Czuję się jak człowieczek z *Krzyku* Muncha, tyle że w tych murach nie mogę nawet krzyczeć.

Kiedy znalazłeś się w gównie, musisz wykazać się inteligencją, żeby się z niego wydostać.

Rusz głową. Masz trzy miesiące na uratowanie sytuacji. Nie będzie to przecież aż takie trudne.

Zaliczywszy pewne ciosy, można tylko przeżyć albo upaść. Ja przeżyłam.

A jeśli to prawda, że nazywam się Alice Allevi, że jestem zawsze roztrzępana i że podoba mi się Johnny Depp, nie będę powtarzać roku. Choćbym miała sprzedać duszę diabłu, nie stanę się legendą instytutu.

Być może do tej pory wszystko zawałałam, ale mam możliwość nadrobić.

Alice, dasz radę. Alice, dasz radę. Alice, dasz radę. Alice, dasz radę.

To coś w rodzaju autorskiego treningu, do jakiego zmuszam się dziś rano, a który dekoncentruje mnie bardziej niż zwykle, i to do tego stopnia, że kiedy wysiadam z metra, niewiele brakuje, bym się potknęła i skończyła jak Anna Karenina.

Docieram do instytutu przed wszystkimi innymi i sunę po wypastowanej podłodze długich korytarzy, chłonę nieziemską ciszę, przyglądam się surowemu i bogatemu w historię umeblowaniu.

Uwielbiam to miejsce, chciałabym go nigdy nie opuszczać.

To rozdzierające uczucie, jak zresztą każda nieodwzajemniona miłość. A być może nigdy żadna miłość nie była mniej odwzajemniona niż moja wobec instytutu.

Stoję przy jednym z okien na korytarzu tak pogrążona w myślach, że nie zauważam, iż ktoś do mnie podszedł.

– Alice? Co tu robisz o tej porze?

To Claudio.

– Nie spałam, po co czekać w domu? A ty?

– Zapomniałaś, że dziś jest sekcja Giulii Valenti?

Jak mogłam o tym zapomnieć? Czekam na nią od piątkowej nocy.

– Kiedy się zaczyna?

– O dziewiątej. Kto będzie, ten będzie. Aha, Allevi. Ostrzegam cię: jeśli tylko usłyszę, że wyskakujesz z jakimiś fantastycznymi hipotezami, jak masz to w zwyczaju, wywalę cię na kopach.

O ósmej pięćdziesiąt jestem w prosektorium.

Ułożona na zimnej stali biedna Giulia wydaje się jeszcze chudsza i bardziej bezbronna.

– Zwłoki leżą na wznak na stole anatomicznym. Ubrane są w białą bawełnianą bluzkę i wełnianą spódnicę w szkocką kratę. Na nogach nylonowe pończochy w kolorze czarnym. Wzrost sto siedemdziesiąt siedem centymetrów. Lekki rozkład organiczny. – Claudio profesjonalnie nagrywa notatki na swoim dyktafonie Olympus. – Plamy opadowe barwy sinoczerwonej drugiego stadium rozsiane na tylnej powierzchni tułowia oraz górnych i dolnych kończynach. Silna uogólniona sztywność. Brak zewnętrznych oznak gnicia.

Następnie technicy zaczynają rozbierać zwłoki. Przecinają spódnicę i bluzkę, odsłaniając perłowoszarą bieliznę. Claudio tymczasem kontynuuje:

– W okolicy potylicznej szerokie uszkodzenie tkanki, podłużne, o poszarpanych brzegach, poprzeplatane strzępkami tkaniny.

Claudio przystępuje do badania zewnętrznego, a Ambra obejmuje funkcję jego osobistej asystentki. Podaje mu linijkę do zmierzenia rozmiarów obrażeń; robi kilka zdjęć; przygotowuje strzykawki do pobrania płynów biologicznych. Pod paznokciami Giulii udaje jej się znaleźć niewielką ilość materiału epidermicznego; pobiera oczywiście próbkę i zapowiada, że jak najszybciej wykona badanie genetyczne.

Obserwuję Claudia, który przeprowadza badanie ginekologiczne, żeby ustalić, czy doszło do gwałtu. Słyszę, jak mówi do dyktafonu, że nie ma oznak gwałtu, ale że Giulia odbywała ostatnio stosunki seksualne.

– Podaj mi próbkę, żeby zebrać pozostały materiał; nigdy nic nie wiadomo – mówi do Ambry, która dzisiaj jest jego ukochaną współpracownicą.

Po zakończeniu badania zewnętrznego przychodzi czas na rozpoczęcie sekcji. Claudio wykonuje skalpelem cięcie w kształcie litery Y.

Giulia jest tak chuda, że tkanki bez trudu się odklejają. Nie jestem w stanie patrzeć na nią tak, jak powinnam, to znaczy, jak osoba robiąca specjalizację, dla której zwłoki są wyłącznie źródłem wiedzy. Chciałabym powiedzieć Claudiowi, żeby działał powoli albo żeby utrzymywał stół operacyjny w czystości, by lśniąca włosy Giulii nie pobrudziły się krwią jeszcze bardziej niż do tej pory. Chciałabym nie uczestniczyć w tej sekcji, ale nie jestem w stanie ruszyć się nawet o krok. Stoję i patrzę w oszołomieniu na jej rękę zsuwającą się ze stołu. Istnieje dziwne zjawisko, które być może jest po prostu skutkiem bezwładu, w efekcie osoba dotykająca zwłok jakby przekazywała coś w rodzaju przynależnej im siły. Dlatego zwłoki zdają się poruszać, opadać i sprawia to wrażenie niewymownie smutne, do którego wciąż nie jestem w stanie przywyknąć.

– To niespodzianka – słyszę głos Claudia.

Podchodzę do stołu i przyglądam się krtani, którą trzyma w rękach. Nawet ja rozumiem, o czym mówi. Podnoszę wzrok i szukam potwierdzenia w jego oczach.

– Szok anafilaktyczny?

– Nie ma wątpliwości, że obrzęk głośni jest znaczny. Rana na głowie nie ma żadnego znaczenia: popatrz, to tylko pęknięcie skóry, nic więcej. Bardziej pozór niż coś istotnego. Przypuszczam, że zraniła się, uderzając we framugę drzwi, kiedy traciła przytomność. Odpowiedź mogą nam dać płuca. Mirti, włóż rękawiczki i wyjmij płuca. Natychmiast.

Ambra z zapalaniem wykonuje polecenie i robi to porządnie.

– Ostry obrzęk płuc – stwierdza Claudio, przyglądając się z uwagą. – Z czego wynika, Nardelli?

– Z niekontrolowanego uwalniania pośredników takich jak histamina, co pociąga za sobą wzrost przepuszczalności włoskowatej, rozszerzenie naczyń z obrzękiem śluzówek i nadciśnieniem, skurcz oskrzeli – odpowiada bezzwłocznie Lara.

– A więc? – ponagla ją Claudio, robiąc osobiście sekcję płuc.

– Połączenie szoku i zamartwicy.

– Świetnie, Nardelli. Zasłużyłaś na sekcję serca.

– Więc nie została zabita? – pytam.

– Allevi, przypadek może być interesujący również wtedy, kiedy nie chodzi o morderstwo –

odpowiada ironicznie, a królowa uśmiecha się perfidnie.

– Oczywiście, ale świadomość, że nikt nie chciał zrobić jej krzywdy, pozwala mi pogodzić się ze światem.

– Jeśli o mnie chodzi, dużo większą irytację wzbudza we mnie świadomość, że umarła w sposób tak banalny. Z powodu jakiegoś świństwa, które pobudziło jej system odpornościowy. Zastanów się, czy to nie dużo bardziej bezsensowne? – pyta Claudio.

– Ale naprawdę jesteś pewny, że nie została zamordowana?

Claudio przewraca oczami.

– Chwilowo nie mam żadnych podstaw, żeby tak myśleć.

– A wybroczyny na rękach? Materiał epidermiczny pod paznokciami?

– Cóż, Alice, wybroczyny mogą być również efektem banalnego uderzenia o jakiś mebel...

– Ale nic ci to nie mówi? To znaczy, ktoś musiał jej nabić te siniaki. Kiedy? Kto?

– Oczywiście, zasygnalizuję ich obecność. Odpowiedź na pytanie kiedy, to rzeczywiście moja sprawa. Podczas wizji lokalnej myślałem, że pochodzą z tego samego dnia, bo były różowawe. Czy w związku z tym chcesz, abym ci także powiedział, kto to zrobił?

– Co wywołało szok? – pytam, zmieniając temat.

Claudio wzrusza ramionami.

– Kto to może stwierdzić? Spróbujemy wywnioskować na podstawie anamnezy i badań toksykologicznych.

– Zawartość żołądka?

Ambra patrzy na mnie zniecierpliwiona. On zaś mierzy mnie zmieszanym i niemal obrażonym wzrokiem, jakbym ośmielała się uczyć go zawodu. Claudio jest dobry i kochany, ale jeśli chodzi o pracę, nikt nie ma prawa wymądrzać się przy nim, naturalnie poza Najwyższym.

– Allevi, był pusty.

– Więc nie było to nic, co połknęła. Znaleźlibyśmy jakiś ślad w żołądku.

– Właśnie. Ale to nic nie znaczy. Zależy, co połknęła i jak szybko nastąpiło wypróżnienie gastryczne.

– A może ukąszenie owada?

– W domu? Poza tym widziałaś jakieś ślady ukąszenia? Bąble?

– Nie – odpowiadam zmartwiona, potrząsając głową. – Lekarstwo, które zażyła? – sugeruję niestrudzona.

– Alice, wymieniasz na ślepo wszystko możliwe przyczyny anafilaksji, a ja nie rozumiem po co.

– Żeby zrozumieć, co się stało.

Claudio wzdycha, zdejmując jednocześnie poplamione krwią rękawiczki.

– Dobrze. Jeśli było to lekarstwo, szczegółów dowiemy się z badań toksykologicznych.

Podchodzę do ciała, żeby raz jeszcze przyjrzeć mu się dokładnie.

Na pozór nic nowego.

A jednak jest coś, co umknęło uwadze Claudia. I mojej.

Przyglądam się jej śnieżnobiałej szyi, jasnym, sztywnym ramionom.

– Claudio!

Odwraca się gwałtownie, mówił właśnie jakieś świństwko królowej, która patrzy na mnie

karcąco za to, że zepsułam magię tej chwili.

– Co znowu?

– Wiedziałam! Spójrz tutaj.

Coś niemal niewidocznego i niedostrzegalnego, tak maciupeńskiego, że mogło się zdawać małym znamieniem. Nie dziwię się, że nie zauważyliśmy tego wcześniej.

– Znak ukłucia igłą – stwierdza, obejrzawszy otwór dokładnie przez szkło powiększające. – Ale to dziwne. Pod spodem nie ma wybroczyny. Mirti! – woła. – Weź skalpel, muszę naciąć, żeby zobaczyć, czy jest naciek krwotoczny. Dlaczego muszę to zrobić, Allevi?

– Żeby sprawdzić, czy to uszkodzenie powstało za życia czy po śmierci – odpowiadam natychmiast.

– Świetnie. – Ambra podaje mu skalpel, a on po chwili wahania przekazuje go mnie.

– Allevi, nagroda za twój upór. Natnij. – Ambra blednie, nie potrafi ukryć zawodu.

Tym razem chętnie oddałabym jej ten moment chwały.

Nie chcę dotykać Giulii.

– No, Alice, jest późno – naciska Claudio, zerkając na zegarek. A widząc moje wahanie, nalega: – Alice, nacinaj. Już.

Nadal zwlekam. Przede mną leży ciało udręczone badaniem sekcyjnym, ale ja jestem jak sparaliżowana.

– Rozumiem. Nie chcesz – mówi w końcu z nutą czułości w surowym głosie. – Allevi, nie nadajesz się do tej pracy – konkluduje szorstko, wyjmując skalpel z moich rąk i nacinając ramię Giulii. – Proszę, jest naciek krwiotoczny.

– Coś sobie wstrzyknęła – mruczy odsunięta na bok Ambra.

– Albo coś jej wstrzyknęto. Podczas wizji lokalnej nic nie znaleźliśmy – zauważam.

– Albo po prostu poddała się przetoczeniu krwi – dodaje Ambra.

– To trzeba ustalić. W każdym razie badanie toksykologiczne wszystko rozstrzygnie – kończy Claudio.

Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak opuścić to miejsce. Zostawić za sobą Giulie, więcej o tym nie myśleć.

Gdyby to było takie łatwe... Claudio zatrzymuje mnie.

– Allevi, zanieś rodzinie Valenti jej rzeczy osobiste. Powinny tutaj być. Już sama bransoletka jest warta co najmniej pięć tysięcy euro, a nie chcę mieć problemów. Pamiętaj, żeby pokwitowali zwrot.

Claudio podaje mi plastikową torebkę z bransoletką i kolczykami Giulii. Taka jest praktyka, nic nadzwyczajnego, ale to polecenie sprawia mi przykrość, bo kontakt z krewnymi zmarłego nigdy nie należy do przyjemnych. Zetknięcie z cierpieniem nie jest dla mnie: to jeden z powodów, dla których wybrałam medycynę sądową. Kiedy ciało leży na stole sekcyjnym, już nie cierpi.

Wkładam torebkę do kieszeni fartucha i ruszam w stronę poczekalni, gdzie na ławce siedzi samotna dziewczyna. Związane w koński ogon włosy ma w nieokreślonym kasztanowym kolorze z czerwonymi refleksami. Ubrana jest w ciemnobrązową tweedową garsonkę, a w uszach ma perłowe kolczyki. Jest w niej coś, co przywołuje mi na myśl malarstwo prerafaelitów. Jej tułów dosłownie faluje, co często zdarza się osobom znerwicowanym.

– Wszystko w porządku. Wszystko w porządku. Nic się nie stało. Wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

Mówi sama do siebie ze wzrokiem zagubionym w próżni.

– Proszę pani – odzywam się, podchodząc do niej ostrożnie. – Czy potrzebuje pani pomocy?

– Giulia. Giulia. Biedna Giulia.

Dziewczyna potrząsa głową, jakby nie mogła pogodzić się z losem. Dłonie ma skrzyżowane na kolanach. Na powierzchni ręki zauważam fioletowy siniak.

Dziewczyna, zorientowawszy się, że się jej przyglądam z zaciekawieniem, instynktownie chowa rękę. Patrzy na mnie z przerażoną miną.

– Doriana – daje się w tym momencie słyszeć potężny i wyraźnie zirytowany głos.

Dziewczyna odwraca się gwałtownie. Choć to wezwanie mnie nie dotyczy, czuję, że dosłownie kurczę się w sobie.

Obok pojawiają się trzy osoby. Ich twarze wydają mi się znajome i przypominam sobie, że widziałam je na zdjęciach w pokoju Giulii.

Pierwszą z nich jest kobieta w średnim wieku o mysich włosach zebranych w kok, o nieskazitelnym wyglądzie zaszuszonej damy z wykrzywionymi przez artretyzm palcami ozdobionymi licznymi pierścionkami.

Druga osoba to młody mężczyzna o surowym wyrazie twarzy. Jest dosyć przystojny, ale pewna ostrość rysów go szpeci. Na szyi ma niebieski jedwabny krawat, co czyni go bardzo *British*.

Trzecią osobą jest dziewczyna bardzo podobna do Giulii, wyraźnie starsza, nie tak olśniewająco piękna, ale o spojrzeniu, które określiłabym bez przesady jako magnetyczne.

– Co robisz, Dorianie? – pyta starsza kobieta.

Doriana nie jest w stanie nawet składnie mówić.

– Nn-ic.

– A pani kim jest? – pyta dama, zwracając się do mnie.

– Doktor Alice Allevi, robię specjalizację w Instytucie Medycyny Sądowej – odpowiadam swobodnie. – Podeszłam, bo wydaje mi się, że jest w szoku. Czuję się w obowiązku wyjaśnić, kierując wzrok na Dorianę.

– Dziękuję pani – odpowiada uprzejmie, ale stanowczo mężczyzna. Obdarza mnie ledwie widocznym, ale ujmującym uśmiechem. Ma wory pod oczami, które sprawiają, że i tak już ponure spojrzenie jest więc przerażające. – Wstawaj, Dorianie – mówi w końcu, dotykając lekko ramienia dziewczyny, z mieszaniną troskliwości i zniecierpliwienia. – I włoż rękawiczki – nakazuje, jakby to było oczywiste.

Doriana podnosi się i idzie z opuszczonym wzrokiem, unikając mojego spojrzenia.

– Przykro mi. To znaczy, mam na myśli Giulie – mówię. A potem, zaskakując nawet samą siebie, instynktownie dodaję: – Znałam ją.

Dziewczyna, niewiarygodnie przypominająca Giulie, podnosi zamglony wzrok.

– Naprawdę? – pyta drżącym głosem.

Potakuję, czując na sobie spojrzenie ośmiorga oczu.

– To znaczy, nie znałam jej dobrze. Właściwie tylko bardzo powierzchownie i przypadkowo.

– Cóż, Giulia nie należała do osób, które się zapomina – dodaje dziewczyna tonem pełnym

żału. Ma niski, bardzo zmysłowy głos.

– To prawda – przyznaję.

Wszystko jest takie bolesne.

Może dlatego, że starsza kobieta jest bliska łez. Albo dlatego, że na twarzy na pozór lodowato zimnego mężczyzny maluje się milczące i skrajne cierpienie, które opanowuje w godny podziwu sposób. Lub po prostu dlatego, że Giulia, taka młoda, wciąż jeszcze taka piękna, już wkrótce dotknięta zostanie potwornością, która pożera wszystkie trupy i nikt nie może nic z tym zrobić. Prędzej czy później zostaną z niej tylko kości, prędzej czy później zostanie zapomniana.

Cisza przepełniona rozpaczą wypełnia pomieszczenie. Czuję się nieswojo i rozumiem, że nadszedł moment, by się oddalić.

Chwilę przed odejściem zauważam, że Dorigana masuje sobie rękę i patrzy na mężczyznę, szukając w jego oczach jakiegoś pocieszenia. Nadaremnie.

Żegnaj się, ale oni prawie tego nie dostrzegają.

Dopiero kiedy wracam do prosektorium, przypominam sobie o zadaniu zleconym przez Claudia: wciąż mam w kieszeni biżuterię Giulii. Cholera! Jak mogłam o tym zapomnieć.

Zawracam i biegnę do poczekalni w nadziei, że ich tam jeszcze zastanę.

Oczywiście, zgodnie z najlepszą tradycją pecha, jaki mnie prześladowe, już sobie poszli.

– Załatwiłaś wszystko? – pyta Claudio, podnosząc oczy znad karty zgonu, którą wypełnia swoim wyraźnym pismem.

O nie. Co mam robić?

– Claudio,... podeszłam, by oddać im torebkę. Potem, nie wiem, jak to się stało, zaczęliśmy rozmawiać, zagadałam się i w końcu zapomniałam im ją dać.

Claudio uderza ręką w stół.

– Do jasnej cholery, Allevi, jak możesz być tak roztrzępana!

– Przepraszam, Claudio, naprawdę.

– Potem mi powiesz, co mam począć z twoimi przeprosinami, które, szczerze mówiąc, nie są mi do niczego potrzebne. Rusz raczej głową, żeby znaleźć jakieś wyjście.

– Ale jakie?

– Zdobądź numer telefonu, cokolwiek. Zajmij się tym i nie każ mi tracić czasu. Ty za to odpowiadasz.

Przycupnięta na krzeselku w sekretariacie, przy akompaniamencie gwałtownej ulewy, przebiegam wzrokiem książkę telefoniczną i szukam nazwiska Valenti, chociaż nie wiem nawet w jakim celu. Jest wiele osób o tym nazwisku, a każda z nich mogłaby być spokrewniona z Giulią.

Nie sądzę, bym miała coś dziś osiągnąć. Pomyślę o tym jutro.

Jakiś czas potem sadowię się na domowej kanapie z pilotem w jednej ręce i paczką herbatników Oreo w drugiej.

Z umiarkowanym zainteresowaniem oglądam telewizję.

– Trwa dochodzenie w sprawie śmierci studentki Giulii Valenti. Wciąż nieznane są przyczyny zgonu; nie można wykluczyć, że chodzi o morderstwo, choć bardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza wypadku. Oczekujemy wyników sekcji zwłok. Dziś rano przesłuchani zostali członkowie rodziny i kilkoro przyjaciół. Osierocona w dzieciństwie

dwudziestojednoletnia Giulia Valenti i jej dwudziestoosmioletnia siostra Bianca wychowane zostały przez wujostwo. Corrado De Andreis, wuj ofiary, znany działacz chrześcijańskiej demokracji, w latach siedemdziesiątych kilkakrotnie wybierany był na deputowanego. Zmarł w 2001 roku, a jego ambicje polityczne kontynuuje syn Jacopo, młody i obiecujący adwokat specjalizujący się w prawie karnym. Jacopo De Andreis, rzecznik rodziny, odmawia składania oświadczeń.

Znakomicie, oto kogo powinnam odszukać.

Dzień dobry, mówi doktor Alice Allevi. Chciałabym rozmawiać z mecenasem De Andreisem.

– Proszę zaczekać – odpowiada sekretarka cierpkim tonem. Przy akompaniamencie *Wiosny* Vivaldiego płyną sekundy, stając się minutami. Czekam tak długo, że w końcu rozłączam się i dzwonię jeszcze raz.

– Przepraszam, tu znowu Alice Allevi...

– Jedną chwilę – przerywa mi ta sama co poprzednio sekretarka.

Znów rozlega się muzyka, ale na szczęście tym razem oczekiwanie jest krótsze.

– Tak? – odzywa się w słuchawce znudzony głos.

– Mecenasie, przepraszam, że przeszkadzam.

– Z kim rozmawiam?

– Mówi doktor Allevi z Instytutu Medycyny Sądowej.

– Aha – odpowiada sucho. – Czy jest jakiś problem?

– Hmm, właściwie to nie problem. Raczej kłopot. Ktoś powinien przyjść do instytutu po odbiór osobistych rzeczy Giulii.

– No cóż, to nie będzie trudne. Ten, kto przyjdzie, ma zwrócić się do pani?

– Tak, rzeczy są u mnie.

– Proszę powtórzyć swoje nazwisko.

– Alice.

Cisza w słuchawce daje mi do zrozumienia, że oczekiwał czegoś innego.

– Och, przepraszam. Allevi. Doktor Alice Allevi – dodaję pospiesznie.

– W porządku, rano stawi się u pani ktoś z rodziny.

* * *

Siedzę w moim gabinecie i pracuję z Larą nad protokołem z sekcji zwłok, kiedy nieśmiałe pukanie do drzwi odrywa mnie od dylematu: odcień wybroczyny jest fioletowawy czy niebieskawy?

– Proszę!

W drzwiach pojawiła się twarz przypominająca oblicze Giulii, ale żywa i pełna ekspresji.

– Szukam doktor Allevi... To pani? – pyta. Przytakuję, uśmiechając się z sympatią. – Jestem Bianca Valenti. Widziałyśmy się wczoraj – dodaje, jakby z obawy, że nie została rozpoznana.

– Proszę wejść – zapraszam, podnosząc się z krzesła.

Bianca porusza się zgrabnie, zupełnie nie widać po niej rozpacz, chociaż na pewno jest nią przepełniona. Ma oczy osoby pozbawionej snu. Ubrana jest w płaszcz z granatowego kaszmiru, a jej długie włosy związane są w koński ogon. Jest bardzo wysoka, w każdym razie wyższa ode mnie i od Lary.

Otwieram zamkniętą na klucz szufladę, w której schowałam biżuterię Giulii, i podchodzę,

żeby jej wręczyć.

Bianca niepewnym ruchem odbiera torebkę z moich rąk i nagle zaczyna drżeć.

– O Boże – szepce, cofając się. Oczy napełniają jej się łzami. – Te bransoletki... – mruczy pod nosem głosem stłumionym przez łkanie.

– Może pani usiądzie? – pytam, widząc, że blednie.

– Może wody? – włącza się Lara, marszcząc czoło.

– Tak, dziękuję – odpowiada Bianca po chwili wahania.

Podsuwam jej krzesło – fotelik Ambry, na szczęście dziś nieobecnej. Lara wybiega po wodę.

– Proszę wybaczyć. Widzi pani, to tak, jakby wspomnienia o niej, o nas obu, ciągle mnie osaczały i ja... nie dają rady, rozumie pani? Nie dają rady.

– Rozumiem, proszę spróbować się uspokoić.

Bianca wysuwa bransoletki z plastikowej torebki i ściska je palcami.

– To prezent od wujostwa na osiemnaste urodziny. Giulia nigdy jej nie zdejmowała. Zawsze powtarzałam, że to zbyt cenna biżuteria, by nosić ją codziennie, ale podobnie jak w przypadku innych rad, tej też nie słuchała. A tę bransoletkę kupiła na straganie na Sycylii w czasie wakacji, dwa lata temu. Jeszcze się trzyma, to niewiarygodne. To bransoletka życzeń. Ciekawe, jakie życzenie sobie wtedy pomyślała! – Widać wyraźnie, że Bianca czuje potrzebę mówienia, i chociaż mnie to peszy, nie ośmielam się jej przerwać. – Pani doktor. proszę wybaczyć, nie chciałabym. Cóż... Ja... Chciałabym zapytać, co było powodem śmierci mojej siostry? Widziałam zdjęcia: ta kałuża krwi, w jakiej ją znaleziono... A inspektor prowadzący dochodzenie mówi jakoś tak ogólnikowo.

– Ja... wiąże mnie tajemnica zawodowa, przykro mi. Ale chciałabym jednak panią zapytać, czy siostra była na coś uczulona?

Bianca wytrzeszcza oczy, wielkie i piękne również w cierpieniu.

– Och, proszę wybaczyć. Wiem, że powinnam być cierpliwa, i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak byłam niegrzeczna. To oczywiste, że nie może mi pani nic powiedzieć. Odpowiadając zaś na pani pytanie... Giulia była uczulona na całą masę rzeczy. Była astmatyczką i kilkakrotnie omal nie umarła z powodu szoku anafilaktycznego. Czy sądzi pani, że to był właśnie powód?

– Możliwe – przyznaję, próbując zamknąć temat.

Bianca wzdycha głośno. Powrót Lary uwalnia mnie od dalszych pytań.

– Dziękuję. Panie są dla mnie naprawdę bardzo miłe. – Oddaje Larze pustą szklanekę, jeszcze raz jej dziękując. – Więc poznała pani Giulie na krótko... przed jej śmiercią?

– To był dziwny przypadek.

Lara patrzy na mnie zdumiona.

– Naprawdę, Alice?

Opowiadam o spotkaniu z Giulią. Lara wydaje się wstrząśnięta tym zbiegiem okoliczności, a Bianca ciekawa szczegółów.

– Wydawała się pani wzburzona, zaniepokojona? A przede wszystkim czy powiedziała pani o tym policji?

– Tak, była trochę poruszona; nie, jeszcze nic nie mówiłam, ale zamierzam to zrobić.

Bianca znów wzdycha, jakby nie mogła się opanować. Nic nie wskazuje na to, że chce

zakończyć wizytę. Jej chmurne spojrzenie pada na mnie.

– Proszę im powiedzieć. To może być ważne.

– Obiecuję pani.

– Ta krew. Nie mogę tego zapomnieć – dodaje cicho. – Pierwsze, co pomyślałam: została zamordowana.

– Dlaczego pokazano pani zdjęcia? To musiał być dla pani szok.

– To ja nalegałam. Nie byłam w stanie się powstrzymać.

– Bianco, myślę, że mogę to pani powiedzieć bez naruszenia tajemnicy śledztwa – mówię. – Ta krew pochodzi z małej rany na głowie, która jednak nie ma żadnego znaczenia, nie spowodowała śmierci. Rana powstała prawdopodobnie w wyniku upadku po utracie przytomności.

Lara patrzy na mnie przerażona.

– Alice, mam ci coś do powiedzenia – wtrąca tonem, który niezręcznie udaje naturalność.

– Wybaczcie, musicie pracować, a ja... siedzę tu i przeszkadzam. Przepraszam.

– Nie, naprawdę, to żaden kłopot – tłumaczę gorliwie.

– Tak czy owak, lepiej już pójdę. Pani doktor, proszę pamiętać, żeby porozmawiać z inspektorem Calligarisem, to on zajmuje się dochodzeniem.

Bianca wstaje z niepewnym uśmiechem na pięknej, bladej twarzy. Wyciąga rękę najpierw do mnie, potem do Lary.

– Alice... – odzywa się jeszcze, trzymając już dłoń na klamce. – Na wypadek gdybym miała. Tak, krótko mówiąc, gdybym potrzebowała jakiegoś wyjaśnienia, mogę się do pani zwrócić?

Odpowiadam instynktownie, z nadmierną wręcz uprzejmością.

– Oczywiście.

Ledwie drzwi się zamykają, a odgłos obcasów na podłodze oddala, Lara z uniesioną brwią bezlitośnie mierzy mnie wzrokiem.

– Twoja lekkomyślność jest wyjątkowa. Jak mogłaś pozwolić, żeby wyrwało ci się coś na temat sekcji? Gdyby dowiedział się o tym Claudio.

– Nie dowie się – odpowiadam lekko.

– To jasne, że mu nie powiem, ale nigdy nie wiadomo. Ta dziewczyna jest nieznajomą, i to wyraźnie w stanie szoku. Nie zdziwiłabym się, gdyby znów do ciebie przyszła, żeby wyciągnąć nie wiadomo jaką prawdę.

– Zaniepokoiła ją krew, którą zobaczyła na zdjęciach. To zrozumiałe.

– Zgoda, ale to nie powód, żeby spoufalać się z krewnymi zmarłych. Boss zawsze to powtarza.

– Jak myślisz, Najwyższy ma serce albo coś, co je przypomina?

Lara potrząsa głową.

– Nie, ale ma rację – odpowiada sucho. – Co robisz dziś wieczorem? – pyta, zmieniając temat.

– Nic specjalnego. Yukino przygotowuje *onigiri*.

– To te z kreskówek?

– Tak.

– Myślisz, że zgodzi się, żebym się do was przyłączyła?

*Those who are dead are not
dead, they're just living in my
head*

Na dzień przed śmiercią Giulii słyszałam jej rozmowę telefoniczną.

Claudio podnosi osłupiały wzrok. Jesteśmy w jego gabinecie i pracujemy nad jakąś zaległą sprawą. Od śmierci Giulii minął już prawie tydzień.

– Takie rzeczy nie zdarzają się nawet w telewizji – zauważa Claudio, wypluwając do kosza gumę do żucia.

– Ale mnie się zdarzyło.

– Bo ty przyciągasz nieszczęścia jak magnes. Musisz powiedzieć o tym śledczym, to twój obowiązek.

– Tak, wiem. I tak już za długo zwlekałam. – Kiedy to mówię, czuję się niemal winna wobec Bianki Valenti. – Poza tym, Claudio... Muszę ci coś powiedzieć, ale obiecaj, że nie będziesz ze mnie drwił.

– Jeszcze coś?

– Tak. I to też dotyczy Giulii Valenti. Kiedy wyszłam wczoraj z prosektorium, zobaczyłam jakąś dziewczynę, krewną, a może przyjaciółkę Giulii. Wydawała się wytrącona z równowagi... Nie wiem, wyglądało to jakoś podejrzanie.

– Jak zwykle ponosi cię wyobraźnia.

– Nie wierzysz mi? Jestem tak mało wiarygodna?

Claudio marszczy czoło.

– Nie. Nie – odpowiada, ale trudno wziąć to za dobrą monetę.

– Posłuchaj mnie, Claudio. A jeśli razem coś sobie wstrzyknęły? Miała siniak na rękę. Ten siniak mógł powstać w wyniku ułucia albo czegoś innego.

– Nawet gdyby tak było, nie rozumiem, co cię to obchodzi.

– A jeśli to nie był wypadek?

– Zawsze to powtarzam, te różne *Kryminalne zagadki*... zrujnowały całe pokolenia.

– Przestań żartować. Mówię poważnie.

– Niestety, zauważyłem. Posłuchaj, Alice. Rany, które widziałaś, prawdopodobnie są przypadkowe. To był wypadek, nie morderstwo.

Nie ma nic bardziej frustrującego i deprymującego jak uświadomienie sobie, że człowiek, którego się szanuje, tak jak ja szanuję Claudia, nie docenia twojego profesjonalizmu.

– Claudio, nie ufasz mi, prawda?

Zwraca ku mnie niemal bolesne spojrzenie.

– Jesteś jeszcze niedoświadczona. Możesz popełniać błędy. To normalne.

– Ale myślisz, że mam talent? Potencjał? – pytam ze szczerością, na jaką nigdy wcześniej się nie odważyłam. – Muszę to wiedzieć. Muszę uwierzyć, że mimo błędów i tych wszystkich potknięć, z powodu których zaczynam czasami myśleć, że nie nadaję się do wymarzonego

zawodu, bo mnie przerasta... muszę wierzyć, że mogę dać radę. To znaczy, zostać dobrym lekarzem sądowym.

Wyraźnie rozbrojony muska mnie po policzku i spogląda niepewnie. Czuję, że chciałby powiedzieć coś miłego, ale nie wie, czy powinien.

– Claudio?

Lekko się uśmiecha i przez chwilę wydaje mi się zupełnie niepodobny do cynicznego Claudia, którego znam. Jego oczy wyrażają coś w rodzaju niemal wzruszającej empatii.

– W zawodzie lekarza sądowego nie chodzi o talent. Wszystkiego można się nauczyć, a ty... możesz to zrobić. Chodź – mówi w końcu, ujmując mnie za rękę. – Porozmawiamy z Anceschim. Zna inspektora Calligarisa, tego, który prowadzi dochodzenie w sprawie Valenti. – Puka do drzwi Anceschiego i pokrótce wyjaśnia mu sytuację.

Anceschi, ze swoją legendarną flegmą, nie wydaje się wcale poruszony.

– Może pani spokojnie zwrócić się do Roberta Calligarisa. To mój serdeczny przyjaciel. Zadzwoń i go uprzedź. Proszę się na mnie powołać, zgoda? – Anceschi robi wrażenie, jakby chciał się szybko mnie pozbyć, więc po chwili jestem z powrotem na korytarzu. Wstrząśnięta tymi przebłyskami ludzkich zachowań, jakie udało mi się dostrzec, natychmiast zacynam błagać.

– Claudio, pójdziesz ze mną?

– Nie – odpowiada oschle.

Co za drań.

– Dlaczego nie?

– Nawet o tym nie myślę. Mam ważniejsze rzeczy do roboty.

– No wiesz!

Claudio wzdycha głośno i przewraca oczyma.

– Allevi, rozczulasz mnie, to twoja wada.

– Odrobina czułości od czasu do czasu na pewno ci nie zaszkodzi. Czyni cię niemal ludzkim.

Przytakuje bez przekonania, potem wyjmuje z neseserka z logo Hermèsa klucze do samochodu i prowadzi mnie do swojego mercedesa SLK o skórzanych siedzeniach. Z radia płynie *So Lonely Police*.

– Zaczekam w samochodzie, OK? – mówi, kiedy docieramy na miejsce. Z wyraźnie wkurzoną miną odpina pas bezpieczeństwa.

– Nie... nie chcę, żebyś był moim szoferem. Mogłam wziąć taksówkę. Potrzebuję twojego wsparcia moralnego.

– Allevi, jesteś plagą egipską. Idź i rób, co masz robić, spróbuj się pospieszyć, bo nie mam całego popołudnia do dyspozycji.

– Co za dzentelmen – mruczę, zatraskując drzwi.

– Zrozumiałem – mówi w końcu zrzędliwie, wyłączając silnik i wysiadając z auta ze znudzoną miną.

Wiem, że często jest nieznośny i opryskliwy aż do bólu. Ale na nikim w instytucie mi nie zależy tak jak na nim.

Współpracownik Calligarisa pokazuje drogę do jego gabinetu. Wprowadza nas do pokoju,

w którym panuje chaos, a w powietrzu wisi zatęchły dym.

Roberto Calligaris to niepozorny, łysiejący i cherlawy mężczyzna. Ma na sobie białą koszulę i ponury czarny krawat, a jego oblicze to typowa twarz człowieka o nieświeżym oddechu.

– Przysyła panią Giorgio Anceschi, prawda? Doktor Alice Allevi?

– We własnej osobie – odpowiadam trochę podekscytowana.

– Doktorze Conforti, pan też tutaj – zauważa po chwili, zwracając się do Claudia, który jest w tej chwili uosobieniem niecierpliwości i robi tylko potakujący gest.

– Giorgio napomknął, że chce pani ze mną porozmawiać o sprawie Valenti – mówi Calligaris, patrząc mi w oczy.

– Tak.

– Proszę, siadajcie – zachęca.

Claudio demonstracyjnie patrzy na zegarek, aby okazać, że bardzo się spieszy. Jeśli chce wyglądać na gbura, świetnie mu idzie.

Calligaris pokasłuje i posyła mi przyjazny uśmiech, po czym pyta:

– Więc, pani doktor, w czym mogę pomóc?

Przytaczam mu możliwie najdokładniej rozmowę telefoniczną Giulii. Słucha mnie z wielką uwagą.

– Była to więc bardzo krótka rozmowa – zauważa.

– Cóż, tego nie jestem pewna. Urywek, który dosłyszałam... Tak, był naprawdę krótki.

– Czy określiłaby pani ton głosu Valenti jako wzburzony?

– Powiedziałabym raczej: zdesperowany.

– Był też agresywny?

– Agresywny? Może, trochę. Powtarzam, przede wszystkim wydał mi się pełen rozpacz.

– Nie wychwyciła pani żadnego imienia, żadnego konkretnego szczegółu?

– Poza tym, że rozmawiała z kobietą, nic więcej. Gdyby było inaczej, już bym panu o tym powiedziała, nie sądzi pan?

– To naprawdę fascynujący zbieg okoliczności – komentuje, potrząsając w zakłopotaniu głową.

– W jakim sensie? – pyta Claudio nieco tylko zmienionym głosem.

– Doktorze Conforti, czy wydaje się to panu wiarygodne? Poznać przypadkowo dziewczynę, a dzień później mieć ją przed sobą w prosektorium? Wcześniej na dodatek usłyszawszy niepokojącą rozmowę telefoniczną? Sprawa Valenti pobudza wyobraźnię mitomanów i wszystkie informacje musimy traktować z wielką ostrożnością.

– Uważa mnie pan za mitomankę? – pytam osłupiała.

– Wykonuję tylko swoją pracę. Nic osobistego.

– Chodźmy stąd – włącza się nagle Claudio.

– Doktorze Conforti, nie trzeba się denerwować. Poza tym muszę zaprotokołować zeznanie.

– Nie ma problemu, Claudio – odpowiadam z prostotą, ignorując Calligarisa.

– Doktor Allevi, nie chcę pani obrazić, naprawdę. Wątpliwości są częścią mojego zawodu. Zbadam sprawę dogłębnie, zapewniam panią.

Sporządzenie protokołu nie trwa nadmiernie długo. Na koniec składam podpis na zadrukowanej kartce papieru.

– Dziękuję, pani doktor – kończy Calligaris z nieznośną uprzejmością. Chowa protokół do teczki i robi gest pożegnania, ale ja go nagle powstrzymuję.

– Doktorze Calligaris – mówię. Claudio przygląda mi się z zaciekawieniem. – Sądzę, że ten telefon był naprawdę ważny.

– Zapewne, pani doktor.

Spuszczam oczy z niewyraźnym poczuciem braku zakończenia. Claudio żegna Calligarisa niezwykle oficjalnie, po czym wyprowadza mnie z pokoju.

– Skurwysyn – komentuje pogardliwie, kiedy schodzimy po schodach. – Całe szczęście, że nie powiedziałaś mu o obrażeniach, które – jak mówisz – widziałas u tej drugiej dziewczyny.

– Może ma jednak rację? Musi być ostrożny. Kto wie, ile dostaje fałszywych sygnałów. Chciałabym pracować w policji.

– Zauważyłem.

– A ty?

– Nie, dziękuję – odpowiada niechętnie.

– Zapomniałabym. Jesteś wielkim następcą Najwyższego.

– Ha, ha!

– Claudio – mówię w końcu, ściskając jego dłoń leżącą na dźwigni zmiany biegów. – Dziękuję, że ze mną przyjechałeś. To było ważne.

Puszcza do mnie oko z uprzejmym uśmiechem, tak rzadko goszczącym na jego urodziwym obliczu.

– Nie ma za co, Allevi, nie pozwól się dołować. Jesteś małą wścibską czarownicą, ale jest w tobie pasja. A jeśli coś rzeczywiście jest potrzebne dobremu lekarzowi sądowemu, to właśnie pasja.

Czytam książkę, leżąc na kanapie. Nagle dzwoni komórka, zaskoczona widzę, że to Marco. Nie sądziłam nawet, że ma mój numer.

– Marco? Czy coś się stało?

– Nie, nie. Bądź spokojna – odpowiada czule. – Ale nie chciałbym ci przeszkadzać.

– Przestań, nie przeszkadzasz, tyle że nigdy do mnie nie dzwonisz.

– Dzisiaj mam powód. Chciałbym zaprosić cię na wystawę. Jest naprawdę ciekawa, wiesz. Będą też jakieś moje rzeczy... Masz ochotę przyjść? – pyta z dziecięcym wdziękiem chochlika. – Bardzo *last minute* to zaproszenie, Marco.

– Cóż, no tak... Wybacz, chciałem zadzwonić wcześniej, ale wypadło mi z głowy. Nie każ się prosić. Przyjdiesz czy nie?

– Oczywiście że przyjdę! – wykrzykuję, otrząsając się z potwornego zmęczenia.

Marco być może nie spodziewał się, że przyjmę zaproszenie, ale za nic na świecie nie przegapiłabym wystawy fotograficznej mojego tajemniczego braciszka.

– Mogę wziąć ze sobą Silvię? – pytam.

Silvia Barni, adwokatka. Moja koleżanka z ławki od pierwszego dnia podstawówki. Ma tak wysokie IQ, że czuję się przy niej niedołągą. A ona twierdzi, że to właśnie z powodu niezwyklej inteligencji jest sama.

– Oczywiście. Chciałbym zaprosić także Alessandrę.

Alessandra Moranti to zdolna lekarka pediatra, a poza tym moja koleżanka ze studiów, którą od zawsze w przedziwny sposób pociąga mój brat. Zdarzyło się, że współpracowali przy projekcie „doktor klaun” – Marco zaprojektował plakat kursu – i wiem, od niej oczywiście, że się polubili, ale, co było do przewidzenia, nigdy nie doszli do sedna sprawy.

– Jakoś nie potrafię sobie tego wyjaśnić – opowiadała mi Alessandra.

– Hmm... Podejrzewam, że Marco nie jest zainteresowany kobietami – wyznałam jej, ale zaprzeczyła:

– Nie, na pewno się mylisz. Mam w tych sprawach szósty zmysł. Nie jest gejem. Po prostu mu się nie spodobałam.

W takiej sytuacji nie chciałam drążyć tematu.

– Niestety, nie mam jej aktualnego numeru – kontynuuje mój brat.

– Zawiadomię ją, nie przejmuj się.

– Nie, chciałbym to zrobić osobiście.

– Przykro mi, Marco, z Alessandrą straciłeś już swoją okazję. – Nigdy oczywiście nie sądziłam, że Alessandra mogłaby go zainteresować.

– W gruncie rzeczy nie było żadnej okazji. Ale nieważne. Nie zapraszam jej dla podrywu.

– Marco, czy ty w ogóle masz dziewczynę? To naprawdę dziwne, że nic o tobie nie wiem! Marco milczy. Nie wydaje się, by przyjął z entuzjazmem mój poufały ton.

– Nie, nie mam – odpowiada po chwili i dodaje: – Alice, spieszy mi się. Dasz mi jej numer

czy nie?

Punktualnie o ósmej siedzę w towarzystwie Yukino i taksówkarza z Foggi pod domem Silvii, która – czego można się było spodziewać – nie jest jeszcze gotowa. Schodzi po dwudziestu minutach. Jestem sina z wściekłości, a Alessandra, przekonana, że zaproszenie to efekt zainteresowania Marca, dzwoniła do mnie już chyba sześć razy.

Silvia cudownie *glamour*, z miedzianymi włosami leżącymi niczym jedwabny płaszcz na przegowanej etoli od Diora, siada obok mnie, roztaczając woń *Samsary* Guerlaina.

– Alice, mogłaś się wysilić, żeby wyglądać bardziej wystrzałow. Nie wiesz, że wydarzenia artystyczne są najbardziej *chic*? Nie tak jak te ponure party lekarskie – mówi pogardliwie. – W wieczorach tych uczestniczą ci, dla których podkreślanie swojego statusu jest tym, czym dla kiboli pójdzie na stadion. To ludzie z pieniędzmi, którzy mają ochotę wyrzucić ich trochę pod pretekstem, że rozumieją sztukę. Jeśli chcesz znać moje zdanie, sztuka nie istnieje. Skończyła się w okresie renesansu.

– Ignorantka.

– Mam rację i dobrze o tym wiesz. W każdym razie nie powiem tego Marcowi, nie obawiaj się.

Zatrzymujemy się, żeby zabrać wściekłą Alessandrę, która otwarcie ignoruje Silvię. W końcu docieramy do celu.

W galerii – o wyraźnie neoklasycyzmie inspirowanej architektonicznie – roi się od pewnego gatunku ludzi intelektualno-sno-bistycznych, którzy gardzą przyziemną małościowością, ale nie potrafią się oprzeć pokusie kupowania ubrań od Armaniego. Rozprawiają o sztuce takim samym przemądrzałym tonem, jakim Ambra Mirti Della Valle mówi o programie *virtopsy*, i już choćby z tego powodu uważam, że są nieznośni. Tymczasem Yukino czuje się jak ryba w wodzie: jej narodowość przyciąga ludzi, a ona uwielbia nowe znajomości. Z kolei Silvia i Alessandra gawędzą teraz jak stare przyjaciółki – mimo że się nie cierpią – byle tylko nie wyglądać na samotne i opuszczone.

Wydaje mi się, że w tle rozpoznaję muzykę Theloniousa Monka.

Galeria podzielona jest na piętra i sektory; nie jestem szczególnie zainteresowana innymi artystami, kieruję się więc w stronę strefy zarezerwowanej dla Marca.

I oto one, wiszące na labiryntowo ustawionych ścianach słynne zdjęcia mojego brata, które widzę po raz pierwszy w życiu. Czerwony jesienny liść na asfalcie; śpiący na ławce kloszard w kowbojskim kapeluszu na siwej głowie; tęcze refleksy kropli sfotografowanej z użyciem zoomu. Wybór jest bardzo różnorodny, nie można powiedzieć, żeby Marco był monotematyczny.

A pośród fotografii ta jedna, obiektywnie najmniej ładna: mój portret, na który jestem całkowicie nieprzygotowana.

Zaskoczenie jest tak wielkie, że przyglądam się zdjęciu ostrożnie. Na zawieszanej pod nim karteczce widnieje tytuł: *Nieświadome piękno*.

To fotografia sprzed kilku lat; zdrzemnąłam się wtedy w ogrodzie, przytrzymując rękoma leżącą na piersiach książkę. Zręczna gra światła i cienia, moje wyraziste rysy, turkusowe niebo jako jedyna nuta kolorystyczna na czarno-białym obrazie.

Moje życie może się nawet posypie, ale za to mam nieprzeciętnego brata.

Kiedy tak stoję oszołomiona przed fotografią, podchodzi Marco i obejmuje mnie za ramiona. Cały ubrany jest na czarno. Boże, jaki on chudy! Jaki czarujący. I jaki niewiarygodnie wyjątkowy.

– Marco... jestem bardzo... wzruszona! Jesteś taki zdolny! A to zdjęcie... jest... Nie znajduję słów. – Głos łamie mi się z emocji. Marco gładzi mnie po policzku.

– Bałem się, że się wściekniesz. Może powinienem był poprosić cię o zgodę...

– Nie! To cudowna niespodzianka. Uczyniłeś szczególnym zupełnie banalny moment. To wielki dar. Jestem z ciebie dumna.

Jasne policzki Marca nabierają lekko różowego kolorytu.

– Cieszę się, że tu jesteś i że moje prace ci się podobają.

– Chcę mieć to zdjęcie.

– Zrobię ci kopię. I dla mamy, bardzo jej się podobało.

Kołysząc biodrami niczym łaszcząca się kotka, podchodzi do nas Alessandra.

– Marco – odzywa się tonem, który próbuje być uwodzicielski – jesteś coraz lepszy. Twoje fotografie są o wiele dojrzalsze od tych, które widziałam kilka lat temu.

– Dzięki, jesteś miła.

– Chciałabym to zdjęcie, które nazywa się *Ballayl*. Świetnie pasowałoby do mojej sypialni.

– Podaruję ci je, jeśli chcesz.

Zostawiam ich samych, nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie; resztę wieczoru spędzam, krążąc samotnie po galerii. Alessandra próbuje za wszelką cenę przyciągnąć uwagę Marca; Silvia popisuje się głębokimi refleksjami na temat conceptualności współczesnej sztuki; Yukino otoczona jest chmarą intelektualistów, z którymi rozmawia o japońskiej prozie.

Przyglądam się wszystkim zdjęciom, a potem wracam, aby sprawić sobie jeszcze raz przyjemność *Nieświadomym pięknem*.

Ta fotografia to dla mnie osobisty przełom. Widać nawet taka nieudacznica jak ja może się stać obiektem sztuki. Co prawda, żeby poznać, że to właśnie ja, trzeba się uważnie przyjrzeć, ale nie o to chodzi. Wdzięk przedstawionej sceny czyni fotografię sztuką.

Bieg moich myśli przerywa jakiś nieznamy głos.

– Pani jest tą dziewczyną ze zdjęcia? – słyszę za moimi plecami. Odwracam się gwałtownie.

Głos, raczej głęboki, trochę ochryply i bardzo podniecający, z leciutkim anglosaskim akcentem, należy do wysokiego i umięśnionego osobnika płci męskiej około trzydziestki, przypominającego mój ideał mężczyzny, który spędził właśnie długi dzień na żaglówce w słońcu i wietrze. Jasne, kręcone włosy są potargane, ale nie stwarzają wrażenia zaniedbania. Bursztynowa skóra ma zdrowy wygląd, a lekką opaleniznę podkreśla biała koszula z podwiniętymi do łokcia rękawami. Mężczyzna ma piękne dłonie, choć paznokcie są bardzo krótkie. Intensywnie błękitne oczy pod jasnymi, gęstymi brwiami, z których jedna przecięta jest małą blizną, promieniują pewnym samozadowoleniem. Nos jest wydatny, ale pasujący do reszty twarzy. Na nadgarstku widać szeroką hebanową bransoletkę sugerującą jakieś egzotyczne przygody. A w ogóle wydaje się bardzo odległy ode mnie.

– Tak – odpowiadam swobodnie.

– Była pani bardzo zrelaksowana – zauważa.

– Prawdopodobnie. Nie pamiętam. To fotografia zrobiona ukradkiem.

– Ale przecież wiadomo, że takie są najciekawsze – komentuje nieznajomy. – Lubi pani czytać? – pyta, wskazując książkę. Widzę, jak podchodzi do ramy i usiłuje odczytać tytuł. Leciutko mruży przy tym oczy.

Cholera. Nie pomyślałam o tym. Boże, proszę, niech to nie będzie jedno z tych romansideł, które czasami czytywałam. *Nieświadome piękno* nie mogło mnie przecież unieśmiertelnić podczas lektury *Niewolnicy miłości*. Niektórzy uważają mnie przecież za intelektualistkę.

– *Dlaczego mężczyźni kochają zdzirę* – czyta nieznajomy lekko ironicznym tonem.

Wybucham śmiechem.

– To była bardzo pouczająca lektura – wyjaśniam, poważniejąc.

– Wie już pani teraz, że mężczyźni istotnie wolą zdzirę? – On też się uśmiecha. Jego uśmiech jest otwarty i ufny.

– W rzeczywistości książka tylko to potwierdziła. Co pan, jako przedstawiciel tej płci, o tym myśli? – pytam, przechylając w zamyśleniu głowę.

– Że to samo dotyczy kobiet. – Trafione. Nieznajomy sączy mojito i posyła mi kolejny uśmiech. – Kto zrobił to zdjęcie? – pyta, patrząc mi przenikliwie w oczy.

– Mój brat. Część tej wystawy to jego prace. To Marco Allevi – wyjaśniam z dumą. – À propos, jestem Alice Allevi – mówię, wyciągając do niego rękę.

– Arthur Malcomess – odpowiada, podając mi dłoń.

– Malcomess? – pytam, marszcząc czoło. – No nie! Jak ten skurwysyn mój szef. – Nie było to eleganckie, wiem, ale przesadziłam z mojito i teraz czuję się lekko wyluzowana.

On unosi brwi.

– Paul Malcomess?

– Tak – odpowiadam, czując przyspieszone bicie serca. Jak mogłam być taka głupia? Tak jakby w Rzymie było nie wiadomo ilu Malcomessów. Teraz okaże się, że są krewnymi.

– Paul Malcomess, lekarz sądowy?

– Owszem – szepczę słabym głosem. Na twarzy Arthura Malcolmessa maluje się złośliwy uśmiech.

– To mój ojciec – odpowiada uprzejmie. W jego głosie nie słyhać oburzenia.

Cholera. Cholera. Cholera.

Czuję, że płonę. Instynktownie podnoszę ręce do czoła i odwołując się do resztek godności, staram się nie zalać łzami.

– Nie przejmuj się – mówi on cicho, ledwie muskając dłonią moją głowę. Gest ten zdaje się świadczyć, że jeśli tego pragnie, potrafi być grzeczny w sposób jednocześnie delikatny i męski. – W rzeczywistości ja też myślę, że jest on niezłym skurwysynem.

Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. To niedopuszczalne. Poznaje superfaceta i nie potrafię zrobić nic innego, jak tylko nazwać skurwysynem jego ojca. Który na dodatek jest Najwyższym.

Dalej stoję ze spuszczonej oczami.

Przydałoby się jakieś natchnienie. Przecież wszyscy nienawidzą swoich szefów. Zapewne Arthur Malcomess też nienawidzi swojego. Poza tym sam powiedział, że się ze mną zgadza.

Mój Boże, jakież ten Arthur jest nieprzyzwoicie atrakcyjny. Boss emanuje pewnym urokiem, nie przeczę, ale to zupełnie nie ten blask.

– Więc jesteś lekarzem sądowym – odzywa się z całkowitą naturalnością.

– Byłam – odpowiadam niepokieszona. Od jakichś dziesięciu dni mam nad głową topór i zamiast rozwiązać problem, uczyniłam go jeszcze poważniejszym.

– Obiecuję, że dochowam tajemnicy, chociaż on przyjąłby to za komplement.

Z ust wyrывa mi się jęk rozpacz.

– Czasami mówi się takie rzeczy, ale naprawdę uważam, że jest znakomitym profesjonalistą i nie jest znowu aż takim skurwysynem. Cóż, słowem, tak, trochę... Tyle, ile trzeba, wszyscy szefowie trochę są. Wiąże się to pewnie z każdym kierowniczym stanowiskiem.

Moja nieskładna przemowa zdaje się go nie interesować.

– Oczywiście – odpowiada z roztargnioną miną.

– A ty czym się zajmujesz? – pytam, zmieniając temat i próbując trochę odzyskać teren.

– Jestem dziennikarzem.

– Dla kogo pracujesz?

Kiedy niedbale wymienia tytuł czasopisma, z trudem powstrzymuję okrzyk zaskoczenia. Być może nie zdaje sobie sprawy – a może całkiem przeciwnie – że pracuje dla jednej z najlepszych gazet we Włoszech.

– A o czym konkretnie pisujesz?

– O podróżach.

– Raz przeczytałam w twoim piśmie artykuł o Buenos Aires, do tego stopnia fascynujący, że naszała mnie nagła chęć, żeby tam pojechać. I do tej pory miasto to pozostaje jednym z moich upragnionych celów.

– Buenos Aires? Jakiś rok temu?

– Tak, tak mi się zdaje.

– Ja to napisałem – mówi z prostotą pomieszana z zakłopotaniem.

– Cóż, zatem spóźnione gratulacje! Ale super! – Nie mogę się powstrzymać. – Praca, jaką każdy chciałby wykonywać; płacą ci za to, żebyś pojechał na wakacje.

– Nie jest to aż tak porywające, uwierz mi – odpowiada. Po czym, widząc moje zaskoczenie, mówi: – No cóż, to prawda, ma wiele zalet. Bawię się zamiast innych i pokazuję im, co warto zobaczyć, ale w rzeczywistości wolałbym podróżować w innych celach. – Zabrzmiało to trochę tajemniczo.

– Nie rozumiem – wyznaję.

Arthur się uśmiecha.

– Znamy się ledwie od pięciu minut i nie chciałbym cię zanudzać.

– Naprawdę mnie to interesuje – nalegam.

– Mógłby to być pretekst do następnego spotkania – odpowiada, mrugając okiem z pogodnym i swobodnym wyrazem twarzy.

Znam go od pięciu minut, a już podoba mi się na zabój. I jest synem Bossa. Nie mam wstydu.

– Masz ochotę na drinka? – pyta.

Przytakuję i kierujemy się w stronę bufetu. Kontynuujemy rozmowę i zauważam, że Arthur jest bardziej interesujący niż piękny, a to mówi wszystko.

A więc jest podróżującym fotoreporterem. Teraz wszystko rozumiem. Po pierwsze, opaleniznę pozbawioną morelowego odcienia rodem z Lampados, po drugie, egzotyczną bransoletkę, która mnie zaskoczyła i która tak bardzo pachnie Bali albo czymś w tym rodzaju,

po trzecie, ten trudny do określenia, fascynujący sposób bycia, typowy dla ludzi wykonujących bardzo interesujące zawody.

Kiedy tak gawędzimy o jego ostatniej podróży do Rio de Janeiro, przerywa nam jego przyjaciel, który okazuje się fotografem, kolegą Marca. To Piąte Koło u Wozu demonstracyjnie okazuje pośpiech, a po chwili odchodzi, zabierając ze sobą pięknego Arthura. Jestem całkowicie bezradna.

– Bardzo miło było cię poznać – mówię, z niechęcią porzucając czarującą atmosferę, jaka się między nami wytworzyła. Od dziś, kiedy zobaczę Najwyższego, za każdym razem będę się zastanawiać, co też porabia Arthur Malcomess.

– Naprawdę miło, *Alice in Wonderland* – odpowiada trochę z roztargnieniem i końcami palców posyła mi pocałunek, podążając za Piątym Kołem u Wozu i wtapiając się w tłum, a to wszystko przy akompaniamencie jakiejś przejmującej piosenki, której tytułu zupełnie nie mogę sobie przypomnieć.

Wieczór się kończy i ruszam w stronę wyjścia, czując, jak kołyszę się w moim bardzo osobistym *Wonderlandzie*. To dlatego, że flirtowałam z gościem kalibru A.M., że czuję się powabna i szykowna niczym Kiera Knightley w reklamie *Coco Mademoiselle* i w końcu, *last but not least*, ponieważ zdecydowanie przesadziłam z mojito i straciłam kontakt z ciałem, jak wtedy, kiedy wypróbowałam materac *memory foam* w centrum handlowym.

W taksówce opowiadam przyjaciółkom o swoim ostatnim występie. Silvia nie może powstrzymać się od śmiechu, Alessandra jest skonsternowana, a Yukino prosi, bym powtórzyła wszystko raz jeszcze, by mogła wychwycić niuanse znaczeniowe.

– Przestań, Yukino. Nie trzeba studiować filologii, by zrozumieć, że nazwała skurwysynem ojca tego zjawiskowego gościa, który do niej podszedł. Na dodatek ten ojciec to jej szef. – Silvia znowu parska śmiechem.

Moje towarzyszki rozprawiają o tym, jakby mnie wcale z nimi nie było. A na domiar wszystkiego rzeczywiście już ich nie słucham.

Po powrocie do domu szukam w Google’u hasła „Arthur Malcomess”

Odsyła mnie do strony czasopisma, dla którego pracuje, a tam znajduję trochę wiadomości biograficznych.

Arthur Paul Malcomess. Urodzony 30.03.1977 r. w Johannesburgu, gdzie mieszkał do osiemnastego roku życia. Uzyskał dyplom z nauk politycznych na uniwersytecie w Bolonii z maksymalną liczbą punktów. W 2004 r. obronił doktorat ze stosunków międzynarodowych i dyplomatycznych na Sorbonie w Paryżu. Rubrykę „Podróże” redaguje od 2005 r.

Znajduję również kilka jego artykułów zamieszczanych na różnych blogach, cytowanych częściowo albo w całości. Przytoczone fragmenty znakomicie oddają obraz czarującego i pełnego charyzmy człowieka, którego poznałam tego wieczoru i mimo że ogarnia mnie coraz większe zmęczenie, nie przestaję czytać, marząc, że to on wciąż do mnie przemawia.

Dobranoc, Arthurze.

Jesteś dowodem na to, że tak gorąco dyskutowane dziedziczenie genów nie zawsze jest prawdziwe. Powinnam zaproponować Anceschiemu badania na ten temat.

Jak na koniec lutego dzień jest zadziwiająco ciepły, niebo ma intensywnie błękitną barwę, a powietrze pachnie sosnowymi igłami i kawą.

Chwilami, niestety niezbyt często, zdarza mi się zapominać o wiszącym nade mną mieczu Damoklesa. Jest to właśnie jeden z tych momentów, kiedy wbrew wszystkiemu czuję się przepełniona szczęściem. Przynajmniej zanim wejdę do mojego gabinetu.

Lara siedzi przy swoim biurku i z uwagą ogląda jakieś zdjęcia, które porównuje z innymi w podręczniku entomologii. Obok niej stoi pojemniczek na mocz z czerwoną przykrywką, w którym pływają jakieś bliżej niezidentyfikowane świństwa.

– Laro, co to za obrzydlistwo masz tam w środku?

Lara podnosi swoje krótkowzroczne oczy.

– Gdzie?

– Tam, w słoiczku... – precyzuję, marszcząc nos.

– Ach! – wykrzykuje podekscytowana. – To moje larwy! Robię badanie dla Anceschiego. Wczoraj wieczorem była wizja lokalna – à propos, próbowałam się z tobą skontaktować, żeby spytać, czy chcesz pojechać, ale nie zaszczyciłaś mnie odpowiedzią. Szkoda! Był tam rozkładający się już biedak, pełen larw muchówki właśnie...

– Laro, przestań, proszę – przerywam jej. – To przerażające! Wyrzuć ten pojemnik, bo zaraz zwymiotuję.

– Nie mogę ich wyrzucić, są mi potrzebne. Przenieś się do biblioteki, jeśli rzeczywiście nie wytrzymujesz. Jeśli jednak chcesz znać prawdę, powinnaś zwalczyć pewne swoje fobie. Gdzie byłaś wczoraj wieczorem? – pyta po chwili.

– Na wystawie fotografii mojego brata. I wiesz, kogo tam poznałam?

Lara wzrusza ramionami.

– Syna Malcomessa.

– Którego z dziesięciu? Opowiadaj, chcę znać szczegóły. Wiesz, że mam słabość do Malcomessa, i gdyby miał trzydzieści lat mniej, zakochałabym się w nim na zabój.

– Najpierw zabierz te larwy z mojego pola widzenia.

– Cwaniara! – syczy Lara, przenosząc pojemnik na biurko Ambry, która wyjechała z matką do Paryża. – Teraz jesteś zadowolona?

W najlepszym punkcie opowiadania, złagodzonego pominięciem pewnych szczegółów (przede wszystkim z określenia Bossa mianem skurwysyna), przerywa mi Claudio, który wchodzi bez pukania – co jest jego znakiem firmowym – i nie zaszczycając Lary nawet spojrzeniem, pyta mnie:

– Masz ochotę na cappuccino?

Jego ton ma w sobie coś posępnego, zakłopotanego i równocześnie jowialnego.

– Oczywiście – odpowiadam nieco zaniepokojona.

– Nie przejmuj się, idź, idź – mówi Lara, zanim jeszcze zdążyłam przeprosić, że ją

zostawiam.

Biorę więc go pod rękę i idziemy do baru w pobliżu instytutu.

– Nowiny na temat Giulii Valenti? – pytam nonszalancko.

– Mam wyniki badania toksykologicznego – odpowiada ospale.

– Już? – Nie kryję zaskoczenia, bowiem tempo toksykologa, z którym współpracuje, zazwyczaj jest powolniejsze.

– Wczoraj pracowałem z sądowym toksykologiem cały dzień, aż do trzeciej w nocy. Jestem na skraju zapaści. Przy życiu trzyma mnie tylko kofeina. W każdym razie Giulia Valenti była super-naćpana.

– Mów jaśniej.

– Zażywała prawie wszystkie narkotyki obecne w obiegu. Także heroinę, choć nieczęsto.

– Co to znaczy?

Claudio miesza cukier trzcinowy, który wsypał do cappuccino, i patrzy zmęczonymi oczyma.

– Właściwie nie była uzależniona od heroiny. Zażywała ją z umiarem, może była w fazie początkowej albo po prostu umiała sobie z tym radzić. Na pewno jednak nie ograniczała się tylko do heroiny. Znaleźliśmy też ślady kokainy i haszyszu.

– Czy chodziło więc o przedawkowanie?

– Stop, Allevi. Przedawkowanie? Czy zapomniałaś już o szoku anafilaktycznym?

– Cóż, być może wzięła heroinę zmieszaną z jakąś substancją, która wywołała szok anafilaktyczny.

– Ściśle mówiąc, paracetamol. To jedyna substancja farmakologicznie aktywna i potencjalnie alergizująca, jaką znaleziono w jej krwi, a zatem istnieje wysoki stopień prawdopodobieństwa, że to on spowodował szok. Bardzo możliwe, że heroina została zmieszana z paracetamolem. Toksykolog sądowy powiedział, że coraz częściej można się z tym spotkać w heroinie kupowanej na ulicy, wydaje się, że paracetamol wzmacnia jej działanie. Krewni Giulii Valenti potwierdzili, że miała uczulenie na paracetamol, więc nigdy sama świadomie by go nie zażyła.

– No dobrze, ale dlaczego nie znaleźliśmy w jej mieszkaniu strzykawki?

– Dobre pytanie. Tak naprawdę znaleziono jedną w wieczór wizji lokalnej. Ale nie w mieszkaniu. Była w koszu na śmieci na ulicy nieopodal domu Giulii Valenti. Zrobimy badanie DNA krwi znalezionej w strzykawce oraz śladów komórek nabłonkowych na cylindrze. Wyniki dostarczą mi dziś po południu.

– To by znaczyło, że nie brała sama tamtego wieczoru. Nie miałyby czasu, żeby wyjść i wyrzucić strzykawkę.

– Tak się wydaje, ale w rzeczywistości mogła mieć wystarczająco dużo czasu. Toksykolog próbuje ocenić na podstawie metabolitów znalezionych we krwi i innych płynach fizjologicznych, o której wzięła narkotyk. Pozwoli to ustalić, ile czasu upłynęło od tej chwili do zgonu. Nie wiem, co zdoła zrobić, należy brać pod uwagę biochemiczne procesy pośmiertne, ale mógłby znaleźć coś przydatnego, choć w to wątpię. W każdym razie trzeba wszystko sprawdzić, więc cała sprawa nabiera kryminalnego charakteru. Naturalnie ku twojej radości. Także dlatego, że jedna z sąsiadek doniosła o pewnych odgłosach dochodzących z mieszkania właśnie w godzinach poprzedzających znalezienie zwłok. Valenti na pewno nie

była sama i trzeba będzie ustalić, w jakim stopniu osoba, która z nią przebywała, mogła być zamieszana w jej śmierć.

– Widzisz, że te siniaki mogły mieć znaczenie.

– To znaczy?

– Może ktoś jej je nabił podczas szarpaniny?

– Och, przypuszczać można mnóstwo rzeczy. Jednak nie zawsze jest naszym zadaniem snucie hipotez. Spróbuj się więc nauczyć, jako ogólnej zasady, że dobrze stawiać pytania, ale z poczuciem miary.

– OK, profesoro, przyjął do wiadomości. Czy mogę ci pomóc przy badaniach strzykawki?

– Tak, ale na takich jak zawsze warunkach: masz być niewidzialna. – Po czym, jakby toczył wewnętrzną walkę, mówić czy milczeć, lekko zaróżowiony na twarzy, nie patrząc mi w oczy, zmienia temat. – Posłuchaj, Alice. Muszę ci powiedzieć o czymś bardzo poważnym – wyjaśnia dramatycznym tonem, jakby miał zapowiedzieć apokalipsę.

– To znaczy? – pytam niespecjalnie przejęta. Nie może mi powiedzieć nic gorszego od tego, co już wiem ogólnie na temat mojej sytuacji zawodowej. Nie może to też być nic gorszego niż wtedy, kiedy zapomniałam zrobić ksero zezwolenia na pochowanie zwłok, a on chciał mnie za to udusić.

– Alice... Cholera, jak ci to wyjaśnić? – mówi sam do siebie, ale na głos.

– No, Claudio, nie przesadzaj. Strzelaj.

– Cóż... Wally uważa, że twoja sytuacja jest zła i jedyny sposób na jej ratowanie to powtórzenie przez ciebie roku.

Ze wstydu robię się purpurowa aż po cebulki włosów. Mimo że nazbyt dobrze znam wszystkie szczegóły tej feralnej wiadomości, zdecydowanie tracę całą pewność siebie.

– Wiedziałam już o tym – przyznaję po prostu, szperając rozpaczliwie w torbie w poszukiwaniu papierosów.

Claudio wytrzeszcza oczy.

– A mogę się łaskawie dowiedzieć, co takiego robisz, żeby ocalić tyłek?

– Ciężko pracuję.

– Tak, oczywiście, a nad czym niby? – pyta wyniośle.

– Nad różnymi projektami.

– Bądź bardziej precyzyjna – naciska.

Parskam głośno.

– Claudio, nie mogę niczego wymyślić z dnia na dzień. Potrzeba czasu, żeby projekty dojrzały. Teraz angażuję się w małe codzienne sprawy w oczekiwaniu na iluminację.

Claudio kończy cappuccino.

– Alice... Widzisz, twoja sytuacja jest naprawdę krytyczna. Tylko ty możesz coś zaradzić. Nie lekceważ ultimatum Wally, to twoja ostatnia szansa – wyjaśnia poważnym tonem. – Uznałem za słuszne cię uprzedzić – kończy szorstko, jakby chciał się usprawiedliwić.

– Cóż, dziękuję – odpowiadam oschle. Jego zainteresowanie, choć szczere, irytuje mnie. Kiedy jednak podnosi się z krzesła, przytrzymuję go za ramię. Patrzy na mnie zmieszany.

– Claudio... Sądzisz, że Wally naprawdę mnie obleje?

Nie potrzebuje czasu na odpowiedź.

– Myślę, że jest absolutnie zdolna to zrobić, ale mam nadzieję, że ocalisz, co się da. W każdym razie, nawet jeśli ci się uda zdać egzamin końcowy, zdobycie uznania Wally i Malcomessa będzie trudne, bo obydwójce szybko przywiązują się do raz wyrobionych opinii.

Jeśli poprosisz Claudia o wsparcie, on zawsze jest gotów pomóc ci w znalezieniu sznura, na którym możesz się powiesić.

– OK – szepcę z jakimś dziwnym uczuciem ucisku w brzuchu.

– Zobaczymy się później przy badaniu strzykawki. Punktualnie o piętnastej – kończy, po czym zostawia mnie samą przy stoliku w barze. Biedny, opuszczony biały fartuch pośród oszalałego tłumu ludzi, którzy być może, w przeciwieństwie do mnie, naprawdę angażują się w osiągnięcie swoich celów.

Lepiej umrzeć jak bohater, niż żyć jak tchórz.

W ciągu kolejnych dni, które chłodem i deszczem rozpoczynają marzec, zajmujemy się badaniem krwi znalezionej w strzykawce i komórek epidermicznych znalezionych na cylindrze strzykawki i wszystkich przedmiotach, które leżały obok niej w śmieciach. Chodzi o to, by porównać DNA i wykluczyć, że mogłoby chodzić o kontaminację środowiskową. Wyniki są raczej dyskusyjne. Przynajmniej moim zdaniem.

W krwi z wnętrza strzykawki, z miejsca stykania się z tłokiem, znaleziono DNA Giulii, co jest dowodem na to, że to ona jej użyła. Na powierzchni cylindra stwierdzono obecność DNA odpowiadającego dwóm profilom: osobnikowi płci męskiej oraz osobnikowi płci żeńskiej.

– Kontaminacja, to oczywiste – wyrokuje Claudio. – Żeńskie DNA zostało znalezione na leżącej obok strzykawki chusteczce przesiąkniętej łzami i śluzem z nosa. Stykały się ze sobą bardzo blisko i to DNA na pewno stamtąd pochodzi. Natomiast męskie DNA ma rzeczywiście większą wartość, bo nie znaleźliśmy przedmiotu zanieczyszczającego.

– Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej?

Claudio prycha.

– To absurdalne, że jeszcze tego wszystkiego nie wiesz, Alice.

– Ty tu jesteś, żeby mi to wszystko wytłumaczyć, mój bohaterze!

– No więc, założywszy, że DNA nie fruwa, tylko przyczepia się do przedmiotu poprzez kontakt, jest oczywiste, że muszą być dwa obiekty: zanieczyszczony i zanieczyszczający. Otóż w tym konkretnym przypadku cylinder strzykawki zawiera ślady należące oczywiście do Giulii Valenti, która wstrzyknęła sobie heroinę. Ale na powierzchni są też ślady należące do osobnika XX, to znaczy kobiety, oraz inne ślady należące do osobnika XY, to znaczy mężczyzny. Jak to DNA trafiło na strzykawkę?

– Pytasz poważnie, czy to pytanie retoryczne?

Claudio przygląda mi się zaskoczony.

– Poważnie.

– OK. Mogło tam dotrzeć na dwa sposoby: po pierwsze, od kogoś, kto dotykał strzykawki tamtego wieczoru. Po drugie, z chusteczki w śmieciach.

– Dobrze. A w przypadku DNA żeńskiego, co ci się wydaje bardziej prawdopodobne? – pyta tonem przesadnie ironicznym.

– Oczywiście ta druga możliwość. Chcę raczej zapytać o to, co by było... gdyby również ta chusteczka należała do osobniczki, która tamtego wieczoru brała razem z Giulią?

– Wybacz szczerą, Alice, ale uważam, że twój zapał w połączeniu z twoją kolosalną ignorancją w dziedzinie genetyki sądowej rodzi jakiegoś potworka. Dlaczego miałby to być osobnik płci żeńskiej, a nie ten płci męskiej, w przypadku którego wykluczam kontaminację?

Cóż. Nie mogę powiedzieć, że opieram moje przekonanie na zasłyszanej rozmowie

telefonicznej i na niespójnych słowach Doriany. Nie zrozumiałyby.

– Wybacz, Claudio, ale dlaczego nie przyznasz, że żeńskie DNA, które znaleźliśmy również na chusteczce, mogłoby należeć do kogoś, kto tamtego wieczora z nią był?

– To dość nieścisle stwierdzenie: znaleźliśmy. Znalazłem, chciałaś chyba powiedzieć. Byłaś dziś niewiarygodnie rozkojarzona. Istniało ryzyko, że wyrządźisz wiele szkód, dlatego dobrze, że mimo twojej obecności udało mi się przeprowadzić analizy.

– Ale jesteś wredny.

– Nie jestem wredny, po prostu mówię prawdę i powinnaś się nauczyć jej słuchać, bo – jak dobrze wiesz – wiele ryzykujesz.

– Zgoda. Odłóżmy chwilowo na bok moje występki. Posłuchaj mnie, jakby teraz mówiła do ciebie Ambra.

Trafiony do żywego Claudio robi pochmurną minę.

– Co tu ma do rzeczy Ambra?

– Jesteś przekonany, że to nieoszlifowany diament wśród motłochu pozostałych robiących specjalizację. A może się myłę? – pytam podstępnie, mrużąc oczy.

– Jest zdolna – przyznaje. – Ale nigdy nie robiłem między wami różnicy. W każdym razie, jeśli chcesz wiedzieć, to nie ona jest nieoszlifowanym diamentem.

Na chwilę moje serce przyspiesza. Czyżby... Czyżby chodziło o mnie?

Czyżby Claudio próbował mi powiedzieć na swój sposób, że uważa mnie za najlepszą w grupie?

– Jeśli chcesz znać prawdę, myślę, że spośród was wszystkich najzdolniejsza, najbystrzejsza i najbłyskotliwsza jest Lara. Szkoda, że taka szpetna. Wygląd szkodzi jej bardziej, niż sobie wyobrażasz.

W świetle tych słów nie interesuje mnie drażnienie tematu, szczególnie że nie mogę zaprzeczyć, iż całkowicie się z nim zgadzam. Lepiej wrócić do sedna sprawy.

– Więc posłuchaj mnie, jakbym była Larą.

– Dalej, o co ci chodzi?

– O to, że odrzucasz rozważenie pewnej możliwości.

– Alice, ślad żeński nie jest ważny dla dochodzenia, nie rozumiesz? Najprawdopodobniej to kontaminacja i nie jest prawdopodobne, żeby odpowiadał DNA kogoś, kto ćpał tamtego wieczoru z Valenti. Tym bardziej że zidentyfikowałem profil tego, kto trzymał wtedy strzykawkę, i jest to osobnik płci męskiej. Czy teraz wyraziłem się jasno? Żeńskie DNA to ślad, który nie ma żadnej szansy, by na sali sądowej uznano go za wiarygodny.

– Co nie znaczy, że jest bezużyteczny. Claudio, mówię całkiem poważnie, posłuchaj mnie. To odkrycie ma znaczenie. Nie powinieneś go ignorować. Stwierdzam to ze względu na ciebie.

Claudio potrząsa głową.

– Wcale go nie ignoruję. Zasygnalizuję obecność tego śladu, ale wyrażę też swoją opinię. Odmawiam zagłębiania się w twoje powieściowe hipotezy. Jak wtedy... – przerywa, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Jak wtedy, kiedy byłaś przekonana, że oznaki zamartwicy u pewnej kobiety są wynikiem zabójstwa, a nie zawałenia się domu. – I dalej chichocze beczelnie, wyjmując z szafki potrzebne mu reagenty.

– Nie ma się z czego śmiać – odparowuję, dotknięta do żywego. – To mój sposób

docierania do sedna.

– Nie, to twój sposób postrzegania rzeczywistości. Całkowicie poza wszelką logiką. Ale dobra gwiazda postawiła mnie na twojej drodze i mogę coś dla ciebie zrobić. Na przykład nauczyć cię rozumowania.

Nikt nie jest bardziej nieugięty od Claudia, jeśli chodzi o pracę. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie podejmuje dyskusji, a wręcz unika jej jak zarazy. A może po prostu unika dyskusji ze mną? W każdym razie ja wciąż nie jestem przekonana. Dzwonek telefonu przerywa naszą wymianę poglądów. Jedna z sekretarek zawiadamia go o przybyciu Calligarisa.

– Spadaj, Allevi, jestem zajęty.

– Nie mogę tu zostać, kiedy będziesz rozmawiał z Calligarisem?

– Dlaczego ciągle przyczepiasz się do mnie jak rzep do psiego ogona? Nie mam ci nic więcej do powiedzenia poza tym, co już wiesz.

– Rozumiem. – Wychodzę z jego gabinetu, nieświadoma, że minie sporo czasu, zanim będę mogła tu wejść ponownie z taką jak zawsze pogodą ducha.

Na korytarzu, wpadam na Calligarisa.

– Pani doktor, jak się pani czuje? – wita mnie pełnym uprzejmości tonem.

– Dobrze, dziękuję. Przyszedł pan porozmawiać z doktorem Confortim? – pytam, choć znam już odpowiedź.

– Tak, ma przedstawić mi pewne wyniki. Kiedy czekałem na spotkanie, przywitałem się też z Giorgiem. Powinienem częściej was odwiedzać, to bardzo przyjemny instytut.

Uśmiecham się przez grzeczność. Chciałabym zapytać go, czy sprawdził zasygnalizowany przeze mnie trop, ale zwycięża wstyd i zachowuję pytanie dla siebie. Żegnamy się uprzejmie.

Nie wiedząc o tym, Calligaris nasunął mi pewien pomysł. Tylko jedna osoba może rozwiązać moje wątpliwości bez arogancji i w sposób intelektualnie uczciwy – zażywny Anceschi. Jego prostota i łagodność są idealne, żeby poczuć się swobodnie, a nawet potknąć się bez żadnych znaczących konsekwencji. Skądinąd Anceschi nie trawi Claudia, co jest powszechnie wiadome. Uważa go za rozpieszczonego i zarozumiałego chłopaczka, a nie żadne *enfant prodige*.

Pukam więc do drzwi jego gabinetu. Będę bardzo uważać, by nie powiedzieć, że mam na myśli sprawę Valenti i działania Claudia. Postaram się mówić ogólnie.

Przyjmuje mnie i słucha z niezwykłym zainteresowaniem.

– Więc twierdzi pani, że doktor Conforti lekceważy pewne szczegóły.

Czerwienieję.

– Nie mówię o doktorze Confortim. Chciałam ogólnie zaspokoić ciekawość.

– Ależ, doktor Allevi, nie róbmy sobie żartów. Przecież to oczywiste, że odnosi się pani do sprawy Valenti. Wszystkie te pytania dotyczące DNA w koszu na śmieci... Niech pani lepiej przyzna, że nie aprobuję pani postępowania Claudia Confor-tiego.

Takie ujęcie sprawia, że wygląda to na jakąś osobistą urazę do Claudia, że – mówiąc wprost – donoszę, ale przecież wcale tak nie jest. Przynajmniej nie taki był mój zamiar.

– Nie. Może to mój błąd. Może przywiązuję zbyt wielką wagę do nieistotnych elementów.

– W każdym przypadku dociekliwość jest obowiązkiem. – Ze znudzoną miną podnosi słuchawkę telefonu.

– Claudio, muszę z tobą pomówić. – Wytrzeszczam oczy ze zdumienia. Wezwał go, żeby podzielić się z nim moimi podejrzeniami. A to może oznaczać straszliwą perspektywę – Claudio na pewno nie będzie z tego zadowolony.

Claudio dopiero od niedawna jest etatowym pracownikiem instytutu, wcześniej był zwykłym asystentem, który wkradł się w łaski Wally, ale w medycynie sądowej znaczył o wiele mniej, niż tego pragnął. Teraz, kiedy zrobił krok do przodu, nabrał pewnych cech charakterystycznych dla początkującego profesora uniwersytetu: przede wszystkim pychę. Myśl, że mogłabym podać w wątpliwość jego pracę, a w dodatku rozmawiać o tym z Anceschim, jest dla niego ewentualnością z gatunku science fiction.

Lub raczej była. Teraz mimo woli będzie musiał się z nią zmierzyć.

Kiedy Anceschi dzieli się z nim swoimi wątpliwościami (moimi wątpliwościami), widzę, że Claudio zwąchał pismo nosem, bo mierzy mnie bezwstydnie wzrokiem. Jego oczy, które zawsze rzucały nieco mroczne spojrzenie (co stanowi klucz do jego mefistofelicznego uroku), teraz płoną ogniem absolutnego oburzenia i pogardy.

– Zgoda, Claudio? Jesteś jeszcze bardzo młody mimo pełnionej funkcji i byłoby mi przykro widzieć, że jesteś rzucony lwom na pożarcie – kończy Anceschi, a ja zaczynam myśleć, że należałoby wziąć nogi za pas.

Nie dociera już nawet do mnie, co mówią, tak bardzo czuję się nieswojo.

W końcu Anceschi żegna nas oboje. Claudio zamyka drzwi, a ja dostrzegam lekkie drżenie jego rąk, które zazwyczaj są niewzruszone.

– Claudio... – próbuję zacząć.

– Ani słowa – odpowiada sucho, obrzucając mnie tak obrażonym spojrzeniem, że czuję się jak robak. Idzie do swojego pokoju szybkim krokiem. Przyspieszam i doganiam go. – Za pozwoleniem – mówi jednak chłodno i z uśmiechem pełnym urazy, po czym zamyka mi drzwi przed nosem.

Ośmielam się zapukać, ale nie odpowiada. W końcu, choć wiem, że byłoby lepiej poczekać, aż złość mu przejdzie, wdzieram się do jego pokoju z wyraźnym postanowieniem, że nie dam się tak łatwo spławić.

– Nie chciałam zachować się jak suka. Przysięgam. Chciałam tylko pewnych wyjaśnień, a ty tak łatwo się denerwujesz. Pomyślałam, że poproszę Anceschiego, a on zrozumiał, że chodzi o sprawę Valenti, chociaż ja nie chciałam wymieniać twojego nazwiska ani pakować cię w tarapaty. Uwierz mi, proszę.

Claudio odpowiada ze złośliwym uśmiechem.

– Ach, więc miałbym uwierzyć, że to była naiwność! Może i jesteś głupia, ale nie do tego stopnia. – Rzuca mi wściekłe spojrzenie. – Mówiłem ci tyle razy, że masz milczeć. Kiedy będziesz już miała swoje sprawy, jeśli kiedykolwiek będziesz je miała – a biorąc pod uwagę twoje postępowanie, mocno w to powątpiewam – wtedy będziesz mogła mówić, co ci się żywnie spodoba.

– Nie sądzę w każdym razie, bym powiedziała coś ważnego. Nie chciałeś mnie słuchać. O swoich wątpliwościach mogłam porozmawiać tylko z Anceschim – bronię się ze spokojem.

– Zrobiłaś z siebie zarozumiałą mądralę tylko po to, by popisać się przed Anceschim. To dla ciebie prawdziwy łut szczęścia, że ci uwierzył, bo powiedzmy sobie jasno – jesteś nieudaczną.

Słucham osłupiała i niewymownie rozczarowana.

– Dobrze wiem, że nasi zwierzchnicy, niestety, mnie nie cenią. Jednak nie sądziłam, że właśnie ty... że... – Nie jestem w stanie nawet mówić. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi – powtarza z niewyraźnym uśmiechem. – Okazałem ci przyjaźń, mówiąc o czymś, co powinienem zachować dla siebie. Ale jesteśmy też kolegami. Poza tym, choć czasem zapominasz, jestem od ciebie stopień wyżej, więc powinnaś spróbować okazać mi szacunek.

Mam ochotę się rozplakać. Cholera. Moja emocjonalność i samokontrola są na poziomie nastolatki.

– Wiesz, co ci powiem, Claudio? Domagasz się nazbyt wielu względów. Zresztą to moja wina, bo zawsze dawałam ci do zrozumienia, że jesteś dla mnie niemal bogiem. Mam naprawdę dość bycia wyłącznie ładnym posążkiem. Może nie jestem tak błyskotliwa jak ty, może jestem tylko marną istotą robiącą specjalizację, która dla medycyny sądowej ma zupełnie nikłe znaczenie, ale pozostaje mi jeszcze trochę zawodowej godności. I to nie ty mnie jej pozbawisz.

Claudio powstrzymuje się od śmiechu.

– Rozmowa z Anceschim w sensie profesjonalnym była niewłaściwa, a w sensie etycznym dużo gorzej niż niewłaściwa – oznajmia, rozpierając się w fotelu.

– Zrobiłam to w dobrej wierze – tłumaczę. – Zresztą, cokolwiek bym zrobiła, nic nie usprawiedliwia okazanej mi przez ciebie pogardy, na dodatek właśnie teraz. I dobrze wiesz, co mam na myśli.

– Naucz się myśleć, zanim coś zrobisz.

Milczę, zbyt wstrząśnięta, by cokolwiek dodać. W ten sposób moje podejrzenia znajdują potwierdzenie. On także uważa mnie za nieudacznicę. On, który zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

To na nic. Możesz marzyć, ile zechcesz, ale prędzej czy później rzeczywistość cię dopadnie.

Widząc moją konsternację, powodowany wyraźnie odruchem dobrej woli, Claudio rozpogadza się.

– No już dobrze, w końcu nic takiego się nie stało. Wiem, że więcej tego nie zrobisz.

Jeśli moja mina pozwala zrozumieć, jak się czuję, moje spojrzenie musi być przejmujące. Potrząsam głową ze smutkiem.

– Mylisz się. Dla mnie to jest poważne, naprawdę poważne. Nigdy nie czułam się takim zerem aż do chwili, kiedy ty kazałeś mi się tak poczuć.

On spuszcza głowę i nie odpowiada. Wstaje i wyciąga do mnie rękę.

– Zapomnijmy o tym.

Odrzucam gałązkę oliwną, zbyt zraniona, by odpowiedzieć mu z uśmiechem i wymazać tak po prostu to, co się stało.

– Nie mogę o tym zapomnieć – stwierdzam nie patrząc mu w twarz. – Lepiej już pójdę.

Zdziwiona zauważam, że mam wilgotne oczy. Najsmutniejsze, że Claudio nie robi nic, ale to nic, by mnie zatrzymać. A przede wszystkim nie mówi tego, czego potrzebowały moje uszy i moje złamane serce.

Nie myślałam na serio, że jesteś nieudacznicą; powiedziałem to ot, tak, pod wpływem

gniewu.

Wracam do domu metrem załamana. Kiedy czuję się tak podle, jest tylko jedno wyjście – Silvia. Nie dlatego, że potrafi mnie pocieszyć, ona działa odwrotnie: nie traktuje mnie serio i pomniejsza moje problemy. Najważniejsze, że umie być przekonująca i w końcu dochodzę do wniosku, iż to ona ma rację.

Dzwonię i tłumaczę, że bardzo pilnie muszę z nią porozmawiać. Chociaż powszechnie wiadomo, że to jędrza, jest jednak także osobą, na którą zawsze można liczyć, i dlatego punktualnie o ósmej zjawia się pod moim domem w nowiutkim jaskrawożółtym smarcie cabrio.

– No to mów, co jest? – rzuca bez zbędnych wstępów. Silvia nosi okulary i nie ma nawet najmniejszego makijażu. To dowód, że wyszła z domu tylko po to, by mnie wesprzeć. Zazwyczaj wygląda nienagannie.

– Zdecydujemy najpierw, gdzie idziemy na kolację – powstrzymuję ją.

– Do McDonalda. Jestem spłukana.

– No nie. Taka babka *glamour* jak ty nie chodzi do Maca. Chińczyk niedaleko domu twojej siostry Laury?

– Nie chodzę do chińskich restauracji, skarbie. Nie ma bardziej niecywilizowanych ludzi. A poza tym nawet ta jest dla mnie za droga.

– Aż tak źle?

– Oczywiście, po tym jak wydałam trzy czwarte pensji na czynsz i Pradę. Byłam bliska oddania tam nawet nerek. Nie mogę już jeść.

Silvia należy do osób, którym, nawet gdyby miały kosmiczne dochody, nie starczałoby do końca miesiąca. Nie ma takich pieniędzy, które byłyby w stanie zaspokoić wszystkie jej zachcianki.

– Ja stawiam.

– Nie poniżaj mnie. Wóz albo przewóz.

– Niech będzie McDonald – zgadzam się zrezygnowana. – Koniec końców to bez znaczenia. Dłużej nie wytrzymam, muszę zrzucić z siebie ten ciężar. Silvia... Tak mi źle. Mam bardzo trudną sytuację w pracy.

Silvia marszczy czoło.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz Boschi, zastępczynię mojego szefa?

– Mniej więcej. O co chodzi?

– Ona chce... chce... – Nie mogę nawet wykrztusić słowa i wybucham płaczem. Silvia, która zawsze czuje się nieswojo, kiedy ma kogoś pocieszać, jest wyraźnie zmieszana.

– Alice! Uspokój się, proszę – mówi wreszcie stanowczo.

– Nie rozumiesz. Chce...

– Chce, chce? Powiesz coś w końcu? – wybucha zniecierpliwiona.

– Chce, żebym powtarzała rok! – wyrzucam jednym tchem.

To coś, czego nie powiedziałam jeszcze nikomu, słowa, które moje usta wypowiadają po raz pierwszy. Koledzy z pracy, rodzice czy nawet Yukino, nikt nie ma pojęcia o ciąży, jaki dźwigam na barkach.

Silvia wytrzeszcza oczy.

– Naprawdę to możliwe?

– Oczywiście!

– Chodzi mi o to, czy to zgodne z przepisami?

– Ależ, Silvio, oczywiście że tak.

Wydaje się bardzo poruszona.

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby to zrobić.

Wyjmuję z torby chusteczki i głośno wycieram nos.

– Ponieważ nie jest zadowolona z mojej pracy. Mówi, że nie robię postępów, że nie wykazuję się inicjatywą, że... – Przerywam i znów zaczynam płakać. Spokój, jaki osiągnęłam w ciągu ostatnich tygodni, zdaje się bezpowrotnie stracony, kiedy słyszę swój własny głos wyjaśniający powagę problemu. – Wyzaczyła mi termin. Minęły już dwa tygodnie, a ja nie dokonałam niczego, co by mogło uratować sytuację!

Silvia, to druga, oczywiście po Claudiu, najambitniejsza osoba, jaką znam. A teraz jest w totalnym szoku. W jej oczach sytuacja byłaby mniej groźna, gdybym się przyznała, że przyłapano mnie na kradzieży szminek w sklepie Oviessa.

– Cholera, to naprawdę poważne – mruczy, kiedy składamy zamówienie przy kasie McDonalda. – Kiedy mija termin?

– Z końcem trimestru.

– A co dokładnie możesz zrobić?

– Nie wiem... cokolwiek. Na przykład napisać dobry artykuł naukowy. Zanalizować w odpowiedni sposób jakiś skomplikowany przypadek, udowodnić, że jestem w stanie bez problemu dokonać sekcji, czy coś w tym rodzaju, jak myślę... Nie to, żeby ona wyraziła się jakoś jasno. Boże, Silvio! Jeśli będę musiała powtarzać rok, pomijając wstyd... zabraknie mi pieniędzy! Mam już długi na najbliższe pięć lat! – Silvia zdaje się pogrążona w myślach. – Słyszysz mnie? – pytam.

– Zastanawiam się! – wykrzykuje poruszona. Tymczasem nadchodzą nasze zamówienia. Bierzemy tace i siadamy przy najbardziej ustronnym stole. – Nie możesz poprosić o pomoc Claudia? W gruncie rzeczy... Mógłby wciągnąć cię do jakiejś pracy, to byłoby już coś – zauważa Silvia po chwili.

Claudio?

– Silvio, muszę ci coś jeszcze powiedzieć.

Patrzy na mnie z przerażeniem.

– Nie poszłaś chyba z nim do łóżka?

– Oby – wymyka mi się, a słowom tym towarzyszy zgaszony, melancholijny uśmiech.

Silvia zdaje się uspokajać.

– Ze wszystkich głupich rzeczy, jakie mogłabyś i chciała zrobić, ta byłaby najgłupsza. Nie mogłoby się zdarzyć nic gorszego. Wyszłabyś z tego połamana.

– Owszem, zdarzyło się coś gorszego. Pokłóciłam się z nim. Zachował się naprawdę ohydnie – wyjaśniam z lekkim żalem. Pokłóciliśmy się jakieś trzy godziny temu, ale brakuje mi już trochę tego drania.

– To na pewno jakieś przejściowe nieporozumienie – odpowiada lekceważąco, nadziewając na widelec frytkę.

– Nie sądzę, było naprawdę ostro. Zranił mnie, a wie doskonale, że i tak już leżę.

– Zobaczysz, że nie odmówi ci pomocy.

– Rzecz w tym, że nigdy nie mogłabym poprosić go o pomoc. To kwestia godności.

– Jesteś po szyję w gównie i gadasz o godności? – pyta, patrząc surowo. – To skurwiel, wiemy o tym od zawsze. Ale na swój sposób cię lubi. Poszukaj kompromisu i pozwól sobie pomóc.

– Wolę powtórzyć rok – odpieram stanowczo. Naprawdę tak uważam, choć przeraża mnie sama myśl o tym.

– Musimy więc znaleźć inne rozwiązanie.

Wyłącza się i milczymy aż do chwili, gdy podejmuje z entuzjazmem.

– Poproś o pomoc twojego szefa, tego sympatycznego, trochę przy kości... Wyjaśnij mu sytuację, powiedz, że chcesz się zrehabilitować i jesteś gotowa na wszystko. Mógłby znaleźć ci jakąś okazję, a także wstawić się za tobą.

– Boschi mówi, że on też nie jest zadowolony.

– Ale jak mogłaś doprowadzić do takiej sytuacji? – wybucha nagle, jakby była bardziej zirytowana niż zatroskana.

– Nie wiem. Nie wiedziałam, że jest aż tak źle – tłumaczę. Rzeczywiście tak myślę i może dlatego wszystko zdaje mi się jeszcze bardziej tragiczne.

Wracam do domu na tyle późno, że zastaję salon pusty, bez Yukino przyklejonej do telewizora. Nie chce mi się spać, więc korzystam i zajmuję jej tron.

RAI nadaje powtórkę programu popołudniowego, w którym jakaś lafirynda przepytuje Biancę Valenti, a ja wsłuchuję się w jej słowa z wielką uwagą.

Lafirynda o skrzeczącym głosie i rudych włosach w początkowej fazie menopauzy: Bianco, jako starsza z sióstr osieroconych w dzieciństwie, była pani dla Giulii także trochę matką. Czy zechce nam pani coś o niej opowiedzieć?

Bianca Valenti: Giulia miała osobowość twórczą i otwartą. Bardzo trudno było ją skłonić do działania wymagającego koncentracji i równowagi. Pozornie była dziewczyną bardzo wesołą i żywiołową, ale tylko na zewnątrz. W rzeczywistości ten, kto znał ją lepiej, wiedział też o odmętach, w jakich się pogrążała. Czuła wielką potrzebę silnych emocji i była dużo bardziej posępna i melancholijna, niż mogło się zdawać.

L.O.S.G.I.R.W.W.P.F.M.: Czy sądzi pani, że wynikało to z jej sieroctwa?

B.V.: Każdy reaguje na nieszczęścia na swój sposób. Ona była słabsza i nie wykluczam, że nasza sytuacja rodzinna mogła mieć na nią wpływ. Choć w rzeczywistości nigdy nie brakowało jej uczucia. A właściwie nigdy nam go nie brakowało. Wujostwo traktowali nas jak własne córki, nigdy nie robili różnicy między nami i moim kuzynem Jacopem.

L.O.S.G.I.R.W.W.P.F.M.: To kolejny aspekt, który chciałabym poruszyć. Po początkowej ciszy prasowej mecenas De Andreis prowadzi teraz prawdziwą osobistą batalię.

B.V.: Żaden brat nie kochał tak bardzo siostry, jak Jacopo Giulię. Możliwe, że gniew, to poczucie frustracji, które dotyka nas wszystkich, w jego przypadku zamienia się w rodzaj obsesji.

L.O.S.G.I.R.W.W.P.F.M.: Pani nie zgadza się z mecenasem?

B.V.: Ależ oczywiście, że się zgadzam. Nie pochwalam tylko jego zachowania. Istnieją tu elementy, z którymi się nie zgadzam. Przede wszystkim dobrze wiem, że w ostatnim czasie Giulia utrzymywała niebezpieczne kontakty.

L.O.S.G.I.R.W.W.P.F.M.: W jakim sensie?

B.V.: Niebezpieczne, jak wszystkie historie związane z ludźmi znudzonymi, bogatymi i przewrotnymi. Na ogół nikomu nie wychodzą na dobre. Tak, uważam, że znajomości Giulii mają coś wspólnego z jej śmiercią.

L.O.S.G.I.R.W.W.P.F.M.: Zna pani tych ludzi?

B.V.: Oczywiście.

L.O.S.G.I.R.W.W.P.F.M.: Czy podała pani ich nazwiska śledczym?

B.V.: Oczywiście.

L.O.S.G.I.R.W.W.P.F.M.: Jakie wspomnienie Giulii pani zachowała?

B.V.: Wspomnienie wiecznej dziewczynki.

Bianca zachowuje się nienagannie i odpowiada z układnością osoby dobrze wychowanej. Ledwo zamaskowane worki pod oczami i niezdrowa bladość pokazują, że cierpi, ale jej głos nie zdradza nawet śladu niepewności.

Po południu jestem pogrążona w lekturze *Men 's Health*, kiedy dzwoni moja komórka, a na wyświetlaczu pojawia się nieznany mi numer.

– Alice? – Nieznajomy wymówił moje imię w błędny sposób. Z angielska: *Elis*, jak *Alice in Wonderland*.

Nie mogę uwierzyć. Najbardziej przenikliwa część mnie uprzytomniła sobie właśnie, że po drugiej stronie jest Arthur Malcomess. Od wystawy Marca upłynęło mniej więcej dziesięć dni. Usłyszeć jego głos to przyjemność i zaskoczenie.

– Arthur?

– Dzień dobry – odzywa się pewnym siebie głosem, zupełnie niezdziwiony, że rozpoznałam go natychmiast i bez wahania.

– Dzień dobry. – Jestem w końcu w stanie odpowiedzieć.

– Nie przeszkadzam?

Zawieszona lekko między podnieceniem a przerażeniem, zaprzeczam z nadmierną wręcz gorliwością.

– Dostałem numer od twojego brata. Kupiłem *Nieświadome piękno* i uznałem za stosowne powiadomić cię o tym osobiście.

– Naprawdę?

– Chciałbym powiesić je w redakcji. Nie masz nic przeciwko temu?

– Chyba nie. Ostatecznie dopieszcza to najbardziej egocentryczną część mojej osoby.

– Tym lepiej.

– Skąd tym razem przyjeżdżasz?

– Z Haiti.

– Pięknie! Polinezja... Dziwię się, że wróciłeś.

– Haiti leży na Morzu Karaibskim – mówi i wyobrażam sobie, jak przez grzeczność powstrzymuje głośny śmiech. – W Polinezji jest Tahiti.

– Aha.

– Wiele osób je myli, nie jesteś jedyna – dodaje, jakby chciał mnie usprawiedliwić. Zanim zdążę odpowiedzieć i jeszcze raz się zbłąźnić, Arthur zaskakuje mnie propozycją. – Miło by mi było cię zobaczyć. Dziś wieczorem?

– Dziś wieczorem... Tak, dobrze.

– Przyjadę po ciebie, jeśli wytłumaczysz mi, gdzie mieszkasz.

Jestem szczęśliwsza niż wtedy, kiedy na eBay-u udało mi się kupić chustkę Hermesa 90 x 90 cm za siedemdziesiąt euro.

Jaki miły jest ten Arthur Malcomess. Ma tylko jedną wadę: ba-rd-zo ni-eb-ez-pi-ec-zn-e pochodzenie.

Ale ktoś taki jak on może sobie pozwolić na bycie synem kogokolwiek.

Kiedy stoję przed szafą, zaaferowana kwestią wyboru najbardziej stosownej na wieczór

kreacji, że skupienia wyrywa mnie telefon Marca.

– Alice, sprzedałem *Nieświadome piękno* takiemu jednemu, który powiedział, że cię zna i chce cię zapytać o zgodę. Poprosił o twój numer, więc mu go dałem. Źle zrobiłem?

– Wprost przeciwnie! Właśnie do mnie zadzwonił. Zobaczymy, czy dzięki twojej wystawie nie nastąpi w końcu przełom w moim życiu uczuciowym.

Marco śmieje się.

– Ta wystawa przyniosła szczęście – komentuje.

– Ty też kogoś poderwałeś?

– Alice, ale ty jesteś trywialna – odpowiada z wyższością. – W każdym razie on wydał mi się interesujący.

„On” brzmi odrobinę dwuznacznie, a może to ja jestem trochę złośliwa.

– Kto?

– No ten Anglik, który kupił zdjęcie, głupia. Naprawdę interesujący.

– Zobaczymy. Dzięki za wszystko, Marco.

– Nie ma za co.

Za pięć dziewiąta stoję przed domem, nieruchoma jak kameleon, czując typową w takich sytuacjach kolkę w podbrzuszu. Trochę spięta, niezbyt pewna siebie, ale podniecona. Czuję się dokładnie tak jak przed egzaminem.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi tym swoim nieco zachrypniętym głosem, wyrywając mnie z zamyślenia.

– Dziesięć minut to nie jest prawdziwe spóźnienie – odpowiadam pojednawczo.

Jest zaspany, jakby wyszedł z domu w ostatniej chwili. Kiedy uśmiecha się do mnie w sposób jednocześnie roztargniony i zmysłowy, przeszywa mnie uczucie nieodwracalności.

– Jakieś życzenia co do kolacji? – pyta. Pewnie dlatego, że jego językiem ojczystym jest angielski, słownictwo określiłabym jako skromną do minimum.

– Chciałabym pójść do restauracji indyjskiej... Tej na placu Trilussa, do której wchodzi się po schodach, tej z ogrodem. Chociaż teraz ogród jest pewnie zamknięty.

– No chyba. Teraz są zaledwie cztery stopnie. A więc indyjska. Hm...

– Nie jesteś przekonany?

– Po indyjsku jada się w Indiach.

– Wnioskuje z tego, że pozwoliłbyś upaść wszystkim restauracjom etnicznym.

– Nie. Rozumiem ciekawość. Ale jesteśmy w Rzymie. Zjedźmy więc po rzymsku. Za to jutro wieczorem zabiorę cię do restauracji indyjskiej, żeby wynagrodzić ci tę apodyktyczność.

Propozycja jest nęcąca, a wizja spędzenia z nim dwóch kolejnych wieczorów kusi mnie jeszcze bardziej.

Wskazuje samochód i otwiera mi drzwi. Arthur ma rzucającego się w oczy dżipa, w którym czuje się charakterystyczny zapach nowości i w którym słucha się wyłącznie amerykańskiej muzyki z lat siedemdziesiątych. Kiedy parkuje w pobliżu Teatro Marcello, wysiadam i czuję się tak oszołomiona, jakbym właśnie zeszła z kolejki górskiej w wesołym miasteczku.

Skuleni z zimna przechodzimy przez ulicę. Przed nami wyrasta monumentalna bryła Vittoriale.

– Nigdy nie rozumiałam, czym są te niby domy na pozostałościach teatru – mówię, wskazując spojrzeniem okna w górnej części teatru, które jako dziewczynka myślałam z Koloseum.

– W średniowieczu zamienili go na fortecę Pierleonich, a potem, w szesnastym wieku, jakiś architekt przerobił to na rezydencję pewnej szlacheckiej rodziny. Nie pytaj jednak której, bo nie pamiętam.

Patrzę na niego zdumiona, ale on idzie dalej z rękami w kieszeniach, a jego oddech zamienia się na mrozie w chmurkę.

– Arthurze, skąd właściwie pochodzisz?

– Mój ojciec jest londyńczykiem, ale to wiesz. Moja matka pochodzi z Afryki Południowej i mieszkałam z nią w Johannesburgu aż do ukończenia szkoły średniej.

– A potem?

– Skończyłem studia w Bolonii, trzy lata mieszkałem w Paryżu, a potem znalazłem pracę w Rzymie.

– Dlaczego w Rzymie?

– Ponieważ nie ma na świecie bardziej porywającego miasta. A poza tym pracę, którą mi zaproponowano, uważałem za stymulującą.

– Mówisz w czasie przeszłym.

– Bo rzeczywiście chodzi o przeszłość.

Panuje między nami lekkie skrępowanie. A raczej jest to coś w rodzaju niepokoju, jak wypadniesz, ogarniającego cię wtedy, kiedy chciałabyś zaprezentować się jako osoba błyskotliwa i inteligentna, ale wiesz, że dla uzyskania tego efektu będziesz musiała się mocno wysilić, bo na pewno nie przyjdzie ci to w naturalny sposób. Kiedy jednak chwilami napotykam jego zadziwiająco świetliste spojrzenie, odnoszę wrażenie, jakby działa się coś naprawdę magicznego.

Docieramy do dzielnicy żydowskiej i wchodzimy do typowej rzymskiej osterii w stylu lat pięćdziesiątych, w której panuje ciepła, gościnna atmosfera.

Kelner prowadzi nas do ustronnego stolika i wykazuje się wyczuciem, zapalając świecę. Po ścianie widać się warkocze czosnku, a mnie wszystko wydaje się takie niecodzienne. Pomysł, żeby mnie tu przyprowadzić, jest naprawdę oryginalny.

Nie czekamy zbyt długo. Dostajemy menu, a ja udaję, że wczytuję się w listę dań, ale to od niego nie mogę oderwać wzroku. Od jego niezwykłych rysów twarzy, mocnego podbródka, ust pięknych jak u kobiety, zamyślonych oczu, których kolor przypomina mi błękit pięknego czerwcowego dnia.

– To nie w twoim stylu. Natychmiast to zrozumiałem. Właśnie dlatego cię tu zabrałem.

Wytrzeszczam oczy.

– Śmiało posunięcie – zauważam.

– Tak, w stronę nowego doświadczenia. Pomysł o paradoksach: rzymianka, która nie zna i nie docenia miejsca takiego jak to. Tutaj oddycha się rzymskim powietrzem. Ale dla kogoś, kto go nie zna, jest bardziej egzotyczne od restauracji tajskiej.

Na dania, które zamawiamy, nie musimy czekać. I są przepyszne. Delikatne, bogate w smaku, oleiste. Jest to doświadczenie, które odsyła mnie do czasów, kiedy żyła jeszcze moja babcia i spędzałam weekendy u rodziców w Sacrofano. Kolacja wprowadza mnie

w dobry nastrój, a czerwone wino tylko odrobinę narusza moją trzeźwość. Czuję się upojona towarzystwem, pełna entuzjazmu i wszystko jawi mi się w optymistycznych barwach.

Wychodzimy z lokalu po wypiciu na zakończenie kieliszka amaro i potem długo spacerujemy. Przechodzimy przez Ponte Fabricio, Isola Tiberina i docieramy na Zatybrze. Minuty i godziny mijają niepostrzeżenie. Nie odczuwam nawet zimna, podobnie zresztą jak on. Zabawiamy się, patrząc na linoskoczków i połykaczy ognia – jutro zaczyna się karnawał – roześmiane dziewczęta w maskach, światła odbijające się w Tybrze.

Wypytyuję o jego ostatnie podróże. Opowiada mi o Haiti, potem o Tahiti – nie bez odrobiny ironii – i o innych podróżach, a ja wciąż myślę, że mogłabym tak go słuchać bez końca.

À propos Haiti wyjaśnia mi:

– Wieki temu byłem tam na wakacjach z rodzicami. Ciągłe się kłócili. I rzeczywiście wkrótce potem się rozwiedli.

– Wiem, że szef miał bardzo burzliwe życie prywatne.

– Był i jest wielkim dziwkarzem.

– Czy to prawda, że miał pięć żon i dziesięcioro dzieci?

Arthur uśmiecha się.

– Nie przesadzajmy. Miał trzy: jedna Angielka jak on, jedna z Afryki Południowej, czyli moja matka, natomiast trzecia jest Włoszką. Czworo dzieci z pierwszego małżeństwa, jedno – czyli ja – z drugiego i córka z trzeciego. Teraz jest z jakąś trzydziestolatką, która stanęła w szranki, żeby zostać czwartą żoną. Z żadnym z nas nie utrzymuje stosunków.

– Cięży ci to?

– Nie – odpowiada sucho.

– To człowiek o bardzo silnej osobowości – stwierdzam.

– I jak wszyscy ludzie o silnej osobowości ma zły charakter.

– Dlaczego się nie widujecie?

– Czy ja wiem – odpowiada z wahaniem. – Zawsze miał mało czasu dla dzieci, a nas było zbyt wiele, do tego rozrzuconych po świecie.

– Miałeś z tym problem?

– Nie – odpowiedź znów jest oschła. – Miałem dużo wolności i wszystko to, czego może pragnąć chłopiec.

Arthur wydaje mi się całkiem inny niż ja. Pochodzimy ze światów tak od siebie odległych, że mogą zdawać się równoległe i w ogóle nie mieć wspólnych punktów. Jako dzieci nie oglądaliśmy tych samych kreskówek. Nie mówimy tym samym językiem ojczystym. Nie mamy podobnych zainteresowań, a może nawet celów. A jednak rodzi się między nami coś przypominającego oczarowanie.

Z jakiegoś radia samochodowego dochodzą dźwięki *Seven Seas of Rhye* Queen. Jest prawie północ, zimne nocne powietrze szczypie mnie w policzki, moja ręka szuka dłoni Arthura. On ją ściska; jego ręka jest ciepła, trochę szorstka, jak to często zdarza się w zimie męskim dłoniom.

Arthur pociąga mnie w jakiś niewytłumaczalny sposób i nie wiem, na ile wynika to z jego urody i kosmopolitycznego uroku, a na ile z nieco ekscentrycznej osobowości. W jego obecności wiele myśli mi umyka, a wrażenia mieszają się i płaczą. Istnieje poważne ryzyko, że się w nim zakocham.

Nazajutrz, zamyślona, z głową w chmurach, nie jestem w stanie zdziałać w pracy nic konkretnego, tym bardziej że około dwunastej rozlega się dzwonek telefonu. Odbiera Ambra, unosi brwi i z lekkim, zaczepnym zdziwieniem oznajmia:

– Do ciebie.

Natychmiast chwytam słuchawkę.

– Alice? Tu Bianca Valenti.

– Dzień dobry – odpowiadam neutralnym tonem, czując, że jestem obserwowana przez królową.

– Chciałabym zadać pani kilka pytań, ale lepiej, żebyśmy się spotkały osobiście. O ile wciąż pozostaje pani do dyspozycji.

– Tak, tak. Oczywiście. Proszę powiedzieć gdzie.

– Na razie przeprowadziłam się do domu mojej ciotki Olgi; potrzebuje pocieszenia i staram się, by jak najrzadziej była sama. Jeśli to pani odpowiada, mogłaby pani napić się z nami gorącej czekolady.

Zgadzam się, nie myśląc ani o tym, że trafię do domu zupełnie obcych mi ludzi, ani o zakłopotaniu, jakie będę czuła. Historia Giulii przyciąga mnie jak magnes i nie potrafię się temu oprzeć.

Punktualnie o piątej, w kurtce od Chloe – prawdopodobnie najbardziej wystrzałowym ciuchu, jaki posiadam, zakupionym pewnego szalonego popołudnia pod deprawującym wpływem Silvii – stoję przed numerem dziewięć na Piazza Ungheria. To kamienica zapierająca swym pięknem dech w piersiach. Na domofonie nie znajduję nazwiska De Andreis, więc dzwonię do Bianki na numer komórki, który zostawiła mi dziś rano.

– Proszę wybaczyć, zapomniałam powiedzieć, że na domofonie nie ma naszego nazwiska. Już otwieram. Proszę wjechać na ostatnie piętro.

Wsiadam do windy, która powoli zawozi mnie na piąte piętro. Po wyjściu z kabiny, na podeście ozdobionym bujnymi roślinami godnymi cieplarni, dostrzegam jedyne drzwi. Zbliżam koniec palca do połączanego dzwonka, ale nim go dotknę, drzwi otwiera Bianca, która wita mnie pięknym uśmiechem.

– Czy wybaczy mi pani moją natarczywość? – pyta.

Trudno uwierzyć, że naprawdę nie wie, iż nie sposób czegokolwiek jej nie wybaczyć. Ma taką samą charyzmę, jaką emanowała Giulia. Może nawet w większym stopniu.

– Oczywiście. Poza tym miło mi, że mogę być pani pomocna.

– Proszę, niech pani wejdzie. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, mogłybyśmy mówić sobie po imieniu. Wydaje mi się, że jesteśmy rówieśniczkami, byłoby to o wiele bardziej naturalne.

– Tak, bardzo chętnie.

Drzwi się zamykają i znajduję się w mieszkaniu, w którym wychowała się Giulia. Robi to

na mnie dziwne wrażenie, czuję się trochę nieswojo.

Podaję Biance kurtkę i przyglądam się przedpokojowi. Ściany pokryte są tapetą w pionowe paski kremowe i ciemnozielone, a stare mahoniowe meble godne są muzeum. Wiszą tam czarno-białe fotografie pani Olgi z mężem. Zdjęcia ze ślubu, z wakacji, zdjęcia z ważnymi osobistościami politycznymi epoki po sześćdziesiątym ósmym. Poza tym portrety Jacopa, Giulii i Bianki Valenti.

– Ciocia Olga odpoczywa. Sądzę, że w tej chwili przesadza ze środkami nasennymi, ale może to lepiej. Kiedy nie śpi, wciąż płacze.

– Sądzę, że to normalne.

– Ciocia uwielbiała Giulię. Mieszkały razem aż do zeszłego roku, kiedy Giulia postanowiła zamieszkać z Sofią. Ciotka miała opory, by ją puścić, z wielu powodów, ale w końcu wszyscy uznaliśmy, że warto, aby Giulia wykazała się odpowiedzialnością. Wolałabym, żebyśmy poszły do mojego dawnego pokoju.

Tędy.

Idę więc za nią przez wielkie mieszkanie, w którym byłabym w stanie się zgubić. Jednak tym, co mnie najbardziej uderza, nie jest jego rozmiar, ale fakt, że jest tak ciemno. Zapada zmrok, a jednak Bianca nie zapala świateł. Oddychanie powietrzem tego domu, który mimo całodobowej obsługi – minęłam już dwie azjatyckie służące w mundurkach – pachnie zamknięciem, powoduje, że czuję się nie na miejscu.

Bianca otwiera drzwi swojego pokoju, odpowiadającego w mojej wyobraźni pokojowi księżniczki z bajki. Wielkie łóżko z baldachimem, zabytkowa toaleta, podłużne barokowe lustro, zamknięty kufer, wielki wazon z kwiatami. Bianca wyłącza stary odtwarzacz CD, przerywając *Incontro* Gucciniego.

– Lubisz Gucciniego? – pytam nieco oszołomiona. Jest to dość niszowe upodobanie.

– Bardzo – odpowiada, kiwając głową. – Ty też?

– To muzyka moich czasów licealnych. Słuchał tego mój brat, który z kolei poznał Gucciniego dzięki ojcu. W końcu ja też się w nim zakochałam.

Bianca uśmiecha się serdecznie.

– Giulia też go lubiła. – Zauważam teraz na jej przegubie cenną bransoletkę Giulii. – Zostawiła tu wiele swoich rzeczy.

Między innymi te stare płyty. Taki przeskok w przeszłość napełnia mnie czułością, ale też smutkiem.

Siadam na foteliku pokrytym dziewiętnastowiecznym obiciem.

– Mnie też to się zdarza, kiedy wracam do domu rodziców w Sacrofano. Mam wtedy sprzeczne uczucia.

Bianca uśmiecha się i potakuje.

– Czy mogę ci coś zaproponować? Herbatę, czekoladę, kawę?

– Tylko szklanek wody, dziękuję.

Bianca podnosi słuchawkę telefonu w kształcie serca, bardzo w stylu lat dziewięćdziesiątych i prosi jedną ze służących o przyniesienie wody dla mnie, a dla niej herbaty.

W tym momencie robi się ciemno, a potem kilka błyskawic rozświetla nagle pokój.

– Postaram się nie zająć ci zbyt wiele czasu, Alice. Byłaś dla mnie taka miła... ale nie chcę

cię wykorzystywać.

– Nie ma problemu, naprawdę. Mów.

Bianca wzdycha.

– Calligaris wyjaśnił nam, że na strzykawce, którą Giulia wstrzyknęła sobie narkotyk, znaleziono jeszcze inne ślady, mogące należeć do kogoś, kto był z nią tamtego wieczoru. Ślady męskie, a także kobiece. Dodał też jednak, że ślady żeńskie mogą nie mieć żadnego znaczenia, mówił coś o kontaminacji... Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam, co miał na myśli, dlatego chciałabym usłyszeć twoją opinię.

Widząc moje wyraźne zakłopotanie, Bianca dodaje:

– Z ustaleń policji wynika, że tamtego wieczoru, kiedy Giulia wstrzyknęła sobie dawkę heroiny, nie była sama. Niektórzy sąsiedzi zeznali, że słyszeli jakieś głosy, a właściwie wrzaski dochodzące z jej mieszkania w godzinach poprzedzających odnalezienie zwłok. Ale nikt nie widział, co się tam dzieje. Zatem teraz śledczy przypuszczają, że ten, kto z nią był, uciekł, a ślady mogą być pozostawione przez niego. Czy tak?

– Wyjaśnię ci. Ślad męski pozostawił bez wątpienia ktoś, kto tamtego wieczoru był z Giulią. Nie da się inaczej wyjaśnić faktu, że DNA tego nieznanego męskiego osobnika znalazło się na strzykawce. Zwłaszcza, że w pojemniku na śmieci nie było innych śladów. Nie dotyczy to jednak śladu żeńskiego DNA, którego znaczenie jest bardziej niejasne i mniej pewne.

– Rzecz w tym, że świadkowie słyszeli zarówno głosy męskie, jak i kobiece. Więc jedne i drugie ślady powinny mieć sens. Czyż nie tak? – nalega Bianca.

– Bianco, nie należę do zespołu śledczego. Mogę udzielić ci tylko informacji o charakterze technicznym, z dziedziny medycyny sądowej. – Chciałabym dodać, że nie powinnam robić nawet tego, bo zobowiązana jestem do zachowania tajemnicy służbowej, skoro jednak wiele z tych informacji Bianca już zna, jaką niby tajemnicę zdradzam?

– W każdym razie nie jest powiedziane, że żeńskie DNA należy do kogoś obecnego tamtego wieczoru. Należy zaś na pewno do kogoś, kto wyrzucił chusteczkę nasączoną śluzem i łzami. Chusteczka ta leżała obok strzykawki. To wszystko, co wiem, przynajmniej do tej pory – tłumaczę.

Bianca pozostaje kilka sekund pogrążona w myślach.

– Alice, jeszcze jedno pytanie. Giulia zmarła z powodu szoku anafilaktycznego, teraz już to wiemy, Calligaris wszystko nam wyjaśnił. Czy miała czas, żeby wyrzucić tę strzykawkę do pojemnika?

– Jeżeli reakcja anafilaktyczna nie nastąpiła natychmiast, Giulia mogła mieć czas na wyrzucenie wszystkiego do pojemnika. Oczywiście, to możliwe.

– To znaczy, że nikt w tej sprawie nie jest winien?

– Widzę dwie możliwości: albo śmierć nastąpiła natychmiast, a ten, kto z nią był, siedział z założonymi rękami, a potem wyrzucił cały materiał do pojemnika; albo, w przypadku opóźnionej reakcji, Giulia umarła sama po uprzednim wyrzuceniu strzykawki.

– Jesteś lekarzem, prawda? Z medycznego punktu widzenia co według ciebie jest bardziej prawdopodobne?

– Calligaris nic wam na ten temat nie powiedział? – pytam ostrożnie.

– Powiedział, że sędzia sformułował kilka bardzo szczegółowych pytań pod adresem

lekarza sądowego odpowiedzialnego za dochodzenie, chciał bowiem zrozumieć, jak długo ten paracetamol był we krwi Giulii. Poza tym mówił bardzo ogólnikowo. W istocie wysunął to samo co ty przypuszczenie, ale nie skłaniał się ku żadnej z tych hipotez. Właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłam.

– Bardzo trudno jest ocenić prawdopodobieństwo. Ze statystycznego punktu widzenia obie hipotezy mogą być słuszne, to samo można powiedzieć na płaszczyźnie naukowej. Zidentyfikowanie metabolitów paracetamolu mogło być w istocie orientacyjne, gdyż nie przypuszczam, by udało się precyzyjnie określić zakres czasowy, jako że substancje we krwi podlegają modyfikacji również po śmierci, a nie sądzę, by zdołano ustalić chronologię. W każdym razie Giulia miewała już w przeszłości takie wstrząsy, prawda? W jakich okolicznościach dochodziło do nich w tamtych przypadkach?

– Naprawdę nie pamiętam. W każdym razie inspektor Calligaris, korzystając z naszych wskazówek, przesłuchuje wszystkich przyjaciół Giulii po kolei, skupiając się na tych, którzy mogliby zażywać substancje odurzające. Na tych osobach, które mogły być z nią tamtego wieczoru i nie przyjść jej z pomocą. Jest to przypadek pozornie banalny, ale w gruncie rzeczy dość zawikłany; tak powiedział Calligaris.

Cóż, zgadzam się ze znakomitym Calligarisem. Granica między przypadkową śmiercią a zabójstwem jest wyjątkowo cienka i w tej chwili sama nie wiem, po której stronie.

Dalej wymieniamy opinie na temat tego zdarzenia. Bianca wciąż odwołuje się do wspomnień o Giulii i wkrótce wydaje mi się, jakbym znała ją coraz lepiej, choć jednocześnie jej obraz staje się coraz bardziej cząstkowy. Odnoszę wrażenie, że Bianca czuje nieodpartą potrzebę mówienia o siostrze, i sądzę, że właściwie to normalne. Poza tym ona sama wyjaśnia mi, że strata Giulii wywołuje w niej uczucie całkowitego osamotnienia.

– To była moja ostatnia bliska krewna. To prawda, ciotka, Jacopo, Dorigana, przyjaciele, to wszystko osoby, na których bardzo mi zależy. Są moją rodziną, ale... ale Giulia... To było coś innego – mówi, ciężko wzdychając.

Rzeczywiście, jest jedyną żyjącą przedstawicielką rodziny Valenti i wyobrażam sobie, że musi to robić na niej pewne wrażenie. Pragnie wierzyć, że mówienie o siostrze jest swego rodzaju sposobem, na zachowanie jej nadal przy życiu. Zawsze tak się myśli. Gdyby to od niej zależało, mogłybyśmy rozmawiać jeszcze długo, ale ja nagle orientuję się, że jest prawie ósma i że moja wizyta trwała zdecydowanie za długo.

– Masz rację – przyznaje, zerknąwszy na cartiera z czerwonym paskiem na przegubie ręki. – Jest naprawdę późno. Nie wiem, jak ci dziękować, Alice. Masz do mnie tyle cierpliwości.

Prawda jest taka, że z natury wcale nie jestem cierpliwa. Ale lubię ją i nic mnie to nie kosztuje.

Odprowadza mnie do wyjścia przez salon o ścianach w kolorze karmazynu, który zdaje się scenerią powieści z okresu Regencji. Jej bohaterami są: pani De Andreis, siedząca w fotelu wybitym białą skórą, wyprostowana i ubrana na czarno, z włosami spiętymi jak zwykle w kok, z którego nie wysuwa się nawet jeden włos; syn Jacopo, stojący z łokciem opartym o blat kominka, który skupia na mnie swoje znudzone i dumne spojrzenie. Dziewczyna, która wtedy wydawała mi się podejrzana, siedzi obok pani De Andreis i ma teraz na sobie różową garsonkę Chanel, która, prawdę mówiąc, choć bardzo szykowna, postarza ją o co najmniej dziesięć lat.

Wszyscy troje przyglądają mi się z pewnym zaciekawieniem. Szukam pomocy u Bianki, która wykazując się niezwykle szybkim refleksem, wyjaśnia ciotce i kuzynowi, że zaprosiła mnie na herbatę, by podziękować za moją uprzejmość przy okazji zwrotu biżuterii Giulii.

– Ach – to suchy komentarz Olgi De Andreis. – Myślałam, że nie ma cię w domu – dodaje, marszcząc i tak już poprzecinane fałdami czoło. Wygląda zdecydowanie staro jak na swój wiek.

– Tak, zagadałyśmy się – mówi Bianca i wcale nie kłamie.

– Pani doktor, czy poznała już pani Dorianę Fortis, narzeczoną mojego syna Jacopa? – pyta Olga, zwracając na mnie zimne spojrzenie.

– Mamo – przerywa syn z powagą. – Doriana była tam przecież tamtego ranka. Prezentacja jest zbędna.

Panna Fortis ma apatyczny wyraz twarzy. Podaje mi rękę, zupełnie jakby mnie sobie nie przypominała.

Ściskam ją energicznie i czynię to celowo; ona instynktownie cofa dłoń.

– Proszę wybaczyć! – wykrzykuję ze skruszoną miną. – Sprawiałam pani ból? Dopiero teraz zauważyłam, że jest pani zraniona.

Doriana potrząsa głową.

– To nic takiego, może być pani spokojna.

Jacopo podchodzi do niej i pyta z czułością, o jaką bym go nie podejrzewała:

– Wszystko dobrze, skarbie? – Po czym, patrząc mi obojętnie w oczy, wyjaśnia: – Dorianę ugryzł pies, zazwyczaj bardzo spokojny.

– Nie można ufać zwierzętom – komentuje wzburzona Olga. – Doriano, pozwalasz swoim zwierzętom na zbyt wiele. Pies to pies, a nie dziecko.

Doriana spuszcza oczy, uśmiechając się do mnie.

– To był głupi wypadek. Próbowałam wyrwać mu z pyska szal, który mi zabrał. Wszystkie psy reagują w ten sposób, są zaborcze.

– Ona ma rację, ciociu. To się może zdarzyć – włącza się Bianca, siadając na kanapie obok Doriany.

– Mam nadzieję, że był szczepiony. Jeszcze tylko nam trzeba, żebyś zaraziła się wścieklizną – kontynuuje Olga pogardliwym tonem. Traktuje ją jak debilkę.

– Mamo, wścieklizna prawie już się nie zdarza – zauważa Jacopo.

– W każdym razie pies Doriany jest poza wszelkim podejrzeniem, możesz być spokojna – dodaje Bianca. – To mops, który wygląda tak, jakby połknął bojler. Cały czas spędza w koszyku, ciągle tylko śpi i je.

Włączam się z uśmiechem.

– Czy chce pani, żebym obejrzała ranę? – pytam w nagłym przypływie odwagi. – Choć zajmuję się czymś... innym, wciąż jestem przecież lekarzem – wyjaśniam z gotowością.

– To niekonieczne, dziękuję – odpowiada łagodnie Doriana, która – choć mówi stanowczym tonem – nie wydaje się nigdy opryskliwa.

Na niskim stoliku przed fotelem pani De Andreis dostrzegam kilka wyjątkowo pięknych fotografii Giulii. Nie jestem w stanie oderwać od nich wzroku. Olga De Andreis zauważa to i zdaje się z tego powodu nie tylko zasmucona, ale i dumna.

– Moja siostrzenica była dziewczyną o wyjątkowej urodzie. Nie sądzi pani?

– O tak. Piękna niczym wschodnia księżniczka.

Jacopo i Dorigana patrzą na siebie zakłopotani. Bianca pochyła w zamyśleniu głowę.

– Chce pani zobaczyć jakieś inne zdjęcia? – kontynuuje spokojnie pani De Andreis.

– Prawdę mówiąc, już wychodziłam – mruczę, ale tylko z grzeczności. Tak naprawdę chętnie bym je obejrzała.

– Poza tym to przecież tylko kilka minut. Jeśli sprawi to pani przyjemność... – ciągnie Olga.

– Czemu nie, Alice. Tylko kilka minut. – To mówi Bianca.

– Chętnie – odpowiadam przekonana.

– Bianco, skarbie, przyniesiesz mój album?

Dziewczyna oddała się bez słowa. Olga De Andreis kładzie tymczasem swoją wysuszoną, artretyczną rękę na ramieniu Dorigany.

– Moja droga, czy zadzwoniłaś do Salanich, żeby zawiadomić o nowej dacie ślubu?

Dorigana zagryza wargi.

– Nie! Zapomniałam. Zrobię to dziś wieczorem.

Olga zwraca się do mnie.

– Jacopo i Dorigana mieli się pobrać w przyszłym miesiącu. Giulia miała być jednym ze świadków. Z oczywistych względów postanowili przesunąć uroczystość na późniejszy termin.

– Rozumiem – mówię ze współczującą miną.

Dorigana lekko się uśmiecha.

– Straciliśmy wszelki entuzjazm – wyjaśnia.

– Bardzo mi przykro.

Dorigana kiwa głową, tymczasem wraca Bianca z albumem oprawionym w safian i podaje go ciotce.

Olga otwiera album z namaszczeniem.

– Och, popatrz! Prawie zapomniałam o tej podróży – mówi, przekładając kartki. – Byliśmy w Bostonie. Giulia była taka szczęśliwa podczas tego objazdu wschodniego wybrzeża! A tu jesteśmy w Singapurze, w hotelu Raffles. Tu jest z Sofią, tamtego roku zabraliśmy ją ze sobą. Znały się od przedszkola i były nierozłączne, choć w ostatnim czasie pojawiło się między nimi jakieś napięcie... Nigdy nie zrozumiałam przyczyny.

Bianca wzdycha.

– Problemy sercowe – wyjaśnia.

– Ach, tak? – pyta Olga, jakby ożywiona ciekawością.

Bianca potwierdza.

– Sofia była zakochana w chłopaku, który oczywiście stracił głowę dla Giulii.

– Oczywiście – powtarza Dorigana. Nie potrafię jednak zinterpretować tonu, jakim wypowiada to słowo.

Olga potrząsa głową rozgoryczona.

– Moja siostrzenica była tak skrytą dziewczyną. – Dalej przegląda album z uwagą. – Spójrz, Jacopo, to zdjęcie jest przepiękne. Tutaj byliście na jej przyjęciu urodzinowym. Nie pamiętam, kończyła siedemnaście albo osiemnaście lat?

– Siedemnaście – precyzuje Jacopo bez wahania.

Jego oczy są przepełnione żalem i wyrażają to w sposób tak jasny, że widzę go teraz w innym świetle. Olga przewraca kartki albumu powoli, za każdym razem jakby widziała te

zdjęcia po raz pierwszy. Nie potrafi robić tego beznamiętnie. Jej ręka drży.

– To zdjęcie lubię najbardziej – pokazuje mi pani De Andreis. Są na nim Giulia, Bianca i Jacopo w jakiejś nadmorskiej willi. Opaleni, beztroscy, piękni jak aktorzy z jakiegoś amerykańskiego serialu. Bianca trzyma się nieco z boku, Jacopo śmieje się z całego serca – zauważam, że ma wspaniały uśmiech – a Giulia robi zabawny grymas. Wyczuwa się między nimi nadzwyczajną więź. Wygląda to na jedną z tych rzadkich chwil, kiedy harmonia człowieka łączy się z harmonią świata i wszystko zdaje się uśmiechać.

Rozpacz Jacopa na widok tej fotografii i prawdopodobnie na wspomnienie tamtego odległego i niepowtarzalnego momentu staje się oczywista. Poruszony i zgnębiony odchodzi. Siada w jednym z foteli, a Dorigana ściska jego dłoń z ogromnym współczuciem. Bianca pociąga nosem i ociera łzy szybkim i niezdarnym ruchem palców. Wydaje mi się, że wywołałam przypływ rozpacz i żalu.

Dochodzimy do końca albumu i zaraz potem korzystam z okazji, by się oddalić.

W chwili pożegnania wszyscy są wobec mnie bardzo uprzejmi, szczególnie Bianca. Muszę przyznać, że całkowicie mnie podbiła, podobnie jak Giulia tamtego popołudnia, które wydaje mi się już tak odległe.

Tego wieczoru jesteśmy z Arthurem w restauracji indyjskiej.

Nie dotrzymał terminu dwudziestu czterech godzin z uwagi na pracę, ale po upływie czterdziestu ośmiu spełnił obietnicę.

Lokal jest pełny, wydaje się zadymiony, jak to bywa w wąskich i zagraconych pomieszczeniach, i pachnie tandoori.

Kelner przynosi menu, ale ja jestem zbyt rozkojarzona.

– Tak, może być to – mówię i pokazuję w jadłospisie nazwę, której nie ośmielam się wymówić. Prawda jest taka, że nie mam apetytu. Za bardzo jestem zaabsorbowana Arthurem, żeby myśleć o jedzeniu.

– Jesteś pewna? To bardzo ostre – uprzedza mnie, zerkając na mój wybór.

– Tak, tak – odpowiadam.

Dania wydają mi się wszystkie jednakowe, dlatego lepiej zostawić to kelnerowi. Na zamówienia czekamy tak długo, że zdążyłam wypić moją colę light. Ale co mi tam. Jestem z Arthurem. A on w tej chwili opowiada mi o czymś, ale nie do końca jestem pewna, czy wszystko rozumiem... O czymś, co ma coś wspólnego z Balako czy z Bamako, w każdym razie z jakimś miejscem, które nie mam pojęcia, gdzie się znajduje.

Kelner wraca z naszymi daniami. Moja potrawa to mięsne kulki w czerwonym, jakby ognistym sosie, z dodatkiem ryżu basmati; wygląda bardzo zachęcająco. Nadal słucham Arthura, zafascynowana niczym bohaterka Jane Austen, a jednocześnie nabieram potrawę na łyżkę i jestem gotowa spróbować.

– Alice? Wszystko w porządku?

Nie, nic nie jest w porządku! Połknęłam właśnie chyba jakiś odpad radioaktywny.

Instynktownie chwytam wino – na stole nie ma nic innego – nalewam sobie kieliszek, po czym połykam wszystko jednym haustem, pogarszając jeszcze, jeśli to możliwe, sytuację. Zaczynam konwulsyjnie kaszleć. Nie odrywając ode mnie spojrzenia, jakbym była jakimś pajęczkiem na talerzu, Arthur wzywa gestem kelnera i pogodnym tonem prosi o zimną wodę. Nie mogę powstrzymać targających mną wstrząsów, a jednocześnie ogarnia mnie dzikie przerażenie, że czymś go oplułam, bo widzę, jak ściera serwetką jakieś przekłete ziarenko ryżu ze swojej ręki.

– Alice? – Znow się do mnie zwraca, odkładając na bok sztućce. Nie jestem w stanie odpowiedzieć, a on tymczasem wstaje i podchodzi do mnie. Jednocześnie moje miotanie się przywiodło do stolika przepięknego kelnera.

– Ależ... pani jest cała sina! – krzyczy.

Powoli kaszel się uspokaja. Arthur ociera mi dłonią spływające łzy.

– Już dobrze?

Teraz, kiedy wszystko minęło, on wydaje się wszystkim bardziej rozbawiony niż przejęty.

– Prze-pra-szam na chwi-lę – cedzę pełną bolesnej godności, a kelner odprowadza mnie do

łazienki.

Przełgądam się w lustrze i w tej samej chwili mam ochotę zemdleć. Tusz nie wytrzymał i cały jest rozmazany. Mam też spuchnięte oczy i jestem dosłownie purpurowa. Do ślicznej błękitnej bluzki, która świetnie na mnie wyglądała, dopóki nie stałam się kłownem, przykleiły się ziarenka ryżu.

Kiedy wracam do stołu, widzę, że Arthur nie tknął jedzenia i studiuje jeszcze menu.

– Jak się czujesz? – pyta ze szczerym zainteresowaniem.

– Znakomicie – mówię z szerokim i mam nadzieję, przekonującym uśmiechem. On odwzajemnia się łagodnym spojrzeniem. – To było zbyt pikantne – dodaję. On marszczy brwi i z wielką klasą nie przypomina, że przecież mnie ostrzegał.

– Właśnie szukałem czegoś, co byś mogła zjeść w zastępstwie.

– Dziękuję ci, wszystko jest w porządku – odpieram odważnie.

Uśmiecha się figlarnie, po czym zwraca się do kelnera, pokazując jedno z dań w menu.

– I proszę, żadnej papryki, pieprzu ani curry. Zupełnie nic.

Kelner potakuje, notując zamówienie.

Czuję się nieco speszona, taka troskliwość przyprawia mnie o zawrót głowy.

Tymczasem kelner wrócił z daniem, które wybrał dla mnie Arthur.

– Teraz dobrze? – pyta, przyglądając się, kiedy kosztuję potrawę.

– Bardzo dobre. Byłeś kiedyś w Indiach?

Wzrok Arthura robi się tęskny.

– To był mój pierwszy reportaż. Być może najlepszy kawałek, jaki kiedykolwiek napisałem, choć nie miałem jeszcze doświadczenia. To była wielka przygoda. Dwa miesiące w pociągu przemierzającym całe Indie, specjalna korespondencja. Byłem zupełnie sam, tylko ja, notes i aparat fotograficzny. Prawdziwa magia. Powtórzyłbym to choćby jutro, mimo wszystkich trudności.

– Chętnie przeczytałabym ten tekst.

– To się da zrobić. Umiałem wtedy pisać. Być może dlatego, że było we mnie dużo entuzjazmu. Teraz trochę się nudzę.

– Może odwiedzasz miejsca, które nie dają ci właściwego kopa?

Przygląda mi się zaskoczony.

– To prawda. Gdybym miał napisać o jakimś miejscu, które mnie stymuluje, być może robiłbym to tak jak kiedyś.

– Jakie miejsca chciałbyś odwiedzić?

– Na przykład... Ugandę, Irak, Boliwię – odpowiada po chwili zastanowienia.

– Ale tam nie ma nic specjalnego do oglądania – zauważam z wahaniem.

– To miejsca, gdzie nikt nie jeździ na wakacje. Właśnie dlatego mnie interesują.

– Odnoszę wrażenie, że twoja praca zupełnie nie wzbudza w tobie entuzjazmu.

Z głosu Arthura znika intrygujący akcent anglosaski.

– Nie o to chodzi. Na początku byłem naprawdę szczęśliwy. Właśnie wróciłem z Paryża, miałem zaledwie dwadzieścia osiem lat i małe doświadczenie w tej dziedzinie, nie było łatwo. Prawda jest jednak taka, że to mało angażująca praca. Przynajmniej dla mnie. Odwiedzanie restauracji, parków i muzeów nie wystarcza mi, chciałbym czegoś więcej. Nie chcę być turystą, chcę podróżować. To duża różnica. – Arthur z uśmiechem przeczesuje

ręką włosy. Kiedy się uśmiecha, jego twarz się rozluźnia i jest jeszcze piękniejsza.

– Tak, rozumiem, co masz na myśli. Spróbuj więc to zrobić.

On sączy wino, przyglądając się intarsjom na posągu Kriszny, które zdały się przyciągać jego uwagę, i pyta mnie swobodnym tonem:

– A co ty robisz w wolnym czasie, *Alice in Wonderland*?

Wolny czas? Dzięki twojemu ojcu zapomniałam, co to takiego.

– Lubię czytać, ale robię to rzadziej, niżbym chciała. Instytut bardzo mnie absorbuje.

– Czy mogę być z tobą całkowicie szczery? – pyta, marszcząc brwi i patrząc mi bacznie w oczy. – Jakoś nie widzę cię zmagającej się ze zwłokami. Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś podobna do Sophie Marceau?

– Kilka razy – odpowiadam, rumieniąc się. – Ale to naprawdę bardzo ciekawy zawód. – Chociaż nie jestem w stanie uzyskać żadnych wyników i to jest niepodważalna prawda.

– Zawsze chciałaś to robić?

– Ja nie pracuję jako lekarz sądowy. Ja jestem lekarzem sądowym. Podobnie jak jest się turystą i jest się podróżnikiem. To duża różnica.

Arthur przytakuje z uśmiechem, unosząc gęste brwi.

– W każdym razie nie było to moim marzeniem od dziecka. Wybrałam tę drogę, bo zafascynowała mnie już w pierwszych latach uniwersytetu.

– I jesteś zadowolona?

– Za to twój ojciec niespecjalnie – wrywa mi się z gorzkim uśmiechem.

– On nie jest wiarygodny, jemu zawsze mało. Ja zapytałam, czy ty jesteś zadowolona – uściśla.

– Z wyboru? To całe moje życie – odpowiadam po prostu.

– Czy nigdy nie marzysz, żeby robić coś innego?

– Nigdy nie mogłabym robić nic innego.

Arthur podnosi z wdziękiem kieliszek wina.

– A więc proponuję toast za przyszłość medycyny sądowej.

– A ja proponuję toast za przyszłość dziennikarstwa zaangażowanego społecznie.

Arthur uśmiecha się. Nasze palce ledwie się muskają. Czuję się szczęśliwa.

* * *

Po kolacji ruszamy w stronę jego samochodu. – Mieszkasz sam? – pytam.

Potakuje.

– Na via Sistina. Chcesz zobaczyć moje mieszkanie? – proponuje nonszalancko.

Spokojnie!

– Za bardzo się rozpędzasz.

– Tak, wiem – odpowiada z prostotą. – Inne propozycje?

– Moglibyśmy przejechać się po mieście. – On potakuje z aprobatą. – Co robisz, kiedy nie podróżujesz?

– Przygotowuję artykuły do mojej rubryki, a potem piszę inne, na różne tematy, które przedstawiam szefowi. Ale on wciąż je odrzuca. Poza tym mam drugą pracę.

Spoglądam na niego zaciekawiona.

– To znaczy?

– To trochę taka rozrywka. Tłumaczę książki dla małych wydawnictw. Z francuskiego na angielski.

– Tak dobrze znasz francuski?

– Trzy lata mieszkałem w Paryżu – wyjaśnia i rzeczywiście przypominam sobie, że gdzieś o tym czytałam.

– Masz masę możliwości – zauważam zafascynowana. – A jaka jest twoja kolejna podróż?

– Kreta. Wyjeżdżam za dwa dni.

– Czy nigdy nie odczuwasz braku stabilizacji? To znaczy, czy nie czujesz się trochę zmęczony, będąc nieustannie w podróży? – Pod gęstymi jasnymi brwiami oczy Arthura zdają się lekko rozbawione, jakbym zadała pytanie, na które odpowiedź jest oczywista.

– Nie. Czuję, że umieram, jeśli pozostaję w jednym miejscu dłużej niż dwa miesiące. Kiedy wracam do domu, od razu mam ochotę znów wyjechać. To ogromna ciekawość świata, ale może też rodzaj niestabilności. W gruncie rzeczy jestem niespokojnym duchem.

– Czy nie cierpią na tym twoje kontakty międzyludzkie?

– Przejdź do sedna. Chcesz wiedzieć, czy mam trudności ze zbudowaniem związku?

– Cóż, to też...

– OK. Odpowiedź brzmi tak, mam pewne trudności, ale to tylko kwestia dobrej woli i zaangażowania. Możliwe, że do tej pory nie wnosiłem do moich związków ani jednego, ani drugiego.

– Dlaczego?

Przez chwilę milczy, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Tymczasem rozpoznaję znajome budynki i orientuję się, że dotarliśmy do mojego domu.

Z kieszeni granatowych spodni wyciąga paczkę marlboro. Wyjmuje papierosa, częstuje mnie.

– Z różnych powodów. – Zapala papierosa i rozgląda się dokoła, jakby nie podobał mu się kierunek, w którym zmierza rozmowa.

– Na przykład?

– Fakt, że jestem często nieobecny, stanowi przeszkodę i w ogóle nie czyni ze mnie pożądanej partii. Poza tym jestem dość niestały, a zazwyczaj nie uważa się tego za przymiot. Ale nie obawiaj się, koniec końców nie jestem potworem. – Uśmiecha się z ledwie widoczną ironią. – Obiecuję tylko to, czego mogę dotrzymać. Nie robię tajemnicy z tego, jaki jestem, inni mogą mnie więc akceptować albo nie.

Arthur zbliża długie palce do mojej twarzy i muska rozgrzane policzki. W sposobie, w jaki na siebie patrzemy, jest coś niepokojącego.

– Masz najmniejszą skórę, jakiej kiedykolwiek dotykałem...

Zwilżam wargi.

– Dziękuję – odpowiadam, onieśmielona niczym debiutantka. Gładzę jego doskonale ogolony policzek. – Ty też.

Uśmiecha się. Czuję drżenie.

Jednak on wydaje się niewzruszony. Na jego twarzy nie widać nawet śladu emocji. Pozwala się obserwować, więc patrzę mu swobodnie w oczy, a on ani razu nie spuszcza wzroku.

– Wyjeżdżasz pojutrze – wyszeptuję oczywistość.

– Ale szybko wrócę – odpowiada równie cicho.

– Przywieziesz mi prezent?

Arthur unosi popielate, bardzo gęste brwi. Ma nieskończenie długie rzęsy. Sama chciałabym takie mieć.

– Prezent, czemu nie? Co byś chciała?

Robię zamyśloną minę.

– Nie wiem. Coś osobistego.

– Zgoda.

Zerkając po raz ostatni na zegarek, żegnam go i ociągając się, wysiadam z samochodu. Ledwie otworzyłam drzwi, Arthur przytrzymuje mnie za przegub. Patrzy mi prosto w oczy.

– Czy mogę dać ci całusa na dobranoc?

Potakuję i instynktownie zbliżam się do Arthura. Jego zapach jest świeży i naturalny.

Ujmuje moją twarz w dłonie i muska moje wargi swoimi. Robi to z właściwą sobie lekkością, a przecież czuję, jakby ten kontakt wywoływał prąd elektryczny, a delikatność szybko zamienia się w coś dużo bardziej zdecydowanego.

Porywającego.

Niewiarygodnego.

Nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego.

Wszystko wokół znika.

Gładzę jego miękkie włosy, pragnęłam tego od pierwszej chwili.

– Naprawdę chciałabym, żebyś szybko wrócił.

Uśmiecha się i całuje mnie w czoło.

– Jesteś słodka – szepce niemal ze zdziwieniem.

Yukino nie śpi. Siedzi przy biurku pochylona nad książką i słucha Rachmaninowa.

– Yukino! Jeszcze się uczysz? O tej porze?

Wygląda na się wykończoną. Jest blada i przypomina kogoś, kto nie był na świeżym powietrzu od długiego czasu.

Potakuje znużona, nalewając sobie soku owocowego i wyłączając stereo.

– Jestem bardzo zmęczona – przyznaje szczerze. – Jak tam twój wieczór? – pyta po chwili, rozciągając ramiona i nogi na swoim czerwonym obracanym krześle.

– Chyba dobrze.

– Podoba ci się?

– Mogłabym nawet się w nim zakochać. Spodobałby ci się, wiesz? Na pozór jest jasny i promienny, ale gdy mu się lepiej przyjrzeć... jest w nim jakiś niepokój, coś przepastnie głębokiego. Jakby głód wiedzy. Poza tym jego sposób patrzenia na rzeczywistość czyni ją piękniejszą.

Yukino uśmiecha się.

– Wydaje się postacią z książki.

– Rzeczywiście, przypomina Shinobu z *Haikara-san ga toru*, żebyś miała wyobrażenie. A może to ja tak go widzę? Być może jest przeciętnym typem, takim jak wielu innych.

– Shinobu jest piękny – mruczy rozmarzona Yukino, po czym ziewa ze zmęczenia.

- Idziemy spać? – proponuję. – Jesteś zbyt zmęczona, żeby dalej się uczyć, to bez sensu.
- Masz rację. Naprawdę chce mi się spać. Dobranoc, Alice.

Kilka dni później zaraz po przyjściu do instytutu dostrzegam, że coś wisi w powietrzu. Jakieś dziwne podniecenie, takie, które wyczuwa się, kiedy gra toczy się o coś ważnego.

– Laro, czy coś się stało? – pytam. Ona splata warkocz ze swoich rudych, niesfornych włosów i odpowiada, nie szczędząc szczegółów.

– Myślałam, że Claudio ci mówił. Wezwano na dzisiaj kilkoro przyjaciół Giulii Valenti zamieszanych w sprawę i Claudio pobierze próbki zarówno do badań genetycznych, jak i toksykologicznych.

– Nie, nic mi nie powiedział.

W gruncie rzeczy wydaje mi się raczej logiczne, że wielki badacz mnie nie uprzedził. To oznacza usunięcie mnie ze ścisłego grona jego pochlebczyń. Ale jedno jest pewne, nie zamierzam stracić dzisiejszego przełomu. Tym bardziej że dostrzegłam Calligarisa pijącego kawę w sali zebrań z Anceschim – wyglądali jak Flip i Flap. A więc zapowiada się szczególnie interesujący rozwój wypadków.

Pukam do drzwi Claudia i usłyszawszy zaproszenie, uśmiecham się uprzejmie.

– Chciałam zapytać, czy mogę być dziś obecna przy badaniach przyjaciół Giulii – mówię naturalnym tonem, jakim odzywałam się do niego jeszcze nie tak dawno.

– Lepiej nie – odpowiada chłodno, nie podnosząc wzroku znad monitora i nie odwzajemniając mojego uśmiechu.

– Dlaczego? – dopytuję się trochę zirytowana, a trochę przestraszona.

– Ponieważ za bardzo zaangażowałaś się w tę historię i wolę, żebyś trzymała się z daleka, o ile może to zależeć ode mnie – odpięra, wciąż stukając gorączkowo w klawiaturę.

– To niesprawiedliwe.

– To sposób, by cię chronić, jeśli jeszcze nie rozumiałaś – wyjaśnia z wyższością, nadal nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

– To sposób, by mnie ukarać.

Claudio podnosi w końcu wzrok, a spojrzenie, którym mnie obdarza, to mieszanina chłodu i sarkazmu.

– Przypisujesz sobie zbyt wielkie znaczenie, Allevi. Mam ważniejsze sprawy na głowie niż karanie ciebie, choć przyznaję, że w przeszłości miałem na to ochotę. Tyle że w zupełnie innych okolicznościach. Natomiast chronienie cię jest moim obowiązkiem. Nie zapominaj, że jestem twoim zwierzchnikiem.

– Przesadzasz, na pewno nie zaszkodzi mi, jeśli będę asystować przy tym badaniu.

– Już zdecydowałem, kto będzie mi asystował.

– Założę się, że Ambra – parskam z sarkazmem.

Spogląda na mnie z wyższością.

– Zgadza się – potwierdza po pełnej napięcia chwili milczenia.

– Naprawdę uważasz, że Ambra jest zdolniejsza ode mnie? – pytam w końcu z goryczą.

– Tak – odpowiada prosto i zdecydowanie, jakby to stwierdzenie nie budziło żadnej wątpliwości.

– Z uporem uderzasz w mój najsłabszy punkt – zauważam po chwili, spuszczać wzrok. Jestem gotowa wyjść z jego pokoju. Chciałabym, żeby to był ostatni raz.

– Nie chcę cię ranić. Dobrze, żebyś to zrozumiała: zawsze jest ktoś lepszy od ciebie. Czasami to właśnie rywalizacja z kimś, kto ma przewagę, pozwala się nam poprawić. Ale ty jak zawsze odmawiasz zmierzenia się z rzeczywistością i oto mamy rezultaty.

Potrząsam głową, zdecydowana nie pozwolić, aby mną dłużej pomiatało.

– Wezmę dziś udział w badaniach – stwierdzam niewzruszenie.

– Nie, o ile może to zależeć ode mnie, Allevi. Powiem więcej, jeśli zostanę poproszony o opinię na temat twojej sytuacji, nie spodziewaj się pochwał.

Możliwe, że wcale tak nie myśli. Znam Claudia i wiem, że kiedy jest rozgniewany, lepiej trzymać się od niego z daleka. Ale i tak cierpię. Patrzę na niego i ze smutkiem potrząsam głową.

* * *

Praca w takich warunkach jest toksyczna. Poza kolejnym kompromisem związanym z raportem, który wydaje mi się już nie do odzyskania, najbardziej żałuję, że nie zapytałam go o powód badania osób płci żeńskiej, skoro jego zdaniem ślad ten nie miał żadnej wartości i taką właśnie ocenę miał przedstawić sędziemu.

Na szczęście mam swoje metody. Istnieje sposób, żeby asystować przy zabiegach, nawet siedząc Claudiowi na karku. Już raz zadziałało, to i drugi raz zadziała.

– Doktorze Anceschi, czy mogę panu przeszkodzić? – pytam, pukając do drzwi jego gabinetu.

On, który ma zawsze taką minę, jakby pracując w instytucie, oddawał przysługę światu, przyjmuje mnie jak zwykle z dystansem wobec przyziemnych spraw.

– Proszę.

– Wiem, że będą dziś przeprowadzone badania genetyczne i toksykologiczne u niektórych osób zamieszanych w sprawę Valenti.

– Zajmuje się tym doktor Conforti.

– Czy pan tam będzie?

– Moja obecność nie jest konieczna, ale będzie tam pani stary znajomy, inspektor Calligaris. Był pod wrażeniem pani uporu.

– Ach tak, to dobrze. – Rozumiem, że sytuacja jest skomplikowana, więc przestaję owijać w bawełnę. – Doktorze Anceschi, bardzo chciałabym być przy tym obecna – oświadczam, przewyciężając nieśmiałość.

– W czym problem? Niech pani poprosi Confortiego – odpowiada, opierając splecione dłonie na brzuchu.

– Moje stosunki z doktorem Confortim nie są w tej chwili zbyt dobre. Miały między nami miejsce konflikty natury zawodowej i nie jest on wobec mnie obiektywny.

Anceschi nie wydaje się tym przejęty.

– To bez znaczenia. Nie może odmówić pani uczestnictwa.

– Ależ może – odpieram. – Już to zrobił!

Doktor Anceschi przybiera zdecydowany, a jednocześnie z lekka rozbawiony wyraz twarzy. Podnosi słuchawkę telefonu i wybiera numer.

– Claudio, tu Anceschi. Mam prośbę, pozwól dziś asystować wszystkim z grupy specjalizacyjnej. Będą cztery osoby do badania, prawda? Powierz pobranie próbek i wykonanie badań najmłodszemu, dzięki temu zaczną zdobywać doświadczenie. Wiesz, to jest przewidziane w kontrakcie kształcenia specjalistycznego.

Dziękując, mam chyba oczy w kształcie serduszek.

– Nie zrobiłem tego dla pani. To przecież właściwe, żebyście się wszystkiego nauczyli – kontynuuję, odnosząc się do całej grupy robiących specjalizację. – W waszym wieku potrafiłem już samodzielnie przeprowadzać sekcję i badania identyfikacji osobniczej. Jedynym sposobem nauki jest bezpośrednia obserwacja, a potem praktyka pod czyimś kierunkiem.

– Czy mogę zadać panu pytanie?

Uprzejmie potakuje, niewzruszony i spokojny niczym Budda.

– Proszę.

– Dlaczego zażądano pobrania próbek także od osób płci żeńskiej? Doktor Conforti był przekonany, że ten ślad jest kontaminacją.

– Umknęły więc pani ostatnie ustalenia. Przede wszystkim doktor Conforti wykonał badania porównawcze męskiego DNA znalezione na cylindrze strzykawki oraz DNA wypreparowanego z płynu nasiennego. Nie zgadzają się. Jest to istotny element, ponieważ oznacza, że krótko po miłosnym spotkaniu Valenti narkotyzowała się z innym mężczyzną. Kim są ci dwaj mężczyźni? Poza tym doktor Conforti przedstawił sędziemu wniosek dużo bardziej probabilistyczny. Wyjaśnił, że męskie DNA jest na pewno bardziej podejrzane, ale DNA żeńskie, choć najprawdopodobniej pochodzi z kontaminacji, może należeć do kogoś obecnego tamtego wieczoru.

Dokładnie to, co twierdziłam. Trzeba przyznać, że ma to słodki posmak małego zwycięstwa, za które będę jednak musiała zapłacić tym, że arogant Claudio będzie mnie jeszcze bardziej nienawidził.

W triumfującym nastroju ruszam do laboratorium.

Upiekłam dwie pieczenie przy jednym ogniu – osiągnęłam swój cel i odebrałam Ambrze rolę primadonny. Ale w ogólnie ponurej sytuacji, w jakiej się znajduję, nie mam odwagi się cieszyć.

Nadejdzie dzień, kiedy to wszystko się zmieni. Kiedy nie będę się musiała płaszczyć przed zwierzchnikami, żeby uzyskać to, co mi się należy. Nadejdzie chwila, kiedy pod orzeczeniami będzie widniał mój podpis. Nieważne, jaką cenę będę musiała za to zapłacić, jak trudno będzie osiągnąć ten cel, ile żab będę jeszcze musiała połknąć. Nigdy więcej nie będę zależeć od kogoś takiego jak Claudio Conforti.

W ten sposób znalazłam się w szczęśliwej sytuacji, że mogę wreszcie przypisać twarz nazwiskom znanym z gazet. Sofia Morandini de Clés. W rzeczywistości już ją widziałam, tamtego wieczoru podczas wizji lokalnej, na krótko przed tym, jak zaprowadzono ją do prokuratury. Pochodzi z włosko-francuskiej rodziny o starych szlacheckich korzeniach. Jej przodkowie byli rektorami uniwersytetów, prezesami sądów, notariuszami. Ona sama to klasyczna przedstawicielka rzymskiej *upper class*, choć nie zrobiła na mnie wrażenia osoby wyniosłej. Jest blondynką, wprawdzie farbowaną, z włosami do ramion, oczy ma złociste, raczej nietypowe i to połączenie przydaje całości pewnego szczególnego charakteru. Ma też cofnięty podbródek i ostry nos, a także obgryzione, króciutkie paznokcie. Jej kształty są zaokrąglone. Wygląda na osobę, która zawsze wygrywa, ale doskonale widać, że jest załamana i zrozpaczona. Przede wszystkim jednak zdaje się przerażona. Nie wiem, czy wykończyła ją ta surowa atmosfera, czy to, że jest poddawana śledztwu. Porusza się niepewnie, jej fizjonomia wydaje mi się zgaszona. Słowem, jest słaba.

Claudio wyznacza Ambre do pobrania próbki Sofii. Królowa próbuje sprawić, by dziewczyna się rozluźniła, ale z miernym rezultatem.

Damiano Salvati. Obrzydliwie snobistyczny i wyniosły, niezbyt wysoki, z krótko obciętymi ciemnymi włosami. Wąskie wargi, zęby z zauważalnymi śladami po papierosach i kawie, oliwkowa karnacja. Nie wydaje się wstrząśnięty, raczej zniecierpliwiony, najchętniej położyłby kres tej torturze. Do wykonania badań Claudio wyznaczył Massimiliana. A ponieważ zdaje mu się to przychodzić z wielkim trudem, więc w końcu odpycha go brutalnie na bok i sam pobiera próbkę.

Abigail Button. Włosy w kolorze miodu, miejscami z odcieniem marchewkowym, gęste i kręcone, oczy błękitne. Bardzo wysoka i niezgrabna, uśmiecha się do wszystkich, jakby była na jakimś party. Prosi grzecznie o szklankę wody, podwija rękaw zielonego sweterka, który nosi z wdziękiem, i podsuwa ramię Larze wyznaczonej przez Claudia do pobrania próbki i wykonania badania.

A oto mój królik doświadczalny: Gabriele Crescenti. Ma w oczach bezmiar smutku. Nie nazwałabym go przestraszonym, ponieważ nie takie wrażenie na mnie sprawia. Wydaje się przede wszystkim zrezygnowany. Jest przystojnym brunetem, trochę szorstkim, ale w sumie przyjemnym dla oka. Pachnie talkiem kosmetycznym.

– Dzień dobry – zagajam możliwie najbardziej profesjonalnym tonem.

– Witam – odpowiada głosem czystym, o bardzo głębokim brzmieniu, bez naleciałości. Wsuwa dłoń między długie, ciemne włosy, odsłaniając szerokie czoło. Jego mocnym punktem jest spojrzenie; ma cudowne oczy, tak ciemne, jakich nigdy jeszcze nie widziałam, intensywne i głębokie niczym oczy niedźwiedzia.

– Proszę odsłonić ramię – zachęcam z uprzejmym uśmiechem.

Wykonuje polecenie bez wahania. Jego przedramię jest potężne, pokryte gęstym ciemnym

owłosieniem. Męskość przejawia się w każdym jego geście. Przygotowuję igłę i wacik nasączony spirytusem. Zaciskam wokół ramienia hemostatyczną taśmę, proszę, by zacisnął dłoń w pięść.

– Mam nadzieję, że nie sprawię panu bólu – mówię z zakłopotaniem, zanim przystąpię do działania.

– Byłoby mi to obojętne, zapewniam panią. Od dwunastego lutego nie czuję już nic.

Powinnam być zimna. Neutralna. Obojętna.

Powinnam pozwolić, żeby ta aluzja wpadła niczym kropla wody do morza. Tymczasem daję się wciągnąć w wir.

– Pan... kochał Giulie?

Patrzy, wyraźnie trafiony w serce i zaskoczony.

– Czy ją kochałem? – powtarza niemal ogłuszony. – To było coś o wiele więcej niż miłość. A teraz czuję się pusty. I jestem tu, by poddać się badaniu, bo są tacy, którzy naprawdę myślą, że mógłbym razem z nią brać. Ja, który nienawidziłem tego gówna. Ile razy mówiłem jej, żeby przestała. Ile razy!

– Był pan jej narzeczoną? – pytam szeptem.

– Nie – odpowiada sucho. Wydaje się, że nie chce nic więcej dodać, ale nie może się powstrzymać i uściśla: – Nie dlatego, że nie chciałem, to ona nie była chętna.

Nie pasowali moim zdaniem do siebie, ale tego już mu nie mówię.

– Skończmy te tortury. Proszę, pani doktor, niech się pani pospieszy.

Claudio przechodzi obok nas i zauważa opóźnienie.

– Allevi, rusz się! – syczy, stukając palcem wskazującym w tarczę zegarka. Potakuję pospiesznie i przystępuję do pobrania krwi.

– Jak Giulia mogła sama sobie wstrzykiwać? – mruczy Gabriele niemal sam do siebie. – Była takim tchórzem. Poza tym to chyba trudne, prawda?

– Powiedzmy, że ja nie byłabym zdolna zrobić tego sama. Ale ona być może się nauczyła.

– Mówiła, że ostatnio przestała. Zwykle kłamstwa.

– Może to nie było kłamstwo. Może rzeczywiście próbowała z tego wyjść. Ale to niełatwe. Gabriele wzdycha.

– Nie wiem. Giulia nie potrafiła się bez tego obyć, to jest jedyna prawda.

Dezynfekuję mu ramię. Biały wacik wchłania jego ciemną krew. Moje zadanie zostało wykonane.

* * *

Następnego ranka Claudio jest gotów dać sygnał do rozpoczęcia badań. Wydaje się, że ma najgorsze intencje – chce zakończyć wszystko w ciągu jednego dnia.

Przyznaję jednak, że myśl o pracy przez cały dzień wcale mi nie ciąży. Zzera mnie ciekawość.

– A teraz moje małe i oszołomione aspirantki do specjalizacji, bierzemy się do pracy – oświadcza w końcu Claudio.

– Dlaczego zwracasz się zawsze wyłącznie do koleżanek? Przypominam ci, że my też istniejemy – zauważa Massimiliano Benni, mówiąc również w imieniu nowego nabytku

z pierwszego roku, studenta tak błyskotliwego jak bakteria jelitowa.

– Musisz mnie jeszcze pytać o powód, Benni? Twoje koleżanki są o wiele bardziej interesujące.

– Claudio, centryfuga nie rusza – informuje go Ambra.

– Cholera, Nardelli, to twoja wina.

– Co ja mam z tym wspólnego?

– Zawsze kiedy coś idzie nie tak, masz z tym coś wspólnego.

Przyjęte zostaje to śmiechem, ale atmosfera pogodnej jowialności jest mi całkowicie obca. Zaczynam pracować z zapałem, próbując nie zauważać Claudia, który śledzi moje działania, licząc na wychwycenie jakiegoś błędu, który mógłby mi wypomnieć w obecności wszystkich.

– Rękawiczki, Allevi, bo wraz z DNA Gabriele Crescentiego znajdziemy również twoje – upomina mnie, korzystając z pierwszej okazji, kiedy moje roztrzepanie daje mu do tego pretekst.

Z wyjątkiem krótkiej przerwy na obiad pracujemy aż do późnego popołudnia. Przez okno widzę niebo zasnuwające się kolorami zmierzchu. Claudio zamierza jednak kontynuować, dopóki nie uzyskamy wyników. Ambra nie okazuje zmęczenia – dla zasady, przy czym jedynym jej celem jest zaprezentowanie siebie jako niestrudzonego geniusza, którym przecież nie jest. Nadak-tywna niczym mrówka na początku dnia, szafuje radami i ponagleniami. Jest późno, kiedy osiągam swój wynik. Wynik, koniec końców, niezbyt zaskakujący.

Żaden z dwóch męskich profili do niego nie należy. To nie on trzymał w ręku strzykawkę i mimo aluzji to nie on był ostatnim mężczyzną Giulii.

* * *

– Rezultat badania wcale mnie nie dziwi – wyjaśniam Larze, kiedy przemierzamy wspólnie odcinek drogi do stacji metra. – Choć Gabriele dał do zrozumienia, że było między nimi coś więcej niż zwykła przyjaźń, on zupełnie nie był w jej typie.

Lara patrzy na mnie z tym swoim charakterystycznym rodzajem zmieszania, które nigdy nie robi na mnie wrażenia całkowicie szczerego.

– Zastanawiam się, do kogo należy DNA śladów w waginie. Jeśli nie Gabriele Crescenti, to kto był jej narzeczonym?

– Może nie miała narzeczonego – zauważa Lara.

– Narzeczonym, kochankiem, przyjacielem... Słowem, z kim miała stosunek na krótko przed śmiercią? Jak to możliwe, że osoba ta nie została zidentyfikowana, na przykład na podstawie billingów telefonicznych?

– Alice, nie wydaje mi się to specjalnie ważne... – zaznacza nieśmiało. – Zresztą DNA na strzykawce nie odpowiada DNA z pochwy. Po prostu jeden jest kolegą od podwieczorków, a drugi kochankiem. Nie sądzę, żeby w tym przypadku wiedza na temat życia prywatnego Valenti była istotna.

– Może masz rację.

– Nawet gdyby, udało się ustalić, z kim poszła do łóżka przed śmiercią, miałyby to niewielkie albo żadne znaczenie. To sprawa, która nigdy nie zostanie rozwiązana. Zobaczysz. A może po prostu nie ma tu nic do rozwiązywania. Krążymy wokół domniemanej zbrodni,

a potem odkryjemy, że chodzi o coś zupełnie innego.

Szczególna kolacja w bistro w Villa Pamphili

Zaledwie wróciłam do domu – dzwoni Bianca Valenti.

Jest jak zwykle uprzejma i formalna, ale nieco bardziej naturalna.

– Stałam się twoim koszmarem – komentuje żartobliwym tonem.

Grzecznie zaprzeczam, po czym pytam, w czym mogę pomóc.

– Czy mogłybyśmy się spotkać? Może na kolacji, jeśli ci odpowiada.

Jestem prawie pewna, że chce wyciągnąć ode mnie informacje na temat badań. Jestem wykończona, bo przez ostatnie dni ciężko pracowaliśmy, żeby jak najszybciej uzyskać wyniki, przyjmuję jednak zaproszenie, i to bez chwili wahania.

Wyznacza mi spotkanie w bistro usytuowanym w Villa Pamphili, odtwarzającym ze znakomitym efektem atmosferę prowan-salską.

Bianca jest superpunktualna. Kiedy wchodzę, siedzi już przy stoliku, pogrążona w lekturze książki Maupassanta. Wstaje i podaje mi rękę. Ma na sobie jedwabną bluzkę w kolorze bakłażana z kokardą zawiązaną pod szyją i szary kaszmirowy sweterek w stylu lat pięćdziesiątych. Ciemne włosy zebrane są na karku w koński ogon, a makijaż prawie niewidoczny.

– Alice, wyglądasz na zmęczoną. Przykro mi, wciągam cię w tę historię i może trochę zbyt nalegam...

Mówi przepięknym kontraltem; jej fascynujący głos bez wątpienia jest nie do zapomnienia, podobnie jak spojrzenie, jeśli choć raz się je napotkało.

– Nie przejmuj się. W rzeczywistości jestem już sama z siebie mocno zaangażowana w tę sprawę. Prawdopodobnie dlatego, że poznałam Giulię – wyjaśniam, kładąc torbę na krześle i odpowiadając na jej uśmiech. Mam nadzieję, że w moim jest choć w połowie tyle wdzięku.

– Widzisz, mam pewne trudności w rozmowie z inspektorem Calligarisem. Wydaje się uprzejmy, ale podejrzewam, że dozuje informacje, ponieważ nigdy precyzyjnie nie odpowiada na moje pytania.

– Nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele – stwierdzam rozkojarzona, obserwując z zachwytem detale, które czynią ją tak elegancką, jakby zeszła właśnie ze stron katalogu Vuittona.

– Ty żyjesz tymi badaniami. Nie wyobrażam sobie, żeby był ktoś lepiej poinformowany od ciebie.

Czytamy menu z nikłym zainteresowaniem. W gruncie rzeczy to tylko pretekst.

– Uwielbiam ten lokal – mówi. – Byłam już tu, bo wiesz, wydawnictwo, dla którego pracuję, mieści się niedaleko stąd. Robią boską sałatkę nicejską.

– Zatem niech będzie sałatka. A więc pracujesz dla wydawnictwa – zauważam, odkładając na bok menu.

– Tak, jestem redaktorką. Od zeszłego roku. Studiowałam w Nowym Jorku, a kiedy

postanowiłam wrócić do Włoch, zaczęłam rozsyłać CV Nie było łatwo znaleźć odpowiednią propozycję, ale koniec końców jestem zadowolona. Ta praca bardzo mi się podoba.

– Dlaczego wróciłaś do Rzymu? – pytam, pociągając łyk wody.

Bianca spuszcza wzrok.

– Przede wszystkim ze względu na Giulie. Stwarzała coraz więcej problemów, ciocia Olga nie dawała sobie z nią rady. Długo nie mogłam się zdecydować, co robić, bo moje życie było już w Nowym Jorku. Znalazłam pracę, miałam przyjaciół. Jednak poczucie odpowiedzialności za siostrę przeważało. Nie myśl, że przyszło mi to łatwo.

– Jeśli, jak mówisz, Giulia miała trudny charakter, uzależnienie od narkotyków na pewno nie poprawiło sytuacji.

– Nie, w istocie. Ciotka zaczęła coś podejrzewać, bo Giulia prosiła o coraz więcej pieniędzy i coraz częściej była naćpana. Raz, jeszcze w liceum, podczas jakiejś wycieczki zażyła ecstasy i wylądowała w szpitalu. Ciotka omal nie umarła ze wstydu, bo zadzwonili do niej i musiała jechać po Giulie aż do Pragi. Po powrocie błagała mnie, bym się nią zaopiekowała. Nie mogła już liczyć na wsparcie Jacopa, ponieważ jest on bardzo zajęty swoją pracą, nie ma stałych godzin. Zajmował się Giulie, kiedy tylko mógł, i poświęcał jej dość dużo czasu, ale to nie wystarczało. Więc jako dobra starsza siostra spakowałam walizki i wróciłam do Włoch.

Ton jej głosu jest neutralny, kiedy opowiada o decyzji życiowej, którą wyraźnie uznawała za wymuszoną. Nie skarży się, bo w gruncie rzeczy jej cechą dominującą jest układność, ale wyczuwam, że nie jest szczęśliwa.

– Więc wiedzieliście o jej problemach z narkotykami?

– Tak. Ciotka słono płaciła psychiatrę, ale nie przynosiło to specjalnych rezultatów. Przez pewien czas Giulia przebywała nawet w prywatnej klinice w Montreux, ale jak widać, leczenie okazało się całkowicie bezskuteczne. Giulia zawsze sprawiała kłopoty, nie zachowywała równowagi ani poczucia miary. Może w narkotykach szukała tego wszystkiego, czego nie znajdowała w życiu? Kto wie? Oczywiście, osoby, którymi się otaczała, nie miały na nią dobrego wpływu. Banda próżniaków pozbawionych jakichkolwiek ambicji. Przede wszystkim Sofia Morandini de Clés.

– Bianco... – przerywam niezdecydowana, czy mówić dalej, czy nie. Ale i tak w końcu się dowie. – Ślady na strzykawce nie należą do nikogo z badanych. Ani do Sofii, ani do Damiana, ani do Gabriele.

Słyszając to, Bianca marszczy gęste ciemne brwi.

– W to, że Gabriele jest niewinny, sama też wierzyłam od samego początku. To zbyt porządny chłopak. Nie ma nic wspólnego z tą historią, gotowa bym przysiąc. Ale. – Odrzuca połączenie na komórce, którą odkłada do torebki, i znów patrzy mi w oczy z niezwykłą intensywnością. Jest taka piękna. Urodą, której nie dostrzega się przy pierwszym spojrzeniu. – Przepraszam. Właśnie miałam ci powiedzieć, że... gdybym miała wskazać kogoś palcem... prawdopodobnie byłaby to Sofia. Wszyscy jesteśmy przekonani, że to ona wciągnęła Giulie. To dziewczyna pozbawiona moralności, głęboko nią gardzę. Byłaby zdolna zostawić Giulie bez pomocy, a nawet gorzej. Również dlatego, że w ostatnim czasie zupełnie się ze sobą nie zgadzały. Giulia mówiła mi, że Sofia stała się nie do zniesienia, była zazdrosna o Gabriele, w którym była od zawsze zakochana. Ale to dziwne, naprawdę dziwne.

– Co takiego?

Bianca splata dłonie zamyślona.

– Dziwne, że Giulia nie zażywała wtedy z nią ani z nikim ze swoich przyjaciół. Są też ślady jakiegoś mężczyzny, prawda? Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, kto to był. Czy mogę zadać ci pytanie?

– Proszę.

– Te wyniki... są wiarygodne? Są pewne?

– Cóż, tak. Chociaż niektórzy uważają, że ślad kobiecy znaleziony na cylindrze jest kontaminacją, a zatem nie ma nic wspólnego ze śmiercią Giulii. Ale to nie wyklucza oczywiście, że tamtego wieczoru była w czyimś towarzystwie. Jest również możliwe, że ślad ten pozostawił ktoś, kto tamtego wieczoru był z Giulią, tyle że nie mamy pojęcia, kto to taki.

Spojrzenie ogromnych oczu Bianki zdradza pewne rozdrażnienie.

– Czy możliwa jest taka niepewność? Odnoszę wrażenie, że sprawa traktowana jest nazbyt powierzchownie.

– Nie, nie. Nie ma tu lekkiego traktowania. Doktor Conforti powtórzył badania, właśnie dlatego, że jest skrupulatny. Niestety, niepewność jest wpisana w tę grę. W medycynie nic nie jest pewne. To samo dotyczy medycyny sądowej. Istnieje jedynie wysokie prawdopodobieństwo. Prawie nigdy pewność.

Bianca wydaje się jeszcze bardziej zainteresowana.

– Pomówmy zatem o granicach prawdopodobieństwa. Co jest bardziej prawdopodobne? Czy ślad żeński jest kontaminacją, czy też jest prawdziwy?

– Mogę tylko powiedzieć, że doktor Conforti uważa za bardziej prawdopodobną hipotezę kontaminacji.

Milczy zmieszana, jakby się zastanawiała.

– Zatem ten wynik ostatecznie uniewinnia Sofię?

– Brakuje jeszcze wyników badania toksykologicznego. Kto wie, czy nie przyniesie jakiejś niespodzianki.

– Ach.

– Koniec końców, można by dojść do wniosku, że w tej sprawie nie ma znamion przestępstwa. Nie wolałabyś, żeby tak było?

– W jakim sensie? – pyta Bianca, wzdrygając się.

– W tym sensie, że choć to równie tragiczne, może lepiej myśleć, że jej śmierć była wypadkiem i że nic nie można było zrobić dla jej uniknięcia.

– Cóż, nic tu nie jest lepsze – konstatuje Bianca dość chłodno.

W porządku, mogłam sobie to darować, ale chciałam po prostu przedstawić jej najłatwiejszą do zaakceptowania ewentualność. Chociaż ona ma rację. W tym przypadku nie istnieją ewentualności, które można zaakceptować.

Zasmucona spuszcza głowę. Wydaje mi się jednak, że to właściwa okazja, by zadać jej pytanie, które poprzednim razem mi umknęło.

– Bianco... czy mogę cię zapytać, jakie stosunki łączyły Giulię z Dorianą? – rzucam bez ogródek.

Wydaje się zmieszana.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Ciekawość, czysta ciekawość. Biorąc pod uwagę problemy, jakie Giulia stwarzała rodzinie, oraz fakt, że Jacopo był dla niej jak starszy brat, zastanawiałam się, dlaczego twoja ciotka nie zdała się bardziej na przyszłą synową.

– Doriana jest dziewczyną bardzo słabą i skrytą. Tak naprawdę nigdy nie weszła do naszej rodziny, mimo że ona i Jacopo są od dawna zaręczeni. Była na swój sposób przywiązana do Giulii, ale też znużona jej nieustannym wtrącaniem się w życie naszego kuzyna.

– Znużona?

– Tak... miałam wrażenie, że czasami dostrzegam coś, jakby odruchy zniecierpliwienia... Ale nic wyraźnego. Drobne sprzeczki, jak w każdej rodzinie. Zresztą teraz, kiedy o tym myślę, pewnie nie wiesz... To z nią Giulia kłóciła się przez telefon tamtego popołudnia, kiedy ją spotkałaś. Calligaris to sprawdził. Ale muszę przyznać, że nie było w tym nic nadzwyczajnego. Ja sama wciąż się z Giulią sprzeczałam. Miała kłótniwy charakter i trzeba było mieć ją pod kontrolą, bo sprawiała masę kłopotów.

Talerz Bianki jest nadal prawie pełny, pozwala jednak, żeby kelner go zabrał. To oczywiste, że straciła apetyt, każdego dnia zdaje się chudsza. Odmawia proponowanych deserów i choć sama chętnie skosztowałabym czekoladowego brownie z bitą śmietaną, też rezygnuję.

Prosi o rachunek i nalega, że zapłaci.

– Dobrze mi zrobiła rozmowa z tobą. Działasz uspokajająco – stwierdza, chowając portfel do torebki. – Powinnyśmy widywać się częściej, nie tylko po to, by rozmawiać o Giulii. Myślę, że mamy ze sobą wiele wspólnego. – Brzmi to sympatycznie. – Tu, w Rzymie, mam niewielu przyjaciół; straciłam kontakty przez lata pobytu w Nowym Jorku i teraz próbuję nawiązać nowe.

– Byłoby mi bardzo miło – odpowiadam szczerze.

Kiedy kilka marcowych, nieprzyjemnych dni później wyglądam przez okno, nie jestem w stanie opędzić się od wspomnienia spotkania z Biancą i jej szczerzej uprzejmości w objaśnianiu mi pewnych tajemniczych punktów. Okazała taką samą ufność wobec świata, jaką dostrzegłam u Giulii w dniu naszego spotkania.

Dzwonek telefonu przerwał moje rozmyślenia.

To Arthur Malcomess, prawdopodobnie po powrocie z Krety. – Cześć, witaj z powrotem! Jestem naprawdę szczęśliwa, że cię słyszę.

– Dzięki. Posłuchaj, nie mogę długo rozmawiać. Jesteś zajęta dziś wieczorem?

– Chyba nie.

– Czy poszłabyś ze mną na nieformalną kolację? Małe spotkanie kolegów z redakcji. – W tle słychać gwar, przez który przebija się kobiecy głos wzywający go z natrętną natarczywością.

– Bardzo bym chciała. Bardzo – odpowiadam tonem, który daje zdecydowany wyraz temu, że czuję się zaszczycona propozycją. Nie chodzi o zwykłą kolacyjkę, której podświadomym celem miałby być seks, ale o formalne zaproszenie na kolację, gdzie zostanę oficjalnie uznana za osobę towarzyszącą. A wszystko to po zaledwie dwóch spotkaniach. Sprawy mają się naprawdę dobrze.

Wieczorem w swoim dżipie Arthur pachnie dobrym szamponem i świeżym praniem, ale ma nieco zgaszoną minę.

– Odkąd wróciłem z Krety, musiałem pracować dzień i noc. Mam pałący termin oddania tłumaczenia, ale z powodu podróży bardzo się opóźniłem – wyjaśnia. – W rzeczywistości etyka zawodowa powinna mi kazać zostać w domu i skończyć rozdział, ale to pożegnalne przyjęcie Riccarda, kolegi z redakcji, który wyjeżdża do Chartumu. Liczy, że wróci za miesiąc, ale ponieważ wysyłany jest zazwyczaj w rejony niebezpieczne, żartuje, iż nie jest powiedziane, że wróci, i dlatego chce się z nami pożegnać w wielkim stylu.

– To trochę ponura praktyka – komentuję przejęta.

– A ja myślę, że jest dokładnie odwrotnie.

– Odnoszę wrażenie, że chciałbyś się znaleźć na jego miejscu.

Arthur uśmiecha się z goryczą.

– Będę się musiał zadowolić Stambułem.

– Nazywasz to „zadowolić się”? Zawsze marzyłam, żeby tam pojechać, ale nigdy nie znalazłam odpowiedniego towarzystwa.

Zanim zdałam sobie sprawę, że pośrednio poprosiłam, by mnie ze sobą zabrał, Arthur uprzedza moją nerwową reakcją i składa propozycję.

– Więc jedź ze mną. Do wyjazdu zostały jakieś dwa tygodnie, dasz radę się zorganizować?

– Być może nakłoniłam cię, byś mi to zaproponował. Wybacz, nie chciałam. Nie czuj się zobligowany.

– Jeszcze mnie dobrze nie znasz. Jeśli cię poprosiłem, to znaczy, że sprawi mi to przyjemność.

– Jesteś pewny?

– Tak. Poza tym to nie jest niemoralna propozycja. Gdyby moim celem było zaciągnięcie cię do łóżka, mógłbym próbować także tu i teraz, możesz być pewna.

– Arthurze – szepczę pobladła.

On zdaje się zupełnie swobodny.

– Wydaje mi się, że propozycja jest ciekawa i korzystna dla nas obojga. Nie będzie nas tylko przez pięć dni. Ty zobaczysz Stribuła, a mnie nie zabraknie dobrego towarzystwa – konkluduje z prostotą, jakby mi złożył propozycję biznesową.

– To bardzo miłe z twojej strony, że mnie o to poprosiłeś. Dziękuję – odpowiadam, próbując naśladować jego nonszalancję. – Zastanowię się.

Nie nalega, nie zmienia też tematu; szuka w radiu czegoś, co przypadnie mu do gustu. Cisza zostaje przerwana tylko zgrzytem silnika po dosyć ostrej, sportowej zmianie biegów.

– Proszę – mówi w końcu. Dźwięki *Cayman Islands Kings of Convenience* wypełniają ciszę.

Parkuje naprzeciw nowoczesnego budynku przy via Tiburtina.

W burtach na niebotycznych obcasach sięgam mu zaledwie do ramienia i krocze raczej niezgrabnie. Mam na sobie jedwabną sukienkę w pięknym ciemnozielonym kolorze, dość efektowną i z raczej odważnym dekoltem, którą kupiłam, bo przypomina sukienkę Keiry Knightley z *Pokuty*.

Podaje mi rękę z uśmiechem. Jest piękny niczym książę, a ja czuję się Kopciuszkiem na balu.

Gdy tylko wchodzimy do mieszkania, przeklęty dywan zastawia pułapkę na moje szpilki. Potykam się i leżę jak długa na podłodze.

– O Boże! – wykrzykuje dziewczyna, która nam właśnie otworzyła i z którą Arthur witał się serdecznie.

To mi dopiero Kopciuszek na balu!

Arthur uprzejmie powstrzymuje się od śmiechu, ale ma rozbawioną minę, co jest równie upokarzające.

– Nic ci nie jest? – pyta z troską dziewczyna, która okaże się potem redaktorką działu kulturalnego. Wstydzę się śmiertelnie i chcę natychmiast wracać do domu.

– Nie... to nic – odpowiadam z zupełnie poobijaną godnością.

Podchodzi do nas gospodarz z drinkami. Na szczęście przynajmniej on, jak się zdaje, nie zauważył mojego akrobatycznego popisu.

– Nasz globtroter! – wykrzykuje, idąc naprzeciw Arthura.

Riccardo Gherardi to energiczny typ około trzydziestu pięciu lat, raczej postawny i miły dla oka, choć nie piękny w konwencjonalny sposób. Ma ładny uśmiech i zachowuje się w sposób bardzo naturalny.

Wcale nie wydaje się przejęty myślą, że wyjeżdża właśnie w niebezpieczne i dzikie miejsce, za jakie uważam Chartum. Czuję egoistyczne zadowolenie, że nie muszę świętować podobnej przygody, która mogłaby się przydarzyć Arthurowi, mimo że stanowi to aktualnie jego największą zawodową ambicję. To nielojalnie tak myśleć. Tym bardziej że jest on taki

miły. Ale to silniejsze ode mnie.

Tymczasem wokół nas rozbrzmiewają radosne powitania innych kolegów Arthura.

A potem ona.

W całym pomieszczeniu nie ma bardziej rzucającej się w oczy dziewczyny.

Nie jest wcale ładna. A wręcz, jeśli przyrzeć się uważnie, jest nawet dość brzydka. Ale niezwykle i bezwstydnie szykowna. Bardzo wysoka i chuda, ubrana jest w błękitną tunikę Chanel, a jasne rozczochrane włosy zebrane ma do góry. Taka fryzura u każdej innej kobiety wyglądałaby niechlujnie, a u niej ma klasę. Zbliża się z nieuchwytnym wdziękiem osoby od urodzenia zmysłowej i wita Arthura, obejmując go, jakby nie widzieli się całe wieki. Oczy jej błyszczą.

Czyżby to była jego eks? Kimkolwiek jest, zupełnie mnie nie zauważa, ale nie jest to zachowanie rozmyślnie niegrzeczne.

Wygląda raczej na osobę zaprzątniętą własnymi myślami, którymi chce się podzielić tylko z nim.

Czuję się nie na miejscu, więc oddalam się i gawędzę z Simoną, redaktorką, która nam otworzyła, i nadal z troską pyta, czy dobrze się czuję.

Po krótkim czasie odzyskuję Arthura i wygląda na to, że nic się nie stało. Nie ośmielam się zapytać, kim jest dziewczyna, a on o niej nie mówi, zajęty jest już czymś innym. Rozmawia, przedstawia mnie jakimś facetom, przynosi mi drinki i małe szaszłyczki z kwiatami i owocami tak ładne, że szkoda je jeść.

– Przepraszam cię na chwilę – mówi w połowie wieczoru i nagle tracę go z pola widzenia. Siedzę na kanapie pokrytej czarną skórą, sącze drinka i rozglądam się dokoła, trochę mniej zagubiona niż na początku.

Wszystkie chwile, kiedy nie jest ze mną, Arthur poświęca tajemniczej dziewczynie, która pozostaje z nim w wyraźnej zażyłości. Wnioskuje to z ich wzajemnych uśmiechów, z tego, że on gładzi ją po policzku, a ona odpowiada na ten gest dziecięcym grymasem, z radości, jaką dostrzegam w jej oczach w tych momentach, kiedy on mówi coś do niej w zaufaniu, wyraźnie wyłączając świat z ich gry.

Jest mi niezwykle przykro patrzeć na ten spektakl w ich wykonaniu i przysięgam, że nigdy nie uznałabym Arthura za zdolnego do takiej niedelikatności wobec mnie.

Nagle, kiedy Arthur rozmawia z Riccardem, nieznajoma siada obok mnie, a mnie ogarnia paniczny lęk. Przyglądam jej się dokładnie i nabieram przekonania, że jest w niej coś ekscytującego. Należy do tej kategorii dziewczyn, z którymi chcesz się natychmiast zaprzyjaźnić.

– Gdzie Arthur? – pyta z roztargnioną miną.

Jestem zirytowana.

– Odszedł na chwilę – odpowiadam lodowato.

Wzdycha, jakby znajdowała się na planie jakiegoś melodramatu. Na oko jest młodsza ode mnie. Już się podnoszę, kiedy dostrzegam Arthura idącego w naszą stronę.

– Arthurze, ta dziewczyna... szuka cię rozpaczliwie – oznajmiam z wyższością, nie kryjąc pogardy w spojrzeniu. Ona marszczy czoło, zraniona moją nieuprzejmością. Arthur patrzy na nią, potem na mnie. Unosi brew, a wraz z nią bliznę. Na jego pięknej twarzy maluje się rozbawiony uśmiech.

– Ale ze mnie gapa. Alice, przedstawiam ci Cordelię, moją siostrę. Cordelio, to Alice.

Cordelia podaje mi drobną dłoń i na jej przegubie zauważam absolutnie olśniewającą bransoletkę z pereł. Ona też ma teraz dosyć rozbawiony wyraz twarzy, jakby w końcu pojęła sytuację.

– Bardzo mi miło – mówię donośnie. Co za ulga!

– To dla mnie przyjemność poznać cię, Alice – odpowiada grzecznym tonem. Szkoda, że nie raczyła się sama przedstawić wcześniej.

Ale to bez znaczenia, bo już za chwilę streszcza mi bardzo szybko i z lekka histerycznie koleje swojego życia.

Cordelia Malcomess to córka szefa i jego trzeciej żony, która pochodzi ze starej rodziny szlacheckiej i ma tytuł hrabiny. Hrabianka Cordelia, z zawodu aktorka – w każdym razie próbuje nią być – jest utrapieniem matki i ojca, z którymi zerwała, odkąd podjęła niestosowną według obydwojga karierę. Mieszka sama w małym mieszkaniu, które scedowała na nią matka, i żyje w zgodzie tylko z Arthurem. Jak sama mówi, tylko on jeden nigdy jej nie osądzał. Przyszła na przyjęcie do Riccarda Gherardiego, ponieważ została zaproszona przez gospodarza, który – czego dowiaduję się bezpośrednio od zainteresowanej – stracił dla niej głowę bez najmniejszej nadziei na wzajemność. Z kolei ona jest załamana, a powodem jest tragiczne miłosne rozczarowanie. Została porzucona przez swojego partnera, aktora polskiego pochodzenia, biednego jak mysz kościelna i bez specjalnego zapału do podjęcia poważnej pracy – tych ostatnich szczegółów dowiaduję się od Arthura, kiedy Cordelia oddała się do toalety.

Przed pożegnaniem Cordelia prosi mnie o numer komórki i obiecuje, że odezwie się jak najszybciej i umówi na wspólne wyjście. Ma przy tym zaskakująco obojętną minę.

– Przyznaj, byłaś zazdrosna o Cordelię.

– Zazdrosna? Niby dlaczego? – odpowiadam z urażoną godnością.

– Kłamczucha. – Wciąż potrząsam głową, ale mimo woli się śmieję. – To pochlebne, możesz się przyznać – naciska, prowadząc tak szybko, aż robi mi się niedobrze.

– Przyznaję, ale proszę, zwolnij.

Arthur wydaje się zawstydzony.

– Wybacz – mówi, natychmiast zmniejszając prędkość. – Wszyscy narzekają na to, jak prowadzę. Ciekawe dlaczego. Teraz lepiej?

– Nie mogło pójść gorzej – odpowiadam; oczy z wrażenia wyszły mi z orbit.

Niewzruszony Arthur wraca do kwestii, która leży mu na sercu. Przypuszczam, że był to tylko pretekst do zmiany tematu.

– Byłaś zazdrosna – mówi z satysfakcją.

– Czy zachowałam się nieuprzejmie? – pytam z lekka zaniepokojona.

On zdecydowanie potrząsa głową.

– Nie, nie byłaś nieuprzejma. Zresztą ona jest tak roztrzepana, że nawet by się nie zorientowała. Poza tym powinienem był przedstawić was sobie od razu dla uniknięcia nieporozumień.

No chyba!

– Czy masz plany na dalszy ciąg wieczoru? – pyta po chwili, ale naturalnym tonem, bez żadnych podtekstów.

– Jest naprawdę późno. A jutro czeka mnie bardzo męczący dzień – wyjaśniam z żalem. Co jest zresztą prawdą i nie mówię tego tylko po to, żeby się wycofać. Chcę trochę popracować nad sprawą Giulii, przeanalizować kilka szczegółów dotyczących fizjopatologii, a tak naprawdę miałabym też ochotę z nim o tym porozmawiać... Może jednak następnym razem. Nie chciałabym, żeby mnie wziął za jakąś fanatyczkę, choć nie byłoby to wcale bezpodstawne.

Arthur potakuje z miną kogoś, kto dobrze wie, o co chodzi.

– Odwiozę cię do domu.

Na tle pochmurnego ołowianego nieba światła miasta połyskują natarczywie. Palę w milczeniu papierosa, rozparta w wygodnym fotelu jego auta. Mam poczucie, że nie jestem sobą, a w każdym razie nie całkiem.

Od czasu do czasu spoglądamy, wymieniając uśmiechy.

Och, ta łatwość zakochiwania się. To straszne, że niemal o tym zapomniałam.

Kiedy stajemy przed domem, Arthur pochyła się nagle w stronę mojego siedzenia. Wytrzeszczam oczy oszołomiona. Ależ jest porywczy! W rzeczywistości jednak nawet mnie nie dotyka, tylko otwiera schowek i wyjmuje jakąś paczuszkę.

– Twój prezent – wyjaśnia z prostotą.

Och, prezent, o który go poprosiłam. Szczęśliwa ściskam pakunek w dłoniach.

– Nie myślałam, że będziesz pamiętał.

– Dziękuję za zaufanie – odpowiada z sarkazmem.

Uśmiecham się.

– Dziękuję, Arthurze – szepczę.

– No, rozpakuj.

Jest to mała drewniana zapinka do włosów, motylek, który wygląda na ręcznie wystrugany.

– Arthurze... jest śliczna. – On nie komentuje, tylko wyjmuje mi ją z rąk.

– Przymierzemy? – pyta.

Przytakuję i podsuwam głowę. On muska powoli moje skronie – z niespodziewaną delikatnością – potem wsuwa palce między moje włosy. To prosty gest, niewinny, ale jednocześnie pełen zmysłowości.

– Zawsze myślałem, że najpiękniejszą rzeczą, jaką można przywieźć z podróży, jest bransoletka. To tak, jakby dane miejsce przytrzymało cię za przegub ręki. To absurdalne, wiem – przerywa na chwilę. – Ale nie znalazłem nic wystarczająco pięknego dla ciebie.

– Wiem teraz, dlaczego tak często nosisz tę cudowną hebanową bransoletkę – zauważam, niezręcznie podejmując wątek rozmowy. Może nie jest tego świadomy, ale powiedział właśnie coś, co w moich uszach zabrzmiało bardzo romantycznie. Zresztą może nie powiedział nic niezwykłego. To on sam jest niezwykły. Sposób jego mówienia, taki jasny, ujmujący, robi na mnie niesamowite wrażenie. – Bardzo mi się podoba. Ma urok przedmiotów o długiej historii.

– Pochodzi z Tanzanii. Tubylec, który sprzedawał różne rzeczy, dał mi ją w zamian za płytę CD. Dawno temu.

– Za CD?

– Tak. Fascynowały go wszystkie barwy powstające na płycie w promieniach słońca. Wydawało mu się, że to przedmiot magiczny.

Milczymy. Kładę głowę na jego ramieniu rugbisty.

On sztywnieje, jakby był zaskoczony.

Uśmiecham się i obejmuję go.

Ten uścisk trwający długo pośród ciszy, która nie ma w sobie ani jednej niezręcznej nuty, a raczej przeciwnie, wydaje się bardzo intensywna, jest dla mnie niezwykle i urzekający.

Niespodziewane ograniczenia patologii sądowej

Kiedy wszystko w pracy idzie mi niepomyślnie, a ja nie robię nic, by odpływ nie zabrał mnie ze sobą, kiedy dochodzenie w sprawie Giulii pogrąża się coraz bardziej w bagnie chaosu, kiedy mój umysł faluje między ekstazą a strachem, jest w instytucie jedna osoba, która przeżywa swoją chwilę niewątpliwej chwały.

Od chwili, kiedy zostałam odsunięta, Ambra cieszy się względami Claudia. A on – piękny i zły – bawi się nią niczym szarańczak przed aktem parzenia. Co zresztą prędzej czy później nastąpi, jeśli już się nie stało. Mimo że beztrósco próbował flirtować ze wszystkimi dziewczynami, Claudio nigdy nie ośmielił się mieszać pracy i uczuć (których zresztą, jak podejrzewam, jest pozbawiony). W przeszłości, kiedy czułam wobec niego coś, co trochę wykraczało poza granice uwielbienia zawodowego, ta jego cecha osłabiała moje nadzieje i przywoływała mnie do porządku. Jednocześnie, kiedy widziałam, jak flirtuje z Ambra, sama myśl o tym była dla mnie pocieszająca, ponieważ pozwalała mi zachować wobec tej sytuacji, a wobec jego osoby w szczególności, absolutną i niewzruszoną równowagę. Teraz widok, jak w obecności nędznej kreatury traci zdrowy rozsądek, dzięki któremu zawsze rządził jak kuna w kurniku, rani moją podświadomość. Przypomina mi to, że dawno temu – niezależnie od tego, jak bardzo bym zaprzeczała – widziałam w Claudiu ucieleśnienie moich pragnień. A teraz pozostaje zaskoczenie, że ucieleśnieniem jego pragnień okazała się dziewczyna taka jak Ambra.

Jednak to nie tylko względy Claudia nadymają i tak już przerośnięte ego królowej. Dokłada się do tego Wally, dla której Ambra stała się obiektem pożądania. Dziewczyna umiała znaleźć klucz otwierający drzwi do kariery: stać się nieodzowną w działaniach najwyższej wagi intelektualnej, takich choćby jak zakup chrupek dla chihuauy Wally albo odebranie Anceschiego z lotniska. Pobudzana niezachwianym samouwielbieniem, na mocy którego sama ogłaszała się ekspertką od tego czy tamtego, wydaje się teraz pępkiem świata Instytutu Medycyny Sądowej. Jej egzaltacja jest dokuczliwa niczym wrzód na pośladku, szczególnie jeśli się pomyśli, że jej apoteoza, na zasadzie lustrzanego odbicia, oznacza moją degradację. To wszystko powinno skłaniać mnie do refleksji. Do zastanowienia się, dlaczego ona wygrywa, kiedy ja przegrywam. Nie należy popełnić błędu uzalania się nad sobą i mówienia, że wszystko jest głęboko niesprawiedliwe. Uważam, że człowiek jest kowalem własnego losu. Ambra jest świetnym kowalem; problem w tym, dlaczego ja nie potrafię nim być. Ambra ma pewne typowe cechy wrednej suki, ale nie jest nią w sposób całkowity i to, dzięki prawu Murphy'ego, zmniejsza przekonanie, że powiedzie jej się wszystko, co robi. Poza tym czasem jest nawet sympatyczna. Paradoksalnie irytuje mnie to jeszcze bardziej.

Jak w tej chwili, kiedy przepełniona niechęcią obserwuję ją pochyloną nad biurkiem. Jest coś głęboko krzywdzącego w tym, że Claudio jej właśnie zaproponował sporządzenie protokołu z sekcji Giulii. Widzę, jak zмага się z notatkami i zdjęciami, i czuję, że musi

nastąpić zwrot w tym moim głównym życiu zawodowym. Jej długie jasne włosy muskane są ciepłym słońcem, słabo przenikającym przez pochłapaną kilka dni temu deszczem szybę. Efektowne kolczyki przypominają żyrandole, z których zwisają wielobarwne kamienie. Jest bardzo skupiona i skoncentrowana, wydaje się, jakby cały świat zawodowy obracał się wokół niej.

– Laro – woła chwilę później, przerywając moje myśli. – Posłuchaj i powiedz, czy to ma sens. – Uwzględnia tylko Larę, ponieważ to oczywiste, że opinia tu obecnej specjalizującej się ameby nie ma dla niej żadnej wartości.

– Na podstawie danych z dokumentacji czynności oraz stadium zaawansowania zjawisk pośmiertnych stwierdzonych w trakcie oględzin zwłok, budowy osobnika, okoliczności śmierci oraz warunków lokalnych i pogodowych można stwierdzić, że zgon nastąpił około godziny dwudziestej drugiej dnia dwunastego lutego dwa tysiące dziesiątego roku – recytuje swoim dobrze ustawionym głosem, powoli, akcentując spółgłoski.

– Znakomicie – odpowiada nieco rozkojarzona Lara.

Ja w zakłopotaniu nastawiam anteny.

– Przepraszam, Ambro, ale doskonale pamiętam, że byliśmy tam około północy. Giulia miała już kilka plam opadowych, choć była jeszcze ciepła. Sądzę, że nie żyła od co najmniej trzech godzin.

Ambra patrzy na mnie znudzona.

– Skarbie, nie sądzę, by godzina zgonu podlegała dyskusji. Claudio ustalił, że nastąpił on około dwudziestej drugiej, zakomunikował to już zresztą śledczym i jest tego raczej pewny. Otóż, jeśli chcesz polemizować...

– Nie, nie chcę polemizować. Chodzi tylko o to, że uważam to za ważny szczegół – odpowiadam z przekonaniem.

Lara patrzy na mnie zaciekawiona.

– Przypominam ci, że ja też tam byłam. Jeśli chodzi o ustalenia wizji lokalnej, zgadzam się z Claudioem – upiera się Ambra przepełniona pychą i wyższością.

Potakuję swobodnie, ale nie potrafię ukryć, że jestem trochę poruszona.

– Oczywiście, przypuszczenie, że to ja mogę mieć rację, nie wchodzi w grę.

– Cóż, nie bierz tego do siebie – odpowiada królowa obojętnie, jakby chciała powiedzieć, że nie darzy mnie aż takim zainteresowaniem, by powiedzieć coś osobistego.

Wstaję ze zdecydowanym wyrazem twarzy i idę do gabinetu Claudia. Przyjmuję wobec niego postawę bojową, bo na dobrą sprawę nie mam nic do stracenia. Rewerencja, jaką do tej pory mu okazywałam, nie przyniosła, jak widać, dobrych rezultatów, najwyższy więc czas pokazać swoje atuty. O ile mi, oczywiście, na to pozwoli.

– Przeszkadzam, Claudio? – Podnosi wzrok znad chromowanego Maca. – Będę się streszczać – dodaję, siadając przed jego biurkiem.

– Kto nie umarł, ten zdrowy, chciałoby się powiedzieć. Postanowiłaś znów się do mnie odezwać, co za zaszczyt.

– Wydaje mi się, że nigdy nie przestałam się do ciebie odzywać.

– Ależ oczywiście że tak. Wystarczyło, że zmyłem ci głowę, a potem kazałem docenić mój autorytet, żebyś się śmiertelnie obraziła.

– Nie nazwałabym zamachu na poczucie mojej godności zmyciem głowy. Jeśli zaś chodzi

o docenianie twojego autorytetu, to próba odsunięcia mnie od pracy, na której mi zależy, wydała mi się nadużyciem i tyle.

– Podejrzewam, że masz teraz te swoje dni. Ta nadwrażliwość wydaje mi się czymś nowym, Allevi. Mówiłem ci już gorsze rzeczy, a ty w rezultacie kochałaś mnie jeszcze bardziej.

– Widać nie miałam szacunku dla samej siebie – odpowiadam z goryczą. Być może trochę przesadzam, ale od czasu do czasu warto przeprowadzić samokrytykę, a ja naprawdę jestem przekonana, że popełniłam poważne błędy.

– Ach. Więc zerwanie stosunków ze mną z powodu rzekomych afrontów gwarantuje narodzenie się szacunku dla samej siebie. Niech ci będzie – odpiera z sarkazmem, który uważam za odrażający.

– Nigdy nie jest za późno, żeby uwolnić się od psychologicznego poddaństwa.

– Poddaństwa. Psychologicznego. Dobrze, o to chodziło. – Patrzy na mnie wzrokiem pełnym podtekstów. Ma to zresztą w zwyczaju. W stosunku do każdego. – I o nic więcej? – dodaje.

– Nie.

Zdaje się przyjmować to do wiadomości.

– Po co więc przyszłaś?

– Mam pewne wątpliwości dotyczące godziny zgonu Giulii Valenti.

– Jeszcze? – pyta tonem znudzonym, ale poufałym. – Naprawdę nie rozumiem, co chcesz osiągnąć.

– Cóż, posłuchaj. Ustaliłaś godzinę na dwudziestą drugą, prawda? Nie wzięłaś jednak pod uwagę, że przybyliśmy tam mniej więcej około północy. Nie mogła umrzeć o dwudziestej drugiej, bo miała już plamy opadowe, choć jeszcze bardzo słabe. Szczęka zaczynała sztywnieć, choć przyznaję, że była jeszcze ciepła. Śmierć musiała więc nastąpić wcześniej niż przed dwiema godzinami.

Tymi prostymi refleksjami o charakterze czysto technicznym przemieniłam Claudia Confortiego, badacza dotkniętego manią wielkości, w prawdziwą ludzką furję.

– Mam naprawdę dość. Mało ci, że poszłaś jak pierwsza lepsza suka do Anceschiego zawiadomić go o moim rzekomo powierzchownym podejściu do obowiązków, co zresztą ci wybaczyłem, to teraz chcesz mnie uczyć, jak ustala się czas zgonu? Kiedy ty się skręcałaś, żeby dostać tróję z fizjologii człowieka – kontynuuje, ziejąc pogardą – ja byłem już studentem medycyny sądowej. I to od lat. Osoby, które mogą jeszcze czegoś mnie nauczyć, mają kilka siwych włosów więcej od ciebie.

– Nie musisz być taki agresywny. Powinieneś zapisać się na jakiś kurs kontrolowania gniewu.

Ciemnozielone oczy wydają się wychodzić mu z orbit.

– No dobrze, Alice. Porozmawiajmy o zjawiskach pośmiertnych i o przedziale czasowym, żeby ustalić dokładną godzinę śmierci – odpowiada z wyższością.

– To nie ja jestem poddawana egzaminowi – odpowiadam z bezczelnym uśmiechem. Przyznaję, że znakomicie się bawię, denerwując go. Kiedyś bałam się popełnić błąd w jego obecności, bo wiedziałam, że tygodniami będzie ze mnie drwił. Teraz nic mnie to już nie obchodzi. Czuję się w końcu wolna. Wydobyłam się z psychicznego uzależnienia, w które mnie wciągał. Dziwne, że przezwyciężyłam je dokładnie w momencie, kiedy mogę wszystko

stracić. Faktycznie, żałuję każdej wylanej łzy i mówię sobie, że być może wszystko, co naprawdę straciłam przez te lata, to tylko mój czas.

– Jeśli o to chodzi, ja też nie – odpiera chłodno.

– A właśnie że tak, bo jeśli się pomyliłeś, nie tylko ja wytknę cię palcem, ale pół Włoch.

Patrzy na mnie osłupiały.

– W niczym się nie pomyliłem – obwieszcza.

– Naprawdę jesteś pewny? Dlaczego dwudziesta druga?

– Ponieważ mamy dwa fakty dotyczące okoliczności. O dwudziestej Valenti zadzwoniła do siostry, a o dwudziestej pierwszej siedemnaście zadzwoniła ze swojej komórki do kuzyna, Jacopa De Andreisa. Wynika to z billingów telefonicznych. Ergo, była jeszcze żywa. W związku z tym, jeśli jesteś w stanie stwierdzić, że umarła o dwudziestej pierwszej trzydzieści, a nie o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć albo dwudziestej drugiej, tylko na podstawie zjawisk pośmiertnych, bez danych dotyczących innych okoliczności, chylę głowę przed taką wiedzą.

Przez chwilę jestem nieobecna.

Kiedy Claudio nie może się doczekać, żeby się mnie pozbyć, ja myślę i czuję, że mój umysł jest w stanie naukowego uniesienia.

– Według mnie umarła przed dwudziestą pierwszą.

– I to jej duch zadzwonił do kuzyna? – pyta z grymasem malującym się na pięknej twarzy.

– Zwłoki, które widziałam tamtego wieczoru, były martwe dłużej niż dwie godziny.

– Zapominasz, że była wychudzona. U osoby tak marnie odżywionej zjawiska pośmiertne następują szybciej.

– Nawet w tym przypadku wydaje mi się trochę zbyt szybko.

– Upierasz się wobec oczywistości. Naprawdę zaczynam myśleć, że Wally ma rację i nie powinna ograniczyć się tylko do nakazania ci, byś powtarzała rok, ale powinna uniemożliwić ci zrobienie specjalizacji, bo wywołasz całą lawinę kłopotów.

Patrzę na niego z niechęcią. To bardzo nie w porządku, że cokolwiek ośmielę się powiedzieć, on zawsze odpowiada, trafiając w mój najsłabszy punkt, który zresztą dobrze zna.

– Pomyśl o kłopotach, których ty jesteś sprawcą, Claudio – odpowiadam poważnie i opuszczam pokój z zupełnie nienaruszonymi przekonaniem.

Siedzimy z Arthurem na plaży w Ostii. Jest niedziela, koniec marca; na przemian pokazują się słońce i chmury. To jeden z tych dni, które mogą być śmiertelnie nudne albo pamiętne, zależnie od skłonności meteopatycznych lub też, alternatywnie, od towarzystwa.

Słabe słoneczne światło pieści jego blond kędziory; wargi mają kolor letniego owocu. Wilgoć za chwilę poskręca mi włosy, ale to nieważne. Tak naprawdę nic mi nie przeszkadza, jeśli tylko jestem w jego towarzystwie i gdy tak siedzimy na piasku niczym na pustyni.

Czuję się tak dobrze, że niemal zapominam o wszystkich moich kłopotach i zdaje mi się, iż nic naprawdę nie ma znaczenia poza tym, by być szczęśliwą. Owijam wokół szyi szal w kolorze bakłazana i suchym patykiem bazgrzę jakieś bzdury na piasku.

– Wydajesz się nieobecna – mówi, patrząc na białą pianę maleńkich fal marszczących morze.

– Zawsze jestem trochę nieobecna.

– Ale dziś bardziej niż zwykle.

– Dlatego, że jestem zrelaksowana. Powinno ci to pochwlebiać. Jest niedziela, mam spokój, czuję, że nic nie byłoby w stanie mnie zdenerwować, przynajmniej dzisiaj. To taki rodzaj błogości, jakiego ostatnio doświadczyłam niewiele razy. Bo tak ogólnie nie jest to dla mnie dobry czas. – To prawda. Nie czułam się tak dobrze, odkąd kilka miesięcy wcześniej śniło mi się, że pływam sama w basenie Park Hyatt w Tokio, w środku nocy. Na wspomnienie wrażeń z tamtego snu czułam się dobrze jeszcze przez kilka tygodni.

– Problemy?

Nie wydaje mi się, by warto było mówić o tym, że jestem na samym dole łańcucha pokarmowego w instytucie.

– Nie, nic takiego. Chodzi o to, że... – przerywam, nie mając najmniejszej pewności, czy mówić, czy też nie.

– O co? – zachęca.

– O to, że jestem bardzo zaangażowana w pewną sprawę. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło, a przynajmniej nie do tego stopnia. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej coś się nie zgadza i nie jestem w stanie się zdystansować.

Arthur zaintrygowany unosi brwi.

– Porozmawiajmy o tym – proponuje po prostu.

Spuszczam oczy.

– Nie... nie chcę cię zanudzać – odpowiadam nieśmiało.

– Nie jesteś typem, który zanudza, *Elis*. – Z tonu, jakim to powiedział, wnioskuję, że na pewno nie chodzi o komplement.

Znów opuszczam wzrok. Może... gdybym mu opowiedziała o Giulii, inne spojrzenie pozwoliłoby mi spojrzeć na sprawę z większą trzeźwością.

– Chodzi o pewną dziewczynę... miała na imię Giulia. – Arthur, z długimi nogami

wyciągniętymi niemal po linię brzegową, słucha mnie uważnie. – Sprawa nie jest oczywiście moja. Prowadzi ją kolega. Giulia umarła z powodu szoku anafilaktycznego, wywołanego przez mieszanekę paracetamolu z heroiną, którą wstrzyknęła sobie do żyły. Miała dwadzieścia jeden lat i była piękna jak księżniczka z bajki.

– Giulia Valenti?

– Tak.

– Słyszałem o niej także w redakcji.

– Rzeczywiście, sporo o tym piszą w gazetach.

– Co różni tę sprawę od innych? – pyta z zainteresowaniem.

– Przede wszystkim, od samego początku wciągnęła mnie. Prawdopodobnie wynika to z faktu, że zupełnie przypadkowo poznałam Giulie dzień przed jej śmiercią. Byłam w sklepie, wybierałam sukienkę... – Zaczynam opowiadać głosem nieco stłumionym przez emocję. Wątpię, czy nadejdzie taki dzień w moim życiu, kiedy wspomnienie tamtej chwili i tego wszystkiego, co potem nastąpiło, pozostawi mnie obojętną. – Poradziła mi, którą kupić. Był to naprawdę znakomity nabytek. Przeżyłam prawdziwy szok, kiedy następnego dnia zobaczyłam ją martwą. Nigdy tego nie zapomnę – uczucie zagubienia, strachu, bezradności. Wyda ci się to głupie, ale jakoś irracjonalnie zapragnęłam, by się cofnąć w czasie i powiedzieć jej: „proszę, uważaj”.

– Może właśnie ten zbieg okoliczności czyni wszystko trudniejszym.

– Tak, ale nie tylko. Jest cała seria szczegółów, które nie trzymają się kupy.

– Jakie to szczegóły?

Nie powinnam mu o tym mówić, to pewne, ponieważ wiele informacji obejmuje tajemnica służbowa i zakazane jest ich ujawnianie. Jednocześnie bardzo mocno pragnę to uczynić. Myślę, że to instynkt, jakbym czuła, iż zostanę w pełni zrozumiana. To też bezsensowne, biorąc pod uwagę, jak niewiele wiem o Arthurze. A jednak jest między nami coś, co wykracza poza to, co sobie mówimy, a przede wszystkim to, czego nie mówimy. To tak, jakby istniało między nami powinowactwo intelektualne i charakterologiczne, niezależne od stopnia znajomości i zażyłości. Może to prawda, że łatwiej otworzyć się przed nieznanym, ale jest też prawda, że nie postrzegam Arthura jako nieznanego. To tak, jakbym w hiperuraniu, w którym żyją moje sny, znała go od zawsze. Jakbym instynktownie czuła, że on wędruje, po tych samych torach równoległego świata.

– Przysięgnij, że nikomu nie powiesz.

– Daję słowo.

– Cóż... Słowo dziennikarza...

– Słowo dżentelmena. A może sądzisz, że sprzedam sensację za najwyższą cenę?

– Nie, nie zrobiłbyś tego. Nie jesteś taki zły, jak lubisz dawać do zrozumienia.

– Jestem taki i wolę, by to było jasne, ale nigdy nie sprzedałbym tajemnicy. To kwestia etyki.

– Wydaje mi się, że to uczciwe – zauważam. – W każdym razie nie sądzę, byś sprzedał to, co powiem ci w zaufaniu.

– Jestem ci wdzięczny – odpowiada z ledwie wyczuwalną nutą sarkazmu. – Sądzisz zatem, że możesz uczynić mnie powiernikiem twoich poufnych wynurzeń? – pyta w tym samym duchu.

– Słyszałeś już może, że sprawa nie jest do końca jasna.

- Muszę wyznać, że nie jestem fanem kroniki kryminalnej.
- Postaram się więc streścić. Strzykawka użyta przez Giulię została znaleziona w koszu na śmieci w pobliżu jej domu. Na strzykawce znaleziono nie tylko jej DNA, ale też jakiejś innej osoby. Dokładnie, jednej osoby płci żeńskiej i jednej płci męskiej.
- To znaczy, że nie była sama.
- Właśnie. I możliwe, że ten, kto z nią był, wyrzucił strzykawkę, pozwalając jej umrzeć w wyniku szoku anafilaktycznego.
- Nie umarła z przedawkowania?
- Nie.
- Może jednak ten, kto z nią był, nie zdawał sobie sprawy z tego, że ona umiera. Był przecież pod wpływem heroiny, prawda? Kiedy doszedł do siebie, znalazł ją martwą i nie wiedział, co robić.
- Owszem, to również jest prawdopodobna hipoteza. W ogóle nie jest powiedziane, że ktoś jest odpowiedzialny za jej śmierć. Rzecz w tym, że nie można tego wykluczyć. I na ten temat właśnie mam własne poglądy, które odbiegają od poglądów lekarza sądowego. Przede wszystkim nie zgadzam się z ustaloną przez niego godziną zgonu. A nie jest to błaży fakt, ponieważ zmieniłby alibi wszystkich przesłuchiwanym, wciąż przy założeniu, że nikt jej nie pomógł.
- Jak to możliwe, że nie jesteście w stanie ustalić na sto procent pewnej godziny zgonu? Myślałem, że to ścisła wiedza – pyta zaciekawiony.
- Widzisz, ustalenie godziny śmierci człowieka to nie jest prosta arytmetyka, jak by się mogło zdawać – wyjaśniam mu z zapalem.
- Nie?
- Nie. Należy brać pod uwagę całą serię zmiennych, które mogą mieć bardzo duży wpływ na określenie czasu. Są to dane dotyczące środowiska, ale też okoliczności. Na przykład temperatura albo budowa danego osobnika, masywna albo szczupła. Uwierz, rozbieżności w tym względzie nie są wcale takie rzadkie.
- A więc? – Naciska, chcąc najwyraźniej dowiedzieć się czegoś więcej.
- Odnoszę wrażenie, że został popełniony błąd, ale mam związane ręce, rozumiesz? Jestem nikim, więc nie mogę wyrazić własnej opinii.
- Nie, mylisz się. To głęboko błędne pojęcie.
- Ty żyjesz w świecie ideałów. Ja w świecie, w którym moja opinia nie jest nic warta.
- Również dla mojego ojca?
- Twój ojciec nie zajmuje się zbytnio studentami robiącymi specjalizację. Ma ważniejsze sprawy na głowie.
- Cóż, mój ojciec nie jest w stanie utrzymywać przyzwoitych stosunków z własnymi dziećmi, a co dopiero ze studentami. Jest jednak nieugięty, jeśli chodzi o jakąkolwiek formę nadużycia, tego jestem pewny. Moja rada, Alice, jest taka, że powinnaś porozmawiać o swoich opiniach i podejrzeniach z kimś, kto naprawdę może coś z tym zrobić. Mówię poważnie. Możesz mieć rację. Jakaś ewentualność nie może być wykluczona tylko dlatego, że nie masz jeszcze dużego doświadczenia. – Arthur wstaje, podając mi rękę.
- Chcesz już jechać? – pytam rozczarowana, gdy tymczasem on zapina już granatową markową kurtkę.

Ja też już stoję, chwiejąc się w butach, które okazały się niestosowne do okazji. Spoglądam na niego do góry, jestem zdecydowanie niższa, szczególnie na stojąc piasku, w którym mam wrażenie, że tonę.

– Spójrz na chmury. Góra dwadzieścia minut i zacznie padać. Odwiozę cię do domu.

Idziemy plażą, w kierunku samochodu, spowici kleistą wilgocią, niemal namacalną, tworzącą biały całun, oddychamy powietrzem nasyconym solą i wszystkimi zapachami morza i piasku. W głowie tłucze mi się myśl, że w moim zachmurzonym życiu niewiele jest rzeczy pogodnych, ale jedna z nich dotyczy go bezpośrednio.

Powoli, powoli, łagodnie, głęboko, zakochuję się, co nie zdarzało mi się od bardzo, bardzo dawna.

Powietrze w samochodzie naładowane jest elektrycznością. Zaczyna padać, jak Arthur przewidział. Małe krople padają nieprzerwanie, ale nie zamieniają się w ulewę. Ani jeden promień słońca nie jest już w stanie przesączyć się przez chmury, które nabrały baśniowego odcienia glicynii. Od czasu do czasu Arthur puszcza do mnie oko i uśmiecha się.

Komu w głowie robienie postępów. Komu w głowie reguły. Przychodzi taka chwila, kiedy życie cię porywa, a ty musisz poddać się wydarzeniom.

Chwila, kiedy na nic się zda jakiegokolwiek rozumowanie.

– Dlaczego nie pojedziemy do ciebie? – pytam.

Unosi brwi. Sekunda dzieląca mnie od jego odpowiedzi jest bardzo długa.

– Chętnie – odpowiada i gwałtownie skręca.

Parkuje w garażu, a potem idziemy do jego kamienicy pieszo, bez parasola, trochę moknąc, a towarzyszące temu podniecenie przypomina sytuacje z okresu dorastania. Arthur grzebie w kieszeni, szuka kluczy, którymi otwiera bramę, potem drzwi do kamienicy, do windy, a w końcu do mieszkania. A ja czuję się onieśmielona niczym debiutantka.

Kiedy jesteśmy już w środku, nie zapala światła. Pozostajemy w ciemności, jedno naprzeciw drugiego.

Nic nie mówi, a ja to doceniam.

Słowa wszystko psują.

Pozwala, żeby mówiły gesty. Delikatność, z jaką zdejmuje mój szal, a potem szarą kurtkę. Lekkość, z jaką muska moje włosy.

– *I like you so much* – szepce po angielsku, co mnie zaskakuje i zaciekawia. Zastanawiam się, czy myśli po angielsku, czy po włosku. Ciekawe. Ale koniec końców, jakie to ma znaczenie?

– *Maybe, I'm falling in love with you. Maybe.* – Patrzy na mnie z czułością. Może to właśnie najbardziej mnie w nim uderza. Czułość, do jakiej jest zdolny.

– *Maybe, I'm too.*

Ale to jednak nie słowa psują wszystko.

To dzwonek do drzwi, uparty i natarczywy, na dźwięk którego aż podskakujemy.

Początkowo go ignorujemy, ale natarczywość dźwięku powoduje, że magia pryska i nie ma co udawać, że nic się nie dzieje.

– Przykro mi – szepce, po czym odchodzi, żeby otworzyć drzwi.

– Arthur! – miauczy pochlipujący głos, który natychmiast rozpoznaję.

Cordelia z torbą podróżną Vittona, którą ciska na podłogę, kiedy tylko staje przed bratem,

zarzuca mu ramiona na szyję, rozpaczliwie łkając. Widząc torbę i szare oczy zapuchnięte od płaczu, wiem, że tego wieczoru moje oczekiwania nie zostaną zrealizowane.

– Cześć, Cordelio! – Witam ją nieznacznym ruchem ręki, wiedząc, że jestem tu zbędna.

Cordelia rzuca bratu przepraszające spojrzenie, po czym obejmuje także i mnie.

– Och, Alice! Jak to miło znów cię widzieć! – wykrzykuje, nie przestając płakać.

Piękne blond włosy poskręcane w długie fale, cygańska spódnica z turkusową bluzą, a na nogach złote baleriny – Cordelia jest bardziej rozkoszna niż kiedykolwiek. Wymieniamy z Arthurem czułe spojrzenia. On obejmuje siostrę.

– Co robiliście po ciemku? – pyta Cordelia, łkając.

Patrzemy sobie z Arthurem przez dłuższą chwilę w oczy i uśmiechamy z mieszaniną troski i żalu.

– Właśnie weszliśmy.

– Tak, przed chwilą – dodaję.

– Ach. Rozumiem. Mogę zostać?

– Oczywiście – mówi Arthur i wydaje się całkowicie szczery. Prowadzi ją do salonu. Ściany pomalowane na kolor ochry są mało widoczne, bo obrazy, plakaty i zdjęcia zajmują całą powierzchnię.

– Co się dzieje? – pyta takim tonem, jakby mówił do dziecka.

Łzy Cordelii wydają się nie do powstrzymania. Hrabianka bez wahania bierze chusteczki, które jej podaję, i moczy je jedną po drugiej.

– Sebastian! – wykrzykuje, jakby już samo imię wystarczało dla wyjaśnienia powodu jej cierpienia.

– Ciągle on? – pyta Arthur, marszcząc brwi. – Minęły już tygodnie, odkąd cię porzucił. – Cordelia podskakuje i znów zaczyna płakać, wyładowując swoją rozpacz. Wyciera głośno nos, po czym spogląda na brata z groźną miną.

– W istocie, nowina nie polega na tym, że mnie rzucił – skarży się nieco zniecierpliwiona.

– A więc? – pytam.

Cordelia, zupełnie niezrażona moją ingerencją, zaczyna opowiadać, tym razem z najdrobniejszymi szczegółami, co zaszło między nią a Sebastianem, aktorem polskiego pochodzenia, o którym wspomniał mi Arthur. Zajmuje jej to godziny. Kolejne godziny. I następne. Przerywane tylko na zjedzenie zamówionej przez Arthura pizzy. Zaraz potem opowieść rozpoczyna się na nowo, bez żadnych oznak zbliżającego się zakończenia. Najgorszą chwilą jest ta, kiedy rozwodzi się w opowieści nad nowiną, która doprowadziła ją do takiego stanu – wspomniany Sebastian ma nową flamę.

Chcę już się poddać, kiedy nagle hrabianka zaczyna zdradzać pierwsze oznaki wyczerpania.

W końcu oświadcza, że jest gotowa pójść spać.

– Czy mogę u ciebie zostać, Arthurze? Nie chcę wracać do domu. Nie chcę zostać sama. – Mówi to takim tonem, że nie można jej niczego odmówić.

Arthur zerka na mnie. Rozumiemy się w jednej chwili.

Nazajutrz, w poniedziałek, który przynosi ze sobą cały ciężar powrotu do codziennego życia po wyjątkowo ekscytującej niedzieli, dowiaduję się, że przed południem Claudio ma się udać do prokuratury, by złożyć ekspertyzę dotyczącą badań genetycznych i toksykologicznych, jakie wykonał wraz z innym młodym toksykologiem sądowym. Na temat tych ostatnich badań nie mam żadnych wiadomości i to mnie gryzie. Nie jestem toksykologiem, ale nie sądzę, by badania mogły ujawnić coś nowego w kwestii śmierci Giulii. Tak czy owak tylko Claudio zna ostateczną odpowiedź toksykologa. Utrata swobody w zadawaniu nurtujących mnie pytań okazuje się ceną bardzo wysoką w zamian za satysfakcję, że mu wygarnęłam.

Korytarzem, przy którym mieszczą się nasze pokoje, kroczą teraz w przeciwnych kierunkach dwie postaci. Jedną z nich, tą drobną, która powinna trzymać się trochę bardziej prosto, jestem ja. Mam wzrok opuszczony tak nisko, że gdyby był jeszcze niżej, mógłby dotrzeć tylko do piekła. Drugą zaś, która patrzy prosto przed siebie niczym urodzony zwycięzca, jest Claudio. Dawniej by mnie żartobliwie zagadnął albo przynajmniej się uśmiechnął. Dawniej, czyli w czasach, w których nasze stosunki były swobodne i przyjacielskie. Teraz wszystko się zmieniło. Jak się zdaje, w sposób nieodwracalny i być może jestem temu winna. Wiem jedno, że bardzo mi go brakuje.

Potrącamy się ramionami. Jest to zderzenie, które ma w sobie coś nieprzypadkowego. Nasze białe fartuchy ledwie się o siebie ocierają; podnoszę wzrok i instynktownie chcę wykonać przeproszający gest, ale on już mnie minął. Patrzę za nim kątem oka, lekko tylko odwracając głowę. Maszeruje wyprężony i ze ściśniętym tyłkiem, ręce trzyma w kieszeniach fartucha. Dopiero w chwili, kiedy ja też mam ruszyć dalej w moją stronę, wdychając smugę *Declaration Cartiera*, którą zostawił za sobą, zauważam, że w końcu on także odwrócił wzrok. Nasze spojrzenia na moment krzyżują się. Są niemal obojętne. I właśnie ta obojętność rani mnie śmiertelnie.

Wierzyłam w Claudia. Czułam się mniej samotna w tym posepnym i ponurym instytucie. Prowadził mnie i poprawiał. Dużej części tego, co wiem, nauczyłam się właśnie od niego. Pocieszeniem wobec wielu moich rozczarowań stały się jego różne głupie powiedzonka.

Wszystko się zmienia i żeby nie zginąć, trzeba się dostosować. Również w takiej postawie objawia się inteligencja: dostosowanie się, no i umiejętność znajdowania rozwiązań. Być może w moim przypadku rozwiązaniem byłoby oderwanie się od tego wszystkiego.

Należy posiąść sztukę mówienia „żegnam” rzeczom i ludziom.

Posiąść sztukę.

Może jutro.

– Claudio. – Odwraca się trochę zaskoczony. – Claudio – powtarzam tonem, który w moich własnych uszach brzmi przejmująco.

Rozgląda się wokół, po czym podchodzi.

– Tak?

– Dlaczego?

– O co chodzi? – pyta z obojętnością. – Ostrzegam, że jeśli znów będziesz się czepiać sprawy Valenti, nie chcę o tym słyszeć.

Milczę. Czy naprawdę warto?

– Cóż, po prostu byłam ciekawa. Nieważne – bąkam.

Claudio wzdycha.

– Rozumiem, o co ci chodzi. O wyniki badań toksykologicznych.

Nie. Tym razem Giulia nie jest na pierwszym planie. Jak mu jednak powiedzieć, że chciałam tylko... Sama dobrze nie wiem, czego chciałam. Wyjaśnić? Nie ma co wyjaśniać.

– I tak, i nie.

Przyjmuje to do wiadomości z lekkim znużeniem.

– Uprzedzam cię jednak, że mam mało czasu.

– Nie szkodzi. Wystarczy niewiele.

– Chodź ze mną – konkluduje pośpiesznie, wyprzedzając mnie i czekając, aż za nim pójde. Prowadzi mnie do laboratorium. Zamyka drzwi.

– Są to wiadomości jeszcze nieoficjalne, spróbuj więc przynajmniej zachować je dla siebie.

Podaje mi kopię badania. Potrzebuję minimum skupienia, bo toksykologia sądowa nie jest moim mocnym punktem.

– Rozumiem. Pozwól, że ci wytłumaczę – mówi, biorąc stołek i pokazując, żebym usiadła. Przez tę chwilę, gdy siedzę z nim, znakomitym nauczycielem – bo przecież nim jest – który wyjaśnia mi wszystko to, czego nie rozumiem, wdychając przy okazji jego charakterystyczny zapach i patrząc w jego niedoskonałe oczy, mam wrażenie, że cofnął się czas.

Jak było do przewidzenia, toksykolog nie jest w stanie ustalić na podstawie metabolitów znalezionych we krwi godziny zażycia narkotyku, a to dlatego, tłumaczy Claudio, że indywidualna farmakokinetyka jest bardzo zmienna i nie istnieją tu miarodajne parametry. Tak więc jest całkowicie wykluczone, żeby na podstawie dawki narkotyku przyjętej przez Giulie można było wyliczyć czas, jaki upłynął między tym momentem a śmiercią. Interesujące są jednak badania toksykologiczne przyjaciół Giulii.

Jedyną, u której wynik okazał się pozytywny, jest Sofia Moran-dini de Clés, co potwierdzałoby przypuszczenia Bianki Valenti. Metabolity znalezione w jej krwi są takie same, jak te znalezione u Giulii. Z jednym wyjątkiem: paracetamolu.

– Nie mogły więc zażyć tej samej dawki narkotyku – komentuję, szukając potwierdzenia u Claudia.

– Dobrze się zastanów. Istnieją dwie możliwości, albo narkotyk nie był ten sam, albo paracetamol został zażyty przez Valenti niezależnie od heroiny.

– Ale Giulia nigdy rozmyślnie nie zażyłaby paracetamolu. Wiedziała, że jest uczulona i ryzykuje szokiem. Potwierdzili to jej krewni. Claudio, nie pozwól, by zmyliła cię oczywistość. Uwierz mi, to brzydka historia. Szczególnie jeśli narkotyk wzięty przez obie dziewczyny jest ten sam. Heroina, ta wyrzucona strzykawka, paracetamol... Nic się tu nie zgadza.

– Materiał genetyczny znaleziony na strzykawce nie należał do Sofii. Mimo to jej sytuacja staje się i tak trochę niewygodna. W każdym razie, jak już kilkakrotnie próbowałem ci wyjaśnić, ślady żeńskie na strzykawce mają znaczenie bardzo wątpliwe i mało miarodajne.

– Chcesz przez to powiedzieć, że według ciebie, to mimo wszystko Sofia narkotyzowała się z nią tamtego wieczoru?

– Możliwe. Na przykład używając innej strzykawki, bo na pewno nie tej samej co Giulia. Udowodnienie tego będzie trudne, ale przecież nas to nie obchodzi. Zrozumiałaś, Alice? Nas to nie obchodzi. Nasze zadanie kończy się w tym miejscu. Skończy się dzisiaj, w chwili kiedy wytłumaczymy prokuratorowi, że po pierwsze, nie jesteśmy w stanie precyzyjnie ustalić momentu, w którym Valenti wzięła narkotyki; po drugie, uważamy za prawdopodobne, że narkotyki przyjęte przez Morandini jest ten sam; po trzecie, że paracetamol mógł być zarówno zmieszany z heroiną, jak i zażyty przez Valenti w innym momencie.

– A gdyby Sofia potwierdziła, że to był ten sam narkotyk... Co zrobimy z paracetamolem?

– W takim przypadku cała historia nabrałaby zdecydowanie niejasnego charakteru – stwierdza Claudio. – I wtedy mógłbym usprawiedliwić twoje zainteresowanie, które od samego początku przejawiałaś dla historii z narkotykami, jakich zdarza się wiele.

– Czy jest jakiś sposób, żeby poznać wersję wydarzeń przedstawioną przez Sofię?

– Nie wiem, może oglądając dziennik telewizyjny na przykład.

– Przestań, Claudio. Mówię poważnie.

– Zrozumiałem. Co chcesz, żebym ci powiedział? Idź po informacje do Calligarisa, jeśli tylko masz odwagę – odpowiada zniecierpliwiony. Dlaczego nękam go w sposób aż tak uporczywy? Nie uważam się za osobę bezczelną ani trudną. A jednak takie są fakty: wytrzymuje ze mną najwyżej dziesięć minut, potem nie daje już rady.

– A dlaczego miałabym nie mieć odwagi? Co w tym złego? – odparowuję z wyzywającą miną.

Claudio potrząsa głową, jakby rozmawiał z uczennicą.

– Oczywiście, żartowałem.

– Ja nie – odpieram hardo.

– Wyjdź z laboratorium, Alice. Wracaj do pracy. Przypominam ci, że masz termin na głowie i jeśli nie wywiążesz się ze swoich obowiązków, nieźle się skompromitujesz. O tym powinnaś myśleć! Nie o sprawie Valenti.

– Ach tak? Ty, który jesteś takim mistrzem życia. Cóż, mogłeś mi pomóc – mówię, nie ukrywając rozczarowania.

– Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że życie nie jest łatwe i że nie zawsze znajdujemy kogoś gotowego się za nas narażać? Sama musisz sobie radzić. I mimo wszystko może ci się udać.

Po wyłuszczeniu czegoś tak oczywistego, lekkim pchnięciem, które nie jest ani chamskie, ani nieuprzejme, ale właściwie równoważne z grzecznym kopniakiem w tyłek, kieruje mnie do wyjścia z laboratorium. Płonę z upokorzenia.

Dokładnie w tej chwili dzwoni Arthur i proponuje wyjście w środę do teatru; w spektaklu gra Cordelia. Zgadzam się oczywiście.

Trupa Cordelii wystawia awangardowy spektakl w Teatro dell’Orologio, przy przecznicy via Vittorio Emanuele; rolę powierzono jej w ostatniej chwili, w zastępstwie dziewczyny, która nieoczekiwanie się wycofała. Choć z samego spektaklu zupełnie nic nie rozumiem, mogę stwierdzić, że na scenie radzi sobie całkiem nieźle. Ma piękną prezencję, a głos ustawiony w dość profesjonalny sposób. Kilka razy wymieniamy z Arthurem uśmiechy i porozumiewawcze spojrzenia; on jest wyraźnie dumny z tej małej zarazy, jaką jest jego siostra.

Koniec drugiego aktu.

Gdyby to był film, w tym momencie w tle rozbrzmiałaby muzyka ze *Szczęk*.

To Najwyższy.

Było głupotą z mojej strony nie przygotować się na możliwość spotkania z nim, choć zdawało mi się, że stosunki między ojcem a córką są raczej wątle.

Wyraz jego twarzy, kiedy orientuje się, że ja i jego syn Arthur przyszliśmy razem, jest trudny do odczytania. Nie jest to właściwie rozczarowanie, to raczej bezgraniczne zdumienie. Tak jakbym nie tylko nie mieściła się w kategorii kobiet, które mogłyby sobie wyobrazić ze swoim synem, ale jakbym wręcz w ogóle nie mieściła się w kategorii kobiet. W każdym razie, jak przystało na człowieka świetnie zachowującego pozory, wita się ze mną w stosowny sposób. Czuję się nie na miejscu, jakbym została na siłę zaciągnięta na spotkanie rodzinne, podczas którego moja obecność jest niepożądana. Nie mam się czego wstydzić, a jednak czuję się zakłopotana.

Podaję mu spoconą dłoń w zawstydzająco słabym uścisku.

– Tato, już znasz Alice – mówi Arthur normalnym tonem, ale na jego twarzy rozpoznaję grymas ironii. Sytuacja najwyraźniej go bawi.

– Miałem już to szczęście – odpowiada Boss lodowato. Potem on i Arthur gawędzą o występie Cordelii jak dwaj przypadkowi znajomi.

Najwyższy jest w towarzystwie słynnej kandydatki do roli czwartej żony, kobiety zupełnie bez wyrazu, ale za to z muchami w nosie. Z kłopotu wybawia mnie przyjście hrabiny Saglimbeni, która już samą swoją groźną obecnością płoszy Bossa i jego partnerkę; wygląda na to, że są ze sobą na noże.

Hrabina Saglimbeni ma włosy w kolorze platyny upięte w kunsztowny kok. Cordelia jest do niej zadziwiająco podobna, wydaje się spłodzona bez udziału Najwyższego. Hrabina bez ostentacji okazuje Arthurowi szczere uczucie.

– Czy tylko ja uważam, że ten spektakl jest sthaszny? – pyta z arystokratycznym akcentem.

– Straszny to mało powiedziane. Ale Cordelia jest szczęśliwa – odpowiada Arthur z odcieniem czułości.

– Chciałabym, żeby ktoś zdołał ją od tego odwieść, thaci czas. Ahturze, jesteś jedynym, kóthego słucha... Phoszę cię, sphóbuj.

– Obiecuję – odpowiada z uśmiechem.

Ledwie hrabina się oddala, zwracam się do Arthura.

– Ciekawe, co o nas myśli?

– Kto, Anna? Dlaczego cię to interesuje? – Podejrzewam, że dobrze wie, o co mi chodzi.

– Ależ nie, nie ona! Twój ojciec!

– Ach, ojciec! – powtarza, naśladowując mój falset.

- Przestań! Przecież dobrze go znasz... Mówię serio.
- To nie jest ściśle powiedziane, że go dobrze znam. W każdym razie nie jestem pewny, czy sprawiło mu przyjemność zobaczenie nas razem. To nic osobistego, spróbuj zrozumieć. Być może chodzi o to, że przypadkiem mogłabyś go zobaczyć w innej roli niż wyłącznie swojego szefa.
- Nie potrafiłabym go ujrzeć w innej roli.
- Ja sam mam trudność, by widzieć go jako ojca. Ale kogo to obchodzi.
- Mnie... Dla mnie to ważne – bąkam.
- Ale z ciebie tchórz – mówi, potrząsając głową, wyraźnie rozbawiony.

* * *

W samochodzie, w drodze do lokalu, gdzie mamy zjeść kolację, z zainteresowaniem słucham radia. Nadają audycję dotyczącą sprawy Giulii Valenti.

Sofia Morandini de Clés poddana została maglowaniu, a Cal-ligaris próbuje wycisnąć ją jak cytrynę. Wynik badania toksykologicznego jemu też najwyraźniej nie pasuje do obrazu. Myślę, że jutro złożę mu wizytę. Mam mu coś do powiedzenia.

– Siedzisz w tym wciąż po uszy, przyznaj – komentuje Arthur, prawdopodobnie obserwując moją minę.

Czerwienię się.

– Cóż... tak. Tak, to prawda. Ale nie mam ochoty o tym rozmawiać.

– A masz ochotę na kolację?

– Tak, ale u ciebie – odpowiadam śmiało.

Odrywa wzrok od drogi i rzuca mi szybkie, zaskoczone spojrzenie.

– *Be my guest.*

W domu, nad kupionymi przed chwilą w chińskiej restauracji na rogu pierożkami na parze, nasze spojrzenia nagle się spotykają.

– Nie wiem, czy mam ochotę na jedzenie – oświadcza.

Okrywa nas cisza, a pokój zdaje się przeistaczać w wyspę.

Zbliżam się nieśmiało i muskam palcami jego policzki.

Nic nie mówimy.

Nie jemy.

Ta noc jest bardzo szczególna.

Tej nocy nie wróciłam do domu.

Obudziłam się obok mężczyzny, który – gdy zorientował się, jak jest późno – ograniczył się do wdzięcznego uśmiechu i powiedzenia:

– Jakie to ma znaczenie? Teraz bzykasz się z synem szefa.

– Potwór. Mogę wziąć prysznic?

– *Sure* – mówi, wstając i zakładając podniesioną z podłogi koszulę.

Przezesuje palcami włosy, kręci szyją, jakby chciał ją rozluźnić i znika z mojego horyzontu. Naciągam figi i koszulkę w oczekiwaniu na możliwość skorzystania z łazienki. Patrzę na zegarek. Z mojego pustego brzucha dochodzi ponure burczenie.

– Arthurze... jest naprawdę późno, pospiesz się, proszę! – Wally skrupulatnie kolekcjonuje moje spóźnienia i wszystkie inne niedociągnięcia, więc nie chciałabym robić jej kolejnych podarunków.

Wychodzi z łazienki olimpijsko spokojny i robi szybki ukłon przy drzwiach.

– Jest cała twoja. Położyłem ci czyste ręczniki na wiklinowym koszu. Chcesz śniadanie? Kuchnia poleca... Zobaczmy – kontynuuje, idąc w stronę kuchni. – Poleca. Całkiem nic, lepiej iść do baru.

– Za chwilę będę gotowa! – krzyczę z kabiny prysznicowej.

Stojąc pod strumieniem ciepłej wody, słyszę *Lovers in Japan* Coldplay, dochodzące z radia, które włączył na cały regulator w kuchni. Ubieram się błyskawicznie, robię lekki makijaż tym, co zazwyczaj noszę w torebce, i jestem gotowa do wyjścia.

– Mogę cię odwieźć? – pyta i bierze kluczyki od samochodu.

– Nie chciałabym ci przeszkadzać – mówię, wkładając płaszcz.

Otwiera drzwi mieszkania.

– Idziemy. Ale najpierw wstąpimy do baru, nie możesz iść do pracy na czczo.

Jemy śniadanie w małym barze w pobliżu uniwersytetu. On zamawia espresso i croissanta z nutellą. Zdejmuje szal z granatowego kaszmiru i miesza cukier w filiżance. Oczy ma lekko podkrążone.

– Teraz naprawdę jestem spóźniona – mówię, zerkając na jego zegarek, i przerażona łapię się za głowę.

– Powinnaś podchodzić do życia z większym spokojem. *Take it easy*.

– I ty to mówisz? Jakbyś nie znał własnego ojca. Poza tym jest Wally, a ona jest jeszcze gorsza.

Ruszam nerwowo stopą pod stolikiem. Kiedy wskazówki zegarka wskazują ósmą trzydzieści, podnoszę się gwałtownie, muskam wargami jego szorstki policzek.

– I tak mnie zostawisz? – pyta, mając jeszcze w ustach niedokończonego croissanta.

– Muszę pędzić, przykro mi.

On ze spokojem wyciera usta serwetką i wstaje.

- Zaczekaj, tylko zapłacę i odwożę cię do instytutu.
 - Nie, nie, szybciej będę pieszo, wystarczy, jak pobiegnę.
- Zdaje się ustępować siłą bezwładu.
- Zadzwoń do ciebie później.
- Puszczam do niego oko i uciekam.

Cały dobry humor, z jakim rozpoczęłam dzień po cudownie spędzonej nocy, ulatnia się pod wpływem fatalnej wiadomości. To jednak prawda, że człowiek jest istotą, którą trudno zadowolić.

Nie wiem, co bym dała za błogość nocy z Arthurem, a jednak dzisiaj ta sama błogość odpływa w ciągu krótkiej chwili.

Jesteśmy w pokoju we trzy.

Ambra studiuje obfitą dokumentację dotyczącą jakiegoś przypadku zawodowej odpowiedzialności medycznej; ja mam głowę zaprzątniętą pewnymi niezbyt przyzwoitymi szczegółami sprzed kilku godzin; Lara uporczywie szuka mojego spojrzenia, a kiedy je przechwytuje, niezręcznie wskazuje w stronę wyjścia. Nie jest dla mnie zbyt jasne, o co jej chodzi, aż do chwili, kiedy oznajmia, wykorzystując najbardziej klasyczny pretekst:

– Idę do łazienki! – A towarzyszy temu wyraźna sugestia, żebym z nią poszła. Ambra, jak to ma w zwyczaju, ignoruje nas.

– Co cię napadło? – pytam, kiedy tylko znajdujemy się w bezpiecznej odległości od wroga.

– Musiałam pilnie z tobą porozmawiać. Mam fantastyczną plotkę – odpowiada z dumą. Ponieważ ostatnim razem, kiedy wyskoczyła w taki sposób, koniec końców chodziło o zupełnie nieistotną wiadomość, nie spodziewam się niczego ważnego.

Zamykamy się w mniej uczęszczanej łazience dla niepełnosprawnych, żeby porozmawiać bez przeszkód.

– Zgadnij, kto jest z kim? – zaczyna.

– Laro, nie wiem. Żadnych suspense'ów, proszę.

– Claudio...

Słyszac jego imię, czuję dreszcz. Mam złe przeczucie, nieprzyjemne wrażenie, które gwałtownie mnie ogarnia.

– Claudio? Z kim jest? – nalegam wbrew sobie.

– Z Ambrą, to oficjalne.

Chwileczkę.

– W jakim sensie oficjalne? Laro, co ty mówisz? Claudio nigdy by tego nie zrobił.

– Posłuchaj, wiem tylko tyle, że przyjechali dziś do instytutu razem i tak się wpili sobie w usta, że nawet w *Prywatce*...

– To nic nie znaczy. Na pewno chodzi tylko o seks.

– Nie sądzę. Słyszałam, że to trwa już od jakiegoś czasu.

W gruncie rzeczy chyba się spodziewałam, że prędzej czy później to nastąpi, bo mieli się ku sobie. Napięcie seksualne między nimi było tak silne, że często stawało się wręcz namacalne.

Nie spodziewałam się jednak, że może mnie to tak bardzo zabołec.

Jest wczesne popołudnie, kiedy dzwoni Silvia i proponuje wieczór sushi w japońskiej restauracji w okolicy Muzeów Watykańskich, kilkaset metrów od jej domu. Zgadzam się z entuzjazmem, również dlatego, że pragnę ją powiadomić o rozwoju sytuacji z Arthurem.

Umówiliśmy się naprzeciwko lokalu, gdzie dołącza do mnie jak zwykle spóźniona, jak zawsze efektowna. Za każdym razem, kiedy ją widzę, zastanawiam się: jest prawdziwa czy poprawiona? Jest figurą woskową z muzeum Madame Tussaud czy po prostu tu i tam wstrzyknęła sobie silikon?

– Wybacz spóźnienie, *ma chère*.

– Przywykłam. Wchodzimy, oszczędziłaś sobie dwadzieścia minut stania w kolejce.

Unosi się wokół niej cudowny, intensywny zapach perfum. Siada przy stoliku, z nonszalancją zdejmuje kurtkę i zostaje w szarej bluzce z krótkimi rękawami, lekko zmarszczonej pod szyją. Na przegubach ma pełno bransoletek, które przy każdym ruchu ręką wesoło pobrzękują. Gęste rude włosy, długie i nieujarzmione, opadają jej na ramiona; ogólnie wygląda bardzo prowokująco.

Po złożeniu zamówienia poruszamy całą serię tematów. A konkretnie: moja tragedia zawodowa; moje dwuznaczne/patologiczne stosunki z Claudiem Confortim; rozwój sytuacji z Malcomessem juniorem. Ledwie zaczęliśmy się zapuszczać na terytorium jej perypetii uczuciowych, kiedy jakiś nie całkiem obcy głos odwraca naszą uwagę.

– Silvia!

Podnosimy oczy mniej więcej równocześnie.

Ku mojemu absolutnemu zaskoczeniu widzę, że stoi przed nami Jacopo De Andreis. Ma krawat jak zwykle zawiązany w stylu *ascot*, ale jego nieskazitelny wygląd ma dziś jakiś nowy odcień. A może po prostu, wbrew sobie, podkreśla żałobę? W istocie, jego twarz wydaje się świetlista i choć nie powiedziałabym, że to mężczyzna konwencjonalnie przystojny, muszę przyznać, że wspaniały uśmiech dodaje mu sporo uroku.

Silvia z wdziękiem reaguje na dźwięk swojego imienia, wstaje, by przywitać się czule i poufale.

A to ci dopiero.

Z roztargnieniem, ale też z zaskakującą uprzejmością Jacopo zdaje się mnie sobie przypominać.

– Allevi, jeśli się nie mylę – mówi, mrużąc oczy, jakby chciał uniknąć błędu.

– Tak, Alice.

– Znacie się? – pyta Silvia z zapalem.

– Tak, niestety – odpowiada Jacopo. Zorientowawszy się, że zabrzmiało to niefortunnie, szybko się poprawia. – W tym sensie, że sytuacja, w której się poznaliśmy... – Urywa zdanie w połowie, jakby nie był w stanie skończyć. Jego twarz pochmurnieje, a Silvia, zaskoczona i drapieźna, kojarzy fakty.

– Słyszałam o twojej kuzynce. Naprawdę, bardzo mi przykro. Chciałam nawet zadzwonić, ale... w tych okolicznościach, jak sądzę, zainteresowanie może bardziej męczyć, niż nieść pocieszenie.

– W istocie tak jest – oświadcza sucho, ale z wdziękiem, nie rezygnując z uśmiechu, którym wyraźnie zwykł okraszać swoje wypowiedzi. – Jak się pani miewa? – zwraca się w końcu do mnie.

– Dobrze, dziękuję – odpowiadam, czując się naprawdę bardzo mała. Jacopo De Andreis potrafi górować na nade mną psychicznie i emocjonalnie.

Jacopo i Silvia podejmują krótką rozmowę na tematy ściśle prawnicze, z czego rozumiem mniej niż połowę. Czekam cierpliwie, prędzej czy później się pożegnają.

Następuje to w chwili, kiedy pojawia się Bianca.

Wychodzi z toalety. Jest bardzo wychudzona i ta chudość uwypukla pewne cechy jej figury, czyniąc ją niezwykle podobną do Giulii – włosy ma trochę krótsze, sińce – mimo wyraźnych starań, by je zakamufłować, okalają jej oszałamiające oczy, które dziś wydają mi się ciemniejsze niż kiedykolwiek. Podchodzi do naszego stolika nieco zdezorientowana. Uśmiecha się do mnie nieznacznie, mrugając długimi rzęsami, a jej kocie oczy rozjaśniają się na krótką chwilę.

Wyraźnie czuje się nieswojo. Ma spuszczone oczy, lekko przygarbione plecy. Jakby chciała zniknąć albo znaleźć się w zupełnie innym miejscu.

– Wszystko w porządku, Bianco? – pytam. Patrzy na mnie zmieszana.

– Tak. Tak – powtarza w końcu. – Tylko bardzo boli mnie głowa. Jacopo – zwraca się do kuzyna – pójdziemy już, dobrze?

On potakuje i żegna się bardzo czule z Silvia. Ze mną uprzejmie. Osoba, która zdaje się duchem Bianki Valenti, żegna nas obie apatycznie.

– Skąd go znasz? – pytam natychmiast Silvia, zadowolona z nowego tematu do rozmowy.

– Ciii, idiotko. Jeszcze na nas patrzają – odpowiada przez zaciśnięte zęby, z wdzięczącym się uśmiechem na ustach. Milczę, dopóki nie uzna, że nadeszła chwila na wyjaśnienia. Zanurza *maki* w sosie zmieszonym z wasabi i wreszcie zaczyna opowiadać.

– Jacopo De Andreis, jakbyś nie wiedziała, jest adwokatem. To wyjaśnia, skąd i dlaczego go znam.

– A jeśli chodzi o charakter waszych stosunków? – pytam tonem przesłuchania.

– Niezbyt pogłębione. Ale byliśmy raz w łóżku.

Sushi staje mi w gardle, i to nie z winy wasabi.

– Silvio!

– O co chodzi?

– Nigdy bym nie pomyślała.

– Niby dlaczego? – Silvia zdaje się zirytowana moją konwencjonalną postawą. – Byliśmy na sympozjum w Asti jakieś dwa lata temu. Wiesz, jak się to odbywa. Idzie się na drinka po kolacji, jakaś aluzja, spojrzenie, wraca się do tego samego hotelu. I w końcu do tego samego pokoju.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Gdybym ci miała opowiadać o wszystkich facetach, z którymi chodzę do łóżka... – słyszę wymijającą odpowiedź.

Rzeczywiście, w kwestiach uczuciowych Silvia jest trochę anarchistką. Jej przygody od samego początku mają wyznaczoną datę ważności. Ma instynkt łowcy, taka już jest.

– Opowiedz mi o nim – proszę. I muszę przyznać, że moja ciekawość nie dotyczy jego przelotnego związku z Silvia. – Czy on przypadkiem nie ma narzeczonej?

– Tak i miał ją też dwa lata temu. Od co najmniej dziesięciu lat jest z tą tępą idiotką Dorianą Fortis, ale zdradza ją na lewo i prawo, wszyscy o tym wiedzą. Również z tą, z którą

widziałyśmy go dziś wieczorem... to pewnie jego nowa zdzira.

– Mylisz się, to jego kuzynka. Siostra tej, która umarła.

– Aha. A ty skąd to wszystko wiesz?

– Claudio robił sekcję, a ja śledziłam uważnie całą sprawę. – Pomijam szczegóły historii. Nie są istotne, a ja chcę się dowiedzieć jak najwięcej o tym typie, którego nigdy naprawdę nie rozgryzłam. Czy to skurwiol udający uprzejmego człowieka, czy na odwrót?

– Jest bardzo piękna, choć zaniedbana.

– Dziś wieczorem była jakaś dziwna. Kiedy ją poznałam, była tak piękna, że wyglądała jak aktorka z lat czterdziestych, i do tego, była bardzo zadbana. Spotkałyśmy się kilka razy. Potrzebowała pewnych wyjaśnień medycznych dotyczących śmierci siostry. Zaprzyjaźniamy się, bardzo mi się podoba.

– Jakie to wzruszające! Zaprzyjaźniacie się, jak dziewczynki w podstawówce! Ty byś się zaprzyjaźniła nawet z kamieniami – wyrokuje Silvia.

– A ty jesteś zazdrosna, zawsze byłaś. I zaborcza. Jesteś zazdrosna nawet o Yukino.

– O Yukino najbardziej.

– Wracając do Jacopa i Doriany...

– Myślę, że to związek oparty na korzyści. Jacopo ma wyrafinowany gust. Zdradza ją, ale zawsze niezwykle starannie dobiera kochanki. I uwierz mi, jego zainteresowanie jest satysfakcjonujące.

– Wybacz, ale jaką korzyść miałby z takiego związku? Pochodzi ze znanej i szanowanej rodziny.

– Tak, ale nie tak bogatej, jak lubi dawać do zrozumienia. A Doriana jest jedyną spadkobierczynią Giovanniego Fortisa, czyli właściciela ForTek. Ma tyle pieniędzy, że gdyby wygrała kumulację na loterii, nie zrobiłoby to na niej najmniejszego wrażenia.

– I według ciebie on ją wykorzystuje?

– Może nie. Ale moim zdaniem raczej tak.

Biorąc pod uwagę przenikliwą intuicję Silvii, uważam tę hipotezę za prawdopodobną.

– A znasz Dorianę?

– Alice, to wygląda na przesłuchanie. Dosyć! Jeśli chcesz, mogę ci za to opowiedzieć o jego wyczynie. Wyśmienity. Naprawdę.

– Tym lepiej dla niego. Mnie jednak interesują inne kwestie.

Silvia uśmiecha się, potrząsając z rezygnacją głową.

– Dorianę znam ledwie, ledwie, ale mogę ci powiedzieć, że nie jest szczególnie błyskotliwą dziewczyną.

– A... tamtego wieczoru? Jak się wobec ciebie zachowywał?

– To mężczyzna z klasą. Trochę nakręcony, ale pewnie dlatego, że wciągnął kreskę kokainy. Tężeję.

– Skąd wiesz?

– Zaproponował mi. Odmówiłam.

– Czy robi to regularnie? – Sytuacja staje się interesująca.

– Nie wiem. Nie mówi się o tym, a tamtego wieczoru nie przeszedł do konkretów. Ograniczył się do propozycji. To uprzejmy mężczyzna. Następnego dnia zjedliśmy śniadanie i wyjechaliśmy. Ja do Rzymu, on do Londynu, gdzie czekała na niego Doriana.

– A potem? Nie dzwoniście do siebie?

Silvia zastanawia się przez chwilę.

– Tak – odpowiada w końcu. – Przy okazji życzeń noworocznych, ale tylko w ubiegłym roku. W tym już nie. Czy możemy zmienić temat?

– Nie... proszę. To jest przynajmniej ciekawe. Czy wiesz coś o jego kuzynkach?

– Młodsza, ta, która umarła, pozowała często jako modelka. Była piękna, naprawdę piękna. Tego wieczoru, który spędziliśmy razem, zadzwonił do niej; miała na imię Giulia, prawda? Był bardzo czuły. Powiedziałabym braterski. Przez chwilę nawet jej pozazdrościłam. Pomyśl o swoim bracie, potem o moim, a potem pomyśl o takim bracie jak Jacopo De Andreis.

Rzym jest gorszy od Sacrofano. Wydaje się duży, ale koniec końców zawsze dowiadujesz się wszystkiego o wszystkich; przynajmniej w pewnym środowisku. Ile niespodzianek może przynieść wieczór sushi spędzony z Silvia!

Odważna wizyta w biurze inspektora Calligarisa

Kogo mam zapowiedzieć? – pyta dziewczyna w mundurze, brunetka o kręconych włosach i sympatycznym wyrazie twarzy.

– Doktor Allevi.

Czekając, czytam *Po zmierzchu* Harukiego Murakami. Jest trzecia, właśnie wyszłam z instytutu i chęć, by podzielić się z kimś moimi przemyśleniami na temat sprawy Valenti, spowodowała, że zboczyłam ze zwykłej drogi do domu i ruszyłam w stronę komisariatu policji.

Inspektor Calligaris wita mnie uprzejmie, otwierając jedyne okno w swoim gabinecie, by przewietrzyć pomieszczenie przesiąknięte dymem papierosowym.

– Moja droga Alice, miło mi panią widzieć. W czym mogę pomóc?

– W gruncie rzeczy nie chodzi o żadną pomoc, inspektorze. Chciałabym porozmawiać o sprawie Valenti.

Inspektor wytrzeszcza oczy i pokasłuje.

– Pani doktor, sprawdziłem pani doniesienie. Może być pani spokojna – tłumaczy mi cicho, ale wyniośle.

– Nie o tym chciałam rozmawiać.

– Ach, nie? – mówi zmieszany.

– Chciałam porozmawiać z panem o wynikach badań toksykologicznych.

Calligaris uśmiecha się.

– Znam je, moja droga. I mogę panią zapewnić, że doktor Conforti był, jak zwykle, bardzo dokładny.

W ten uprzejmy sposób chce mi dać do zrozumienia, że nie czuje potrzeby rozmawiania ze mną o czymkolwiek. I mogę to zrozumieć. Jednak nalegam.

– Mam na myśli nieobecność paracetamolu we krwi Sofii Morandini de Clés.

– No więc, moja droga, co się pani nie zgadza? – pyta, podpierając ręką podbródek, tonem wyrażającym co najwyżej ciekawość.

– Otóż... chcę zwrócić pańską uwagę na fakt, że jeśli Morandini potwierdzi, iż zażywała ten sam narkotyk co Giulia, wówczas obecność paracetamolu można wyjaśnić tylko w jeden sposób: ktoś jej go podał, by ją zabić.

Inspektor Calligaris, żylasty z wyglądu, spocony mniej więcej tak samo jak zwykle, przyjmuje zamyśloną pozę. Patrzy na mnie ze szczerym zainteresowaniem i daje znak jakiemuś aspirantowi, który stanął w drzwiach, żeby przyszedł później.

– Pani doktor, chciałabym zauważyć, że hipotetycznie narkotyk zażyty przez obie dziewczyny pochodzi z tej samej partii, ale nie jest wykluczone, że były to dwie osobne działki, a to wyjaśniłoby nieobecność w jednej z nich paracetamolu.

Patrzę na niego poirytowana.

– Co za zbieg okoliczności! Paracetamol znajduje się właśnie w działce Giulii, która, jak wszyscy wiedzą, jest na niego uczulona! Co za tragiczny pech. Poza tym, inspektorze, metabolity znalezione we krwi obydwu są identyczne... z wyjątkiem paracetamolu. Nie mogę uwierzyć, że taki fakt nie wzbudza pańskich podejrzeń.

Calligaris uśmiecha się, a jego uśmiechowi towarzyszy zadziwiająco przenikliwe spojrzenie.

– Znakomita obiekcja. Jest pani przygotowana! Proszę kontynuować, pani opinie mnie fascynują.

– Jest tak, prawda? Sofia oświadczyła, że narkotyk był ten sam.

– Pani doktor, proszę nie nadużywać mojej cierpliwości! – odpowiada z dobrotliwym uśmiechem. – Niech mi pani przedstawi swoje teorie, a mnie zostawi zadanie przepracowania ich na mój użytek.

– Zgoda. Wyłumaczę najlepiej, jak potrafię. Jeśli narkotyk jest ten sam, to oczywiste, że Giulia przyjęła paracetamol w innym momencie i że nie został on zmieszany z heroiną. Dlaczego więc go zażyła? Istnieją trzy możliwości. Pomyłka? Samobójstwo? A może ktoś jej go podał? Ale jeśli tak, to w jakim celu, jeśli nie po to, by ją zabić?

– Przeanalizujemy po kolei te hipotezy – proponuje Calligaris, zapalając papierosa.

– Pomyłka... Ale jak? Pomyliła jedną pastylkę z inną? To dziwne, zazwyczaj ktoś, kto wie, że jest alergikiem, bardzo uważa na to, co zażywa. Samobójstwo. Tak, to możliwe, ale w tym przypadku, poza obiekcjami, o których już wspomniałam, dlaczego nie znaleźliście żadnego śladu? Żadnego opakowania, żadnej karteczki? Pomyślmy teraz o morderstwie. Jaki jest najlepszy sposób, by ją zabić? Szybki, z praktycznie pewnym efektem, bezkrwawy. Idealna broń – sam system odpornościowy Giulii.

Calligaris potakuje.

– Słuszne uwagi, Alice. To oczywiste, że pomyśleliśmy już o wszystkim, ale jestem pod wrażeniem pani entuzjazmu, naprawdę.

Dzwoni telefon, a on nie może nie odebrać. Zerkam nieuważnie na jego biurko i ogarnia mnie czułość na widok zdjęcia dwójki dzieci, prawdopodobnie bliźniaków, niewiarygodnie podobnych do inspektora. To podobieństwo nie działa na ich korzyść, ale ich uroda polega właśnie na nieregularności rysów i tej beztroskiej radości, jaką tylko dzieci są w stanie wyrazić.

– Alice, przykro mi, ale muszę iść, i to szybko – wyjaśnia, odłożywszy słuchawkę. Zgarnia z biurka papierosa, zapalniczkę, zniszczony portfel, pluszowy breloczek do kluczy w kształcie wieloryba.

Rozumiem komunikat i podchodzę do drzwi. Calligaris żegna mnie uprzejmie serdecznym uściskiem dłoni.

– Do usłyszenia wkrótce, moja droga.

A tymczasem – całkowicie zaprzątnięta, kolejno Arthurem, sprawą Valenti i starciami z Claudiem – zepchnęłam gdzieś daleko na tył głowy nieuchronność tego, że zbliża się wyznaczony termin, a ja nie uczyniłam nic dla uniknięcia mojego osobistego upadku. W istocie minęły prawie dwa miesiące od straszliwego ultimatum postawionego przez Wally. Miałabym ochotę pójść do Anceschi i żebrać o dobre słowo: wystarczyłoby na przykład, gdyby wyjaśnił Wally, jak bardzo zaangażowałam się w sprawę Valenti. Ale żeby być całkowicie szczerą, czy zrobiłam coś więcej?

Nie, nie, nie. Ale wstyd. Mam to, na co zasługuję.

Zmęczona tym samoudręczaniem, postanawiam odsłonić karty przed bezpośrednio zainteresowaną i wyczuć, co zdecydowała w sprawie moich dalszych losów.

Les jeux sont faits.

Puk puk.

– Proszę! – odpowiada Boschi głosem ropuchy, co przypomina mi zawsze, jak bardzo palenie szkodzi na struny głosowe. – Ach, to pani – mówi, obrzuciwszy mnie szybkim spojrzeniem.

– Przeszkadzam?

– Proszę usiąść – mówi zdecydowanym tonem. Nie wydaje się skłonna do dialogu.

– Pani profesor Boschi... Może to nie jest właściwy moment, by z panią rozmawiać...

Zdejmuje okropne okulary dalekowidza i podnosi sinawe dłonie do czoła.

– Droga doktor Allevi, do wszystkich pani licznych braków zaliczałam też zawsze dziwny brak wyczucia. Nie jestem więc, oczywiście, zdziwiona. Chce pani rozmawiać o swojej sytuacji, prawda? Chce pani wiedzieć, czy podjęłam już decyzję, mam rację?

– Tak – potakuję gorączkowo.

Wielka Ropucha ma minę zadumaną i uroczystą, kiedy wyjaśnia mi, że:

– W ostatnim czasie w milczeniu obserwowałam panią. Nie byłabym szczerą, gdybym nie stwierdziła małej i niezbyt wyraźnej poprawy. Doktor Anceschi wspomniał o przypuszczeniach, jakie wysunęła pani w sprawie Valenti. Ale wie pani, jak to się mówi, jedna jaskółka wiosny nie czyni. Nadal uważam, że jest pani zbyt leniwa, ale przynajmniej zdobyła pani kilka punktów na swoją korzyść. Wciąż oczekuję czegoś więcej, co wyznaczy prawdziwą różnicę. Czy czuje się pani na siłach, żeby mi to udowodnić? – pyta, zakładając na powrót okulary.

– Pragnęłabym wiedzieć dokładniej, w jakim kierunku powinnam pójść. Chciałam wziąć się do pracy z większą gorliwością, ale prawda jest taka, że... nie miałam pomysłów.

Wielka Ropucha raz na jakiś czas docenia szczerą i odpowiada niemal uprzejmym tonem:

– Mogłaby pani pracować z doktorem Confortim nad projektem virtopsy. Ach, zapomniałabym, pani nie wierzy w możliwości virtopsy.

Ja w nic nie wierzę, może nawet w Boga, a co dopiero w vir-topsy. Jeśli jednak może mi to

ocalić tyłek, nauczę się wierzyć. Ale pracować z Claudiem... O, nie. Wszystko, tylko nie to. Powrócić do tego wazeliniarstwa, a potem jeszcze przyglądać się gierkom między nim a królową... Nie dam rady.

– Myślałam, że zespół badawczy przy tym projekcie jest już skompletowany.

– Zawsze jest miejsce dla kogoś, kto chce naprawdę ciężko pracować. – OK, zrozumiałam.

– Zrobimy tak. Oferuję pani rozwiązanie kłopotów na srebrnej tacy. Doktor Conforti jest bardzo obiektywny, doskonale potrafi rozpoznać wartościowe osoby. – I pomyśleć, że na zakończenie morałem miałyby być podlizanie się miejscowemu Jude'owi Law. – Proszę dokończyć projekt samodzielnie i przekazać go doktorowi Consortiemu.

– A jeśli mu się nie spodoba?

– Powtórzenie roku nie wyrządzi pani krzywdy.

To niedopuszczalne. Moja przyszłość w rękach Claudia? Który tylko po to, by przypodobać się Ambrze, upokorzyłby mnie sytuacją powtarzającej rok studentki!

Wally gorączkowo wystukuje numer na telefonie swoimi krępymi palcami, zniszczonymi od ciągłego obgryzania paznokci.

– Claudio, pozwól do mojego gabinetu, proszę.

Och, nie, na miłość boską, nie.

W mgnieniu oka ten lizus Claudio zjawia się na jej usługi. Rzuca mi zmieszane i zachmurzone spojrzenie, żeby zaraz potem zapytać usłużnie Wielką Ropuchę, w czym może być pomocny.

– Wiem, że projekt virtopsy jest w fazie stagnacji. Czy może się myłę?

Claudio marszczy czoło.

– Pani profesor, nie powiedziałbym: w fazie stagnacji. W zasadzie posuwa się naprzód. Ale to prawda, że nie jestem z tych postępów szczególnie zadowolony. Mamy problemy z gromadzeniem materiałów oraz ze współpracą z tymi z radiodiagnostyki.

– Dobrze. Znalazłam rozwiązanie problemów związanych z twoim projektem – mówi ze złośliwym uśmiechem, patrząc prosto na mnie. Jakby na zwolnionym filmie Claudio odwraca się i przygląda mi się ze szczerym zdziwieniem.

– Ona? – pyta tonem, który moja trochę przeczulona dusza uznaje za obraźliwy.

– Właśnie. Pani doktor jest bardzo zmotywowana i poprosiła, by mogła się przyłączyć do waszego programu.

Kłamczucha! Teraz Jego Wysokość Skurwielstwo pomyśli, że chodziło mi tylko o to, by ucześcić się jego tyłka.

– Dobrze – odpowiada Claudio, nie zdradzając żadnej emocji.

– Claudio, chcę, byś w chwili ukończenia projektu, przedstawił mi sprawozdanie z jej pracy. Tak jakby to był egzamin. Zgoda?

– Oczywiście – odpowiada z grymasem na pięknym obliczu. Po czym zwraca swoje lekko zezowate spojrzenie na mnie. – Pani doktor, zapraszam do mojego gabinetu, pokażę, czym się będzie pani zajmować.

Wally uśmiecha się do mnie, przekonana, że zachowała się niezwykle wspaniałomyślnie. Wbrew sobie odpowiadam na jej uśmiech i podążam za Claudiem. Na korytarzu nie patrzy na mnie i nie odzywa się ani słowem, ale po wejściu do gabinetu zamyka starannie drzwi i mierzy mnie wzrokiem z irytacją.

– Więc poprosiłaś, żeby włączyć cię do mojego zespołu roboczego. Zastanawiam się nad powodem, bo ostatnio miałaś zastrzeżenia do moich działań. Nie sądziłem, że aż tak bardzo ci zależy na pracy ze mną. – Jego sarkazm nie jest całkowicie nieuzasadniony, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, ale nie wiem, jak wyjawić mu prawdę.

– W istocie nie było tak, jak sądzisz. Poprosiłam po prostu Wally, żeby włączyła mnie do jakiegoś projektu... jakiegokolwiek. – Spuszczam głowę, czując, że niechętnie tłumaczę się z czegoś, czego nawet nie chciałam. – Claudio, wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że Wally ma wątpliwości dotyczące moich kompetencji. Pomyślała o tobie i o twoich badaniach nad virtopsy. Gdybym miała wybór, nigdy bym nie poprosiła o przydzielenie mnie do twojej grupy. Możesz być pewny.

– Aż do tego stopnia mną gardzisz? – pyta i zdaje się, choć w jego przypadku lepiej nie ufać pozorom, że jest mu prawie przykro.

– Wcale tobą nie gardzę. – Mimo wszystko to prawda. – Ale ponieważ tak, a nie inaczej ułożyły się sprawy między nami, z powodu problemów, które pojawiły się w naszych stosunkach w ostatnim czasie... Powiedzmy, że wspólna praca nie wydaje mi się stosowna. A jeszcze mniej stosowne, by nie powiedzieć paradoksalne, jest to, że masz przedstawić Wally ocenę moich umiejętności jako lekarza sądowego, skoro uważasz, że jestem nieudolna.

Milczy przez chwilę, porządkując rzeczy na biurku, ale tylko po to, by pokryć zmieszanie.

– W każdym razie nie ma o czym mówić. Nie dyskutuje się z poleceniami szefostwa. Trzeba pracować, więc będziemy pracować. Zapewniam, że postaram się być obiektywny w moim osądzie twojej osoby. I obiecuję, że pomogę ci, ile się tylko da – kończy z najbardziej ujmującym uśmiechem na ustach. Jakże mi go brakowało. To było naprawdę bolesne, kiedy zwracał się do wszystkich poza mną. – Weź krzesło i usiądź obok. Wyłumaczę ci, co masz robić.

Wszyscy mamy cenę. Twoim najgorszym wrogiem jest ten, kto może ją zapłacić

A więc, rekapitulując, zrozumiałaś, co masz robić?

Patrzę na Claudia z pogardą. Nie zwlekał, by znaleźć mi zadanie na miarę swojej perfidii, na szczęście obiecał zachowywać się poprawnie.

– To praca dla noszowego. – Mam odwagę zaprotestować.

– Na twoim miejscu bym nie grymasił – odpowiada, złośliwie unosząc brew. Ambra próbuje ukryć podły śmieszek. – Poza tym cóż to niby takiego. Nie obniży chyba wartości twojego dyplomu z wyróżnieniem z medycyny i chirurgii, jeśli pójdiesz do prosektorium po ciało, żeby przetransportować je na radiologię, gdzie wykonamy virtopsy. Tym bardziej że – czego wymagają przepisy – będzie ci towarzyszył ochroniarz, pan Capocello. Zazwyczaj wszystko robi on, bo jest osobą bardzo dyspozycyjną. Musisz tylko pokonać tunel łączący dwa budynki z nim i ze zwłokami. Słowem, Allevi, dajmy już spokój, co?

– Ale dlaczego ja? – nalegam, niezbyt entuzjastycznie nastawiona do pomysłu, że mam wędrować w asyście trupa na noszach. – To zadanie dla mężczyzn! – parskam, patrząc przenikliwie na tego robaka, Massimiliana Benniego, który udaje, że nie słyszy. A do tego jest młodszy ode mnie.

– Jeśli chcesz znać moją opinię, cała medycyna sądowa jest dla mężczyzn – odpowiada Claudio, nie bez nuty delikatnej ironii. – Ale wy, kobiety, też chciałyście się tu wkręcić, więc teraz nie możecie się wycofywać, kiedy wam wygodniej – konkluduje z nieugiętą, bezczelną

miną. A wszystko dlatego, że chciał mi pomóc. Ciekawe, co by zrobił, gdyby chciał mnie zabić?

– Skarbie, nie bądź seksistą – upomina go urażona Ambra. Uśmiecha się do mnie porozumiewawczo, ale i tak ma minę, jakby była królową balu, na który ja nie zostałam nawet zaproszona.

– Jeśli rzeczywiście muszę – bąkam ze źle ukrywaną urazą. W jego rękach mój los i jeśli chce mnie ostatecznie upokorzyć, niech mu będzie. Kiedy pomyślę o wszystkich wyrzutach sumienia, jakie miałam, poddając w wątpliwość jego decyzje! Ileż zmarnowanej szlachetności duszy!

– Znakomicie – odpowiada zblazowanym tonem, z rękami wspartymi na biodrach. – Czekamy na ciebie na radiologii o czternastej trzydzięci. Alice, to ważne. Nie spóźnij się, na miłość boską – podkreśla, niemal sylabizując, jakby zwracał się do debilki, za jaką najwyraźniej mnie uważa. – Jest już i tak zbyt wiele problemów logistycznych i nie możemy dodawać następnych, niepotrzebnych. Aparatura służy do badań na żywych, a ci z radiologii nie mogą sobie pozwolić na stratę czasu.

– Tyle że ja nie umiem latać, prawda? Jest już czternasta sześć, dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Ach, Allevi. Wyczuwam w twoim głosie nutę sprzeciwu – oznajmia radośnie, z założonymi rękami. – A przede wszystkim nie dostrzegam gotowości do współpracy.

Oczy pozostałych kolegów zwrócone są na mnie, a czas ucieka. Nie ma co tracić go więcej.

Zaczynam działać. Słyszę odgłos obcasów na podłodze podziemnego tunelu, łączącego instytut z prosektorium, trasy, której przejście zajmuje średnio od pięciu do dziesięciu minut. Po dotarciu do prosektorium zastaję tam ochroniarza skulonego na krześle. Ma twarz w niepokojącym kolorze i bawełnianą chusteczkę w kratkę, którą ociera sobie łysinę.

– Wszystko w porządku?

Biedak, którego kolor twarzy zmienia się w jednej chwili z trupiobladego na żółtozielony, potrząsa smutno głową i odpowiada z silnym akcentem z Apulii, że zupa z małży zjedzona poprzedniego wieczoru okazała się trudna do strawienia. Podnosi się z krzesła, powstrzymując odruch wymiotny.

– Idziemy, pani doktor. Pospieszmy się – ponagla mnie z cierpieniem w głosie.

Choć czuję niepokój na myśl, że będę zmuszona sama podnosić trupa, a na dodatek pogwałcę procedury, słyszę, jak moja najbardziej altruistyczna część mówi:

– Niech pan posłucha. Widać doskonale, że ledwie trzyma się pan na nogach. Dlaczego nie pójdzie pan do domu?

Zaciskając powieki z powodu kolejnego napadu kolki, pan Capoccello kuli się na krześle i patrzy na mnie z miną kogoś, kto jest o krok od przyjęcia nieprzyzwoitej propozycji.

– A kto z panią pójdzie?

– Mogę iść sama. Przecież to krótki odcinek.

– Narobimy sobie kłopotów! – bąka bez specjalnego przekonania.

– Ale jaki tam kłopot! Nikt się nie dowie. Tylko niech pan na siebie uważa, proszę.

Tak więc, obsypana słowami wdzięczności i błogosławieństwami, o czternastej dziewiętnaście wyruszam z prosektorium w kierunku radiologii w asyście trupa, trzymając mocno dłońmi w rękawiczkach uchwyty noszy. O czternastej dwadzieścia siedem jestem już

prawie u celu, kiedy odzywa się komórka i już to zakrawa na cud, bo tutaj, w królestwie Hadesu, zazwyczaj nie ma zasięgu. Wyświetla się numer, którego nie znam.

– Tak?

– szyszyszyszyszy... Alice... szyszyszyszyszy...

Trudno jednak liczyć na to, że będzie dobrze słyszeć. Odstawiam nosze i idę pod okno, gdzie może być lepszy zasięg.

– Alice?

To Arthur, ze Stambułu.

– Cześć! Wybacz, ale nie mogę teraz rozmawiać! – mówię, sprawdzając godzinę: czternasta dwadzieścia dziewięć.

– To ty wybacz, nie chciałem przeszkadzać. Chciałem tylko powiedzieć, że tutaj wszystko w porządku. – Nie chcę być na tyle niegrzeczna, żeby natychmiast i bezapelacyjne go spławić. Co tam jakieś dwie czy trzy minuty spóźnienia? Praktycznie jestem już na miejscu.

– Właściwie nie przeszkadzasz... To tylko dość krytyczny moment. Później ci wytłumaczę. O której masz lot?

– Dziś wieczorem o dziewiątej dziesięć.

– Wyjechać po ciebie?

– Nie kłopotz się, wezmę taksówkę. Ale jutro się widzimy. Zrobiłaś prawdziwą głupotę, nie przyjeżdżając tu ze mną; Stambuł jest miastem.

Rzeczywiście, była to okazja, z której zrezygnowałam w porywie zawodowej gorliwości. Jak mogłam wyjechać w tak kluczowym momencie, choćby nawet na krótko i z Arthurem?

Arthur rozwodzi się nad swoimi wrażeniami, ale kiedy znów sprawdzam godzinę i widzę, że jest już czternasta trzydzieści pięć, myślę, że trzeba kończyć.

– Naprawdę muszę już iść... usłyszymy się później? – mówię, mając już przedsmak tego, że jutro się zobaczymy.

Jestem w ekstazie. Czuję, że ja i on posuwamy się naprzód.

Odkładam komórkę do kieszeni fartucha i wracam po zwłoki.

Ale gdzie one są?

Jeśli to żart, to w najgorszym guście.

Przecież oddaliłam się najwyżej o sto metrów.

Nie mogli mi ukraść zwłok sprzed nosa!

O Boże.

Znów dzwoni komórka, ale tym razem głos nie jest uprzejmy.

– Alice, gdzie do cholery jesteś? – To oczywiście Claudio.

– Już idę – zbywam go, natychmiast się rozłączając.

Rozglądam się dokoła z niedowierzaniem. Nie ma śladu mojego trupa, ale też ani żywej duszy.

Cholera, cholera, cholera.

Przebiegam tunel z powrotem w nadziei, że natknę się na kogoś, kto miał nieszczęsny pomysł zabrania noszy, ale bez rezultatu.

Za chwilę dopadnie mnie panika. To był fatalny pomysł, żeby zrezygnować z eskorty Capoccellego, nawet kosztem ataku kolki w samym środku podziemnego tunelu. Nie ma się co oszukiwać, muszę iść na radiologię i stawić czoło Claudiowi. I Ambrze. I Wally.

Dlaczego mam takiego pecha? Dlaczego? W czym zawiniłam?

W gruncie rzeczy jestem dobrym człowiekiem. Zaadoptowałam dziecko na odległość. Finansuję organizację „Emergency” OK, czasem wydaję trochę za dużo na zakupach, ale to przecież grzech wybaczalny.

Kiedy otwierają się błękitnawe rozsuwane drzwi radiologii, czuję, że nie dam rady. Claudio i Ambra wychodzą mi naprzeciw dość poruszeni. Jest czternasta czterdzieści osiem.

– Gdzie są zwłoki? – mamrocze Claudio, patrząc na mnie, jakbym była paznokciem, który wrósł mu w skórę.

– Claudio, ja... ja nie wiem – wyznaję jednym tchem.

Za chwilę dostanie ataku epilepsji.

– Co to znaczy, nie wiem?

– Nie wiem, gdzie się podziały.

Claudio przyjmuje w tym momencie postawę: jestem geniuszem, ale czasem muszę stykać się także z debilami.

– Alice. Pozwól mi zrozumieć. Nie znalazłaś ciała w prosektorium?

– Nie, było tam. Zabrałam je. Byłam już w tunelu i... rozproszyłam się na chwilę. Ale tylko na chwilę, nie dłużej. A potem.

– A potem ciała już nie było! – wykrzykuje Claudio z sarkazmem, który jest wstępem do wybuchu. – A Capoccello? Gdzie był? Nie wyszłaś chyba z prosektorium sama?

Spuszczam wzrok.

– Nie czuł się dobrze i powiedziałam mu, że... dam sobie radę. W gruncie rzeczy nie jest to aż tak poważne.

Podczas gdy jego zezowate oko wraca na miejsce, by rzucić mi z jeszcze większą precyzją spojrzenie pełne pogardy, a żyły na szyi zaraz eksplodują z przekrwienia, on już zaczyna wylewać żale.

– Brawo, brawo! Nie tylko nie przestrzegasz procedur – ach, Capoccello usłyszysz ode mnie, oj usłyszysz! – ale jeszcze gubisz zwłoki! Prosiłem cię tylko o jedną rzecz. Wiedziałem, że to był fatalny pomysł dopuścić cię do projektu. Ze wszystkich nieudaczników.

– Uspokój się – mówi Ambra, nie wiem, czy z litości, czy z poczucia solidarności, czy jedno i drugie. Może wzburzył ją widok moich oczu, które w sposób niepohamowany produkują łzy.

– Czy możesz nam jaśniej wytłumaczyć, co się stało? – pyta królowa spokojnym tonem, którego niemal nie rozpoznałem.

Przedstawiam w skrócie przebieg zdarzeń. Ona i Claudio patrzą sobie pytająco w oczy.

– Co, według ciebie, mam powiedzieć Wally? – pyta mnie Jego Wysokość Skurwielstwo, uderzając nerwowo o podłogę stopą obutą w firmowy Tod's.

Wiesz, co ci powiem? Mów jej, co chcesz. Nawet moja godność ma cenę. Nie będę cię błagać, żebyś nie był szpiegiem.

– Przede wszystkim spróbujmy znaleźć ciało – wtrąca się Ambra ze spokojem, puszczając do mnie oko.

Nie wiem, czy bardziej jej nienawidzę, kiedy zachowuje się jak kanalia, czy kiedy usiłuje grać wspaniałomyślną.

– Wiedziałam już, że jest pani roztrzępana. Trochę ospała. Popełniała pani niepowtarzalne błędy. Błędnie wypełniła dokumenty, dosłownie zniweczyła wyniki badań, wycofała się podczas ekshumacji. Ale nigdy bym nie pomyślała, że jest pani zdolna do zgubienia zwłok. Udało się pani coś wyjątkowego, Allevi. Nikt, kogo znam, a może nawet nikt na świecie nie osiągnął nigdy takich szczytów nieudolności. Zgubić trupa...

Boschi sprawia wrażenie straszliwie rozczarowanej.

Mam nadzieję, że ziemia natychmiast mnie pochłonie.

– Czy zdaje sobie pani sprawę, jakie zamieszanie pani wywołała?

Musiałabym być jeszcze większą debilką, niż jestem, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy.

– Na szczęście pielęgniarze z gastroenterologii odnaleźli ciało.

Nie ma co jej powtarzać, że właśnie dlatego, iż wtrącili się do nieswoich spraw, powstało to całe zamieszanie.

– Odeszłam na chwilę, żeby odebrać telefon... – słyszę swój omdlewający szept.

– I pani nazywa to poważnym podejściem? Zostało pani powierzone bardzo d-e-l-i-k-a-t-n-e zadanie, a pani zostawia bez opieki zwłoki pośrodku wspólnego szpitalnego korytarza, żeby odebrać telefon? I spodziewa się pani, że sanitariusze, kiedy to zauważą, nie podejmą natychmiastowych działań?

– Nie zajęło mi to więcej niż pięć minut – mówię ze spuszczonym wzrokiem.

– I to wystarczyło, żeby wywołać lawinę kłopotów.

Znów opuszczam głowę, którą odważyłam się na chwilę podnieść.

– Czy jestem usunięta z zespołu badawczego? – pytam niepewnym głosem.

– Nie wiem, co pani powiedzieć. Proszę porozmawiać z doktorem Confortim.

Na miłość boską!

Wracam do domu taksówką; siąpiący deszczyk moczy okno, przez które bezwiednie wyglądam. Rzadko czułam się tak idiotycznie.

Jestem beznadziejna. Do niczego. Bezmyślnie zniszczyłam jedyną szansę ocalenia, jaka mi jeszcze została.

Płacę kierowcy i docieram do drzwi wejściowych, nie otwierając nawet parasolki. Yukino nie ma w domu i jestem z tego powodu prawie zadowolona; wyjaśnienie tego, co mi się przytrafiło, przygnębiłoby mnie jeszcze bardziej.

Natychmiast wskakuję pod prysznic, rozrzucając ubrania po podłodze. Łzy mieszają się z ciepłą wodą, która spływa mocnym strumieniem, zmywając tusz i cały makijaż, ale nie jest w stanie opłukać mnie ze złych myśli.

Całe szczęście, że wieczorem wraca Arthur. Nie mogę czytać ani śledzić żadnego programu w telewizji. Nie mogę rozmawiać i dlatego też pospiesznie kończę rozmowę telefoniczną z moją matką.

Jest dziesiąta. Istnieje tylko jeden sposób zdolny przywrócić mi pogodę ducha.

Ubieram się w to, co mam pod ręką, i jadę metrem aż do dworca Termini, gdzie wsiadam do kolejki, która wiezie mnie na Fiumicino. W chwili takiej jak ta, myślę, że powinnam kupić jakieś stare auto; mogłoby się okazać użyteczne.

O przewidzianej godzinie lądowania kręcę się po lotnisku, nie odczuwając senności, ale też

pozbawiona cierpliwości i nadziei. Przysiadam na zniszczonym foteliku, słucham na iPodzie *Why Annie Lennox* i z mozołem czytam kilka stron znakomitej książki Nadine Gordimer, próbując zabić czas oczekiwania.

Kiedy na monitorze pojawia się komunikat anonsujący lądowanie opóźnionego samolotu ze Sztambułu, czuję, że dzień zbliża się wreszcie ku końcowi.

Dwadzieścia minut później w hali przylotów, trzymając w jednej ręce ciemnoniebieską torbę North Face, a w drugiej miękkie marlboro przygotowane do zapalenia, zjawia się Arthur i patrzy na mnie trochę zaskoczony.

– *What a surprise* – szepce, całując mnie w czoło.

Uczepiam się go kurczowo i zaczynam wylewać wszystkie łzy, których jeszcze nie wypłakałam. Arthur stawia torbę na ziemi i wsuwa papierosa za ucho.

– Co się dzieje? – pyta trochę zaniepokojony. Z uporem potrząsam głową. Muska mój kark. – Alice? Co się stało? – nalega.

– Nic, o czym warto by opowiadać – mówię, podnosząc głowę. Na jego kurtce pozostała plama z łez i tuszu. – Wystarczy mi, że jesteś tu dziś wieczorem. Przygarniesz mnie na tę noc? – pytam, pociągając głośno nosem.

Patrzy na mnie nieco strapiiony i obejmuje mnie ramieniem, drugą ręką podnosi torbę i prowadzi mnie do wyjścia.

– Na pewno nie chcesz powiedzieć, co się stało? – pyta, kiedy zziębnięci wsuwamy się do łóżka.

– Jutro. Już późno... Dosyć. Nie chcę myśleć.

– Idziesz jutro rano do pracy?

– Nie. Nie wiem, czy jeszcze tam wrócę.

Wymawiając te ostatnie, katastroficzne słowa, zamykam oczy i ten nieszczęsny dzień.

Reakcja Arthura na moje nieszczęścia nadaje im w pewnym sensie właściwy wymiar. Wybucha niepohamowanym śmiechem.

– Przysięgnij, że to prawda – prosi. Leży na łóżku i bawi się kosmykiem włosów.

– Oczywiście, że to prawda, idioto.

– I cała ta tragedia z powodu podobnej głupoty?

– Głupoty? Być może nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiłam – odpowiadam, potrząsając głową, po czym wstaję z łóżka, żeby przynieść sobie szklankę wody.

Jest dziesiąta rano i nie ma mnie w pracy; mam dziwne poczucie winy, że wzięłam dzień urlopu w tak niepewnej chwili. O tej porze w instytucie krążą już na pewno na mój temat dowcipy.

Jednocześnie mam też uczucie wyzwolenia. Nie byłabym w stanie pokazać się tam dziś rano i spojrzeć wszystkim w twarz.

Ze wszystkich numerów, jakie kiedykolwiek wycięłam – a odkąd zaczęłam pracować, zdarzyło mi się ich wiele, jednym z lepszych był ten, kiedy rozbiłam starą czaszkę, którą Najwyższy chciał pokazać studentom medycyny, bo upuściłam ją niechcący na podłogę – ten jest bez wątpienia najgorszy: będzie przekazywany z roku na rok niczym legenda.

– W gruncie rzeczy nie wydaje mi się to takie dramatyczne! Zwłoki zostały odnalezione po dwudziestu minutach. Szczerze mówiąc, nie widzę powodu tych wszystkich zawirowań. To wszystko wina Confortiego, który zrobił z tego aferę wagi państwowej. Mógł przecież nie mówić o niczym Boschi.

– Nawet nie próbuję wyobrazić sobie, co pomyśli o mnie twój ojciec.

– Ojciec przyłoży do sprawy odpowiednią miarę. Jest surowy, ale przynajmniej obiektywny. Nie przejmuj się. – Jak bardzo bym chciała, żeby miał rację. – W każdym razie jutro wrócisz do pracy.

– Och nie, proszę. Muszę się odtruć. Nie chcę wychodzić z tego pokoju. Powiem więcej, z tego łóżka.

– Niczego nie rozwiążesz, znikając. Im więcej czasu upłynie, tym bardziej nadmuchasz ten balon – odpowiada tonem belfra.

– Arthurze... jest coś, o czym nie wiesz – zaczynam, zasłaniając oczy rękami. Nadeszła chwila odkrycia kart, tyle że nie mam w ręku królewskiego pokera, na którego się czeka, ja nawet nie mam dwóch par.

– Co jeszcze narozrabiałaś? – pyta, ale nie wyobraża sobie oczywiście tego, co mam mu powiedzieć.

Tak więc opowiadam mu wszystko. Wszystko, bez żadnych niedomówień.

Arthur jest oszołomiony.

– Nosiałaś to w sobie i nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

– Proszę cię, nie zaczynaj robić mi wyrzutów. Nie jest mi łatwo mierzyć się z tym tematem.

Teraz, kiedy wprowadziłam go we wszystkie moje problemy, mam wrażenie, że stoję przed nim naga i bezbronna. W rzeczywistości jest to uczucie jeszcze gorsze, obawiam się bowiem, że w jakiś sposób popsułam wyobrażenie, jakie o mnie miał. Niemal żałuję, że mu powiedziałam.

– Alice, naprawdę mi przykro. – O nie, proszę, nie chcę twojej litości. Nie zniosę jej. – Czy chcesz... chcesz, żebym pomówił o tym z ojcem?

Wytrzeszczam oczy. Zupełnie oszalał. Siadam na środku łóżka i zakładam włosy za uszy.

– Będę udawać, że nie słyszałam.

– Nie ma w tym nic obraźliwego – tłumaczy, a przez jego opaloną twarz przebiega cień. – Nie powiem mu nic, co nie jest prawdą. Wpakowałaś się w tarapaty, ale mimo tego, co o nim myślimy, nie mogę zaprzeczyć, że ocenia ludzi na podstawie kwalifikacji.

– A jaka jest prawda? Co ty o tym wiesz? Jeśli wszyscy uważają mnie za przeciętniaczkę, musi być chyba jakiś powód.

– Tak, jest – potakuje energicznie. – Wiesz jaki? Nie umiesz się sprzedać. Zupełnie nie wierzysz w samą siebie, więc jak możesz oczekiwać, żeby inni wierzyli?

– W każdym razie nie chcę, żebyś rozmawiał o tym z ojcem. Arthur pochyła głowę i zaczyna obgryzać paznokcie.

– Chciałbym ci tylko pomóc.

– Nie pomożesz mi, rozmawiając z nim, wprost przeciwnie. Poczulałabym się jak kompletna idiotka, która nie potrafi sama sobie poradzić. Poza tym pomyślałby, że to ja cię o to prosiłam, a tego bym nie zniosła.

Arthur potrząsa głową, nie patrząc na mnie.

– Z całym szacunkiem, ale to jest typowo włoska mentalność. Tu nie chodzi o nepotyzm. Nie zamierzam cię protegować. Brzydzę się protekcją.

– Trudno mi spojrzeć na to inaczej.

– Daj spokój. Masz możliwość rozwiązać problem i nie korzystasz z tego.

– Ty byś tak zrobił? Zastanów się dobrze. Gdybym była córką twojego szefa i chciała go przekonać, że marnujesz się jako reporter podróżniczy i powinien dać ci ważniejsze, bardziej prestiżowe zadanie, wysyłając cię jako korespondenta w jakiś obszar międzynarodowego kryzysu... nie uznałbyś, że nie osiągnąłeś tego sam? Nie pomyślałbyś, że straciłeś trochę godności?

– Nie, bo to byłaby prawda.

– Nie wierzę. Mówisz tak, bo to nie ty jesteś w takiej sytuacji.

– Możesz wierzyć, w co chcesz. I decydować, jak chcesz. Nie porozmawiam z ojcem, jeśli sama mnie o to nie poprosisz, OK? Teraz idę pod prysznic – kończy i nie czekając na moją odpowiedź, znika.

Mury instytutu nigdy nie wydawały mi się tak wrogie jak dzisiaj, w ten cudowny i obiecujący dzień, opromieniony wiosennym słońcem, który zastaje mnie zastygłą na moim stanowisku, obojętną na przejawy powszechnego rozbawienia, jakie moja przygoda wywołała także u najpoważniejszego z moich kolegów, a nawet u sekretarek. Ale może lepiej, żeby się śmiali, niż gdyby mieli to uznać za coś bardzo poważnego.

Wbrew moim oczekiwaniom Ambra nic nie wspomina o wpadce, a Lara idzie za jej przykładem; obydwie zwracają się do mnie tylko w sprawach zawodowych, i to przyjaznym tonem.

Jeśli chodzi o Claudia, jeszcze się nie pojawił. Cały rano siedział zamknięty w gabinecie Wally i nie miałam szansy go zobaczyć. Poza tym nie czuję nawet takiej potrzeby; to właśnie jego reakcja nie tylko najbardziej mnie zirytowała i rozczarowała, ale też oburzyła.

Czuję, że każda chwila, jaką tu spędzam, jest odliczaniem wstecz, które doprowadzi mnie prosto do mojego przeznaczenia. Zastanawiam się, czy istnieje coś, co mogłabym zrobić, żeby uratować sytuację. Myślę o Giulii i przychodzi mi do głowy myśl niespecjalnie ważka, ale która przynajmniej utrzymuje mnie przy życiu i angażuje moją uwagę; piszę artykuł naukowy o szoku anafilaktycznym jako komplikacji występującej w przypadku nadużywania substancji odurzających. Praca zajmuje mi czas aż do wieczora, ale rezultat wcale mnie nie zadowala. I nie ma sensu pokazywać go Wielkiej Ropusze, bo tylko by ze mnie szydziła. Słuchając muzyki Buddha Bar, chrupię chipsy i zajmuję się przypadkiem, który Anceschi wspaniałomyślnie mi odstąpił. Nagle słyszę natarczywy dzwonek mojej komórki.

– Robisz coś dziś wieczorem?

To Arthur. Całe szczęście, że istnieje.

– Nie. A nawet czuję się nieco osamotniona. Może wpadniesz do mnie? – proponuję, sprawdzając godzinę i odkrywając ze zdziwieniem, że jest już ósma.

– Znakomicie. Do zobaczenia.

Kiedy otwieram mu drzwi, jest już po dziesiątej; Arthur ma dość swobodny stosunek do punktualności.

– Przyniosłem ci twoje ulubione danie na wynos z Burger Kinga.

– Cudowne lekarstwo na wątrobę. Dziękuję za pamięć.

Niedbale rzuca na kanapę makietę swojego czasopisma.

– Dlaczego to ze sobą przyniosłeś? – pytam.

– Bo jest tam artykuł o sprawie Valenti, może cię zainteresuje.

– Jak miło. Dziękuję. – Zaczynam przeglądać, pogryzając frytkę. – O... *Morze Mykonos* Arthura Paula Malcomessa. Mogę przeczytać?

– Jeden z najgorszych kawałków, jakie napisałem. Na dodatek stary.

– Przesadzasz jak zwykle.

– Nie, prawda jest taka, że powinienem rzucić pracę, która nic mi już nie daje – odpiera stanowczo.

– Arthurze... – mamrocze zasmucona.

– Zostawmy to. Artykuł, który cię interesuje, jest na stronie dziewiętnastej.

– To może poczekać. Porozmawiajmy.

– Obawiam się, że powiedziałbym rzeczy, które by ci się nie spodobały. Na przykład, że chciałbym odejść z redakcji.

– Nie mów głupstw. Nie możesz odejść z redakcji.

Jakieś dziwne światło rozjaśnia turkusowe oczy Arthura, kiedy mi odpowiada:

– A dlaczego nie? Oczywiście, że mogę to zrobić. Ale nie zamierzam teraz o tym rozmawiać. To nie jest problem na dziś – kończy w doskonałej zgodzie z tym, co – wydaje mi

się już oczywiste – jest jego życiową filozofią.

– Arthurze, nawet jeśli pewne problemy nie są na dziś, nie oznacza, że nie warto ich poruszać.

– Zależy od punktu widzenia – odpowiada krótko, wrzucając do ust frytkę.

Opuszczam ze smutkiem głowę i przechodzę na stronę dziewiętnastą.

Jest tam przepiękne zdjęcie Giulii, intensywny pierwszy plan, na którym jej spojrzenie wydaje się tak czyste, jakby nie widziało niczego, co znajduje się na tym świecie. Dosłownie pochłaniam tekst, który rzeczywiście jest dość błyskotliwy.

W sposób wyważony opisuje historię Giulii: począwszy od utraty rodziców po życie w domu De Andreisów i bardzo ścisły związek z Jacopem i Dorianą. Tekst poprzetykany jest kilkoma fragmentami wywiadów udzielonych przez Jacopa, który robi na mnie wrażenie osoby, z jaką możesz spotykać się latami, a i tak nie jesteś w stanie dobrze jej poznać. Są też wypowiedzi Bianki i Abigail Button, przedstawiające Giulie jako dziewczynę wyjątkową. Druga część artykułu zajmuje się w całości Sofią Moran-dini de Clés. Autor określa ją mianem „księżniczki”, oczywiście nie w tonie pochwalnym, i wykorzystuje jej osobę, by uderzyć w ojca, podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Przelatuję szybko wzrokiem mało interesującą mnie część, po czym skupiam się na szczegółach sprawy.

Sofia przyznała, że dwunastego lutego, w dniu śmierci Giulii, na krótko przed obiadem zażyła narkotyk. Heroinę, której sobie nie wstrzyknęła, tylko ją wciągnęła, dostarczyła jej sama Giulia. Nie da się jednak ustalić, czy chodziło o tę samą partię narkotyku, bowiem działki, jak wyjaśniła, były oddzielne. Ponadto Sofia z przykrością odnotowuje wyjątkowość sytuacji, ponieważ nie wydawało jej się, żeby Giulia przyjmowała heroinę dożylnie, ale że, podobnie jak ona, wciągała. Sofia nie zna pochodzenia narkotyku, ale jest dla niej jasne, kto mógł dostarczyć go przyjaciółce. Chodzi o studenta architektury, Saveria Galantiego, dalekiego krewnego Sofii, urodzonego we Florencji, ale mieszkającego od zawsze w Rzymie. Giulia i Sofia miały wspólny nałóg i zazwyczaj narkotyzowały się razem, ale nie tamtego dnia.

„Zapytałam, czy chce to zrobić ze mną, ale odmówiła, ponieważ musiała się uczyć do egzaminu, który miała zdawać następnego dnia. Ja zaraz po obiedzie wyszłam, a ona pozostała w domu. Powiedziała, że boli ją głowa i że położy się wcześniej spać” – miała, według dziennikarza, zeznać Sofia. Reszta jest znana. Sofia wraca do domu około dwudziestej drugiej trzynastej i znajduje Giulie w kałuży krwi.

Jeśli chodzi o Saveria Galantiego, Sofia wyjaśnia, że w ostatnim czasie on i Giulia bardzo się zaprzyjaźnili; Sofia przypuszcza wręcz, że między nimi mogło być coś więcej niż przyjaźń.

W tym momencie wydaje mi się nieuniknione, że wkrótce zobaczę na korytarzu instytutu Saveria Galantiego, który zostanie poddany badaniom genetycznym i toksykologicznym.

– Artykuł jest bardzo dobry. Autor powinien poświęcić się prozie, pisałby niezłe kryminały – komentuję, oddając mu makietę.

– Przekażę mu. On też w końcu zostawi to gówniane pismo.

– Arthurze, nie nazywałabym jednego z najlepszych tytułów w kraju „gównianym pismem”.

– Wszystko jest bardzo względne – odpięra lekko zirytowanym tonem.

Parskając, wstaję, żeby wyjąć z torebki papierosa.

– Obawiam się, że możesz zrobić coś nierozsądnego. I że wyjedziesz.

– Przypominam ci, że podróżuję, żeby żyć. Jest też prawdą, że żyję, by podróżować. Można

mnie nazwać wagabundą. Musisz przywyknąć do myśli, że mogę nagle wyjechać.

– Cóż, ale chodzi o pewien określony czas – ryzykuję odpowiedź.

– A kto to może wiedzieć? – odpiera wzruszając ramionami. – Alice, nie wyobrażaj sobie zbyt wiele na mój temat. Jestem niestały. Nie jestem człowiekiem, z którym można planować stabilną przyszłość. To nie kwestia zaangażowania, ale priorytetów.

Przyglądam mu się ukradkiem. Naturalność, z jaką się uśmiecha, mówiąc te słowa. Ta leciutka niedbałość, na którą tylko osoby o wrodzonej elegancji mogą sobie pozwolić, by nie wydać się niechlujnymi. Posągowy profil, nieprzenikniony wyraz oczu, kiedy na mnie patrzy. Jego myśli, tak ulotne, tak odległe od mojej przyziemnej codzienności.

Czuję się porażona.

Minęło naprawdę niewiele czasu, ale nie mogę się już wycofać.

Nazajutrz Claudio w asyście Ambry, przyczepionej do niego niczym proteza, wkracza do instytutu z oficjalnym zadaniem zbudowania profilu genetycznego Saveria Galantiego i przeprowadzenia badań toksykologicznych.

– Tym razem przy drzwiach zamkniętych – informuje w bibliotece podczas przerwy na kawę, kierując te słowa bezpośrednio pod moim adresem. – Spróbujcie zrozumieć, sytuacja jest delikatna i nie mogę tracić czasu.

– Zgoda, Claudio, ale czy potem mógłbyś ujawnić wyniki? – pyta odważnie Lara.

On unosi brwi.

– Tak, oczywiście – odpowiada chłodno, wiedząc, że nie może się cofnąć.

Około południa do instytutu wkracza osobnik, który jest doskonałym wcieleniem mojego wyobrażenia o Saveriu Galantim. Jest wysoki, wysmukły i delikatny. Ma włosy ogolone niemal na zero, przeciwsłoneczne ray-bany, których nie zdejmuje nawet teraz, kiedy jest w ciemności, pierścionek na palcu wskazującym lewej ręki, skórzaną, ręcznie szytą kurtkę znakomitej jakości, ciemne dzinsy i sportowe buty, jeśli im się dobrze przyjrzeć, z pewnością bardzo drogie.

Saverio Galanti z nikim się nie wita ani nie rozmawia, podąża za Claudiem do laboratorium i drzwi zamykają się za nimi.

Jakoś to przeżykam, chociaż wszystko odbywa się w obecności jego ulubionej asystentki i jest głęboko niesprawiedliwe. Ale czemu ja się dziwię?

Bez żadnej godności krążę niby to przypadkowo wokół pomieszczeń laboratorium w oczekiwaniu na uchwycenie jakiegoś sygnału, wrażenia.

I zostaję wynagrodzona.

– Allevi – odzywa się nagle Claudio, nie patrząc mi nawet w twarz. – Wskaż mu drogę do łazienki.

Galanti – wreszcie bez okularów – zwraca na mnie niewzruszone spojrzenie. Wydaje się bardzo niecierpliwy. Prowadzę go w ciężącej ciszy aż do łazienki.

Jest to krótkotrwały kontakt, niewystarczający, by dostarczyć mi jakiegokolwiek pożądanej przeze mnie informacji.

– Do widzenia – mówię na chwilę przed tym, jak otwiera drzwi, by opuścić instytut, czego wyraźnie nie może się doczekać. Nie odpowiada.

Wpadam na Claudia w pobliżu jego gabinetu i mimo że odezwanie się do niego choćby słowem wywołuje u mnie skręt kiszek, nie mogę się powstrzymać od pytania:

– Kiedy będziesz miał wyniki?

– Nie twoja sprawa. Kiedy będą gotowe... poznasz je.

Ale jest złośliwy.

Siedzę w moim pokoju i jem chipsy, usiłując jednocześnie wydajnie pracować, kiedy ostry dzwonek komórki wyrywa mnie z odrętwienia.

– Tak?

– Alice? Przepraszam, że przeszkadzam. Mówi Bianca.

Chipsy prawie stają mi w gardle.

– Nie przeszkadzasz! – odpowiadam tonem niemal zbyt entuzjastycznym.

– Być może moja prośba cię zaskoczy, ale chciałabym się z tobą spotkać.

W tle słyszę chaos biura, pokrzykiwania, jakieś stuknięcia, śmiechy.

– Chętnie. Czy możesz mi zasygnalizować, o co chodzi? – pytam, zżerana ciekawością.

– Tylko tyle, że sprawa dotyczy mojej siostry. Ale tego już się pewnie domyśliłaś.

Podeksycytowana zbliżam się do umówionego miejsca, dyskretnie wyrefinowanego baru w pobliżu domu Arthura, gdzie muszę czekać na Biancę przez co najmniej pół godziny. Waham się, czy do niej zadzwonić, ale nie chcę się wydać natarczywa, więc siedzę lekko zniecierpliwiona. Wreszcie nadchodzi, zdyszana i skonsternowana.

– Nawet nie wiesz, jak mi przykro – zaczyna i rzeczywiście wygląda jak uosobienie zawstydzenia. – Zatrzymali mnie w biurze, a nie mogłam zadzwonić, bo wyładowała mi się komórka, poza tym w całym tym zamieszaniu nie udało mi się zdobyć twojego numeru, słowem, nie wiedziałam, co robić – próbuje się tłumaczyć zakłopotana.

Sądzę, że dla osób takich jak ona nieusprawiedliwione spóźnienie to bardzo poważna oznaka złego wychowania. Ale ponieważ chroniczne spóźnianie staje się po trochu moim przyzwyczajeniem, więc dzięki temu Bianca staje mi się jeszcze bliższa.

– Och, nie przepraszaj, nic się nie stało.

Stawia swój *sac plat* Vittona na jednym z krzeseł i siada przy stoliku. Zamawia czystego scotcha – a niech to – potem zdecydowanym ruchem zdejmuje okulary i masuje skronie opuszkami palców.

– Nie wiem, od czego zacząć – odzywa się i rzeczywiście ma minę jednocześnie zakłopotaną i zdeterminowaną.

Ja za każdym razem, kiedy z nią rozmawiam jestem trochę podenerwowana. Bianca jest osobą wybuchową i choć w gruncie rzeczy ją polubiłam, jej natarczywość sprawia, iż czasem czuję się nieswojo.

– Wiem, że byłam nachalna i często stawiałam cię w trudnej sytuacji, zadając pytania, na które nie mogłaś odpowiedzieć, ale... Naprawdę, rozmowa z tobą jest dla mnie dużym pocieszeniem, a przede wszystkim potrafisz rozjaśnić mi w głowie, czego nie jest w stanie zrobić ten Calligaris. Dzięki tobie prawda staje się prosta, gdy tymczasem on... wydaje się niezdolny odpowiedzieć nawet na najbardziej podstawowe pytania. Jestem bardzo rozgoryczona, że dochodzenie w sprawie śmierci Giulii zostało powierzone komuś tak przeciętnemu jak on.

Biedny Calligaris! Może i nie jest orłem, a już na pewno nie jest asem włoskiej policji, ale jest przyzwoitym człowiekiem i nie sądzę, żeby był tak powierzchowny i niekompetentny, jak mówi Bianca.

– Nie wydaje mi się aż taki zły – odpowiadam, czując z nim wewnętrzną solidarność.

Bianca natychmiast tłumi moją nieśmiałą, dobrotliwą uwagę.

– Bo nie masz z nim do czynienia, to oczywiste.

Milczę, czekając na ciąg dalszy. Bianca ma dzisiaj na sobie sweterek w kolorze szampana,

w którym bardzo jej do twarzy i jeśli to możliwe, czyni jej rysy jeszcze bardziej delikatnymi.

– Będzie lepiej, jeśli przejdę do rzeczy – dodaje ciepłym, zmysłowym głosem, który jest kluczem do jej uroku. – Muszę z tobą pomówić o pewnym podejrzeniu. Podejrzeniu, którego nie mam odwagi nikomu wyznać, a tym bardziej Calligarisowi.

Marszczę czoło i czuję przyspieszone bicie serca. Mam wrażenie, że docieram do jakiegoś równoległego świata, w którym Giulia jeszcze żyje. Świata, który trochę mnie przeraża.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – dopytuję się, zanim jej słowa staną się nieodwracalne. – Jeśli to coś poważnego, a przede wszystkim uzasadnionego, być może nie jestem najwłaściwszą osobą, której powinnaś to powiedzieć.

– Przeciwnie. To ty jesteś właściwą osobą – oznajmia z wielkim przekonaniem. – Chodzi o podejrzenie, które dotyczy mojej bardzo bliskiej rodziny, więc nie mogę wyjawić go Calligarisowi, bo gdyby okazało się bezpodstawne, ryzykowałabym wywołanie poważnych konfliktów rodzinnych.

– W każdym razie nie wiem, jak mogłabym ci pomóc. Nie należę do zespołu śledczego. Wiesz, że ta historia leży mi na sercu, ale niestety, nie sprawuję żadnej oficjalnej funkcji i...

– Posłuchaj mnie, a zrozumiesz – przerywa.

Nie wiem, jak się zachować, ale prawda jest taka, że Bianca Valenti mnie sobie podporządkowała. Wygląda to tak, jakbym chciała się jej przypodobać, obawiając się równocześnie, że uzna mnie za niezaradną.

– Zawsze myślałam, że znam Giulie. Że wszystko o niej wiem – zaczyna z pustym wzrokiem. Otacza ją aura cierpienia, której mogłabym niemal dotknąć, gdyby tylko miała stałą konsystencję. – Jednak jej śmierć postawiła mnie przed brutalną prawdą: znałam tylko to, co na powierzchni.

– Jak to? – Słyszę w tle muzykę lounge w stylu *Montecarlo nights* i odnoszę wrażenie, że rozmowa staje się coraz bardziej surrealistyczna.

Czuję od Bianki perfumy o lekkim zapachu talku, najwyraźniej drogie, ale mające w sobie coś staroświeckiego.

– Giulia była trudną dziewczyną. Nie lubiła, kiedy ktoś ją osądzał, a szczególnie ja. Nie znosiła ocen, rad, jakiegokolwiek wtrącania się do jej życia. Wiele dyskusji zamieniało się w kłótnie, wiedziała, że nie pochwalam różnych jej decyzji i unikała rozmów na ten temat.

– Wyobrażam sobie, że było to dla ciebie bolesne. – Obserwuję ją i widzę, że pojawiło się w niej coś nowego, odmiennego od tego, co zobaczyłam za pierwszym razem, kiedy ją spotkałam. Niepokój odmienny niż ten wywołany żalobą.

Bianca dopija whisky.

– Bardzo bolesne – odpowiada po prostu, nie patrząc mi w oczy. – I teraz zżerają mnie wyrzuty sumienia. Powinnam była mieć ją na oku, bardziej na nią uważać. Była jak dziecko, strasznie niedoświadczona. Jednak wolałam myśleć, że zajmie się nią Jacopo.

– Ale przecież miała już dwadzieścia lat. Nie mogliście siedzieć jej na karku i znać jej wszystkich tajemnic. Ani ty, ani Jacopo.

– A może nie zajmowaliśmy się nią wystarczająco? Ile razy zamierzałam pomówić z nią szczerze! Gdybym to zrobiła, może byłaby jeszcze wśród nas. Jeśli chodzi o Jacopa...

– Jacopa? – pytam mimo woli.

– Jacopo zajmował się nią na swój sposób. Sposób... bardzo, bardzo dyskusyjny.

– Co to znaczy?

Bianca waha się przez kilka chwil.

– To straszne. Nie jestem nawet w stanie tego powiedzieć.

Wyrzuć to z siebie, Bianco!

Mimo że chciałabym zachować pewien dystans, dosłownie wiszę na jej ustach.

– Bianco, sama powiedziałaś, że jestem jedyną osobą, z którą możesz o tym rozmawiać.

No i doprowadziła mnie tam, gdzie chciała. Początkowo byłam niemal onieśmielona i czułam opór przed dowiedzeniem się czegoś więcej o historii, która mnie przyciąga z siłą magnesu i z taką samą siłą niepokoi. Teraz to ja ją proszę, by kontynuowała. Ach, nieostrożna ciekawość. Moja najgorsza wada.

– Zawsze tak jest. W końcu najlepiej rozmawia się z obcymi. Zresztą komu mogłabym powiedzieć coś podobnego? – zauważa nieśmiało i znów muszę przyznać jej rację. – Zgoda. Oto co myślę. Z kim poszła Giulia do łóżka przed śmiercią? Oczywiście nie z Gabrielem Crescentim, o ile wiem. Prawda?

– Prawda – potwierdzam spokojnie, nie będąc pewna, do czego zmierza.

– A więc moja siostra nie miała nigdy, powtarzam nigdy, żadnego narzeczonego. Czy nie wydaje ci się to dziwne w przypadku tak pięknej i interesującej dziewczyny? Ani żadnych przygód. Albo nie była zainteresowana mężczyznami – w co nie wierzę – albo była zainteresowana tylko jednym mężczyzną, którego jednak nie mogła mieć. Kto może być tym kochankiem zjawą, o którym nikt nie mówi? Może ktoś, kto nie rzuca się w oczy, ktoś, z kim w naturalny sposób miała stały kontakt. Słowem, kochanek niebudzący podejrzeń.

Nie potrzebuję wiele czasu, by zrozumieć.

– Wasz kuzyn Jacopo? – bąkam.

– No właśnie – potwierdza z powagą. – To było jak układanie puzzli. Kiedy położyłam każdy element na właściwym miejscu, wszystko wydało mi się oczywiste.

– Bianco, zapewne wiesz o Saveriu Galantim.

– Nie wierzę w to – stwierdza stanowczo. – To absolutnie niewiarygodne, żeby byli parą. Myślę, że był z nią w chwili śmierci, że razem się narkotyzowali, zresztą czego innego spodziewać się po przyjacielu Sofii, ale na pewno nie byli parą.

– Sofia była tego pewna.

– Jest mi to całkowicie obojętne. Saveria Galantiego nie interesują dziewczyny, powiedziała mi to sama Giulia.

Dosłownie mnie zatkało.

– Bianco, tak czy owak nie ma to większego znaczenia. DNA ostatniego mężczyzny, z którym była Giulia, i to znalezione na strzykawce nie zgadzają się ze sobą. A zatem ustalenie, kto był jej narzeczoną, nie jest takie ważne – tłumaczę i przypominam sobie, że powtarzam te same słowa, które swego czasu usłyszałam od Lary.

– Poczekaj. Nie pośpieszaj, daj mi czas, żebym mogła ci wyjaśnić, dokąd zmierzam. – Bianca przybiera ten poufaly wyraz twarzy, który pojawia się tylko od czasu do czasu i w małych dawkach. – Jacopo i Giulia zawsze byli ze sobą bardzo blisko. A ja byłam przekonana, że ich związek jest braterski. On był dla niej punktem odniesienia i nie robiła nawet kroku bez porozumienia z nim. Miała studiować języki wschodnie w Wenecji, ale po maturze ogłosiła, że chce studiować prawo – jak Jacopo – w Rzymie. Grali razem w tenisa

i zauważyłam, że często wracali późno do domu. Zawsze myślałam, że on jest nieprawdopodobnie cierpliwy, poświęcając Giulii całe popołudnia, całe wieczory, całe noce, żeby przygotować ją do egzaminów, do których potem rzadko przystępowała, a w każdym razie z marnymi rezultatami. Spędzał o wiele więcej czasu z nią niż z Dorianą. Może zbyt wiele czasu. Giulia go uwielbiała.

– A Jacopo... jak zachowywał się wobec Giulii? – Nie mogę się powstrzymać od pytania.

Bianca odpowiada lekko nachmurzona.

– Giulia była na pewno dla niego najważniejsza. Już od dzieciństwa ich związek był zawsze intensywny i złożony. Często czułam się z niego wykluczona. Jacopo obdarzał moją siostrę wszelkimi względami, jak małą księżniczkę. Nigdy nie widziałam, żeby potraktował ją opryskliwie. Był bardzo opiekuńczy.

– Bianco, DNA spermy zostało zbadane. Giulia i Jacopo są kuzynami ze strony matki; pokrewieństwo zostało wykryte – mówię pewnym głosem.

Bianca robi wskazującym palcem znak zaprzeczenia.

– Nie jesteśmy spokrewnieni. Jacopo jest synem Corrada De Andreisa, ale nie mojej ciotki Olgi, która jest siostrą mojej matki. Pochodzi z poprzedniego małżeństwa wuja, ale jego matka umarła, kiedy miał rok, i dlatego zawsze uważał ciotkę Olgę za matkę.

Patrzę na nią osłupiała.

– Nie wiedziałam.

– Zorientowałam się.

– Czy rozmawiałaś z nim o swoich przypuszczeniach?

Bianca sztywnieje i i zdaje się mieć opory przed odpowiedzią.

– Jacopo nigdy by się nie przyznał. Myślę, że by się wstydził. Poza tym nigdy nie byliśmy w tak bliskich stosunkach, żeby się sobie zwierzać. Jacopo jest zresztą bardzo skryty – dodaje pospiesznie. – Jak jednak słusznie zauważyłaś, nie w tym rzecz.

Zresztą trudno by inaczej wytłumaczyć takie nagłe wyznanie. Bianca ma jakiś konkretny cel i dąży do niego z wielką precyzją.

– Rzecz w tym, że ten związek, tak dwuznaczny, zbyt silny i intensywny, mógł wzbudzać zazdrość.

– Ze strony Doriany – dodaję natychmiast, dochodząc do najbardziej oczywistego wniosku.

– Właśnie – potwierdza Bianca. W ciszy, która następuje, dźwięk lodu stukającego o szkło jej szklanki wydaje mi się ogłuszający. – Obawiam się, że ona ma z tym coś wspólnego – ciągnie Bianca. – Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wszystko mi się układa. Tajemniczym kochankiem Giulii, który nie został zidentyfikowany, a którym, przekonasz się, nie jest Saverio Galanti... może być tylko Jacopo. A jeśli Giulia i Sofia zażyły ten sam narkotyk, to paracetamol... mogła jej podać Doriana. Wiedziała, że Giulia jest uczulona. A przede wszystkim, jeśli się zastanowisz, te zadrapania na ramieniu Giulii... rozmowa telefoniczna, którą sama słyszałaś... i to DNA pod paznokciami... należące do jakiejś kobiety, którą jednak nie jest Sofia. Alice, rozumiesz, co mam na myśli?

Nie mogę nie przyznać jej racji. Jej podejrzenia są co najmniej uzasadnione, jeśli nie wręcz prawdziwe.

– Bianco, wciąż myślę, że powinnaś porozmawiać o tym z Cal-ligarisem. Nie jest tak niekompetentny, jak sądzisz, naprawdę.

Bianca podnosi swój opalizujący wzrok i wbija go we mnie. Czuję, jak się kurczę.

– Spróbuj sobie wyobrazić reakcję Jacopa albo Doriany. Ajak to wszystko zabolaloby ciotkę Olgę! Pomyśl o konsekwencjach w przypadku, gdybym się myliła. Gdyby jednak moje podejrzenia znalazły potwierdzenie, wzięłabym odpowiedzialność na siebie i posunęłabym się dalej. Ale do tego potrzebuję ciebie. – Przerzywa i przygląda mi się uważnie. – Wydajesz mi się rozkojarzona – dodaje po chwili, a jej rysy zdradzają napięcie.

– Myślę – odpowiadam ostrożnie.

– O czym, jeśli mogę zapytać?

– O tym, że mam jeszcze dostęp do wyników badania DNA materiału znalezione pod paznokciami, gdybym miała więc DNA Doriany, mogłabym sama dokonać analizy genetycznej i dowiedzieć się, czy ten materiał pochodzi od niej.

Wypowiedziałam to jednym tchem. Teraz jednak, moje zamiary zaczynają mnie przerażać.

Bianca przygląda mi się z wyraźnym podziwem.

– Chciałam dojść właśnie do tego, ale nie odważyłam się, by cię o to poprosić. – Patrzę na nią oszołomiona. – Wiem, że ta prośba może ci się wydać absurdalna i bardzo śmiała, ale...

Boję się. Przerzywam jej:

– Bianco, to jest całkowicie nielegalne.

– Dostaniesz dobrą rekompensatę.

– O nie. Nie zamierzam wziąć ani grosza.

– Przywykłam płacić za cudzą pracę – oznajmia z pewną wyższością.

– Takie działanie jest bezprawne i gdybym jeszcze wzięła za to pieniądze, czułabym się jak przestępca. Zrobiłabym to tylko dla Giulii – stwierdzam w jakimś porywie spontaniczności.

Bianca naciska.

– Więc zrobisz to?

Teraz, kiedy los podsuwa mi współnictwo Bianki, jak mogłabym się wycofać?

– Tak – odpowiadam i zaraz po tym uświadamiam sobie, że jest to być może najpoważniejsze „tak”, jakie kiedykolwiek padło z moich ust.

Bianca ma triumfującą minę.

– Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Leży ci na sercu Giulia i jej historia, wiedziałam, że się nie cofniesz.

– Potrzebna mi jednak próbka DNA Doriany, z którą mogłabym porównać pobrany już materiał – wyjaśniam, czując jak przebiegają mnie dreszcze niepokoju.

– Nie wiem, jak to zrobić.

– Zabrać jej szczotkę do włosów? – proponuję. W tej niezwyklej chwili jestem jakby całkowicie pozbawiona rozsądku.

– Musimy iść do jej mieszkania.

– Musimy? – pytam zdumiona.

– Oczywiście. Zaczekasz na mnie w samochodzie, gdy tymczasem ja spróbuję znaleźć coś odpowiedniego. Mówisz, że powinnam wziąć szczotkę?

Sytuacja byłaby komiczna, gdyby nie to, że zakrawała na surrealizm.

– Jeśli dobrze się zastanowić, lepsza byłaby szczoteczka do zębów.

Bianca wstaje i szpera w torebce w poszukiwaniu kluczyków od samochodu.

– Jedziemy.

– Teraz?

– Po co tracić czas?

Jej oczy błyszczą całkowicie dla mnie nowym podnieceniem.

Zmierzcha. Niebo przybrało ciemniejszą barwę, wyglądam przez okno czerwonej lancii Y Bianki Valenti zaparkowanej pod domem Doriany Fortis. Ogarnia mnie uczucie niecierpliwości, jakiego zwykle doznaję, kiedy wypiję zbyt dużo kawy. Nie jestem w stanie utrzymać nóg w bezruchu, wyginam sobie palce i w oczekiwaniu na Biancę, czuję cały ogrom świństwa, jakie właśnie robię. Moje poczucie czasu jest zakłócone i sześćdziesiąt sekund zdaje się trwać trzy razy dłużej.

Mija pół godziny i wreszcie z bramy dziewiętnastowiecznej kamienicy wyłania się Bianca owinięta w swój trencz wielbłądziejego koloru.

Siada za kierownicą, a ma w sobie tyle adrenaliny, że udziela się i mnie.

– Zrobione? – pytam.

Uśmiecha się, odsłaniając nie całkiem równe zęby, które jednak absolutnie nie psują jej wyglądu. Wkłada rękę do torby i pokazuje mi niedopałek papierosa starannie owinięty w chusteczkę. Bianca zaczyna mnie trochę niepokoić. Ogarnięta pasją dotarcia do prawdy jest na tyle podstępna, żeby pojawić się w domu jakiejś osoby w tym tylko celu, by zabrać coś, co mogłoby ją obciążyć.

– Nie zdołałam znaleźć nic lepszego – mówi tonem usprawiedliwienia, widząc mój zakłopotany wzrok.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Szybko, trzeba włożyć to do lodówki – stwierdzam ani trochę spokojniejsza. Spoglądam w stronę budynku, jakbym chciała instynktownie odpowiedzieć na czyjeś spojrzenie.

Czuję się porażona, kiedy dostrzegam, że spogląda na mnie srogo Jacopo De Andreis; za szybami okna na trzecim piętrze widzę jego charakterystyczną sylwetkę.

Po prawie bezsennej nocy, w czasie której wierciłam się w łóżku, a niedopałek papierosa Doriany Fortis spoczywał w zamrażalniku mojej lodówki, o świcie jestem już gotowa, by udać się do pracy. W instytucie poruszam się ostrożnie, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy, ale moje zdenerwowanie dosłownie sięga zenitu. Zamykam się w laboratorium, które dziś rano jest na szczęście wolne, i przystępuję do działania.

Jestem w trakcie pracy, gdy niespodziewanie wchodzi Ance-schi.

– Doktor Allevi? – odzywa się pytającym tonem.

– Och! Dzień dobry, doktorze Anceschi – witam go, próbując ukryć zmieszanie.

– Mogę zapytać, co pani robi? – pyta bez specjalnego nalegania, po prostu z czystej ciekawości.

– Ćwiczę – odpowiadam szybko. – Doskonałą technikę pobierania DNA ze śladów śliny.

– To ma być źródło? – pyta, wskazując niedopałek papierosa, którego jeszcze nie wyrzuciłam.

– Tak, ślina jest moja. Ćwiczę badanie w trudnych sytuacjach, a nie w przypadku próbek właściwie pobranych.

Unosi brwi i marszczy czoło.

– Dobrze. Znakomicie – stwierdza, szczerze zdziwiony i zachwycony, zdejmując z półki

jakiś odczynnik. – Zawsze myślałem, że wbrew pozorom jest pani *pasjonarią* instytutu. A zatem powodzenia – dodaje, wychodząc. On – obraz dobrośliwości. Gdyby nie wszechogarniające uczucie paniki, mogłabym cieszyć się z komplementu: pierwszego od dłuższego czasu.

Jest prawie ósma, kiedy kończę pobieranie. Daleko jeszcze do końca, ale nie mogę tu biwakować. Robię porządek, chowam próbówki do trudnego do zauważenia pudełeczka i kiedy niebo jest już ciemne, a instytut pusty, powracam do życia.

Nazajutrz, kwadrans przed ósmą wieczorem, wciąż jestem w instytucie, zabarykadowana w laboratorium.

Czuję podniecenie i napięcie, pracuję bez przerwy. W przebłysku przytomności – a może powinnam powiedzieć szaleństwa? – zapragnęłam, żeby Wally zobaczyła mnie teraz, bo w końcu nie jest ze mną tak źle, skoro potrafię sama wykonać taką pracę.

Na szczęście nasze laboratorium, dzięki wsparciu funduszy europejskich, nabyło ostatnio najnowocześniejszą aparaturę w dziedzinie genetyki sądowej. Są to skomplikowane urządzenia, do których zazwyczaj nie mam dostępu, ale nie brak mi umiejętności obserwowania: powtarzam wszystkie operacje, które zwykle wykonuje Claudio, i wszystko działa tak, jak powinno. Najpierw wzmacniam DNA pozyskane wczoraj, żeby mieć do dyspozycji wyższą liczbę kopii, a w końcu dokonuję sekwencjonowania DNA za pomocą urządzenia, którego zdobycie zmusiło Najwyższego do prawdziwych manewrów politycznych.

I oto mam profil genetyczny Doriany Fortis, odtworzony według wszelkich reguł sztuki. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak porównać go z DNA znalezionym pod paznokciami Giulii, a dla dokładności także z tym ze strzykawki.

Uzbrojona w *A rush of blond to the head* Coldplay i dużo dobrej woli, zabieram się do dzieła.

Przed chwilą skończyłam i jeszcze nie przeanalizowałam tego, co zrobiłam, kiedy dzwoni Alessandra, wyraźnie mająca ochotę pogadać. Nie potrafię jej powstrzymać. Pozwalam więc wciągnąć się w nurt podekscytowanych wynurzeń, ograniczając się do wybąkiwania jakichś potakiwań, kiedy mi się zdaje, że rozmowa tego wymaga. Jest to jednak gierka, która nigdy mi dobrze nie wychodziła, dlatego w pewnej chwili ona milknie, po czym wybucha:

– Przeszkadzam ci? Wydajesz się nieobecna.

Rzeczywiście, nie wiem nawet, o czym mówiła. Wychwyciłam tylko jakiś urywek niepowstrzymanego monologu, który w innych okolicznościach wydałby mi się pewnie interesujący. Ale nie teraz, kiedy jestem zaprzątnięta czymś zupełnie innym.

– Proszę, Alice, skup się. Muszę z tobą porozmawiać i przykro mi, jeśli to niewłaściwy moment, ale... naprawdę muszę. On chciał ci to powiedzieć osobiście, ale nie mogę się powstrzymać.

– Ale co Alessandro? Nic nie rozumiałam.

– To jasne, przecież nie słuchałaś! – rzuca trochę zniecierpliwiona. – Powtarzam. Wszystko zaczęło się tamtego dnia, na wystawie... Zaczęliśmy do siebie dzwonić i od tamtej pory staliśmy się nierozłączni, a wczoraj... w końcu stało się! Było przepięknie! Och, Alice, jakiego ty masz cudownego brata!

Dopiero teraz mój rozchwiany umysł zdołał uchwycić sedno sprawy.

– Chcesz mi powiedzieć, że ty i Marco...

– Tak! – wykrzykuje i choć jej nie widzę, jestem pewna, że z każdego jej pora tryska radość. – I gwarantuję ci, że jest wszystkim, tylko nie gejem.

– To dobrze dla niego – odpowiadam zaskoczona. – Co mam powiedzieć, jestem naprawdę szczęśliwa, choć nigdy bym nie uwierzyła, że to możliwe.

– Bo jesteś pesymistką. Och, Alice, jestem taka szczęśliwa! On też. Powiedział, że jest zaangażowany jak nigdy dotąd. To cudowny chłopak.

– Już mówiłaś – zauważam i teraz, kiedy sensacja wreszcie do mnie dotarła, znów zaczynam drżeć.

– Jesteś bezlitosna. Zadając się z Silvią, straciłaś złudzenia. Uważałam cię za bardziej romantyczną.

– Nie, naprawdę jestem zachwycona tą wiadomością. Nie potrafię okazać ci tego tak, jakbym chciała, bo jestem zajęta... pracą.

– Wciąż siedzisz w instytucie? – pyta nieco zaniepokojona.

– No tak.

– Jak to? To nie w twoim stylu. Czy dostałaś nagłego przypływu miłości do swojej pracy?

– Coś w tym rodzaju – stwierdzam, uśmiechając się z powodu jej zdumienia. – Teraz wybacz, ale naprawdę muszę.

– Tak, rozumiem. Musisz kończyć. Czy możesz jednak zadzwonić do mnie później albo jutro, kiedy będziesz bardziej komunikatywna?

Zapewniam, że to uczynię, i kończę rozmowę, obiecując, że wkrótce się odezwę.

Przykro mi, że byłam wobec niej tak odpychająca. Tym bardziej że z taką niecierpliwością chciała mi zakomunikować wiadomość, która sama w sobie jest wspaniała i którą w innym momencie przyjąłabym z wielką radością.

Bojaźń, jaką odczuwam, jest jednak zbyt wielka, by pozwolić mojemu umysłowi przyswajać inne uczucia niż niepokój i zmieszanie.

Poproś o radę, kiedy nie wiesz, co zrobić

Silvio! Muszę się z tobą zobaczyć. To sprawa naprawdę pilna. I delikatna.

– Jesteś w ciąży? – pyta.

– Nie – zaprzeczam sucho. – Jesteś w domu? Mogę do ciebie wpaść?

– Tak naprawdę właśnie zaczęłam oglądać *Śniadanie u Tiffany’ego* na satelicie. Ale jeśli chcesz, możesz się przyłączyć do pidżama party.

Nie wiem, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Mogłabym przynieść pudełko lodów Haagen Dazs. – proponuję.

– To dla mnie makadamia.

Jako że stoję marnie z pieniędzmi – wobec coraz bardziej realnej wizji zdegradowania na niższe stanowisko, a w konsekwencji utraty jakichkolwiek dochodów – rezygnuję z taksówki i jadę metrem do Muzeów Watykańskich, w pobliżu których Silvia mieszka już od prawie pięciu lat. Zanim zakomunikuję Biance Valenti wynik badania, chcę się skonsultować z Silwią.

Przyjmuje mnie z rękami ubabranymi majonezem.

– Na kolację są kanapki z sałatką z kurczaka – oznajmia z prostotą.

– Przygotowane przez ciebie? – pytam, zdejmując płaszcz przeciwdeszczowy i rzucając okiem na Audrey Hepburn, która gra i śpiewa *Moon River*.

– Zaskoczę cię.

– Mamy wiele spraw do omówienia – zaczynam, siadając przy kuchennym stole na krześle z przezroczystego pleksiglasu.

– Więc do rzeczy – mówi, podając mi kanapkę.

Wyjaśniam jej wszystko od początku do końca. Pozwala mi mówić, nie przerywając, ale mimika jej twarzy, zdradza każdą myśl. W końcu nie może nawet się odezwać, tak bardzo jest skonsternowana.

– Dzwonię natychmiast do twojego ojca – mówi wreszcie, chwytając za komórkę.

– Oszalałaś?

– Nie, to ty postradałaś zmysły, Alice. Sądzę, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiłaś. To przestępstwo, rozumiesz?

– Oczywiście że zdaję sobie sprawę. I boję się samej siebie. Ale nie rozumiem, co ma do tego mój ojciec.

– Potrzebujesz kogoś, kto cię przywoła do porządku. Mnie nie słuchasz, swoich szefów też nie. Poróżniłaś się z Claudiem tylko dlatego, że nie wierzy w twoją subordynację. Mam nadzieję, że twojemu ojcu się uda.

– Nie mieszaj go do tej sprawy. Co się stało, to się już nie odstanie.

– Możesz zawsze zawiadomić Biancę Valenti, że się wycofujesz, i nie zdradzić jej wyniku. Wycofać się z tego.

– Nie chcę się wycofywać.

– Sama widzisz, że tracisz rozsądek.

– A ty nie zdajesz sobie sprawy, że dzięki temu wynikowi wszystko się zgadza? Te podejrzane zadrapania, które widziałam u Doriany zaraz po sekcji Giulii, rozmowa telefoniczna, którą przypadkowo usłyszałam, paracetamol nieobecny w krwi Sofii Morandini, kochanek Giulii, który nigdy nie został zidentyfikowany. Doriانا miała uzasadnione powody, żeby się jej pozbyć.

– Zgadza się, ale sposób, w jaki doszłaś do tej wiedzy... jest nie tylko naganny. Jest ścigany sędziwnie. – Silvia wzdycha znudzona. Muska moje dłonie i przygląda mi się błagalnym wzrokiem, zupełnie dla niej nietypowym. – Alice, na miłość boską, trzymaj się z daleka od tej sprawy. Nawet gdybyś miała rację, wyjdiesz z tego połamana.

– Przekażę Biance wynik badania, a ona zrobi z tym, co będzie chciała. Umowa jest jednak jasna, nie wciągnie mnie w to.

– Powiedz Biance Valenti, że nie udało ci się przeprowadzić badania i wycofaj się. Jeśli raz złamiesz prawo, zrobisz to i drugi raz.

– Podam Biance wynik. Nie mogę zachować go dla siebie, bo jest zbyt ważny; muszę wziąć odpowiedzialność za to, co zrobiłam.

Silvia potrząsa głową w zamyśleniu.

– Alice, nie stawiaj mnie w sytuacji, w której musiałabym ci wkrótce powiedzieć: „a nie mówiłam”.

Niepotrzebna prośba. Zrobię to, już wiem, i z determinacją rzucam się w wir niepewności i zagrożenia.

Tymczasem jednak topię niepokój w prawie półkilogramowym pudełku lodów Haagen Dazs.

Po wyjściu od Silvii zmęczona, ale wcale przez to nie osłabiona, dzwonię do Arthura.

Jedną z rzeczy, które najbardziej mi się u niego podobają, jest to, że mogę do niego zadzwonić o każdej porze i poprosić, żeby przyszedł, nie słysząc w odpowiedzi: „O tej godzinie?”.

– Dziękuję, że przyszedłeś – mówię, otwierając mu drzwi punkt o północy.

– Zamierzam zostać – zaczyna, opuszczając na podłogę dużą torbę i całując mnie w policzek. – Masz bardzo podkrążone oczy – zauważa, kierując się do kuchni po jakąś przekąskę.

– Jestem wyczerpana. I przerażona.

Marszczy czoło.

– Nowe problemy w instytucie?

– Nie całkiem. Wpakowałam się w tarapaty, ale tym razem wyłącznie na własne życzenie.

– Znowu coś zgubiłaś? – Arthur ryzykuje uśmiech.

– Arthurze, zapewniam cię, że nie ma się z czego śmiać.

– Przesadzasz – stwierdza, ziewając.

Przez chwilę kusi mnie, żeby mu o wszystkim powiedzieć, ale teraz, kiedy jest obok mnie, wydaje mi się nagle, że wszystko jest w porządku. Faza zakochania niesie ze sobą, poza wszystkim innym, uczucia kojące, to ciepło, które niczym tarcza osłania mnie i pozwala wierzyć, że nie wszystko stracone.

– Coś nowego w sprawie Giulii Valenti? – pyta nagle.

Podskakuję.

– Coś nowego? – bełkoczę oszołomiona, jak wtedy, kiedy przesadzę z ilością wypitego cointreau.

– Tak, coś nowego. A więc?

– Właściwie nie. Chodzi o coś, co zrobiłam.

Arthur wpatruje się we mnie pytającym wzrokiem. Najkrócej, jak to możliwe, i tak, by wszystko mogło się wydać mniej poważne – co jest dość trudne – tłumaczę mu, na czym polegał moment zwrotny w moich stosunkach z Biancą Valenti, jak również wspominam o wykonanej przeze mnie pracy, bez względu na całą serię karalnych czynów, których się dopuściłam.

Jeśli nawet wstrząsnęło to nim jak Silvią, nie daje tego po sobie poznać.

– Być może zrobiłaś dość ryzykowny ruch – ogranicza się wyłącznie do tej uwagi, a jego opanowanie jest bardzo *british*.

– Tak myślisz? – odpowiadam z lekkim sarkazmem.

On przybiera zaniepokojony wyraz twarzy.

– Fakt, nie przesadzałaś – stwierdza w końcu z westchnieniem.

– Arthurze, co mam zrobić? Mam jeszcze czas, mogę się wycofać. Mogę powiedzieć, że badania mi nie wyszły. Boję się, chciałabym się z tego wyplątać, ale jednocześnie wiem, że mogłabym pomóc Biance Valenti, i nie czuję się na siłach, żeby zatrzymać tę informację dla siebie.

– W tej chwili nie wiem, co mam ci poradzić.

– Rozumiem, ale ja nie mogę sobie pozwolić na zwłokę, to nic nie da.

– Nic też nie da pakowanie się w kłopoty, nie sądzisz? Masz ich już wystarczająco dużo.

– Zawsze mnie zachęcałeś, żebym posuwała naprzód tę sprawę.

– I mam wątpliwości, czy dobrze robiłem. A to, co to jest? – pyta w końcu i wydaje mi się to pretekstem do zmiany tematu.

Rzucam okiem na kartki, które wziął do ręki.

– Och, nic – odpowiadam rozczarowana. – To artykuł, który napisałam kilka dni temu, pretekstem była sprawa Valenti. Myślałam, żeby pokazać go Boschi, jako dowód mojej dobrej woli, ale jest okropny, więc to bez sensu – mówię, wyjmując kartki z jego rąk; przedzieram je na pół i wrzucam do kosza. On śledzi moje gesty nieobecny wzrokiem.

– Jakbyś się zachował na moim miejscu?

– Znasz już odpowiedź.

– Przekazałbyś wyniki Biance, prawda?

Potakuje.

– Nie wiem, czy to słuszne, Alice, ja bym na to nie przysięgł. Może powinnaś porozmawiać z kimś, kto mógłby ci udzielić bardziej sensownej rady.

Patrzę na zegarek, jest bardzo późno.

– Wystarczy na razie. Pomyślę o tym jutro.

Jestem z Bianką. Wokół nas mleczone ściany jej minimalistycznego salonu i ogromne okna wychodzące na miasto, dosłownie zastygłe w bezruchu pod niebem barwy indygo. Unikam jej spojrzenia, jakby mogło mi to pomóc w znalezieniu rozwiązania. Ale rozwiązania nie ma. Można tylko wybierać.

A ja wybieram prawdę.

Bianca czeka na odpowiedź na swoje pytanie. Odpowiedź, którą przyjmuje bez drżenia.

– Byłam tego pewna – szepce. – Widzisz, Alice, w sprawie śmierci mojej siostry mam dwie hipotezy. Pierwszą uważam za bardziej uzasadnioną i wiarygodną. Druga jest tylko alternatywą, której nie mogę wykluczyć.

– Jaką? – pytam zaciekawiona. Poprzednio nie wspominała o żadnej alternatywie.

– Bardziej uzasadniona hipoteza, jak możesz sobie wyobrazić, wskazuje na Dorianę jako sprawczynię. I sędzę, że twój wynik jest tego dowodem. Druga zakłada samobójstwo Giulii – mówi, kręcąc nosem. – Żeby było jasne, nie jestem do niej przekonana. Ale... kto to może wiedzieć? W końcu była osobą autodestrukcyjną.

– Nie wiem, Bianco. Wydaje mi się to nieprawdopodobne. Gdzie się podziało opakowanie po tabletki? Poza tym samobójcy często zostawiają list, tymczasem Giulia nic nie zostawiła. Może to tylko moje wrażenie, ale... nie wierzę, żeby popełniła samobójstwo.

Bianca zastanawia się.

– Ja też nie, ale powtarzam, nie jestem w stanie tego wykluczyć. W tym sensie, że pasowałoby to jakoś do osobowości Giulii.

– Co teraz zrobisz? – pytam ze szczerzej ciekawości.

Bianca potrząsa głową, po czym wstaje i wygląda przez okno.

– Myślę, że w pierwszym rzędzie zmierzę się z Jacopem.

– Jesteś naprawdę pewna, że mieli romans?

– Absolutnie tak – oznajmia, nie odwracając się i wciąż wpatrując w miasto. – Doszłam do wniosku, że to niemożliwe kochać się tak, jak oni się kochali, bez czegoś więcej, czegoś, co... stanowi o różnicy. – Wraca na kanapę i jest teraz wyraźnie zasmucona. Całe powietrze przepełnione jest udręką. – Alice, naprawdę nie wiem, jak ci dziękować – dodaje z wdziękiem, ale wyraźnie przygnębiona. – I możesz być pewna, że to, co zrobiłaś dla Giulii, pozostanie naszą tajemnicą. Jestem ci wdzięczna również ze względu na nią – kończy z uśmiechem, który ma pozbawić dramatyzmu duszną atmosferę, jaką oddychamy, ale bez powodzenia.

*Gdybym pewnego ranka
sposzrzegła, że wyjechałeś
o świącie...*

Po dniu spędzonym w pracy, tak samo toksycznym jak zawsze, Arthur i ja siedzimy w samochodzie. Wieczór jest wyjątkowo zimny i suchy, zważywszy, że to jeden z ostatnich dni kwietnia, co jeszcze zwiększa uczucie nieuzasadnionego przygnębienia, jakie ogarnia mnie raz na jakiś czas. Nie pomaga oczywiście fakt że Arthur nie wykrztusił ani słowa, odkąd wsiedliśmy do auta, poza kilkoma zdawkowymi odpowiedziami na moje pytania.

Kiedy docieramy do jego domu, postanawiam wreszcie zapytać, czy coś się stało.

– Później – brzmi odpowiedź. Po czym zamyka się w łazience, nie mówiąc nic więcej.

Bębnię palcami o drewniany blat stołu, w końcu postanawiam nakryć i zamawiam dwie pizze. Wychodzi z łazienki z mokrymi włosami, w wilgotnej koszuli i z wściekłą miną.

– Zepsuł się syfon w umywalce – oznajmia.

Jego widok wywołuje u mnie atak śmiechu.

– Z czego się śmiejesz? – pyta agresywnie. Nigdy dotąd nie był w stosunku do mnie tak niegrzeczny.

– Uspokój się.

Burczy coś niewyraźnie, wyciera włosy ręcznikiem i siada do stołu z wyraźną chęcią postawienia na swoim.

Nie wiem, jak się zachować.

Może powinnam wyjść?

Ale to on postanawia dłużej nie zwlekać. Oświadczenie jest związane, w jego stylu.

– Odszedłem z redakcji. Jadę do Chartumu dołączyć do Riccarda.

Zamurowało mnie. On też nie wydaje się wcale zadowolony, chociaż sam tyle razy mi powtarzał, że taka decyzja byłaby jedynym wyjściem wobec jego niemal już chronicznego braku satysfakcji.

– Zwolnili cię?

Za całą odpowiedź rzuca mi spojrzenie, jakbym wypowiedziała jakąś herezję.

– Sam odszedłeś? W końcu jednak to zrobiłeś – dodaję cicho, potrząsając głową.

– Już była na to najwyższa pora – odpowiada, wyjmując z lodówki butelkę tuborga.

– Oszalałeś?

Czyli w tej chwili jest bezrobotny. Jakby nie wiedział, że na świecie panuje kryzys gospodarczy.

– Przeciwnie, zmądrzałem – poprawia mnie, pijąc piwo prosto z butelki.

– Nazywasz mądrością odejście z redakcji jednej z najważniejszych gazet w kraju i porzucenie pracy, którą wszyscy na tym świecie chcieliby wykonywać?

– Naprawdę nic nie rozumiesz. Mam trzydzieści trzy lata, nie sześćdziesiąt. Nie chcę się zadowolić byle czym. Od lat uczę się i pracuję, bo chcę być dziennikarzem. Straciłem już i tak

za dużo czasu na te główniane korespondencje.

– Nie musiałeś się zwalniać. Mogłeś poszukać czegoś innego, zamiast wyjeżdżać jak zdesperowany wariat, bez żadnych środków, w tak straszne miejsce jak Chartum.

– Nie wydaje mi się, żebym musiał komuś się tłumaczyć ze swoich decyzji – stwierdza z taką mocą i otwartością, że na chwilę mnie zamurowuje.

Pomijam jednak ten przytyk i nie ustępuję.

– Owszem, jest. To ja.

– *I beg you*, nie stawiaj mnie przed wyborem. Żadnego szantażu moralnego, *please*.

Wymierzam w niego palec wskazujący, cała drżąc z gniewu.

– To zbyt wygodne, Arthurze, odwoływać się do własnej swobody wyboru.

– Często ci powtarzałem, uprzedzałem cię, kim jestem. Widzę, że na nic się to zdało.

– Arthurze, zastanów się. Jesteś błyskotliwy, wytrwały. Nie ma powodu, dla którego nie mógłbyś się realizować. Ale nie w ten sposób.

– W tej pracy premiowany jest brak świadomości. Poświęcenie i wyrzeczenia przynoszą efekty, a nie jeżdżenie i wypisywanie banałów o miejscach, które oglądałem.

– Czytałem twoje artykuły, nie piszesz banałów. Jestem szczera.

– Co do tego nie mam wątpliwości, ale nie jesteś obiektywna – odpięra z gorzkim uśmiechem. – W każdym razie to nie moja droga – odpowiada stanowczo.

– Jak długo cię nie będzie? – pytam w końcu wyczerpana, czekając już tylko na ostateczny cios.

– *Elis*. – Wymawia moje imię tonem, w którym gniew miesza się ze współczuciem. – Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek wrócę do Włoch.

Robi mi się słabo. Czuję takie samo paraliżujące, ale wciąż pełne niedowierzania oszołomienie, jak w chwilach, kiedy zgubi się jakąś ważną rzecz, na przykład klucze do domu.

– Dlaczego? – szepczę.

– Nawiązałem kontakt z Michele Beaugardem, szefem redakcji zagranicznej AFP. Artykuł, który napiszę z Riccardem, jest przeznaczony dla niego.

– AFP? – powtarzam ze zniechęconą miną.

– Agence France Presse. Francuska agencja prasowa. Postanowiłem wrócić do Paryża.

Przez cały ten czas, kiedy kochaliśmy się z entuzjazmem dwojga nastolatków, gdzieś w głębi kryła się decyzja, która musi zmienić bieg wydarzeń. Kiedy ja zostaję tutaj, uwięziona w karykaturalnej roli robiącej specjalizację lekarki, Arthur chce rozwijać skrzydła z dala od Włoch, z dala ode mnie.

Poza tym nie mam prawa powiedzieć, że mogłam się spodziewać czegoś więcej, to nie jest historia na całe życie. Nie trwała lata czy choćby nawet miesiące. Nie łączą nas doświadczenia, codzienność i to wszystko, co czyni związek ważnym. To, że się w nim zakochałam, jest być może nieproporcjonalne do rzeczywistego stanu rzeczy. Kiedy skaczesz bez spadochronu, musisz zakładać, że możesz sobie połamać kości.

Nigdy nie ukrywał swojej prawdziwej natury. To ja marzyłam, jak zdarza mi się zbyt często, o idealnym związku. To ja powierzyłam Arthurowi rolę księcia z bajki, rolę, do której w rzeczywistości jest mu bardzo daleko.

– Arthurze, posłuchaj. Jest w tobie coś, co cię od środka zżera – mówię, próbując pokonać przepaść, jaką wyczuwam teraz między nami. – Ja sama chciałabym mieć twoją wewnętrzną

siłę, która popycha cię do poszukiwania własnej drogi. Niestety, nie jestem taka jak ty. Jeśli wyjedziesz... naprawdę nie wiem, jaki obrót przyjmą sprawy między nami.

Przenosi wzrok gdzie indziej.

– Nie zamierzam rezygnować. Nawet dla ciebie – oznajmia bardzo naturalnym tonem, spoglądając na mnie z ukosa. Czuję się głęboko zraniona.

– Nigdy cię o to nie prosiłam – mruczę w osłupieniu. Czuję, że zaraz się rozpłaczę.

– Muszę jechać... rozumiesz? – dodaje wyraźnie zmieszany.

– Zdajesz sobie sprawę z powagi tego, co mi przed chwilą powiedziałaś? Albo raczej w jaki sposób to powiedziałaś?

– Chciałem być przede wszystkim dobrze zrozumiany i nie potrafiłem być uprzejmy. Przepraszam.

– Cóż, gdybyś miał wybrać między wyjazdem i poszukiwaniem tej swojej drogi beze mnie a pozostaniem ze mną i poszukaniem czegoś tutaj, bez wątpienia wybrałbyś to pierwsze. – Jego milczenie jest bardziej przerażające od potwierdzającej odpowiedzi. – Najwyraźniej nie jesteście stworzeni, by być razem – kontynuuję urażona.

On wciąż nie odpowiada. Ledwie muska moją rękę, jakby się bał mnie złamać.

Zbieram swoje rzeczy. Wolę odejść i lizać rany w samotności.

Jestem już prawie w drzwiach, kiedy nieśmiała i mimowolna prośba trafia mnie prosto w serce.

– Nie odchodź.

– Budzisz we mnie strach – szepczę, kładąc rękę na klamce.

– Chciałbym ci powiedzieć, że się mylisz i że się zmienię. Ale byłyby to kłamstwa – mówi w końcu. – Kłamstwa, które być może pozwoliłyby nam się tej nocy pogodzić. Ale tylko tej nocy, a jutro wszystko zaczęłoby się od nowa. Skoro jesteśmy tak daleko od siebie, jeśli chodzi o wizję życia, o coś tak podstawowego jak pragnienie realizowania się... to jaka może być przyszłość?

– Jesteś łajdakiem. Mam tyle samo ambicji co ty.

– Dobrze, więc idź i powiedz to mojemu ojcu.

Czuję gwałtowne bicie serca. A właściwie nie bicie. To nagłe pęknięcie serca. Czuję, że zalewa mnie własna krew, która odpływa ze wszystkich tkanek i pozbawia mnie sił.

Mrugając powiekami, powoli pochylam głowę.

Wystarczyłby jeden gest i mimo wszystko padłabym mu do nóg, choć być może nic nie byłoby już tak jak przedtem. Pociąg wiozący nas zmienił tor, a może dotarł do końcowej stacji.

Ale on nic nie mówi, nie rusza się.

– Odwiozę cię do domu – odzywa się w końcu.

Brak mi słów, które zdołałyby wyrazić moje rozczarowanie. Z raju do piekła w ciągu dwóch godzin. Czuję się tak zraniona i opuszczona, że nie jestem już dłużej w stanie znieść jego obecności. Boję się, że kiedy napotkam jego spojrzenie, zacznę błagać, byśmy zaczęli wszystko od początku.

– Lepiej nie – odpowiadam.

– Proszę.

– Nie mam ochoty spełniać żadnych twoich próśb. Wrócę do domu taksówką, nie przejmuj się. Nic złego mi się nie stanie. – Niby jak? Już jestem martwa.

– Ja...

– Proszę. N-i-c-j-u-ż-n-i-e-m-ó-w.

Arthur spuszcza wzrok. Wydaje się prawie, jakby miał zamiar coś zrobić – zatrzymać mnie?

Drzwi zamykają się za moimi plecami, a ja nie wiem, skąd wziąć siłę, by odejść.

Nie biorę taksówki; wolę odzyskać spokój, maszerując.

Maszerując.

Wciąż maszerując.

Aż dochodzę do domu, wyczerpana.

Kiedy wkładam klucz do dziurki, kątem oka widzę jego samochód stojący na rogu ulicy.

Odwracam z bólem wzrok i pozwalam, żeby drzwi się za mną zatrzasnęły.

Nie jest łatwo pożegnać się z historią, którą uważa się za najpiękniejszą w życiu.

Pożegnanie może nawet zabić.

W nocy śpię niespokojnie, często się budzę. Nic mi się nie śni. Poddaję się ogarniającemu mnie odrętwieniu, niezdolna do czegokolwiek, co wymagałoby jakiegokolwiek wysiłku. Czuję się do dupy, głęboko i nieodwołalnie.

Chciałabym przez przynajmniej kilka dni nie chodzić do pracy, ale bezczynność przeraża mnie jeszcze bardziej od ciężkiej atmosfery, jaką oddycha się w instytucie, więc chodzę tam siłą woli, z podkrążonymi oczami, a przy życiu trzyma mnie tylko myśl, że w porze obiadu wyjdę i wrócę do domu. Tam godziny, które powinnam wykorzystać na budowanie swojej przyszłości, spędzę w oczekiwaniu na sygnał połączenia – mail, telefon, cokolwiek – który i tak nie nadejdzie.

Ale przynajmniej rano zostaję przymusowo oderwana od moich głównych myśli, a pewnego dnia, dokonując szybkiego podsumowania programu zajęć na tydzień, zauważam, że jestem dosłownie obłożona zaległą pracą. Czy mam pozwolić, by mnie zatopiła, biorąc pod uwagę, że wkrótce tak czy owak wszystko się zmieni, i to na gorsze, czy też powinnam w ostatnim zrywku doprowadzić zadania do końca? Podpieram brodę ręką i obserwuję przez okno świat spowity całunem wilgoci. Potem mój wzrok pada na stos teczek i całą czekającą mnie pracę. Lara, która prawdopodobnie przyglądała mi się i jak się często zdarza osobom skrzywdzonym przez los niekorzystnym wyglądem, jest znakomitą obserwatorką, próbuje mnie uspokoić.

– Nie przejmuj się pracą, która jest do zrobienia. Nie ma pośpiechu. Boss i Wally są w Glasgow na jakiejś konferencji i wrócą dopiero w przyszłym tygodniu – wyjaśnia łagodnie.

– Całe szczęście, trochę swobody – odpowiadam częściowo pocieszona tą informacją. Dodatkowy tydzień nieświadomości.

– Coś nie tak? – pyta Lara po chwili nieśmiało.

Przyglądam jej się uważnie i po raz kolejny myślę, że gdyby zmienić jej oprawki okularów albo zastąpić szklami kontaktowymi, jej uspokajające i intensywne spojrzenie mogłoby na tym zyskać.

– To nie jest dobry moment – odpowiadam wymijająco.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Nie jestem nawet w stanie odpowiedzieć – tylko coś mruczę, a Lara rezygnuje.

Prawda jest jedna: nikt nie może mi pomóc, nie ma sposobu.

Sama muszę wydobyć się z tego impasu.

Po powrocie do domu przygotowanie kanapki na obiad okazuje się tytanicznym wysiłkiem. W końcu zwałam się na kanapę i pochłaniam tłuszcze nasycone. Po trudnym do określenia czasie budzi mnie dzwonek telefonu, który jednak milknie, zanim, zataczając się jak pijana, zdążę do niego dotrzeć.

To był Arthur. Czuję się zagubiona i zanim decyduję się, czy oddzwonić, czy nie, znów

rozlega się dźwięk komórki. I znowu on.

– Arthur! – mówię trochę zbyt entuzjastycznie.

– Cześć, *Elis*. – Jego głos jest niepewny.

– Jak się masz? – zadaję banalne pytanie, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy i mam nadzieję, że nie mam chrypliwego, zaspanego głosu.

– Daję sobie radę. A ty?

– W gruncie rzeczy do dupy, ale to bez znaczenia. Mimo wszystko cieszę się, że cię słyszę.

Silvia wychłostałaby mnie publicznie do krwi za wszystkie błędy, które popełniłam w ciągu kilku sekund.

Arthur milczy przez kilka chwil, przestraszyłam się, że może połączenie zostało przerwane.

– Jesteś tam jeszcze? – pytam.

– Tak. Nie chciałem, żeby tak się skończyło. Nie chciałem, żeby się skończyło – poprawia się.

– Ja też nie, ale nie wydaje mi się, żeby było jakieś inne wyjście. Rzuciliśmy się na złamanie karku w historię, która od początku nie miała przyszłości. Na szczęście trwała krótko.

Alice, na miłość Boską, zamilcz. Ślizgasz się na skórcie od banana.

– Na szczęście? – powtarza wyraźnie zmieszany.

– W tym sensie, że... daj spokój. Tak będzie lepiej.

Nie komentuje.

– Tak. Jest lepiej. Chciałem się pożegnać, dziś wyjeżdżam – mówi wreszcie, odzyskując pewność siebie.

– I nie wiesz, czy wrócisz – powtarzam, przypominając słowa tamtego złowrogięgo wieczoru.

– Jeśli wrócę, to nie po to, żeby zostać. *Anyway, I'm sorry* -dodaje w końcu bez sensu.

– Mnie też jest przykro.

Zapada nieznośna cisza, którą przerywam wreszcie, bo nie mogę jej dłużej znieść.

– Możemy pozostać w kontakcie – proponuję.

– Jeśli nie zgubię twoich śladów, obawiam się, że nie zdołałbym wytrwać, i obawiam się, że mógłbym wrócić. Postawiłaś mnie przed wyborem... Wybrałem. Decyzja o wyjeździe nie była łatwa i nie chcę się wycofać.

– Nie proszę, żebyś to zrobił. Jeśli chodzi ci o to, żebyśmy do siebie nawet nie dzwonili... Cóż, mogłamy się tego spodziewać – dodaję zjadliwym tonem.

– *Let's grow up, Elis. Stop it.* Nie tylko ty przeżywasz trudną chwilę – odpijera, wyraźnie zirytowany.

Co za gówniana rozmowa.

– Różnica polega na tym, że ja niczego nie wybierałam.

– Nie zawsze można to zrobić i trzeba umieć dostosować się do zmian. Jeśli nie istnieje kompromis. Bo nie wydajesz się zainteresowana kompromisem, czy może się mylę? Nie chcę cię stracić, ale jeśli dlatego miałbym zrezygnować z wyjazdu, to, tak jest lepiej. Teraz muszę już iść – kończy, zmieniając nagle ton. W tle słyszę głosy, jest oczywiste, że nie może kontynuować rozmowy.

Albowiem miłość nie będzie miłością, Jeśli jest zmienna, mogąc mieć odmianę Lub

skłonna odejść za cudzą skłonnością. Nie! To wzniesiona nad burzy bałwany Latarnia morska, gwiazda niewzruszona¹.

To chciałabym ci powiedzieć, kiedy mówisz o kompromisach.

– Oczywiście. Życzę ci szczęśliwej podróży.

Słyszając jego pożegnanie, ocieram łzę spływającą po policzku.

– Dziękuję. Do widzenia, *Elis*.

Właśnie na koniec tej rozmowy z pokoju Yukino, z niesamowitym wyczuciem chwili, docierają dźwięki japońskiej piosenki *Kataomoi figther*, co oznacza – jak tłumaczy mi to później – „wojowniczką nieodwzajemnionej miłości”. Śpiewa, niemiłosiernie fałszując. Wchodzi do mojego pokoju, interpretując piosenkę z wielkim patosem i udając, że trzyma w dłoni mikrofon.

– Dziś wieczór karaoke? Phoszę – mówi z nadzieją na zakończenie występu.

– To nie jest dobry moment, Yuki.

– Właśnie dlatego, że jesteś smutna, to jest dobry moment. I napijemy się – stwierdza stanowczo, biorąc mnie za rękę.

– Nieee.

– Obserwuję cię od wielu dni. Wydajesz się jak Miki z *Mama-redo boi*. Tyle że ona ma szesnaście lat, a ty dziesięć więcej. Kiedy cierpi się z miłości, płacze się bez przerwy cały dzień albo dwa dni. Nie robi się nic więcej, nie można jeść ani się uczyć. Płacze się i tyle. Ale potem zaczyna się wszystko od nowa i już się o tym nie myśli.

– Co za złota myśl, Yuki.

– Dziękuję, wiem! – odpowiada z pewnością siebie, przekonana, że powiedziałam to poważnie. – Teraz wyjdiesz z tego pokoju i przestaniesz opychać się nutellą, bo na dodatek dostałaś pryszczki.

– O nie, nutella jest jedyną rzeczą, jaka mi została.

– Nie, nie jedyną. Jestem jeszcze ja i wiele innych rzeczy, ale ty tego nie widzisz, bo chcesz tylko swojego Arthura *kun*.

Jak bardzo ma rację!

W bardzo chwiejnym stanie psychofizycznym bez sensu krążę po instytucie z niewyraźną miną, aż do chwili, kiedy Lara ciągnie mnie na zebranie do biblioteki. Dopiero po wejściu Claudia orientuję się, że chodzi o ćwiczenia z genetyki sądowej.

Wielkimi krokami podchodzi do stołu ze szklanym blatem, rozsiada się jak król na tronie, przygląda się nam ze znudzoną miną, bębni niecierpliwie palcami, robiąc prawdopodobnie szybkie podsumowanie obowiązków na ten dzień.

– Pospieszmy się, smerfy. Mam mało czasu. Ambro, rozdaj kartki.

Królowa podaje mi kopię, której się przyglądam z nagłym zainteresowaniem. Tymczasem Claudio przekazuje instrukcje dotyczące sprawy:

– Porównajcie profile, macie najwyżej piętnaście minut i szczerze mówiąc, jeśli będziecie na to potrzebowali aż tak wiele czasu, jesteście absolutnie beznadziejni.

Oczywiście jest to prowokacja. Tylko Lara skończyła przed upływem kwadransa; próbowałam od niej przepisać, ale musiałam zrezygnować, kiedy zobaczyłam, że Claudio piorunuje mnie wzrokiem.

– Jak było do wykazania, jesteście w nieprzyzwoity sposób beznadziejni. Nardelli, omów wyniki.

Lara zaczyna wykład, ale ja śledzę go raczej nieuważnie. Nie mam siły, jestem zbyt załamana, żeby skupić się na kwestiach genetyki sądowej. Mam i tak za dużo problemów. I pomyśleć, że umiałabym zrobić to badanie, gdybym tylko miała trochę więcej czasu. Między jednym ziewnięciem a drugim czekam na zakończenie tej tortury. Claudio żegna nas w końcu jakimś zniechęcającym przymiotnikiem, takim na granicy wulgarności, ale gdy tylko przekraczam próg, woła mnie donośnym głosem.

– Allevi!

Odwracam się znużona.

– Tak?

– Źle zrobiłaś, nie śledząc wyjaśnień Lary.

– Śledziłam – kłamię bezwstydnie.

– Kłamczucha. Allevi, dałem wam do analizy profil Saveria Galantiego.

Wytrzeszczam oczy ze zdziwienia.

– Zgadza się z profilem znalezionym na strzykawce? – pytam instynktownie.

– Zasługiwałabyś na to, żeby się nie dowiedzieć.

Nie każ mi powiedzieć, na co ty byś zasługiwała.

– Oszczędź sobie. Mimo że może ci się to wydać dziwne, jestem w stanie sama opracować wynik. – Ostatnio, jeśli o to chodzi, miałam tego pełne potwierdzenie.

– Co z tobą, Allevi? Źle się czujesz? – pyta nagle, ignorując moje oświadczenie.

– Nie, dlaczego?

– Jesteś błada. I wymizerowana.

– Nie, nie. Wszystko w porządku.

Niezbyt przekonany Claudio wzdycha.

– Co do wyników, zapytaj Larę. I dobrej zabawy – kończy.

Jeśli wcześniej czułam się obrzydliwie, teraz czuję się zdecydowanie gorzej.

Może dlatego, że w końcu potrafię skupić uwagę, wynik otrzymuję bezzwłocznie.

Ślady na strzykawce należą do Saveria Galantiego, co wskazywałoby na to, że on i Giulia narkotyzowali się razem, dokładnie tak jak sugerowała Sofia Morandini de Clés. Ponieważ ślad na strzykawce nie odpowiada śladowi uzyskanemu podczas badania ginekologicznego, tożsamość ostatniego mężczyzny Giulii wciąż pozostaje niewiadomą, przynajmniej oficjalnie.

W tej sytuacji zastanawiam się, jaki jest wynik badania toksykologicznego, ale by się tego dowiedzieć, musiałabym zapytać bezpośrednio Claudia, a nie chciałabym dać mu satysfakcji, aby po raz kolejny usłyszeć: „Jesteś nachalna z tą sprawą Valenti”

Nie wracam do domu, czując, że jestem nieznośna i pedantyczna. Nic mnie nie uspokaja. Jestem sama w instytucie. Idealna sytuacja, żebym mogła działać w sferze nielegalności przez nikogo niekontrolowana.

Moim nielegalnym celem jest w tej chwili zdobycie wyniku badania toksykologicznego Saveria Galantiego. Nie sądzę, by miał on większą wartość. Upłynęły prawie trzy miesiące od śmierci Giulii i jest oczywiste, że substancja zażyta tamtego wieczoru została w dużym stopniu wydalona. Na pewno nie da się jej znaleźć we krwi czy w moczu, jedynie we włosach, a włosy Saveria są zbyt krótkie, by móc poddać je badaniu; nie przyniosą informacji o wcześniejszych używkach. Badanie toksykologiczne w tym momencie udowodniłoby niedawne zażycie narkotyków – które można by uznać ewentualnie za wskazówkę dotyczącą uzależnienia chronicznego – co i tak, biorąc pod uwagę mglistość tej sprawy, stanowiłoby wątpliwy dowód.

Jedyny sposób zdobycia wyników to sprawdzenie w komputerze Claudia, pod warunkiem, że zachował kopię.

Drzwi jego pokoju są oczywiście zamknięte na klucz, ale to żaden problem; klucze do wszystkich pokojów są dostępne w sekretariacie.

I oto jestem w jego królestwie, sama, mogąc działać bez przeszkód.

Zdjęcia na ścianach, na których widać opalonego Claudia podczas podróży do Sharm – miejsca, które zdecydowanie do niego pasuje, – wypełniony po brzegi pojemnik na pióra, dość ostry zapach lawendy wydobywający się z elektrycznego rozpylacza wetkniętego do gniazdka obok włącznika światła, książka *Zapiski anatomopatologa* na biurku (korzystam z okazji, żeby ją przekartkować i znajduję mdłą dedykację niejakiej Chiary, napisaną nieporządnym charakterem pisma, który stara się taki nie być), okulary krótkowidza położone niedbale obok klawiatury... Czuję się nieswojo, wdzierając się w jego prywatność, ale nie ma mowy, żebym zwróciła się do niego w tej sprawie bezpośrednio. Naciskam guzik uruchamiający komputer i ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu zdaję sobie sprawę, że potrzebne jest hasło dostępu, którego oczywiście nie znam. Już mam wyłączyć, kiedy słyszę w oddali jakieś kroki.

Cholera!

Mój znakomity słuch pozwala rozpoznać je albo raczej stukot obcasów. A zaraz potem głos.

– Tak, kochanie, właśnie przyszłam. Nie, nie przejmuj się, to żaden kłopot, miałam po drodze. Skarbie! Zapomniałaś zamknąć drzwi do pokoju? Jak to nie? Są otwarte, mówię ci. Cóż, to dziwne. Gdzie są? Na biurku? Dwie teczki, jedna zielona i jedna żółta. OK. Zobaczymy się później. Wieczorem jemy kolację z Martą i Pierre’em. Tak, spokojnie, zamknę drzwi.

Serce waliło mi tak mocno, że naprawdę myślałam, iż Ambra może usłyszeć. Co za wstyd! Siedziałam schowana pod biurkiem niczym postać z zabawnej kreskówki.

No i jestem zamknięta na klucz w gabinecie Claudia i nie mogę się nawet poruszyć. Wskazówki zegarka odmierzają sekundy, jakby uderzały młotem. Siadam na podłodze i myślę, że Silvia ma rację.

Z powodu banalnej informacji, którą i tak w stosownym czasie będę mogła poznać, ryzykowałam przyłapanie przez Ambrę, co pociągnęłoby za sobą niewyobrażalne konsekwencje.

Naprawdę straciłam rozum.

Alice? Skończyłaś pracę? Wally i Boss wracają dzisiaj i nie możemy być nieprzygotowane, biorąc pod uwagę, że nie było ich przez tydzień. – Lara jest niespokojna, co mnie nie dziwi, bo jest typem bojaźliwym. Mnie za to bulwersuje wiadomość sama w sobie.

– Dzisiaj? Wracają dzisiaj? – pytam oszołomiona.

– Niestety, tak.

A tak dobrze było bez Najwyższego i Wally. Czułam się jak w stanie hibernacji. Problemy osobiste kazały mi niemal zapomnieć o ogromnych rachunkach do spłacenia w instytucie.

Kiedy rozlega się dźwięk telefonu i sekretarka zawiadamia, że jestem wzywana przez Najwyższego, nie mogę się powstrzymać od mało eleganckiego parsknięcia:

– Cholera.

Lara obrzuca mnie pytającym spojrzeniem; wychodzę z pokoju i idę w stronę dyrekcji z poczuciem nieuchronności.

Nadeszła chwila.

Można się było zresztą tego spodziewać. W ciągu dziesięciu dni spędzonych ramię w ramię – Najwyższy z Wally, Wally z Najwyższym – bez wątplenia mieli okazję, żeby się naradzić i w końcu podjąć decyzję, która sama w sobie była oczywista.

Najwyższy siedzi za biurkiem. Nawet nie patrzy mi w twarz, kiedy oznajmia:

– Muszę z panią porozmawiać.

Jego głos jest inny od głosu Arthura, zachrypniętego na skutek palenia, ale tembr ma taki sam, mimo różnicy wieku. Jest człowiekiem twardym i raczej obojętnym. Teraz, jako ojciec Arthura, wydaje mi się jeszcze gorszy.

– O co chodzi? – pytam ze spokojną i trzeźwą miną.

Podnosi na chwilę głowę – to czysta sugestia, ale wydaje mi się identyczny jak Arthur. W rzeczywistości różnią się zasadniczo; prawda jest inna. Prawda jest taka, że widzę Arthura wszędzie.

– Proszę usiąść – mówi Najwyższy mało zachęcającym tonem zdradzającym pośpiech. – Czy przekazała pani doktor Boschi pracę o uszkodzeniach cewkowych wskutek wypadku samochodowego?

Nie, nie zrobiłam tego. Pański syn mnie rzucił i czuję się beznadziejnie. Nic mnie nie obchodzi uszkodzenia cewkowe.

– Jest prawie skończona, panie profesorze. Jeszcze ją opracowuję.

– Co znaczy opracowuję?

– Przygotowałam pierwszy zarys i teraz nadaję mu bardziej techniczny charakter. – Poruszam się na wzburzonych falach, a Najwyższy ma wyraźny zamiar mnie zatopić.

– Musi się pani nauczyć mówić, tak jak pisze i vice versa – stwierdza chłodno.

– Dobrze – odpowiadam ledwie słyszalnie.

– Ale nie o tym chciałem z panią rozmawiać. Nadszedł moment, żeby poruszyć dość

delikatny temat.

No proszę. Zaczyna się proces. Dziwne, że nie ma Wally w charakterze prokuratora.

– Panie profesorze, jestem gotowa zaakceptować wszystko, co będzie mi pan miał do powiedzenia – oznajmiam, przepełniona bolesną godnością.

Marszczy brwi, a na jego ustach pojawia się cień ledwie widocznego uśmiechu. Wyciąga spod masy papierzyk cienki plik kartek, które jakbym skądś znała.

– Ktoś dał mi tę pani pracę – zaczyna wyjaśniać; wyjmuje z kieszeni okulary dalekowidza, wkłada je i czyta tytuł.

To artykuł, który napisałam jakiś czas temu i podarłam tamtego wieczoru w obecności Arthura.

Ktoś.

Kto, jeśli nie on.

– Wiem, że miała pani wątpliwości co do tego artykułu... wątpliwości tak naprawdę raczej nieuzasadnione. To dobra praca, pani doktor. Bardzo dobra. – Czuję, że serce wali mi jak oszalałe. Najwyższy kładzie kartki na biurku i patrzy na mnie szarymi oczyma. – Dowiedziałem się też o problemach, jakie pani miała z doktor Boschi.

Spuszczam oczy zawstydzona.

– Bardzo mi przykro, panie profesorze. Ja próbuję... bardzo bym chciała dorównać moim kolegom oraz standardom pańskiego zespołu, ale naprawdę nie jestem w stanie zrobić więcej.

– Valeria nie wierzy w panią i twierdzi, że nie dorasta pani do średniej; narzeka przede wszystkim na pani brak determinacji. Czy zgadza się pani z jej opinią?

Podnoszę wzrok i uważnie wpatruję się w jego lodowate oczy.

– Niezupełnie.

Nie przysięgłabym – to w końcu nieprzenikniony człowiek – ale wydaje mi się, że jest usatysfakcjonowany odpowiedzią.

– Myślę, że należy zawsze zachować wiarę we własne umiejętności, nawet kiedy cała reszta świata próbuje nam wmówić coś przeciwnego.

Patrzę na niego oszołomiona. Nigdy nie postrzegałam Najwyższego jako prawdziwego człowieka, raczej jako istotę krążącą po instytucie niczym jakieś bezcielesne bóstwo: nie uważałam, że jest zdolny do empatii.

Najwyższy wstaje i bierze z biurka oprawione w ramkę zdjęcie. Podaje mi je, a ja je odbieram z jego rąk z pewnym namaszczeniem. Są na nim wszystkie jego dzieci. W chudym chłopcu o jasnych włosach i wkurzonej minie rozpoznaję Arthura, a Cor-delię w niepozornej dziewczynce z dwoma kucykami związanymi czerwonymi wstążkami.

– Panie profesorze...

– Proszę pozwolić mi skończyć. Wbrew pozorom jest pani bardzo zdolną dziewczyną. Ale żeby osiągać wyniki, potrzebuje pani stabilności i ciągłych bodźców. To nie krytyka, proszę tego tak nie przyjmować. To zwykła konstatacja. Arthur bardzo, bardzo się od pani różni. Im bardziej jest pod presją, tym mniej to daje. To tak, jakby nigdy nie czuł się spełniony i uporczywie odmawiał uznania przegranej. Jest w nim coś niedokończonego. Byłem przekonany, że to wina młodości. Ale teraz jest już dojrzałym mężczyzną. Nie jest dopuszczalne, aby człowiek ponad-trzydziestoletni porzucał pracę, by zostać wolnym strzelcem. Jest całkowicie zdezorientowany. – Już mam coś powiedzieć, ale on mnie

powstrzymuje. – Odszedłem od tematu i tego, co chciałem powiedzieć. Chodzi o to, że doktor Boschi nie pomyliła się, stosując wobec pani terror psychologiczny. W przypadku Arthura to by nie zadziało, ale w pani przypadku tak. Doktor Boschi zdołała nadać pani impet, którego w innym razie może by pani zabrakło.

Jeśli o to chodzi, to zdołała też coś we mnie zabić.

Najwyższy pochrząkuje, po czym mówi dalej.

– Spotkałem się z synem przed jego wyjazdem do Chartumu. Dał mi tę pracę, której pani niesłusznie nie doceniła, i opowiedział mi też o pewnych pani wyczynach. – Robię się purpurowa i czuję, jak palą mnie uszy. – Wyczynach, o których potwierdzenie poprosiłem doktora Confortiego.

– Prawda jest taka, że w sprawę Valenti zaangażowałam się emocjonalnie. Nie wiem, czym się różniła od innych, ale całkowicie mnie wciągnęła.

– Co, proszę to zapamiętać na przyszłość, jest błędem.

– To był tylko jeden przypadek.

– Ale nie zmienia faktu, że wykonała pani dobrą robotę. – Najwyższy odprowadza mnie do drzwi. Wyraz szacunku bez precedensu. – Valeria czeka na panią, żeby porozmawiać o projekcie badawczym, do którego została pani włączona. Proszę do niej pójść.

– Tak, panie profesorze.

Już mam przestąpić próg, kiedy on odzywa się raz jeszcze.

– Alice. Pragnę panią uspokoić. Być może nie jest pani najbardziej błyskotliwą czy też godną zaufania osobą w tym instytucie, nie mogę jednak powiedzieć, bym był na tyle niezadowolony z pani postępów, żeby zaprzepaścić pani przyszłość, oblewając ją w tej chwili. Jest pani bezpieczna. I to pani zasługa.

Na moim miejscu ktoś taki jak Ambra zareagowałby z klasą i pewnością siebie.

Lara z godnością i wdzięcznością.

Ja reaguję w swoim stylu – łzami i szlochem. Tak jakbym otworzyła nagle krany wypełnionego po brzegi bojlera. Najwyższemu brakuje słów, znajduje się w trudnej sytuacji.

– Pani doktor, proszę. Trochę umiaru – mówi, sztywniejac. Podaje mi bawełnianą chusteczkę ze swoimi inicjałami. Wycieram głośno nos i jestem tak wstrząśnięta – wreszcie z powodu jakiejś dobrej wiadomości – że nie potrafię nic składnie powiedzieć.

– Zmagazynowałam w sobie... tak wielkie... napięcie przez te ostatnie miesiące... i teraz dowiedzieć się, że... to już koniec, że jestem bezpieczna. Cóż, nie mogę powstrzymać emocji – wyjaśniam wreszcie z uśmiechem, miętosząc w dłoniach jego chusteczkę.

Boss nie może się doczekać, kiedy mnie odprawi.

– Cieszę się, że przekazałem pani dobrą wiadomość. Teraz proszę wracać do pracy, zanim tego pożałuję – kończy z cierpką miną.

Jestem jednak zbyt rozklejona, żeby wyjść. Ulga wypełnia mnie do tego stopnia, że nie mogę się powstrzymać i mówię:

– Dziękuję, Najwyższy.

Cisza.

A po chwili:

– Jak mnie pani nazwała?

– Ja...

– Najwyższy? Najwyższy. Tak, w istocie, to do mnie pasuje. Teraz jednak niech już pani idzie. No. Proszę iść.

Po wyjściu z jego gabinetu, z rozmazanym tuszem i ogłupiałym wyrazem twarzy, mijam drzwi pokoju Wally, tłumiąc w sobie pokusę, żeby tam zajrzeć i radośnie prychnąć. Tymczasem pukam i stoję przed nią przepełniona odzyskaną pogodą ducha.

– Profesor Malcomess powiedział, że chciała pani ze mną rozmawiać.

Wally mierzy mnie, unosząc zarośnięte brwi.

– Proszę usiąść. – Robię to i patrzę na nią ze spokojem, jakiego nigdy w jej obecności nie doświadczyłam. – Radzę, żeby po wyjściu stąd obmyła pani twarz. Wygląda pani jak maska.

– Straciłam kontrolę – przyznaję.

– Nie po raz pierwszy – zauważa kąśliwie. – Pani doktor, nie mogę pani poświęcić wiele czasu, ale ponieważ doktor Malcomess postanowił dziś wyjaśnić pani sytuację, nie pozostaje mi nic innego, jak się dostosować.

– Dziękuję, pani profesor – odpowiadam mimo woli uniesieniem.

– Wiemy obydwie, że narobiła pani całą masę kłopotów w związku z programem virtopsy. – Jak zwykle przesadziła. Całą masę. Jeśli już, to jeden. – A jednak w chwili prezentacji sprawozdania z pani pracy, doktor Conforti wyraził się o pani działaniach w sposób pozytywny, wręcz pochlebny. W tej sytuacji sądzę, że powinnam mu uwierzyć.

– Chyba tak – odpowiadam, próbując ukryć zdziwienie.

Podwójne zdziwienie: dwaj mężczyźni, którzy najbardziej mnie w życiu zranili, każdy na swój sposób, i pozwolili, bym poczuła się nikim, uratowali mnie też przed upadkiem w przepaść.

To oczywiste, że Wally mu nie uwierzyła, jednak Claudio ma swoją pozycję i sprzeciwić mu się nie jest łatwo, nawet dla Wally, która zresztą – jak wszystkie istoty płci żeńskiej – ulega jego urokowi. Kłamstwo, jakiego się dopuścił, uważam za gest uprzejmości, którego nigdy bym się po nim nie spodziewała.

– Mam zwyczaj dotrzymywać słowa. Obiecałam, że w przypadku pozytywnych wyników w projekcie virtopsy nie będzie pani zagrożona. Tak się stało, więc nie jest pani zagrożona.

W swej perfidii świadomie pomija opinię Malcomessa.

Ale kogo to obchodzi.

Nie jestem zagrożona.

Podziękowanie Claudiovi wydaje mi się minimum tego, co powinnam zrobić. Pukam do jego pokoju.

– Proszę.

Ostrożnie zamykam za sobą drzwi. Czasy, kiedy czułam się ekstatycznie w jego obecności, wydają mi się bardzo odległe.

Siedzi za biurkiem i sprawia wrażenie bardzo skupionego. Przeświecające przez okno słońce uwidoczni kilka srebrnych nitek na skroniach między lśniącymi, ciemnymi kędziorami. Podnosi zielone oczy, ciemne i przebiegłe.

– Ach, to ty.

– Claudio – szepczę nieśmiało. Nie rozumiem dlaczego, ale dziękowanie mu jest dla mnie krępujące. – Wszystko załatwione. Dziękuję, że mówiłeś o mnie dobrze do Wally.

Claudio patrzy mi prosto w oczy. Nikt nigdy nie przyglądał mi się z taką intensywnością. Czuję ciepło na policzkach, kiedy pytam cichutko:

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

On mruga powiekami i szybki uśmiech rozjaśnia na chwilę jego twarz. Potrząsa głową, jakby rozkojarzony.

– Nic, nic – powtarza. Podnosi się z krzesła i podchodzi do mnie ze swobodą. – Z tym rozmazanym tuszem masz w sobie coś gotyckiego. Ale jeśli się dobrze zastanowić, ty istotnie jesteś gotycka – komentuje, w rzeczywistości nie zwracając się do mnie. Wydaje się raczej, że rozmawia z samym sobą. – W każdym razie, moja mała Alice, miło było ci pomóc.

Jest krok ode mnie. Czuję, że moje serce uderza gorączkowo.

– Czy uznałabyś za podłość, gdybym poprosił o coś w zamian? – pyta głosem, który nigdy nie wydawał mi się tak mamiący.

– Zależy, o co byś poprosił – odpowiadam z gotowością, która mnie samą zaskakuje.

– O to – mówi, opuszczając głowę – żebyś mnie pocałowała.

Czuję, że drzę, i nie znajduję w sobie odwagi, by go odepchnąć. Jest to krótki pocałunek, ale tak bardzo zmysłowy, że wprowadza zamęt w mojej głowie. Claudio natychmiast odsuwa się, rzucając szybkie spojrzenie w kierunku drzwi, które są na szczęście zamknięte.

Patrzę na niego z niedowierzaniem. Nie mogę uwierzyć, że to się stało naprawdę.

– To było podłe – bełkoczę, muskając palcami wargi.

Claudio wydaje się zadowolony tym, że wprowadził mnie w zażenowanie.

– Wiem – przyznaje szczerze. – Ty się jednak nie cofnęłaś.

To prawda, w dodatku musiałabym przyznać, że jakaś część mnie była ciekawa tego pocałunku.

– Wychodzę – mówię, cofając się do drzwi. Czuję, że moje nogi poruszają się niezdarnie.

– Nie przejmuj się. Więcej tego nie zrobię – kończy z westchnieniem.

– Wolałabym – wyznaję, a mówię z wysiłkiem, bo czuję śmiertelne zakłopotanie.

Claudio znów pozwala sobie na przenikliwe spojrzenie. Uśmiecha się wyrozumiale.

– Naprawdę byś wolała, Alice? Jesteś tego taka pewna?

Pewna... Co za wielkie słowo. To prawda, był taki czas, kiedy marzyłam o podobnej sytuacji. Ale to zamierzchły czas.

Całkowicie rozbita i wciąż kompletnie niedowierzająca, świętuję z Silvią i o szóstej po południu jestem prawie zupełnie pijana. Do domu odwozi mnie taksówka, a ja ledwie trzymam się na nogach.

Zaraz po wejściu do pokoju włączam komputer i usiłuję się skoncentrować, korzystając z resztek przytomności, żeby napisać coś w miarę przyzwoitego.

Dziękuję

Ty już wiesz, za co.

A.

Jest ledwie dziewiąta, kiedy zasypiam. Odczuwam chroniczny brak snu, więc to pewnie dlatego. Ciągnę za sobą nadmierne zmęczenie. Teraz jest tak, jakby ktoś podał mi jakiś cudowny lek na całe zło.

Nazajutrz znajduję odpowiedź od Arthura.

Nie wspominałem Ci o tym wcześniej, bo uznałem, że będzie właściwiej, jeśli wszystko powie Ci mój ojciec. Zreszt, on to ocenił poprawnie; dlatego nie masz mi za co dziękować. To raczej ja przepraszam, że zdradziłem Twoje tajemnice.

Arthur

Arthur.

Ta radość nie jest radością, gdy ty jesteś tak daleko.

Wcale nie jestem na ciebie zła, nawet za twoje minione winy. Chciałabym tylko, żebyś wrócił. Zaraz.

* * *

To, że do niego napisałam – w końcu miałam ważny powód – pozwoliło nawiązać połączenie.

To prawda, nierozmawianie ze sobą oznacza zerwanie kontaktu, a ja pisząc do niego, postępuję zdecydowanie wbrew jego woli. Jednak za bardzo mi go brakuje, żebym zdołała dotrzymać obietnicy złożonej samej sobie, więc zgodnie z najlepszą tradycją, łamię ją bez wyrzutów sumienia.

Bardzo bym chciała wiedzieć, co robisz, gdzie mieszkasz.

Dlaczego mamy od razu zniknąć, jakbyśmy umarli jedno dla drugiego? Przecież Ty dla mnie wcale nie umarłeś, przeciwnie. Bardzo mi cięży, że nic o Tobie nie wiem. Jakbyśmy byli dla siebie nawzajem zaledwie meteorem. Nieważne, jak potoczyły się sprawy między nami. Nie chcę zniknąć. Pozwolisz mi przeczytać swój artykuł?

*Twoja
A.*

PS. To nie było szczęście, że trwało tak krótko.

Wysyłam i obiecuję sobie, że nie będę wciąż sprawdzała poczty ani pokładała specjalnych nadziei w jego odpowiedzi. Ale również tej obietnicy bardzo trudno mi dotrzymać.

Jakie to piękne – po dwóch godzinach znaleźć jego imię w odebranych.

Dobrze to nazwałaś, meteor. To bardzo smutne, ale odnoszę takie samo wrażenie. Jeśli chodzi o zrywanie kontaktu, to myślę, że byłem zbyt drastyczny. Nie powinienem, proszę, byś mi wybaczyła.

Tutaj, w Chartumie, mieszkam w Acropole Hotel.

Nigdy nie czułem takiego gorąca, to coś piekielnego. Klimat nie jest jedynym problemem, ale być może największym.

Spędzam dni na zbieraniu materiałów, wypytując, słuchając, przechadzając się. Wieczorami opracowuję je i często siedzę do późnej nocy.

Koniec końców o tym właśnie marzyłem, więc czuję się dobrze.

Miałbym Ci wiele do opowiadania. Mam nadzieję, że niedługo będzie to możliwe, teraz

muszę iść. Za kilka godzin jadę do Darfuru.

Było bardzo miło znaleźć Twój mail.

Do rychłego

Arthur

Jak posuwa się praca przy funduszach humanitarnych? Czy znaleźliście z Riccardem coś ciekawego?

Uważaj na siebie, Arthurze. Nie chciałabym Ci się wydać histeryczna, ale trochę się niepokoję.

A.

Odpowiedź jest natychmiastowa, to znaczy, że jest dostępny. Żałuję, że nie mam messenger'a.

Jestem dosyć zadowolony. Spróbuję wyjaśnić Ci to lepiej, jak tylko będę mógł.

Arthur

Wyniki badania toksykologicznego Saveria Galantiego zostają podane do wiadomości kilka dni po mojej próbie włamania się do komputera Claudia.

Kiedy leżę sobie wygodnie na kanapie w domu, pogrążona w lekturze artykułu naukowego na temat anafilaksji, słuchając płyty z największymi przebojami Janis Joplin, podchodzi do mnie Yukino, trzymając w rączkach o paznokciach pomalowanych lakierem w kolorze fuksji dzisiejszą gazetę.

– Jest tu kanałek ciekawy dla ciebie – wyjaśnia.

– Kanałek? Masz na myśli kawałek. Yuki, odkąd to czytasz gazety codzienne?

– To ćwiczenie na uniwersytet. Czytaj, czytaj – ponagla, siadając obok mnie na kanapie i wyjmując spod poduszki przygotowaną do lektury mangę.

Jak przypuszczałam, badanie wykazało po prostu niedawne zażywanie narkotyków, w tym przypadku z rodziny konopiowatych. Fakt nie byłby sam w sobie interesujący, gdyby nie towarzyszyły mu zeznania Saveria dotyczące dnia śmierci Giulii, złożone najwyraźniej pod wpływem obciążającego go badania genetycznego.

Heroinę kupił dzień wcześniej, były to działki na pozór identyczne, a dostawca zapewnił go, że pochodzą z tej samej partii. Saverio udał się do domu Giulii i Sofii i zostawił narkotyk u nich na przechowanie. Nazajutrz około trzeciej zadzwoniła do niego Giulia i poprosiła, by do niej przyszedł. Źle się czuła, bolała ją głowa. Zazwyczaj wciągali heroinę, bardzo rzadko ją sobie wstrzykiwali; tamtego dnia jednak Giulia nalegała, żeby przyjąć narkotyk dożylnie, ponieważ była przekonana, że działanie będzie silniejsze i bardziej długotrwałe. Ponieważ nie była w stanie zrobić tego sama, Saverio jej pomógł. Sam wolał heroinę wciągnąć.

Według jego wersji, Giulia nie wykazała żadnej reakcji alergicznej po wstrzyknięciu. Zasnęła jak zawsze. A on razem z nią. Kiedy się obudzili, było już około siedemnastej. Giulia czuła się dobrze, była euforyczna i przeszedł jej też ból głowy. On wyszedł z domu Valenti około osiemnastej i od tej pory ma niepodważalne alibi aż do dwudziestej trzeciej. A zatem cały zakres czasowy, w którym mogła nastąpić śmierć Giulii, jest pokryty, jako że zgon nie mógł nastąpić przed ósmą, kiedy to Giulia zadzwoniła do siostry, co zeznała Bianca, a potwierdziły bilingi telefoniczne. Nawet przyjmując hipotezę, że Claudio popełnił błąd, ustalając godzinę śmierci na dwudziestą drugą, Saverio i tak był w tym czasie gdzie indziej.

– A jeśli to jednak on podał jej paracetamol, ale reakcja alergiczna się opóźniła? – pytam Claudia, do którego natychmiast zadzwoniłam. Przyszło mi to z trudem, wciąż jeszcze czuję się zmieszana. O ile go jednak znam, nasz pocałunek nie miał dla niego żadnego znaczenia. Nie ma co przywiązywać do niego wagi.

Przez chwilę milczy, zapewne się zastanawiając.

– Oczywiście, to możliwe. Mógł podrobić działkę, żeby zabić Giulie. Mógł się spodziewać natychmiastowej reakcji alergicznej, która jednak nie nastąpiła. Możliwe, że ona poczuła się

gorzej dopiero później. Jednak reakcja alergiczna jest tym bardziej niebezpieczna, im szybciej następuje. Jeśli była opóźniona, to znaczy była słabsza i stopniowa. Giulia miałaby czas na zażycie lekarstwa, wezwanie pomocy albo udanie się do szpitala... Nie sądzisz, Alice? Poza tym reakcja opóźniona wywołuje często rozlany obrzęk twarzy, a takie objawy u Giulii nie wystąpiły. Słowem, wydaje mi się to mało prawdopodobne.

– Tak, oczywiście, mało prawdopodobne. Też mam poczucie, że chodziło o reakcję natychmiastową, niemal piorunującą. Ale nie jest to jednak całkowicie niemożliwe.

Claudio jest dziwnie podenerwowany.

– Allevi, mam spotkanie z Calligarisem. Chce ze mną rozmawiać właśnie o tej sprawie. Pójdiesz ze mną?

Jestem naprawdę zdumiona. Przecież Claudio chciał mnie trzymać z dala od tej sprawy. Czyżby zaczynał wierzyć w szczerą moich intencji? Może zmienił wyobrażenie o moim nadmiernym zaangażowaniu w tę historię. W każdym razie nie mam zamiaru przepuścić takiej okazji, zastanawiając się nad motywami tego zagadkowego człowieka.

– Oczywiście! – odpowiadam więc aż nazbyt entuzjastycznie.

On wzdycha.

– Zgoda, przyjadę po ciebie za dwadzieścia minut.

Claudio i jego mercedes SLK są doskonale punktualni, więc siedzimy już w aucie i jedziemy w stronę biura Calligarisa. Wzajemne skrępowanie wywołuje niezręczne milczenie aż do chwili, kiedy on przełamuje lody.

– Sądzę, że inspektor będzie chciał mi zadać te same pytania co ty – zauważa.

– To możliwe.

– Tak, oczywiście. Chwilowo śledztwo prowadzone jest trochę po omacku, sądzą, że Galanti jest jedynym podejrzanym.

Więc Bianca nie wykorzystała jeszcze informacji, jakich jej dostarczyłam.

Claudio nieśmiało wysunął moją osobistą obiekcję.

– Żeńskie DNA, to znalezione pod paznokciami, kolidowałoby w każdym razie z hipotezą, że Galanti przyczynił się do śmierci Giulii.

– A kto to może powiedzieć? Może byli w trójkę tamtego popołudnia?

W rzeczywistości ja mogłabym to powiedzieć. Nie wyobrażam sobie, jak Dorigana i Saverio mogliby być współodpowiedzialni, ale będę musiała zachować dla siebie te przypuszczenia, dopóki Bianca nie zrobi kroku.

Pogrążona w tych myślach nie zauważam, że dotarliśmy do znanego mi już budynku.

Calligaris przyjmuje nas ze zwyczajową uprzejmością. Zalewając nas całym potokiem miłych słów popełnia potężną gafę.

– Doktorze Conforti, wspaniale, przyprowadził pan drogą Alice. Dotarły do mnie głosy o miłości, jaka narodziła się w murach waszego instytutu... Wspaniale! Para w pracy i także w życiu! Ja i moja żona też długo pracowaliśmy razem.

Claudio i ja patrzymy na siebie a nasze spojrzenia wyrażają lekkie zakłopotanie.

– Proszę, siadajcie – kończy Calligaris, wskazując fotele.

Claudio z charakterystyczną dla niego grymasną miną zachęca Calligarisa, by zadawał mu wszelkie pytania. Dobry inspektor daje wyraz tej samej uzasadnionej ciekawości, jaka

zrodziła się w mojej głowie, kiedy tylko przeczytałam artykuł o Saveriu, a Claudio odpowiada z niewzruszoną pewnością siebie, która uczyniła go najwybitniejszym lekarzem sądowym w całym środowisku.

Jest to spotkanie, które zakończyłoby się w ciągu jakichś dwudziestu minut, ale przeciąga się, bo Calligaris ma ochotę na dłuższe wywody. Szczególnie uderza mnie rewelacja, jaką serwuje nam tuż przed pożegnaniem. Daje nam do zrozumienia, że śledztwo wzbogaciło się ostatnio o nowy trop, dość nieprzewidziany zwrot sytuacji. Po czym, patrząc Claudiowi prosto w oczy, jakby wyzywająco, dodaje:

– Wkrótce będę miał dla pana kolejne zadanie, doktorze Conforti.

Claudio żegna się z powściągliwym uśmiechem i bierze mnie za rękę, praktycznie zmuszając, bym wstała i wyszła z nim. Nie mam nawet czasu, by pożegnać się z Calligarisem.

Po wyjściu z budynku wdeptuję w bardzo cuchnące psie gówno.

– Możesz wrócić metrem – zauważa z typową dla siebie uprzejmością.

– Nie mówisz poważnie – stwierdzam, próbując wytrzeć podeszwę o krawężnik.

– Właśnie byłem z moim cudeńkiem w myjni. W obecnej sytuacji twoja noga w nim nie postanie.

– Jesteś chamem – mówię z niedowierzającym uśmiechem.

– Metro jest o krok stąd. – Rzuca to na odczepkę i wsiada do samochodu. Pochyliłam się do okna i patrzę na niego przez okulary przeciwsłoneczne, które tymczasem włożyłam.

– Tym gorzej dla ciebie. Mogłabym ci przedstawić pewną moją teorię.

– Co za strata – komentuje ironicznie, uruchamiając silnik.

– Czas przyzna mi rację. Calligaris robił aluzje do Doriany Fortis. To jej badanie genetyczne wykonasz prędzej czy później, a tego dnia, doktorze Conforti, będziesz mnie musiał przeprosić.

Potrząsa głową, powstrzymując uśmiech. Odjeżdża, a ja, z moim gówienkiem pod butem, ruszam w stronę stacji metra, ciesząc się ciepłym słońcem tych okrutnych majowych dni.

To oderwanie od rzeczywistości i nastrój pełen wahań, tęsknota i przygnębienie płatają mi brzydkiego figla, kiedy zostaję sama w domu i wszystkie moje zamiary, żeby zwlekać z nawiązaniem kolejnego kontaktu z Arthurem, biorą w łeb. Ostatecznie bowiem mój brak racjonalizmu odnosi zwycięstwo nad rozsądkiem, w którego istnienie często zresztą wątpię.

Cześć Arthurze,

Jak się masz? Czy dotarłeś do Darfuru?

Czy wiesz, że kilka dni temu widziałam Cordelię w telewizji? Jest znakomita. Wygląda jak prawdziwa księżniczka.

Miałabym Ci wiele do opowiedzenia... o wszystkim po trochu. I mam tak wielką ochotę, by Cię słuchać.

Może jak będziesz miał czas, to sobie pogadamy.

A.

Żadnej odpowiedzi, i to w ciągu dwóch dni od wysłania.

– Może coś mu się stało? – ośmiela się zauważyć Alessandra, ściskając rękę mojego brata Marca.

Jemy kolację w trattorii na Zatybrzu.

– Właśnie tego najbardziej się obawiam, ale odrzucam tę ewentualność. Wolę myśleć, że jest skurwielem.

– Zadzwoń – mówi Marco, jak zwykle pragmatyczny. To dziwne widzieć go jako narzeczonego jednej z moich najserdeczniejszych przyjaciółek, i do tego bez czarnego lakieru na paznokciach.

Bawię się brzgiem obrusa.

– Nie chcę go naciskać – odpowiadam załamana.

– Marco ma rację, musisz do niego zadzwonić. Biorąc pod uwagę, gdzie się znajduje, mogło mu się coś stać. Biedny Arthur, nie mogę znieść myśli, że jest w tym miejscu zapomnianym przez Boga.

Alessandra uwielbia Arthura.

– To najlepszy mężczyzna, z jakim byłaś – powiedziała mi, kiedy go poznała. Co najgorsze, zgadzają się ze sobą i właśnie dlatego źle się czuję. – Odpowiedziałby ci, możesz być pewna – nalega, puszczając rękę Marca. – Bierz telefon i dzwoń. Natychmiast – wybucha w końcu. Marco patrzy na nią zachwycony, niestrudzenie potakując.

– Nie czuję się na siłach – odpowiadam.

– Jak to? Nie umierasz z chęci, by go usłyszeć? – pyta osłupiała.

– Oczywiście.

– Odwagi, dzwoń. Duma nigdzie cię nie zaprowadzi. Gdybym ja kierowała się dumą

w kontaktach z twoim bratem... -wspomina, zawieszając zdanie i robiąc słodkie oczy do Marca, który odpowiada tak czułym uśmiechem, że aż przypomina mi naszego ojca i jest to bardzo dziwne wrażenie.

– Może jego komórka nie działa – próbuję zyskać na czasie, znów pakując się w kłopoty.

– No już, Alice, nie poznaję cię. Nie jest na Księżycu. Spróbuj! – Alessandra znów wybucha.

– Mam wyładowaną baterię.

– Dzwon z mojej komórki – proponuje brat, podając mi telefon.

Czworo oczu wpatruje się we mnie, jakby czekali na finał filmu o miłości.

Co robić? Nie chcę wprawiać Arthura w zakłopotanie. Nie chcę wiedzieć, że coś jest nie w porządku. Nie chcę wiedzieć, że nie odpowiedział, bo nie miał czasu albo możliwości. Na tej samej zasadzie miesiącami nie sprawdzam wyciągu z konta – boję się rzeczywistości.

Biorę więc komórkę brata, model, którego od co najmniej dziesięciu lat nie ma w sprzedaży, i dzwonię. Wiem, że za chwilę będę żałować i że ta rozmowa mnie zatruje, ale po wybraniu numeru nie mogę się już wycofać.

Dzwoni długo. Chcę zrezygnować, napięcie zelżało. Wreszcie odbiera.

– Tak? – mówi poirytowanym tonem.

– Arthur?

– *Elis!* – wykrzykuje, całkowicie zmieniając ton.

Moje imię wypowiedziane przez niego w ten sposób rozbudza we mnie żal, że szczerze sobie wyrzucam, iż postawiłam się w takiej sytuacji.

– Arthurze... – Co mu teraz powiem? – Jak się czujesz? Napisałam do ciebie... trochę się o ciebie martwiłam – wyjaśniam tonem, który wyraża całą niepewność charakteryzującą moje życie w tym momencie.

– Wybacz mi. Masz rację, miałem zamiar ci odpowiedzieć jak najszybciej. Nawet nie wiesz, co się tutaj dzieje.

– Uważaj, proszę.

– Tak, tak.

Jestem trochę zmieszana. Nie znalazł czasu, żeby napisać choć linijkę? Ale z drugiej strony, czego się spodziewałam? Nie wykazywał specjalnej uwagi, kiedy byliśmy razem, tym bardziej teraz.

– Cóż, jeśli wszystko OK... to cześć – bąkam.

– Poczekaj! Wszystko u ciebie w porządku, *Elis*? – Jego głos wyraża szczerze zainteresowanie.

– Tak, dziękuję.

– A w instytucie?

To być może mój jedyny problem, który znalazł rozwiązanie.

– W porządku, naprawdę.

– Mój ojciec ceni cię bardziej, niż ci się zdaje.

– Dobrze, to pocieszające.

Następuje straszliwa cisza, milczenie, które nie wynika z braku tematów, ale z absolutnej niezdolności znalezienia sposobu, by się z nimi zmierzyć.

– Wkrótce napiszę, obiecuję – odzywa się w końcu.

– Więc czekam – odpowiadam, ale tak naprawdę w to nie wierzę.

Wracam do stołu, do moich współbiesiadników, którzy dosłownie wiszą spojrzeniem na moich ustach.

– Rozmawiałaś z nim? – ponagła Alessandra. Potakuję, próbując jednocześnie zapiekanki z ziemniaków, którą zamówiłam. – I co ci powiedział?

– Nic. To był zupełnie niepotrzebny telefon. Ach, nie. Powiedział, że jego ojciec mnie docenia.

Alessandra i Marco patrzą sobie w oczy, lekko zmartwieni.

– To miło z jego strony. Oczywiście, byłoby lepiej, gdyby powiedział, że to on cię docenia bardziej niż jego ojciec – komentuje Alessandra.

Potrząsam smutno głową i nie odpowiadam, bo – jakkolwiek banalnie by to zabrzmiało – naprawdę wolę o tym nie rozmawiać.

– Może nie powinniśmy cię zmuszać – ośmiela się zauważyć mój brat, wyraźnie załamany. Alessandra jest innego zdania.

– Musi spojrzeć w twarz rzeczywistości, niezależnie od tego, jak ona wygląda.

Wzdychając, topię w końcu wszystkie przykrości w węglowodanach.

Nazajutrz po powrocie z pracy postanawiam rzucić okiem na korespondencję piętrzącą się na biurku. Chodzi o wyciągi z kont wszystkich moich kart kredytowych, a sprawdzanie ich wcale nie jest zabawne, dlatego właśnie całymi tygodniami z tym zwlekam.

Wśród innych kopert jest również jedna z Izby Lekarskiej.

W tym roku opłaciłam składkę. Głosowałam też w wyborach na prezesa. Nie rozumiem więc, o co może chodzić.

Szanowna Koleżanko Alice Allevi!

Z przykrością musimy Panią zawiadomić o wszczęciu wewnętrznego postępowania w celu potwierdzenia wiarygodności zawiadomienia o Pani zachowaniach nie całkiem zgodnych z etyką zawodową.

Aby wyjaśnić tę kwestię, prosimy, by stawiła się Pani w dniu 19 maja o 18.00 w siedzibie Izby. Nie jest potrzebna obecność adwokata.

Z poważaniem

– Silvio?

– Alice. Nie utonęłaś w swojej własnej ślinie, jak mniemam.

– Silvio, nie ma się z czego śmiać. Mam olbrzymi problem.

– No proszę! Kto by się tego spodziewał. Co się dzieje? Czytam jej list.

– Bzdura, że nie jest potrzebny adwokat. Pójdę tam jutro z tobą. I bądź spokojna, nic ci nie mogą zrobić.

– Silvio. Ja wiem i ty też wiesz, co...

– Nie mów przez telefon. Przyjadę po ciebie o piątej.

Jestem biedną nieszczęśnicą. Wyrzucą mnie z Izby, już to wiem. Wrócę do domu, do Sacrofano, i zamknę się w moim pokoju, żeby nigdy więcej z niego nie wyjść, jak Emily Dickinson.

Wiem, że za uprzejmym listem kryje się rączka tego nazisty Jacopa De Andreisa.

Punktualne niczym deszcze w porze monsunowej Silvia i ja docieramy do siedziby Izby Lekarskiej. Jesteśmy napięte niczym struny skrzypiec.

Choć ona stara się zachować pewność siebie, by mnie dodatkowo nie denerwować, to oczywiste, że podobnie jak ja, a nawet bardziej, jest niespokojna, iż sprawy mogą się ułożyć źle.

– Doktor Allevi – wzywa mnie sekretarz, wskazując drzwi, za którymi kilku przedstawicieli Rady Izby Lekarskiej już na mnie czeka.

Wydaje mi się, jakbym wchodziła do jaskini lwów.

– Bądź spokojna. Na koniec nie skreślili nawet tej, która poszła do Wielkiego Brata – mówi Silvia, sądząc, że mnie tym pociesza.

– Silvio, dopuściłam się czegoś bardzo poważnego.

– To dyskusyjne. No już, nie okazuj niepokoju. Pamiętaj, jesteś tu, żeby milczeć albo ostatecznie wszystkiemu zaprzeczać. Jasne?

Kręci mi się w głowie. Nie panuję nad strachem.

Czuję, że zaraz stanie się ze mną coś okropnego.

Czuję, że nie dam rady.

Pozornie są uprzejmi. Mówią spokojnym tonem, nikt o nic mnie nie oskarża. Wyjaśniają mi z umiarem i powściągliwością, że oskarżenia pochodzą od mecenasa De Andreisa, który przedstawił fakty nie dlatego, że pragnie odwetu, ale wyłącznie z chęci ich wyjaśnienia.

Dlaczego uczestniczyła pani w sekcji Giulii Valenti?

Dlaczego złożyła pani wizytę w domu De Andreisów?

Jaki charakter mają pani stosunki z Biancą Valenti?

Wreszcie, pani doktor, czy naprawdę wykonała pani badanie porównawcze DNA znalezione na zwłokach Giulii Valenti z DNA Doriany Fortis?

Jeśli na pierwsze pytania jestem w stanie odpowiadać spokojnie, bo nie mam nic do zatajenia, przy ostatnim pytaniu nie jestem w stanie ukryć zmieszania.

– Na jakiej podstawie mecenas De Andreis wysuwa wobec mnie to oskarżenie?

Silvia kopie mnie w kostkę i ze spokojem inaczej formułuje pytanie.

Przedstawiciel Izby odpowiada z całkowitą naturalnością.

– Mecenas De Andreis dowiedział się o tym od panny Bianki Valenti. Czy to prawda, pani doktor? – nalega.

Ale mnie już nie ma.

Obrobiła mi dupę wobec Jacopa De Andreisa, choć wiedziała, że ryzykuję karierę zawodową.

Mój Boże, co za suka!

– To oczywiście fałsz – odpowiada za mnie Silvia. – Bianca Valenti poprosiła doktor Allevi o tę przysługę, proponowała nawet wynagrodzenie. To na nią należałoby złożyć doniesienie! Ale doktor Allevi oczywiście odmówiła, doskonale wiedząc, że popełniłaby przestępstwo. Poza tym doktor Allevi nie mogłaby samodzielnie przeprowadzić badania genetycznego. Nie zakończyła jeszcze procesu kształcenia, nie jest specjalistką. Wystarczy porozmawiać o tym z jej opiekunami. Potwierdzą to. Sądzę, że mecenas De Andreis zawierzył

komuś, kto chciał potraktować sprawę instrumentalnie. Prawdopodobnie panna Valenti miała w tym osobisty interes i z tego powodu wciągnęła w to moją klientkę. Zresztą nie ma żadnych dowodów.

– Nie, żadnych dowodów. W istocie mecenas prosił tylko o wyjaśnienie. Nie ma nic w ręku, w innym przypadku złożyłby już prawdopodobnie doniesienie karne na doktor Allevi.

Całe szczęście, że nie pozostawiłam śladów moich przestępstw.

– Wyjdiesz z tego, skończy się tylko na strachu, zobaczysz – mówi Silvia po wyjściu z siedziby Izby, kiedy docieramy do jej okropnego smarta. – I żebyś przynajmniej potraktowała to jako lekcję.

Rada zastrzegła sobie prawo do późniejszego sformalizowania wyników dochodzenia, więc teraz stoję na krawędzi nowej przepaści. Trudno powiedzieć, bym przyzwyczajała się do tego uczucia, przeciwnie, czuję się wyczerpana.

– Mam nadzieję, że zrozumiałaś, iż chodziło o zastraszenie – mówi Silvia, patrząc mi prosto w oczy.

– W jakim sensie?

– W jakim sensie, Alice? W takim sensie, że Jacopo chciał, byś trzęsa tyłkiem i zrozumiała, że masz się trzymać z daleka od tej historii. Nawet się dziwię, że nie wysłał ci ostrzeżenia.

– Ale, jeśli się nad tym zastanowić, fakt, że wykonał taki ruch, świadczy o tym, że ma coś do ukrycia.

– Nie, świadczy o tym, że jesteś niebezpieczną wariatką. Uprzedzałam cię, że z tą twoją rzekomą dobrą wolą wpakujesz się w tarapaty. Błagałam cię, żebyś nic nie mówiła Biance Valenti. Nigdy nie należy nikomu ufać, a co dopiero nieznanemu.

– Nie sądziłam, naprawdę... Nie rozumiem, jak się mogłam aż tak co do niej pomylić.

– To oczywiste. Nie znasz jej. Nic o niej nie wiesz. Poprosiła, żebyś złamała prawo, i ty to bez zastanowienia uczyniłaś.

– Nie upraszczaj. Nie zrobiłam tego dla Bianki. Zrobiłam to dla Giulii.

– Alice, to jest obsesja, zdajesz sobie z tego sprawę?

Wkurzona samym terminem, który nie wydaje mi się adekwatny, patrzę na nią zniecierpliwiona.

– Obsesja. Po co te stereotypy? To są badania. I upór. Czy nie mogę zrobić niczego dobrego w życiu, żeby nie było to uznane za patologię?

– I tu się mylisz. Nie robisz nic dobrego. Jeśli w końcu nie musisz powtarzać roku, zawdzięczasz to Claudiowi i Malcomes-sowi juniorowi. Izba Lekarska wszczęła przeciwko tobie postępowanie dyscyplinarne. Twoi wykładowcy dali ci ostatnią szansę. Uważasz, że to jest sukces?

Aj, niedobrze! Jaka brutalna jest prawda.

– Nie. Rzeczywiście czuję się strasznie dezorientowana i zagubiona. Ale to minie!

– Alice, weź się w garść. Nie będzie ci wszystko w nieskończoność uchodziło płazem. Teraz to sprawa Valenti. Następnym razem wbijesz sobie do głowy coś innego. Jeśli nie zmienisz radykalnie sposobu postępowania, przysypie cię w końcu lawina problemów.

– Wiem, że mówisz to dla mojego dobra. Wiem – przyznaję.

Silvia wzdycha i skręca kierownicą, ruszając w stronę mojego domu.

– Czy możesz mnie wysadzić przy via Manzoni?

– I to jest twoje podziękowanie? Zamierzasz mnie tu tak zostawić? Oczekiwałam, że postawisz mi przynajmniej kieliszek Tía María.

– Masz rację. Wieczorem, obiecuję. Ale teraz muszę iść. To ważne.

Silvia, dziwnie tolerancyjna, zatrzymuje się i wysiadam przy via Manzoni 15.

Dzwonię domofonem.

– Tak?

Natychmiast rozpoznaję znajomy kontrakt. Czuję bicie serca, kiedy mówię beładnie:

– Bianca? Tu Alice. Tylko jedno słowo: suka. Być może wyrzucą mnie z Izby Lekarskiej. Dziękuję, naprawdę dziękuję.

– Musiałam to zrobić. Chroniłam cię, jak tylko mogłam – odpowiada tak szybko, że nie zdążyłam odejść, jak zamierzałam. – Wejdz. Porozmawiajmy.

Mogłabym wejść. Mogłabym wysłuchać jej usprawiedliwień, które i tak nie usprawiedliwiłyby tego, co zrobiłam. Mogłabym wejść na górę i jestem pewna, że znów ujęłaby mnie swoim wdziękiem. Mogłabym wejść i może wpakowałabym się w nowe kłopoty, bo w tej chwili jest już jasne, że nie mogę ufać Biance. Ale jeśli z nią nie porozmawiam, nigdy się nie dowiem, dlaczego mnie sprzedała i czy ma z tego powodu wyrzuty sumienia.

Mogłabym do niej pójść, ale tego nie zrobię.

Koniec końców, to nieważne. Jest tyle niejasnych rzeczy w moim życiu. Bianca Valenti pozostanie wśród nich.

– Nie, dziękuję. Powiedziałałam ci wszystko i już mi lepiej. Żegnaj, Bianco.

Tym razem odpowiedź następuje po chwili i wypowiedziana jest chłodnym tonem.

– Uważaj, Alice.

Czuję się bytem falującym gdzieś między ohydą i czymś więcej niż ohydą. Yukino próbuje mnie rozerwać, zabierając na zakupy, przekonana, że u podstaw wszystkich moich nieszczęść leży zerwanie z Arthurem. Nie może wiedzieć, że w rzeczywistości chodzi o coś znacznie więcej. To zamęt, który mnie zeruje, utrata punktu zaczepienia.

Ogarnia mnie słabość. Łzy żłobią moje policzki i w końcu, płacząc, odczuwam ulgę.

Arthur.

Tylko on mógłby mnie wysłuchać, zrozumieć, doradzić. Jestem w instytucie, dziesiąta rano. W Chartumie powinno być teraz południe. Ale to nie jest sprawa, którą można wyjaśnić mailowo. Muszę z nim porozmawiać, usłyszeć jego głos, czuję potrzebę, żeby to on mi powiedział, bym się nie przejmowała. Zaczynam do niego dzwonić, ale do trzynastej czasu włoskiego nie otrzymałam jeszcze odpowiedzi, jego komórka zdaje się martwa.

Pozostaje mi tylko do niego napisać.

Arthurze!

Już dawno Cię nie słyszałam. Jestem trochę niespokojna i bardzo chciałabym mieć od Ciebie jakieś wieści.

Jeśli chodzi o mnie, nie wiem, od czego zacząć.

Chyba powinnam przyznać, że potrzebuję pomocy. Czy możesz mi jej udzielić?

Nie wiem, co robić. Poradź mi, proszę.

Chodzi o Giulię Valenti.

Kontynuuję, próbując przedstawić w skrócie fakty i zauważam, że bardzo trudno streścić wszystko jasno i metodycznie, żeby nie zdawało się majaczeniem wariatki. Piszę, wyrzucam, piszę od nowa, zachowuję dziesięć szkiców i w końcu wysyłam opowieść, która wydaje się gazetem streszczeniem kryminału.

Odpowiedz.

Arthurze, odpowiedz mi, proszę.

Odpowiedź nadchodzi.

Jest następująca:

Wybacz, że nie odzywałem się w ostatnich dniach. Tak, tutaj wszystko w porządku.

Nie mogę siedzieć dłużej przy komputerze, wybacz.

Do usłyszenia

Arthur

Odpowiedź, której oczywiście nie skomentuję.

Również dlatego, że jest tak pozbawiona sensu, iż naprawdę nie umiałabym jej usprawiedliwić.

Usiłuję zapomnieć.

W takim właśnie humorze siadam do stołu około trzeciej po południu, niedługo po powrocie z pracy, a za towarzystwo mam Yukino, która straciła już poczucie miary.

– Czekałam na ciebie! Przygotowałam ci niespodziankę, włoski marakon.

– Dziękuję, Yuki – odpowiadam z nieobecną miną.

– Jesteś dziś obojętna bardziej niż zwykle.

– Zdarza się – odpowiadam. Próbuje spaghetti z pesto, które przyrządziła, i nie mogę doszukać się w nim smaku.

– Pójdziemy wieczorem do kina?

– Porozmawiamy o tym później, dobrze?

– Nie śmiejesz się od tygodni. To nie jest normalne.

– Nie mam powodów ani do śmiechu, ani do uśmiechu, Yuki.

Yukino zaprzecza uporczywie, potrząsając głową.

– W Japonii mówi się tak: uśmiechamy się nie dlatego, że zdarzyło się coś dobrego, ale coś dobrego się zdarzy dlatego, że się uśmiechamy.

– Zapamiętam – odpowiadam z roztargnieniem.

– To twoja komórka hałasuje?

Rzeczywiście, przytłumiona wibracja dochodząca z porzuconej na kanapie torby zawiadamia mnie o połączeniu.

To Lara, która szepce, jakby dzwoniła ukradkiem.

– Alice, przyjeżdżaj szybko do instytutu.

– Dopiero wróciłam, jem obiad i mam za sobą bardzo złe chwile. Nie ruszam się z domu – odpowiadam znudzona.

– Pospiesz się, powiedziałam.

– Kłopoty z Bossem? Z Wally? – pytam, czując, że krew zastyga mi w żyłach.

– Nie. Chodzi o sprawę Valenti. Muszę skończyć, ale ty się pospiesz.

Yukino widzi tylko, jak błyskawicznie wstaję od stołu, narzucam w biegu kurtkę i nawet nie zwracam uwagi, kiedy wrzeszczy za mną:

– Masz coś między zębami, wyczyść sobie!

Po przybyciu do instytutu próbuję zrozumieć, co się stało; widzę tylko mężczyzn w mundurach i nikogo z naszych. Wybieram w biegu numer Lary, ale odrzuca połączenie.

Mój pokój jest pusty, podobnie samo jak sekretariat.

Widzę z daleka nadchodzącego Claudia, który całkowicie mnie ignoruje.

– Claudio! – wołam, zapinając fartuch.

Odwraca się w swój wyszukany sposób i przygląda mi się z zaciekawieniem.

– Allevi? Co za wyczucie czasu. Jesteś zawsze aktywna, kiedy chodzi o sprawę Valenti.

– Zbieg okoliczności – odpowiadam, wzruszając ramionami.

Nie wierząc oczywiście w moje słowa, poprawia mi odruchowo kołnierzyk fartucha. Jego dłoń zbliżająca się do mojej szyi przygotowuje mnie o silne drżenie.

– Prokurator zarządził badanie genetyczne i toksykologiczne Doriany Fortis.

Wiadomość ma moc wybuchu, ale w jego spojrzeniu wyczuwa się wyraźnie chęć, by nie

drążyć tematu.

– A widzisz? – pytam zjadliwie. – Spodziewam się teraz przeprosin.

– Allevi, przestań się czepiać, zgoda? To nie jest dobry moment.

Bla, bla, bla.

– Nie wiesz, gdzie jest Lara? – pytam w ostatnim zrywie nachalności.

Odwraca się i patrzy na mnie tak srogo, jakby chciał mnie spiorunować.

Tymczasem podchodzi do nas Ambra: nabuzowana, profesjonalna, na wysokich obcasach, z włosami prosto od fryzjera.

– Kochanie, spóźniłeś się, Fortis jest już w gabinecie pobrań.

Claudio odpowiada coś, burcząc pod nosem, coś przypominającego przekleństwo i oboje oddalają się, jakbym w ogóle nie istniała. Nie pozostaje mi nic innego, jak pójść natychmiast ich śladem.

Przed gabinetem krążą Jacopo De Andreis i inspektor Calligaris, jeden pragnący mieć wszystko za sobą, drugi zdeterminowany, by znaleźć rozwiązanie. Jacopo wita się chłodno, a ja idę za jego przykładem; ponieważ wiem o doniesieniu, które złożył w Izbie Lekarskiej, jego widok przyprawia mnie o dreszcze. Czuję, jak nogi drżą pod mną za każdym razem, kiedy przypadkowo napotykam jego wzrok. Wygląda na wstrząśniętego i tak zbolełego, że prawie mi go żal. Inspektor Calligaris jest natomiast dobrotliwy i przyjacielski jak zawsze.

W gabinecie jest już Dorigana, która rozgląda się dokoła, raz robiąc wrażenie zagubionej, raz całkowicie nieobecnej. Wydaje się krucha i bezbronna zupełnie tak samo jak za pierwszym razem, kiedy ją zobaczyłam.

Claudio sprawia wrażenie szczególnie spiętego; w rzeczywistości jest to drżenie niedostrzegalne dla osób postronnych, ale ja dobrze go znam. A przede wszystkim z doświadczenia umiem rozpoznać zapach strachu. Ukrywając się za maską uznanego, niewzruszonego i bezlitosnego profesjonalisty, jaką zdołał wielkim wysiłkiem przywdziać, Claudio wyraźnie czegoś się obawia.

Obawia się, że w tej sprawie całkowicie się pomylił.

Obawia się, że będzie można powiedzieć, iż potraktował ten przypadek powierzchownie.

– Panno Fortis, proszę odsłonić ramię.

Dorigana wydaje z siebie jęk, potem szloch.

– Panno Fortis, niech będzie pani taka miła i pozwoli mi pobrać krew.

Dorigana wygląda tak, jakby popadła w stan katatoniczny. W końcu patrzy na Claudia pustym wzrokiem.

– Nie chciałam. Nie chciałam. Ja nie chciałam, przysięgam. Och, mój Boże. Giulia. – Łka, zasłaniając twarz rękami jak dziewczynka, która nie może się uspokoić.

Czego nie chciałaś, Dorigano?

Jej adwokat niezwłocznie interweniuje.

– Panno Fortis, proszę się opanować. Doktorze Conforti, proszę o kilka minut zwłoki. Sam pan rozumie, że moja klientka nie jest w stanie współpracować.

Claudio parska zniecierpliwiony.

– Jeśli chce pan znać moją opinię, mecenasie, stan ten nie zmieni się na pewno w ciągu dziesięciu minut.

– Doktorze Conforti, do licha, trochę cierpliwości.

Rysy Claudia tężeją.

– Mecenasio, czekam dokładnie dwadzieścia minut, a potem wykonam pobranie, niezależnie od tego, w jakim stanie będzie panna Fortis.

Na jego znak opuszczamy gabinet, a ja korzystam z okazji, żeby ucześcić się Lary.

– Czy teraz możesz mówić?

– „Dziękuję, że mnie uprzedziłaś, Laro. Gniłabym teraz w domu i straciłabym taki ważny moment” – stwierdza sarkastycznie.

– Laro, przecież wiesz, że jestem ci wdzięczna, naprawdę.

– Mhm – odpowiada. – W każdym razie fakty są następujące: wygląda na to, że Dorigana wyznała coś na temat krytycznego wieczoru kluczowemu świadkowi, który powiedział o tym oczywiście policji. I oto powód tego badania.

– Czy mogłabyś być bardziej precyzyjna?

– Nie, ponieważ wiem tylko tyle, zresztą od Ambry. Pomyśl więc, z jakim trudem uzyskałam te informacje.

Lara wyjmuję z kieszeni fartucha paczkę polo – jeszcze istnieją? – i częstuje mnie cukierkiem.

– Dorigana wygląda na całkowicie oderwaną od rzeczywistości – oznajmia, rozgryzając głośno landrynkę.

– Chyba tak. Albo naprawdę coś wie, coś ją przytłacza. Bo jak żyć z wyrzutami sumienia, jeśli jest się zamieszonym w czyjąś śmierć.

Lara potakuje ze zrozumieniem.

– Zaczyna mnie boleć głowa. Jeśli czegoś nie wezmę, ból mnie znokautuje. Masz może nimesulid?

– Przyniosę ci, mam w pokoju – odpowiadam, wychodząc.

Chwilę zajmuje mi znalezienie lekarstwa w torebce i kiedy mam już wracać do skrzydła instytutu, w którym mieszczą się laboratoria, nagle dobiega mnie męski głos.

To głos, który już dobrze znam.

Głos Jacopa De Andreisa, który poszukał odosobnienia w małym pokoiku przylegającym do mojego i rozmawia przez telefon najciszej, jak tylko można.

– Nie chcę dłużej tego słuchać. Mam już dość.

Wiem, że się tego nie robi, że nie należy podsłuchiwać. A jednak nie oddalam się, przeciwnie, szukam najdogodniejszej pozycji, żeby jak najlepiej słyszeć.

– Chciałbym, żebyś ją zobaczyła. To strzęp człowieka. Nie masz wyrzutów sumienia?

Pauza.

– Nie możesz tego wiedzieć. Ona... jest szczególna. To moja najlepsza przyjaciółka.

Kolejna pauza.

– Taki jest cel? – Kontynuuje po chwili milczenia. – Co za błąd – szepce głosem wyrażającym okrutny żal. – Potworny błąd! Zostaw mnie w spokoju, nie chcę więcej o tym słyszeć. – I w końcu: – Niczego ci nie obiecywałem. Prawda jest taka, że nic mnie nie obchodzi.

Nie zdążyłam się odsunąć, kiedy on jak szalony wypada z pokoju. Przeszywa mnie wzrokiem, którym – gdyby mógł zabijać – natychmiast by mnie zgładził.

– Znowu pani! – wrzeszczy wściekły.

– To mój pokój – próbuję się usprawiedliwić, wskazując na drzwi, na których obok nazwisk Ambry i Lary widnieje także moje.

– Oczywiście, oczywiście – rzuca ani trochę mniej zirytowany. Zostawia mnie pośrodku korytarza, kierując się w stronę gabinetu pobrań. Sprawia wrażenie naprawdę wzburzonego. Kiedy jednak po chwili widzę go ponownie, wygląda, jakby odzyskał spokój, ale na jego twarzy maluje się strach.

Kiedy dostrzegam Claudia zmierzającego w kierunku pokoju, w którym zostawił Dorianę, przyłączam się do niego.

Po wejściu widzę, że dziewczyna jest jeszcze bledsza, a poza tym nie wydaje się, żeby jej stan uległ zmianie.

– To koniec – szepce Dorianą, chowając twarz w dłoniach. Claudio przewraca oczami i przerywa tę torturę z typowym dla siebie taktem.

– No, panno Fortis. Ramię.

Ujmuje jej rękę, masując żyłę. Ona z obojętnością pozwala mu na wszystko.

– Przysięgam. Nie zabiłam jej.

– Panno Fortis! – wykrzykuje jej adwokat. – Doktorze Con-forti, proszę działać.

– Właśnie to chciałbym zrobić – odpowiada kwaśno Claudio. Przy szorstkim dźwięku tych ostatnich słów igła wbija się w jasną i delikatną skórę Doriany.

Sprawa wydaje się w końcu zamknięta. Ponieważ teraz, niezależnie ode mnie, prawda, jakakolwiek by była, wyjdzie na jaw.

W stanie otępienia połączonego z przygnębieniem wpatruję się w ekran telewizora, nie mogąc ani na chwilę skupić się na żadnym z programów.

Jest dziesiąta wieczorem, kiedy odbieram telefon od Cordelii. Nie rozmawiałyśmy od dłuższego czasu. Ja nie dzwoniłam, by uniknąć kłopotliwych sytuacji. Ona – nie potrafię powiedzieć dlaczego. A jednak mi przykro, bo mam do niej słabość. Jest inna.

– Alice, tu Cordelia.

– Cześć! Cieszę, że cię słyszę – mówię zupełnie szczerze.

– Mhm. Ja też. Albo raczej ja nie. W tym sensie, że ogólnie przyjemnie by mi było rozmawiać z tobą, jak wtedy, kiedy byłaś z Arthurem, i naprawdę szczerze myślę, że jesteś najlepszą dziewczyną, jaką mi kiedykolwiek przedstawił. Nie było ich wiele, ale niektóre były straszne. W każdym razie nie jest mi miło słyszeć cię w obecnej sytuacji.

Jestem mocno zaniepokojona.

– W jakiej sytuacji?

– Spróbuj zachować spokój, OK?

– Arthur?

– Jest w szpitalu w Chartumie. Właśnie dzwonił do mnie Riccardo.

– Wiedziałaś, że coś mu się stanie. Wiedziałaś. Jest ranny? Pojmali go i torturowali? Cordelio, niczego przede mną nie ukrywaj!

– Nie, coś mniej dramatycznego. Mniej Johna le Carré, a więcej Rosamundy Pilcher. Zachorował na malarię; ale nie przejmuj się, to nic poważnego.

– Czy wiesz, na jaki typ malarii? – pytam. Jeśli wcześniej czułam zamęt wywołany moimi sprawami, ta wiadomość mnie dobiła.

– Co to znaczy, jaki typ malarii?

– Chodzi o to, że istnieją odmiany groźniejsze, prawie zawsze śmiertelne, i inne, uleczalne – odpowiadam zniecierpliwiona.

– Alice... nie wiem zbyt wiele. Ale jeśli czuje się już lepiej, to znaczy, że nie było to śmiertelne. Czy nie tak? W każdym razie Riccardo się nad tym nie rozwodził. Powiedział mi tylko, że najgorsze minęło, że teraz jest w szpitalu i nie trzeba się przejmować.

– Twój ojciec wie?

Cordelia przez chwilę milczy.

– Tak, zadzwoniłam do niego. Nawkladał mi do głowy jakichś rzeczy, których w ogóle nie rozumiałam: profilaktyka, chinina i nie wiem co jeszcze. Potem zadzwonił do ordynatora do Chartumu. Arthur nie jest już podobno zagrożony, ale było z nim bardzo źle.

– Czy udało ci się porozmawiać z nim osobiście?

– Nie. To wszystko bardzo świeże, Alice – podkreśla. – Wiadomości sprzed godziny.

– Chcę z nim porozmawiać – mówię bardziej do siebie niż do niej.

– Zostawię ci numer Riccardo i telefon do szpitala – proponuje uprzejmie.

– Cordelio, posłuchaj, dziękuję, że mnie zawiadomiłaś. To nie było oczywiste, biorąc pod uwagę, jak ułożyły się sprawy między mną a twoim bratem.

– To było naturalne, że pomyślałam o tobie. Wiedziałam, że mimo wszystko chciałabyś wiedzieć, więc to zrobiłam. Tym bardziej że sprawy między wami nie wydają mi się ostatecznie rozwiązane – dodaje z troską. – Teraz muszę kończyć. Zadzwoń do Riccarda i będziemy się na bieżąco dzielić wiadomościami.

Nie zastanawiając się długo, dzwonię do Riccarda, który odpowiada za trzecim razem tonem wyważonym i uspokajającym.

– Alice, nie ma powodów do obaw. Sytuacja jest opanowana. Jesteś lekarzem, więc na pewno będziesz wiedzieć. Doktor powiedział, że istnieją cztery typy malarii. On nie złapał tej śmiertelnej – próbuje mi wyjaśnić, ale jego głos nie brzmi zbyt przekonująco.

– Jesteś pewny? – pytam, podnosząc instynktownie głos.

– Oczywiście!

– Możesz mi go dać do telefonu?

Cisza.

– Przykro mi, Alice. Odpoczywa, a lekarz powiedział, żeby pozwolić mu spać. Był taki chory... Wróciliśmy z Darfuru i początkowo sądził, że to nic poważnego. Mówił, że czuje się tylko trochę zmęczony. Potem zaczął mieć dreszcze i wymiotował... nawet nie wiesz, jaki był rozpalony. W tej sytuacji musiałem go zawieźć do szpitala.

– Dlaczego dopiero teraz zadzwoniłeś do Cordelii? Jesteś nieodpowiedzialny! – Nie mogę zrobić nic innego, tylko go zaatakować.

Jego niepewny głos wyraża zakłopotanie.

– Może nie powinienem był go słuchać, ale uwierz mi, nalegał do ostatniej chwili, bym nikomu nie wspominał o tym ani słowem. Nigdy nie mógłbym zrobić nic wbrew jego woli – tłumaczy mi poważnym tonem. – Miał obsesję na punkcie tego, że jeśli rodzina się dowie, nie da mu spokoju. Dlatego prosił, żebym sprawdzał pocztę elektroniczną i odpowiadał wszystkim w jego imieniu. Tobie też ja odpowiedziałem, powinnaś o tym wiedzieć.

Potrzebuję chwili, żeby to do mnie dotarło.

– I ty go posłuchałeś? On majaczył, ale ty? Riccardo, nie mogę w to uwierzyć, naprawdę. To był ważny list i ta odpowiedź bardzo mnie zabolala.

– Co innego mogłem zrobić? – broni się.

– Może wcale nie odpowiadać! Przynajmniej mogłabym myśleć, że nie wiedział o moich problemach, a nie, że je zignorował.

– Alice, naprawdę mi przykro. Nie powinienem był go słuchać, tak? Nalegał, żebym cię uspokoił... i ja to zrobiłem. Jeśli chodzi o całą resztę, nie chcę w to wchodzić.

– Czy mogę zadzwonić później, żeby z nim porozmawiać? – pytam lodowato.

– Oczywiście – odpowiada i wydaje mi się trochę poirytowany moimi pretensjami.

Rozłączam się i wybucham płaczem. Jest to płacz absolutny, którym wyrzucam całe napięcie. Płaczę z powodu Arthura, płaczę za siebie, za Biancę i za Giulię. Ale wszystkie łzy, które wylewam, także nie są w stanie przynieść mi ulgi.

Przeczekanie godziny, żeby znów zadzwonić do Riccarda, wiele mnie kosztuje, a cały ten wysiłek i tak idzie na marne, bo Arthur wciąż śpi.

– Czy to normalne? – pytam.

– Mówią, że tak. Alice, gdyby sytuacja była poważna, powiedziałbym ci. Cordelii może nie – uściśla – ale tobie tak. Możesz mi zaufać.

Nie pozostaje mi nic innego, jak uwierzyć. I czekać, wciąż czekać.

Nie jestem w stanie ani czytać, ani spać, ani robić czegokolwiek innego. Jako ofiara bezsenności przez całą noc oglądam telewizję, nie mogąc znaleźć spokoju. Zасыpiam około piątej, ale o siódmej muszę wstać i iść do pracy. Robię to tak, żeby zmęczenie nazbyt mi nie ciążyło: mam zamiar porozmawiać z Najwyższym, odsuwając na bok wstyd.

On także – natychmiast to zauważam – jest spięty. Pali cygaro, stojąc przy biurku, ogromny ze swoim metrem osiemdziesiąt pięć wzrostu. Nieśmiało pukam do drzwi.

– Panie profesorze... – zaczynam z wahaniem.

– Wiem już, o co chce pani zapytać. To łagodna forma. Tym razem z tego wyjdzie.

– Rozmawiał pan z nim?

– Tak. Mówi, że czuje się dobrze.

Poznałam go na tyle, że wiem, iż nie chcąc słyszeć żalów i wymówek, Arthur przysięgłby, że czuje się dobrze, nawet stojąc nad grobem.

– Nie wie pan, czy wróci?

– Niech go pani sama zapyta. A teraz proszę wracać do pracy, doktor Allevi. Ma pani górę zaległości – kończy, traktując mnie jak mało ważny przedmiot.

Wychodzę już ze spuszczoną głową, kiedy nagle mnie zatrzymuje.

– Allevi, jak nazwała mnie pani poprzednim razem?

Waham się przez chwilę, ale wiem, że nie mam wyboru.

– Najwyższy.

A jeśli wyraz jego twarzy nie kłamie, ten przydomek wystarcza, by na jego obliczu pojawił się cień uśmiechu.

Późnym rankiem próbuję zadzwonić do Riccarda; mówi, że nie może dać mi do telefonu Arthura, bo w tej chwili rozmawia z jakimś gościem z firmy farmaceutycznej w sprawie dochodzenia, jakie rozpoczęli z Arturem na temat stanu szczepień wśród ludności Darfuru. Postanawiam więc zadzwonić do szpitala na numer, który podała mi Cordelia.

Odbiera pielęgniarka, która jednak nie mówi po angielsku i która po niekończącym się oczekiwaniu oddaje słuchawkę lekarzowi z oddziału, Włochowi – co za szczęście!

Nazywa się Fragassi. Jest trochę oporny w udzielaniu mi informacji ze względu na tajemnicę lekarską, przewyciężam jednak jego opory, wywołując współczucie błagalnym tonem, który w moich własnych uszach brzmi boleśnie. Dzięki temu dowiaduję się, że Arthur spędził spokojną noc, że rokowania są zasadniczo dobre i że ma tylko pewien problem z nerkami, wszystko jednak jest pod kontrolą.

Nie, nie może dać mi go do telefonu, bo jest właśnie dializowany.

Dializa? A więc to bardzo poważne!

– Nie, niech się pani nie denerwuje, koleżanko. Odłączymy go od urządzenia jak najszybciej. Nerki nie są uszkodzone nieodwracalnie. Miał po prostu ostrą niewydolność nerek spowodowaną intensywną hemolizą.

To krótkie sprawozdanie raczej nie oznacza sytuacji pod kontrolą.

– Kiedy mogę zadzwonić, żeby z nim porozmawiać? – pytam słabym głosem.

– Za kilka godzin, zgoda? – odpowiada doktor Fragassi.

Po zakończeniu rozmowy nastawiam się na czekanie, ale długo nie wytrzymuję. Troska pomieszana z dojmującym niepokojem każe mi zadzwonić do Cordelii.

– W końcu rozmawiałam z Arthurem – oznajmia. Dlaczego tylko mnie się to nie udaje? – Krótka, potem połączenie przerwało się. Wydał mi się spokojny. On jest wytrzymały; kiedyś omal nie umarł na zapalenie wyrostka, bo jego matka – która nigdy za bardzo na niego nie uważała – zlekceważyła objawy. Cudem się uratował. Od tamtej chwili był odporny na wszystko. Nigdy nie słyszałam, by Arthur chorował, nigdy. Zobaczysz, że teraz też to przejdzie jak zwykłą grypę.

Zwykła grypa. Cordelia ma bardzo specyficzne wyobrażenia.

Po jakimś czasie jeszcze raz próbuję połączyć się z Riccardem. Jego komórka jest wyłączona. Dzwonię do szpitala i pytam bezpośrednio o Fragassiego, ale połączenie zostaje przerwane i tym razem też nie udaje mi się porozmawiać.

Sytuacja zaczyna mnie niecierpliwic. Mam wrażenie, że wybuchnę gniewem z powodu tej bezradności.

Po południu, kiedy jestem już bliska załamania nerwowego, dzwoni telefon i to przywraca mi rozsądek. Albo odwrotnie – powoduje, że całkowicie go tracę.

– *Elis*. – To on. Jego niepowtarzalny głos brzmi trochę niepewnie.

– Arthur! – wykrzykuję zupełnie nad sobą już nie panując. – Gdybyś wiedział, jak cię szukałam!

– Powiedziano mi. Musisz się uspokoić, zgoda? – mówi z wyraźnym wysiłkiem.

– Arthurze, jak się czujesz? – Mam gułę w gardle i mój głos brzmi dziwnie nawet w moich uszach.

– Bywało lepiej – odpowiada spokojnie.

– Też tak myślę. Ale czy nie pamiętałeś o profilaktyce? – Co za głupie pytanie. Co mnie obchodzi profilaktyka?

– Tak, ale potem... pewnie zapomniałem zażyć pigułkę kilka razy.

Wyraźnie czuję, że mówi z trudem. Chciałabym zapytać go o tyle rzeczy, ale jednocześnie nie chcę go męczyć.

– Arthurze, tak mi przykro. – To jedyne, co jestem w stanie powiedzieć.

– Przejdzie.

– Wydajesz się bardzo zmęczony. Mogę zadzwonić później?

– Nie jestem zmęczony. A ty możesz dzwonić, kiedy zechcesz – odpowiada. W tle słychać jakieś głosy, nie jest sam.

Nic z tego, co chciałabym mu powiedzieć, nie jest w stanie wydobyć się z chaosu moich myśli. Jednak jedna, dominująca myśl przewycięża zamęt i wybrzmiewa poza moją kontrolą.

– Arthurze... Mój Boże, Arthurze, tak strasznie mi cię brakuje.

Wydaje się wahać między tym, co byłoby lepiej powiedzieć, a tym, co lepiej zachować dla siebie, w końcu zniża ton.

– Pośród wszystkiego, czego mi brakuje, a uwierz, że brakuje mi też powietrza, ty jesteś bez wątpienia tym brakiem, który jest najtrudniejszy do zniesienia.

Osuwam się na podłogę i opieram głowę o ścianę.

- Wracaj do domu. Proszę. – Słyszę mój własny szept łamiący się od płaczu.
 - Nie chcę – odpowiada, jakby powód był oczywisty. Wzdycham i nic nie mówię. – W każdym razie teraz nie mógłbym, nawet gdybym chciał. Nie mogę jeszcze wyjść z tego głównianego szpitala.
 - We Włoszech lepiej by cię leczyli. – Sama już nie wiem, czego się ucześcić.
 - Nie wątpię – odpowiada twardo. – Muszę iść – mówi w końcu i w ten sposób sucho, nieodwołalnie, kończy rozmowę, która dla mnie mogłaby trwać godzinami i nie poczułabym zmęczenia.
- Czuję się jeszcze bardziej sfrustrowana niż przedtem. Wstaję, idę do łazienki opłukać twarz. Spoglądam na swoje odbicie w lustrze. Widzę obraz bezsilnej wściekłości.

*Współpraca, która jeszcze
niedawno wydawałaby się
nieprawdopodobna*

Kilka dni później, dni spędzonych głównie na oczekiwaniu choćby na minimalny kontakt z Arthurem, którego stan wydaje się stabilny, w instytucie podchodzi do mnie osobiście doktor Conforti, wystrojony i pachnący, jak to tylko on potrafi.

Wydaje się łagodniejszy i bardziej przystępny niż zwykle.

– Muszę z tobą porozmawiać. Masz chwilę?

– Oczywiście – odpowiadam. Zbliżamy się do jego gabinetu. – Usiądź – kontynuuje, wskazując na fotelik naprzeciw swego biurka, na którym króluje jego zdjęcie z Ambrą. Krzywię się z niesmakiem na ten widok.

– Ale dno – wyrywa mi się.

– Chcesz znać prawdę? Ja też tak myślę. Powinienem był jej powiedzieć, że nie wypada. Ale to by było nieuprzejme.

– Ehm. – Pokasłuję z lekkim zmieszaniem, bo ten pokój przypomni mi właśnie najbardziej bulwersujący pocałunek w moim życiu. Panuje między nami jakiś dziwny chłód.

– Boisz się mnie, Allevi?

– Boję się?

– Trzymasz się na dystans, tak jakbym w każdej chwili mógł się na ciebie rzucić. Nie zrobię tego.

– To dobrze.

– Jeśli w tej chwili mogłabyś zadać mi pytanie, jak by brzmiało?

– Claudio, jesteś pijany?

– Oczywiście że nie. Nigdy w instytucie. Straciłbym twarz. Odpowiedz. O co byś mnie poprosiła? Nie o kolejny pocałunek, to już jasne. A więc o co?

Zastanawiam się przez chwilę i odpowiadam szczerze.

– Masz wyniki?

– Widzisz? Znam cię lepiej niż własną kieszeń. Zresztą czego innego mogłabyś ode mnie chcieć? Zaprosiłem cię właśnie z tego powodu. Miałaś rację, podejrzewając Dorianę Fortis. Nie wiem, na jakiej podstawie, ale czas przyznał ci rację, dokładnie tak, jak powiedziałaś. Moje najszczęśliwsze gratulacje.

Nie rozumiem, czy żartuje, czy mówi poważnie. Nie interesuje mnie to.

– Nie wiem, czy naprawdę to Doriana Fortis zabiła Giulię. Jeśli się zastanowić, mógł to być Saverio Galanti. Albo Sofia Morandini de Clés. Lub też Jacopo De Andreis. Każdy mógł jej podać paracetamol. Pewne jest, że Doriana wydała mi się niewyraźna od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłam. I jeśli miałabym na kogoś wskazać palcem... Tak, prawdopodobnie wskazałabym na nią.

– Miałaś intuicję, nie ma o czym mówić.

- Czy Calligaris wyjaśnił ci, jak doszedł do tego, że zaczął podejrzewać Dorianę? Claudio postukuje palcami w biurko.
- Mówił mi o nowym świadku, któremu, jak się zdaje, Fortis się zwierzyła.
- Wiesz, kto jest tym świadkiem? – pytam, zanim dostrzegam głupotę tego pytania. Jest bardziej niż oczywiste, że Claudio nie może tego wiedzieć i że na pewno to ja mam więcej danych, by poznać tożsamość owego świadka.

A raczej owej, bo świadkiem jest kobieta.

To Bianca.

– Allevi, za kogo mnie masz? Skąd mam to wiedzieć? Zbaczasz z tematu – stwierdza z niecierpliwością. Claudio ma zawsze minę człowieka, dla którego dni są zbyt krótkie na to wszystko, co ma do zrobienia. – Wróćmy do nas. Mam tylko wyniki badania toksykologicznego, toksykolog opracował je w niebywałym tempie. Są negatywne. Ale to nie ma znaczenia, minęły miesiące, a przede wszystkim nikt nigdy nie myślał, że Dorianna Fortis zamieszana jest w sprawę jako narkomanka.

– Ja wyrobiłam sobie pogląd, że dwa wydarzenia są całkowicie od siebie niezależne. Giulia brała narkotyki z Saveriem wczesnym popołudniem, a spotkanie z Dorianą nastąpiło później.

– Ja nie wiem już, co myśleć, i szczerze mówiąc, nawet mnie to nie interesuje. Poprosiłem cię w sprawie nagrody – pomożesz mi zrekonstruować profil genetyczny Doriany Fortis.

– A jeśli ci powiem, że mam już ten profil? – pytam odważnie.

– Jak to? – pyta Claudio, marszcząc czoło.

– Claudio, ja... – Nie wiem, jak mu to powiedzieć. To dlatego, że zbyt często mówię, zanim zacznę myśleć. – Sama go opracowałam.

– A zatem jest wiarygodny – komentuje złośliwie.

– Drań.

– I jak niby to zrobiłaś?

– To długa historia. I nie chcę jej opowiadać, ponieważ nie zamierzam wystawiać się na twoje dowcipasy. Mam go i tyle.

– Allevi, masz świadomość tego, że przeprowadzanie badań genetycznych bez pozwolenia jest nielegalne? – pyta z wahaniem.

– Oczywiście. Za kogo mnie masz?

– Rozumiem. Więc skąd masz to DNA?

– Już ci mówiłam, że nie chcę o tym rozmawiać.

– Odmawiam wykonania badania porównawczego, jeśli mi nie wyjaśnisz, jak zdobyłaś próbkę. Ja przynajmniej kieruję się etyką zawodową.

– Gwarantuję ci, że próbka należy do Doriany. Przestań, Claudio. Nie bądź pedantem, nigdy nim nie byłeś.

Claudio z lekkim ociąganiem odrywa wzrok ode mnie, żeby potem skierować go na monitor komputera.

– Proszę, to jest profil materiału epidermicznego znalezione pod paznokciami Giulii – mówi, przekręcając monitor w moją stronę i pokazując mi otwarty plik. Na dobrze znanym mi obrazie widnieje pasek, a nad nim dużo kolorowych punktów. Każdy punkt powinien być porównany z profilem Doriany, o który Claudio mnie właśnie pyta.

Po kilku minutach wracam do jego pokoju z plikiem.

W całkowitej ciszy Claudio dokonuje porównania. Przyglądam się, a wynik jest dla mnie jasny od początku.

– Zgadzą się – oświadcza, patrząc na mnie zdumiony.

– Dziwi cię to?

– Tak. Bo wykonałaś dobrą robotę. Oczywiście, są zafałszowania. Popatrz, to jest na przykład zjawisko *drop-in*, zewnętrzna kontaminacja – końcówką długopisu wskazuje na jeden z punktów. – W każdym razie, jak na samodzielną pracę, profil jest dobry. Słowem, dobrze zrobiłem, wypowiadając się o tobie pozytywnie do Wally. No i lepiej, Allevi, byś mi nie wyjaśniała, w jaki sposób zdobyłaś ślad wyjściowy.

– Rzeczywiście, tak będzie lepiej. Poruszmy jakiś ciekawszy temat – proponuję, rozsiadając się wygodniej w foteliku obok niego. – I nie udawaj, że się nudzisz. Kiedyś spędzałeś całe godziny, roztrząsając różne przypadki. W tamtym czasie jednak nie byłeś jeszcze pracownikiem naukowym. Zastanawiam się czasem, gdzie podział się tamten Claudio i kim jest ten zubożniały typ, który zajął jego miejsce.

Zaskoczony Claudio rzuca mi zdziwione spojrzenie. Emanujący od niego zapach miętowych pastylek jest tak silny, że aż drażni.

– Ja nie zauważam żadnej zmiany – stwierdza z prostotą, bez żadnej wyniosłości.

– To jest subtelna zmiana – wyjaśniam. – Zawsze byłeś trochę draniem pod względem zawodowym. Jednak to, co zauważam teraz, to dystans. brak zainteresowania, którego wcześniej nie było.

Na jego twarzy maluje się grymas rozgoryczenia.

– Dobrze, Allevi. Poruszmy jakiś ciekawszy temat. – Wyobrażam sobie, że powtórzenie moich słów wypowiedzianych chwilę wcześniej stanowi mniej lub bardziej uprzejmy sposób na zmianę wątku.

– Zrozumiałam aluzję. OK. Jak według ciebie to się odbyło? Wydaje się oczywiste, że Giulia podrapała Dorianę. Żeby się bronić?

Claudio wzdycha znużony.

– Możliwe. Sądzę, że Calligaris będzie miał sporo pracy, żeby dojść do prawdy, również dlatego, że nie można ustalić, o której godzinie Giulia przyjęła paracetamol. Alibi wszystkich badanych zazębiają się, tworząc wielki zamęt.

Przychodzi mi na myśl pytanie, na które – nie dam głowy – może będzie mógł odpowiedzieć.

– Czy Calligaris podał ci może jakieś szczegóły dotyczące telefonu Giulii do Jacopa De Andreisa o dwudziestej pierwszej siedemnaście?

Claudio przymyka oczy, jakby próbował sobie przypomnieć.

– Tak, jakiś czas temu wspomniał, że De Andreis nie odebrał. I że w istocie dręczyła go myśl, że mogła do niego dzwonić z prośbą o pomoc, a on, nie odbierając, skazał ją na śmierć.

– Dlaczego nie odebrał?

– Teraz pytasz już o zbyt wiele – odpowiada, wyłączając komputer i wstając w fotela.

– Wiesz, Claudio, ten wynik jest także pośrednim potwierdzeniem.

– Czego? – pyta, przygotowany na najgorsze.

– Tego, że Giulia i Jacopo De Andreis mieli romans.

- Co? Widzę, że twoja wyobraźnia zaczęła pracować.
- Jeśli się zastanowisz, przyznasz mi rację. Dlaczego Dorigana miałyby zrobić krzywdę Giulii? Wydaje mi się to jedynym możliwym motywem, tym bardziej że ostatni kochanek Giulii nigdy nie został zidentyfikowany. Kto inny mógł to być, jeśli nie Jacopo De Andreis?
- Claudio mimo woli potakuje.
- To jest nawet logiczne. Myślę, że wykonamy to badanie bardzo szybko, jeśli sprawy tak się mają. No, Allevi, ruszaj się. Idziemy do laboratorium.
- Dlaczego? – pytam zmieszana.
- Zrobimy badanie na próbce, którą pobrałem – odpowiada swobodnie, masując skroń. Na swój sposób jest fascynujący.
- Po co? To strata czasu. Profil już jest, właśnie go porównaliśmy.
- Claudio wpatruje się we mnie zrezygowany.
- Czy twoim zdaniem mógłbym zaufać śladowi zdobytemu przez ciebie, w nie wiadomo jaki sposób? Pasuje, nie ma wątpliwości. Ale ja powtórzę badanie. Więcej, powtórzymy je razem.

Po tygodniu upodlającej nudy, pewnego ranka w instytucie odbieram nagły telefon od Cordelii, która proponuje wspólny obiad w niedawno otwartej pizzerii w pobliżu jej domu.

Czeka na mnie przed wejściem ze zniecierpliwioną miną. Ma na sobie bluzę w barwie bakłażana i bardzo obcisłe džinsy, a do tego przepiękne niebieskofioletowe baleriny.

– Spóźniłaś się – zauważa.

– Raz na jakiś czas ja też mam do tego prawo! – odpowiadam dotknięta.

Ściąga wąskie wargi, potem wyjmuje miętowy cukierek z ogromnej *tote bag* z logo Hermesa, która musiała kosztować Najwyższego równowartość honorariów za co najmniej dziesięć sekcji, i patrzy na mnie, chuda jak szkielet i podekscytowana.

– Jestem głodna jak wilk – oświadcza.

– Ty?

– No już, chodźmy. Nie ma czasu do stracenia.

W tle płyną dźwięki *Tainted Love* Soft Cell, a ona zamawia pizzę. Ja tymczasem zasypuję ją pytaniami, oczywiście o Arthura.

– Czy rozmawiałaś z nim ostatnio? Lepiej się czuje? Czy ciągle ma dializy?

– Żadnych oliwek, absolutnie żadnych – mówi do kelnerki. – Tak, Alice, zaraz ci wyjaśnię.

Po złożeniu zamówienia beszta mnie uszczypliwym tonem.

– Nie masz za grosz cierpliwości.

To prawda. Jest to bezwzględnie moja najgorsza wada.

– To dlatego, że nie mogę wytrzymać. Nie potrafię się opanować. Chcę, żeby wrócił do domu, natychmiast – mówię tonem rozkapryszonej dziewczynki.

– Ja też nie mogę wytrzymać – stwierdza, jakbym powiedziała coś oczywistego. – Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać – oznajmia konspiracyjnym tonem.

– To znaczy?

– Chcę jechać do Chartumu i chciałabym, żebyś mi towarzyszyła – tłumaczy z prostotą, wlewając do szklanki wodę Ferrarelle.

Do licha, ta kobieta stworzona jest do działania! Muszę przyznać, że mnie też zaświtał taki pomysł, ale nie miałam odwagi, by podjąć próbę wprowadzenia go w życie. Przez chwilę siedzę oszołomiona.

– A więc? – naciska.

Dokonuję uważnej analizy całej sprawy.

Czy chcę jechać z Cordelią do Chartumu?

Jak diabli.

Czy to właściwe?

Na pewno nie.

Przede wszystkim uświadamiam sobie, że kłóci się to zupełnie z pojęciem zerwania

z Arthurem. Nie wiem, czy na pewno sprawi mu przyjemność, że jestem tak blisko niego. Ale tu chodzi o nagły przypadek. Poza tym brakuje mu mnie. Na wspomnienie tych słów, które wypowiedział z naturalnością i żalem, przechodzi mnie dreszcz.

Muszę pojechać i odzyskać go.

– Czy Arthur o tym wie? – To pytanie retoryczne, ale nieuniknione.

– Oczywiście że nie, zabroniłby mi. No, Alice! Pomyśl, jakie to wspaniałe, ty i ja w Chartumie...

Nie ma co tłumaczyć jej, że Chartum nie jest miejscowością wypoczynkową i że przeczytałam w Internecie, iż miejscowy rząd musiał przywrócić godzinę policyjną, bo wybuchły nowe zamieszki. Nie mówiąc o tym, że trybunał w Hadze oskarżył szefa rządu o zbrodnie przeciwko ludzkości. Cordelia przyjmuje moje przestrogi z pobłażliwą wyższością.

– Nic nam się nie stanie. Jak zwykle przesadzasz. To będzie niezwykła przygoda – mówi rozmarzona. Słodka Cordelia, dla niej wszystko jest zabawą. – No więc? Tak czy nie? Pamiętaj, ja tak czy owak pojedę. A jeśli nie chcesz tego zrobić dla Arthura, powinnaś to zrobić dla mnie. Skoro uważasz, że to takie ryzykowne, jak możesz puścić mnie samą? – Wpatruje się we mnie wielkimi szarymi oczami, tak dużymi, że aż nieproporcjonalnymi w stosunku do reszty twarzy.

– A twoi rodzice? – pytam.

– Kogo to obchodzi. Wyjeżdżam. Kropka. Jedziesz czy nie?

– Chodźmy do biura podróży – wzdycham, ale w rzeczywistości jestem bardzo podekscytowana.

- Jedziecie do Chartumu w sprawach zawodowych? – pyta pracownik biura, do którego białej koszuli przypięta jest tabliczka z imieniem Igor.

– Czemu pan tak myśli? – pyta Cordelia.

– Zrobił to przez eliminację, Cordelio. Do Sudanu nie jeździ się na pewno na wakacje. Szczególnie teraz – mówię, przyjmując ton osoby poważnej, jakbym była matką, a ona córką.

Igor patrzy na nas lekko skołowany.

– Nie jedziemy do pracy, jasne? – precyzuje Cordelia.

– Trzeba wystąpić o wizę do ambasady – oznajmia Igor obojętnie.

Spoglądamy na siebie osłupiałe.

– Wiza? – pytamy jednocześnie.

Igor patrzy na nas z politowaniem.

– Naturalnie, wiza. Prawie wszystkie kraje afrykańskie wymagają jej przy wjeździe.

– Ile czasu trzeba, żeby ją dostać? – pytam jednym tchem.

– Minimum dwa tygodnie – odpowiada, wciąż się nam przyglądając, jakby zdumiony na samą myśl, że tego nie przewidziałyśmy.

– Ale jaja! – wybucha Cordelia.

– To nagła sprawa, nie można tego jakoś przyspieszyć? – pytam, usiłując zachować rozsądek.

– Nie wydaje mi się. Raczej nie.

– Jak to nie? – wykrzykuje zdenerwowana Cordelia.

– Zaczekajcie chwilę. Wykonam kilka telefonów. – Igor chwyta swój notatnik i zaczyna gorączkowo wystukiwać numery telefoniczne.

W końcu patrzy nam w oczy i oznajmia z uroczystą miną.

– Jest pewna możliwość, ale na wasze ryzyko.

– Mów – ponagla Cordelia, wyglądając, jakby trafiła do filmu o Indiana Jonesie.

– Można poprosić o wizę w ambasadzie w Kairze.

– Czyli? – pytam już pogubiona.

– No więc, trzeba polecieć do Kairu i na miejscu wystąpić o wizę do Sudanu. Jest droga, ale dostaje się ją w ciągu kilku godzin.

– Ale to pewne? – pytam nieco podejrzliwie.

– Cóż... raczej prawdopodobne. To jedyna możliwość. Wiele osób stosuje ten wybieg. Jeśli to wam nie odpowiada, uzbrójcie się w cierpliwość i czekajcie na zwykłą procedurę.

– Nie możemy czekać – stwierdza Cordelia stanowczym tonem. – Zrobimy, jak pan mówi.

– Ale będzie to sporo kosztowało – zaznacza Igor.

– Nieważne – kontynuuje niewzruszona Cordelia, z pychą osoby pochodzącej z jej warstwy społecznej.

To zamach na mój ubogi portfel, ale dla Arthura wszystko.

– A jeśli się nie powiedzie? – pytam z coraz większym zamętem w głowie.

– Wtedy spędzicie miłe wakacje w Egipcie – odpowiada Igor ze spokojnym uśmiechem.

– Nie martw się, Alice, wszystko pójdzie dobrze, czuję to – mówi Cordelia, dostrzegając moje wahanie. – Chyba nie chcesz zrezygnować?

Nie, nigdy nie mogłabym zrezygnować.

– Nie żartuj, Cordelio. OK, spróbujmy.

– A więc są dwa wolne miejsca na lot Rzym-Kair w czwartek o jedenastej pięćdziesiąt pięć. To lot bezpośredni, więc w Kairze będziecie o piętnastej piętnaście – mówi Igor.

– Nie można we wtorek? Albo w środę? – pyta Cordelia.

– Wtorek jest jutro, Cordelio – uświadamiam jej.

– Rzeczywiście. W każdym razie ja zdążyłabym przygotować się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ty nie?

– Sprawa jest przesądzona, bo nie ma miejsc – wtrąca zmęczony już Igor.

– Jeszcze jedno. Czy w Chartumie jest hotel Hilton? – pyta Cordelia.

– Tak. Ale pomyślmy najpierw o powrocie i zajmijmy się Kairem – odpowiada. – Pierwszą noc spędzicie oczywiście w Kairze; następnego dnia, w piątek, udacie się do ambasady po wizę do Sudanu i jeśli wszystko się powiedzie, wylecicie do Chartumu w sobotę o piętnastej z lądowaniem przewidzianym na osiemnastą trzydzieści pięć. Ile czasu zamierzacie zatrzymać się w Chartumie? Kiedy tam dotrzecie, musicie mieć już bilet powrotny.

– A jeśli nie uda nam się dostać wizy?

– Spróbuję przełożyć lot na inny dzień, żebyście nie straciły biletu. Mógłbym przesunąć go o dwa tygodnie, kiedy wiza będzie już na pewno gotowa. Uprzedzam, wszystko na wasze ryzyko. A przede wszystkim jest to okropnie drogie. A zatem data powrotu?

– Co najmniej tydzień później. No, pospieszmy się – ponagla Cordelia.

Igor patrzy na nas z nieprzeniknioną miną.

– Więc mieszkamy w Hiltonie? – proponuje Cordelia.

- Nie, lepiej w Acropole Hotel – odpowiadam.
 - Dlaczego? – pyta zdezorientowana.
 - Arthur tam mieszka. – Wydaje mi się to oczywiste.
 - Dla ścisłości, Arthur mieszka w szpitalu. – Igor słucha nas z coraz większym zniechęceniem. – Nie biorę pod uwagę nic innego poza Hiltonem.
- Kiedy Cordelia się tak zachowuje, mam ochotę ją udusić.
- Acropole albo wracam natychmiast do domu. – Robimy wrażenie dwóch rozkapryszonych dziewczynek.

Cordelia tupie bucikiem od Gucciego w podłogę, ale w końcu się zgadza.

Z elektronicznymi biletami w torbie czuję się trochę niewyraźnie. Jakaś część mnie chciałaby już tam być, a druga myśli o tym wszystkim, co pozostawia w zawieszeniu.

Wszystko pogarsza jeszcze Silvia.

– Czy mam ci przypomnieć, że Izba nie podjęła jeszcze oficjalnej decyzji, a ty stoisz na skraju przepaści? Czy mam ci przypomnieć, że Arthur nie zamierza budować z tobą niczego, co byłoby choć trochę stałe? Alice, on nie kocha cię wystarczająco. A może wcale cię nie kocha.

– Nie jadę do niego dlatego, że chcę, byśmy znów byli razem. On mnie potrzebuje.

– Po prostu chcesz tak myśleć.

– Nie, powiedział mi to.

– Powiedział też, że nie zamierza wracać. Jak ci się zdaje, jaka jest przed wami przyszłość?

– Kto to może wiedzieć?

– Ja wiem. Żadna.

– Pozwól mi jechać.

– Nie mogę ci przeszkodzić, choć bardzo bym chciała. Mogę ci tylko życzyć szczęścia.

Dokładnie dwa dni dzielą mnie od podróży do Afryki, która może mnie kosztować zdrowie i utratę twarzy.

A jednak nie odczuwam żadnego niepokoju; przeciwnie, wydaje mi się, że spaceruję wśród chmur, z lekkością, jaką można osiągnąć tylko wtedy, kiedy jest się czegoś absolutnie pewnym.

Właśnie w takim pogodnym stanie ducha stoję przed obliczem Claudia, który wezwał mnie przez sekretarkę, a teraz przyjmuje w swoim pokoju z niemal czułym uśmiechem na ustach.

– Wezwałem cię, żeby cię zaznajomić z ostatnimi postępami w sprawie Valenti. Jesteś zainteresowana?

– Oczywiście.

– Wiadomości pochodzą bezpośrednio od Calligarisa i nie są jeszcze oficjalne, zachowaj je więc dla siebie. Dorigana Fortis przedstawiła swoją wersję wydarzeń. Twierdzi, że ona i Giulia pokłóciły się dwunastego lutego około szóstej po południu. Ostatnio ich stosunki nie układały się najlepiej, co zostało potwierdzone twoim świadectwem dotyczącym ich rozmowy.

– Czy Calligaris wyjaśnił ci powód kłótni?

– Nie wdawał się w szczegóły, a ja oczywiście nie pytałem. Powiedział, że według oficjalnej wersji powodem była istniejąca od początku wzajemna niechęć, której obydwie nigdy nie przezwyciężyły.

– Ale... rozmowa, którą słyszałam tamtego popołudnia... wskazywała na bardziej konkretną urazę. Nie na jakąś niejasną antypatię, ale konkretne odniesienie. Dorigana była zazdrosna o Giulie i Jacopa. To oczywiste!

– Nie podniecaj się. Wszystko wyjdzie na jaw, to tylko kwestia czasu. Żeby od czegoś zacząć, należałoby udowodnić ewentualny romans między nimi. A Dorigana słowem o tym nie wspomniała.

– Sądzę, że znam powód. Chce osłaniać Jacopa.

Claudio marszczy czoło.

– Sedno leży w tym, że Dorigana ma alibi między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią.

– A o której dokładnie świadkowie słyszeli hałasy?

– Nie wiem, nie interesowałem się tym.

– Ustaliłeś godzinę śmierci na dwudziestą drugą. Wiesz, że się z tym nie zgadzam.

Claudio przybiera pojednawczą minę. O dziwo, nie jest zirytowany i odpowiada z niezwykłą dla niego otwartością.

– Tym, czego nie potrafię sobie wyjaśnić, jest ten telefon o dwudziestej pierwszej siedemnaście.

– Mógł on być próbą zmylenia tropów przez Dorianę albo przez samego De Andreisa. Pomyśl, jednoczesna obecność materiału genetycznego Dorigany pod paznokciami i płynu

nasiennego, który w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach należy do De Andreisa, wskazuje na jedną tylko rzecz.

– Że najprawdopodobniej, a wręcz niemal na pewno, tych dwoje było razem – konkluduje Claudio. – Nie mogę nie przyznać ci racji. To dlatego jak najszybciej zostanie przeprowadzone badanie na materiale, który znaleźliśmy u Giulii. Jestem przekonany, że Calligaris podąża tym tropem.

– Gdybyś przyznał, że śmierć mogła nastąpić przed dwudziestą pierwszą, Dorigana nie miałaby już alibi – zwracam uwagę ostrożnym tonem, nie wpływającym jednak na treść propozycji, która wywołuje u Claudia efekt petardy wybuchającej prosto w twarz.

– Przyznał co? – pyta, zmieniając się na twarzy. – Jestem głęboko przekonany, że śmierć nastąpiła po dwudziestej pierwszej. Giulia była jeszcze ciepła, a to, co ty nazywasz plamami opadowymi, w rzeczywistości było tylko ich ledwie widocznym cieniem. Nie mówiąc o tym, że nie było żadnego śladu sztywnienia. Święty Boże, zdawała się jeszcze żywa! – wykrzykuje, jakby chciał przekonać bardziej samego siebie niż mnie.

– Obawiam się, że Dorigana i Jacopo są skończeni – mruczę, zastanawiając się nad tym, że jeszcze ktoś może się ze mną nie zgadzać. – Nie ma innego wytłumaczenia, Dorigana podała jej paracetamol. Sądzę, że podstępnie, celowo, by wywołać u niej szok. Nie wyobrażam sobie natomiast, w jaki sposób, pod jakim pretekstem.

– I w istocie nie ty powinnaś to sobie wyobrażać. Pozwól, żeby to Calligaris wysilał umysł. W tym świetle nie odrzucałbym całkowicie hipotezy samobójstwa.

– Uważasz, że Giulia mogła się zabić po kłótni z Doriganą?

– Czemu nie? – ryzykuje pytanie.

Właśnie, czemu nie? Choć długo o niej rozmawiałam, choć na krótką chwilę nasze drogi się skrzyżowały, nie mogę powiedzieć, że znam Giulie. I mimo że jakaś część mnie nie chce uwierzyć, że mogło to być samobójstwo, muszę przyznać, że – w obecnym stanie rzeczy – nie jest to hipoteza, którą można całkowicie wykluczyć. Sama Bianca, która, być może, znała Giulie lepiej niż ktokolwiek inny, uważa ją za dopuszczalną.

Wciąż się jednak zastanawiam, dlaczego nie znaleziono opakowania po tabletkę paracetamolu, którą przyjęła. Jeśli to ona sama ją zażyła, gdzie położyła pudełko? Nie wydaje mi się, żeby w jej mieszkaniu cokolwiek znaleziono. A to uzasadniałoby stwierdzenie, że paracetamol podała jej osoba trzecia. Obawiam się jednak, że nadeszła chwila, by położyć kres spekulacjom. Claudio wydaje się niecierpliwy i chce przystąpić do pracy. Nie pozostaje mi nic innego, jak zrobić to samo.

Jestem na pizzy z Yukino. Była we Florencji zwiedzić Uffizi i dlatego w ostatnich dniach straciła kolejne odcinki swojej ulubionej opery mydlanej.

– Arthur *kun* chory? To niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe! – wykrzykuje, kiedy streściłam w sposób najbardziej adekwatny do jej możliwości językowych ostatnie wydarzenia. – Dlaczego nie rozchorował się ten perfidny facet, który robi ci tyle przykrości w instytucie? Dlaczego Arthur *kun*, który jest taki dobry?

– Takie jest życie, Yuki. W każdym razie dochodzi już do siebie. Nie powinniśmy się niepokoić.

– Ty jesteś dzisiaj zwolenniczką tej filozofii... epi, epi?

– Epikureizmu?

– No tak, to dla mnie za trudne! Miałam wczoraj wykład na uniwersytecie. To piękne! Jak zen.

– Tak, Yuki. Ale przede wszystkim mam dla ciebie bombę. Wyjeżdżam! Jadę do niego do Sudanu – oznajmiam triumfalnym tonem. Jestem naprawdę dumna z tego aktu odwagi.

Yuki wytrzeszcza oczy z zaskoczenia. Nie jest w stanie sformułować swoich myśli po włosku, więc wygłasza długi monolog po japońsku.

– Czy mogę wysłać z tobą mały prezent dla Arthura *kun*? Chciałabym podarować mu książkę, żeby miał w szpitalu towarzystwo.

– Oczywiście, Yuki, będzie mu miło. Naturalnie po tym, jak przestanie już być zaskoczony, widząc mnie.

– On nie wie?

Kręcę głową. W istocie, jest to najbardziej drażliwa kwestia.

Po raz pierwszy podczas obiadu Yukino milczy przez kilka sekund, wytrzeszczając swoje skośne oczy.

– Jesteś moim mitem – oświadczają w końcu uroczyście.

Mówię o nadziejach, jakie pokładam w tej podróży. Ona, nieświadoma i romantyczna, gorąco podsyca moje majaczenia i twierdzi, że ta podróż będzie rozstrzygająca, bo nas pojedna. Miło mi wierzyć, że może mieć rację.

Przed wyjazdem muszę się jednak spotkać z Calligarisem. Jest bowiem jedna rzecz, która mnie niepokoi, i tylko jeśli z nim porozmawiam, będę się mogła pozbyć wszelkich wątpliwości.

Brunetka o kręconych włosach, która już mnie rozpoznaje, przyjmuje mnie uprzejmie i prosi, bym usiadła w prawie pustej poczekalni. Żółtawe ściany z popękaną farbą są wyjątkowo odpychające i mimo otwartego okna czuć tutaj lekki zapach pleśni. W czasie oczekiwania odbieram niesamowitą liczbę wiadomości od Cordelii, jedną z pytaniami, czy powinna kupić na podróż nową torbę Prady, drugą o pilnej konieczności zakupu zapasu płatków Kellogg's, oraz inne w mniej więcej podobnym tonie. Jej podniecenie jest jednak zaraźliwe i sama tworzę listę zakupów do zrobienia przed wyjazdem. Wreszcie brunetka w mundurze daje mi znak, bym weszła do zatęchłego gabinetu Calligarisa.

– Alice! Zawsze miło panią widzieć.

– Mnie również, inspektorze.

– Dobrze, dobrze. Proszę się rozgościć!

Po raz pierwszy od chwili, kiedy zaczęłam zasypywać go mniej lub bardziej śmiałymi oświadczeniami i pytaniami, czuję się nieswojo. Tym razem nie mogę się odwołać do żadnego wkładu, jaki mogłabym wnieść do dochodzenia. Muszę być po prostu szczerą i poprosić go, by wyjaśnił wszystkie wątpliwości, których ani Claudio, ani gazety nie są w stanie rozwiązać.

– W czym mogę pani pomóc? – pyta, splótłszy palce dłoni, z zaciekawioną miną na pozbawionej koloru twarzy.

– Inspektorze, chciałabym z panem porozmawiać... Cóż, dokładniej, chciałabym poprosić o pewne wiadomości na temat sprawy Valenti – zaczynam z wahaniem.

– Alice, pani jest naprawdę bardzo zaangażowana... – stwierdza, drapiąc się po policzku.
– Rozumie pan moją sytuację, prawda? Jestem z tą historią związana w szczególny sposób. Nigdy mi się to wcześniej nie zdarzyło i prawdopodobnie nigdy więcej nie zdarzy. Mam wręcz taką nadzieję.

– Co by pani chciała konkretnie wiedzieć? – ucina.

– Ku czemu się skłaniamie? Morderstwo? Samobójstwo?

– Jak to, Alice? Pani wykluczała samobójstwo.

– Ja tak. Ale ja nie jestem panem.

– Słusznie. W rzeczywistości ja też raczej nie jestem skłonny uznać tego za samobójstwo. Z różnych powodów. Przede wszystkim brak okoliczności na to wskazujących. Żadnego śladu po opakowaniu paracetamolu, który zażyła. Ani w mieszkaniu, ani na zewnątrz. Na dodatek nie znaleźliśmy nic, co by wskazywało na stan depresji. Valenti była narkomanką, ale wszystkie przesłuchane przez nas osoby wykluczają, że mogła mieć skłonności samobójcze. Wszystkie, poza siostrą. A jedna z przyjaciółek, Abigail Button, przytoczyła wręcz rozmowę, jaką odbyła przypadkowo z Valenti, na temat samobójstwa kogoś, kogo obie znały. Valenti wymieniła całą serię powodów, dla których nigdy, ale to nigdy by tego nie zrobiła. Może się to pani wydać nieistotne, ale nie sądzę, by można było ten element lekceważyć. Mówię tylko, że uważałbym za bardziej prawdopodobny wypadek niż samobójstwo. Ale to nie jest śmierć przypadkowa.

– Rozumiem. Chodzi o morderstwo.

– Jestem tego pewny.

– Inspektorze, jeśli mogę. Jak dostał pan sygnał w sprawie Doriany Fortis?

– No nie! Nie spodziewa się pani chyba, że powiem! – napomina mnie. – Poza tym dla czego to panią interesuje? Ale mogę pani powiedzieć, że chodzi o świadka, któremu Fortis przyznała się do dość gwałtownej kłótni, jaką miała z Valenti po południu w dniu jej śmierci.

– Co jeszcze powiedziała?

– Nic. Fortis stanowczo zaprzeczyła, jakoby miała się do czegokolwiek przyznać mojemu świadkowi. Ale oni zawsze zaprzeczają, więc nie ma co temu ufać. Zresztą w jaki inny sposób świadek mógłby poznać szczegóły owej kłótni?

To oczywiste, że Doriana nie rozmawiała z Biancą. Ta ostatnia wykorzystała pretekst wyznania, żeby zeznać coś, co do czego miała już pewność. Biedna Doriana wcale nie kłamie.

A jednak mój mózg świdruje jakaś dziwna myśl. Bianca była aż nazbyt pewna swoich domysłów; owego popołudnia, kiedy rozmawialiśmy, nie wyrażała swoich opinii tonem przypuszczenia. Przedstawiała je jako fakty.

– Jakie szczegóły?

– Znała treść kłótni, co Fortis potwierdziła.

– W jakim sensie?

– Podczas kłótni Fortis wysunęła wobec Valenti konkretne oskarżenia, które mój świadek był w stanie powtórzyć, a Fortis im nie zaprzeczyła.

Bianca w żaden sposób nie może znać szczegółów; rozmowa między nią a Dorianą nigdy nie miała miejsca, jestem o tym przekonana.

Jedno z dwojga: albo świadkiem nie jest Bianca, albo Bianca dowiedziała się szczegółów kłótni od kogoś innego.

Jest tylko jedna osoba, która mogła wygadać się przed Biancą, co zdarzyło się tamtego

popołudnia: Jacopo De Andreis.

Zastanawiam się jednak, jeśli Bianca wiedziała już o kłótni, z jakiego powodu poprosiła mnie o wykonanie badania DNA?

Jedyna odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy, jest taka, że szczegóły tej kłótni poznała później, właśnie od Jacopa. Na dodatek, jeśli się zastanowić, zdradziła kuzynowi naszą tajemnicę.

To wszystko pozwala przypuszczać, że między nią a Jaco-phem istnieje o wiele większa zażyłość, niż to utrzymuje sama Bianca.

– Teraz, Alice... jeśli pani pozwoli, mam spotkanie – wyjaśnia Calligaris grzecznie, patrząc na zegarek.

Zostałabym jeszcze długo. A gdybym się zdobyła na odwagę, zapytałabym, na co czeka prokurator, żeby zażądać wreszcie badania genetycznego Jacopa De Andreisa w celu udowodnienia, że był on z Julią tamtego popołudnia. Właśnie dlatego Doriana i Giulia ostro się pokłóciły, wydaje mi się to oczywiste!

– Ależ oczywiście – odpowiadam, wstając. – Był pan bardzo uprzejmy, inspektorze. Jestem panu wdzięczna.

Calligaris uśmiecha się.

– Pani budzi moją wielką sympatię, pani doktor. Ma pani pasję, ciekawość, jest pani spostrzegawcza. Są to rzadko spotykane cechy i dlatego wydają mi się godne podziwu.

To dowód, że szczęście sprzyja zawsze tym, którzy najmniej na to zasługują.

Straciłam wszelką godność, a jednak wracam do domu, zgarnąwszy komplementy.

Calligaris nie odprowadza mnie do drzwi, ale żegna gestem ręki, nadal siedząc wygodnie w fotelu. Ledwie przekroczyłam próg, odwzajemniwszy pożegnanie, kiedy zderzam się z kobietą, której perfumy rozpoznaję natychmiast.

– Bianca...

Jest poirytowana. Na skutek mojej niezdarności jej cenna torba wylądowała na podłodze i wysypała się cała zawartość. Instynktownie pochylam się, żeby pomóc jej pozbierać.

– Zostaw – mruczy, podnosząc czerwony skórzany portfel, dopasowane etui na klucze, telefon najnowszej generacji, podręczne lusterko, paczkę chusteczek, książkę Marguerite Duras, blyszczyk Heleny Rubinstein, opakowanie proszków, paczuszkę gumy do żucia, spinkę do włosów. Bianca wydaje się taka zwyczajna, a jednak jest wprost przeciwnie. I czuję, że mogę stwierdzić to z całkowitą pewnością.

Unika mojego wzroku i mija mnie, jak kogoś nieważnego, na kogo wpadła przypadkiem, a kto narobił jej tylko kłopotu.

Kiedy wracam do domu metrem, nie jestem w stanie myśleć o niej bez żalu, bez tej lekkiej melancholii, z jaką patrzy się na kogoś, kto nas uwiódł i porzucił.

Z lekka oszołomiona wchodzę z wysiłkiem po schodach. Mieszkanie jest puste. Wślizguję się pod prysznic i cieszę się jego ożywiającą mocą. I właśnie, oplukując energicznie włosy z szamponu, czuję jakby porażenie prądem.

Wkładam szlafrok i włączam mój bardzo powolny komputer. W oczekiwaniu na Internet Explorer, odczuwam drżenie.

Wystukuję „panadol ekstra”.

Klikam na pierwszy link, który podaje mi skład.

Lek przeciwbólowy sprzedawany w Stanach Zjednoczonych, od niedawna importowany również do Włoch.

Jest to preparat zawierający paracetamol.

To nazwa proszków, które Bianca miała w torbie.

Cechą panadolu ekstra jest również to, że zawiera kofeinę.

Dzwonię natychmiast do Claudia.

– Czy mógłbyś mi przysłać link z wynikiem badania toksykologicznego Giulii Valenti? – pytam.

– Alice. Jestem na kolacji na mieście.

– Już tak późno? Wybacz. – W istocie, jest po ósmej.

– Proszę.

– Cóż, no więc... Jeśli nie możesz przysłać pliku, a to oczywiste, że nie możesz... przypominasz sobie może przypadkiem, czy w krwi Giulii była też kofeina?

Claudio pokasłuje.

– Alice, doszły mnie słuchy, że właśnie wyjeżdżasz. Dlaczego nie pakujesz walizek?

Jak w każdym miejscu pracy na świecie, zachowanie tajemnicy jest prawie niemożliwe.

– Już to zrobiłam, nie przejmuj się. Proszę, spróbuj sobie przypomnieć.

– Wydaje mi się, że tak. Minimalna dawka.

– Czy mogła przyjąć kofeinę razem z paracetamolem?

– Dobry Boże, Allevi. Czy mogę zjeść kolację, nie myśląc o sprawie Valenti? Bądź tak dobra. Porozmawiamy o tym jutro.

Jutro wyjeżdżam do Sudanu i czuję się niesamowicie podekscytowana.

Mam podejrzenie, że paracetamol, który zabił Giulę, pochodzi z torby Bianki i jestem tym wstrząśnięta.

W instytucie jest Jacopo De Andreis, który popatrzył na mnie z zadziwiającą niechęcią.

Obserwuję go ukradkiem. Krąży po instytucie, jak zwykle zadbany, i bezbarwną uprzejmością obdarza każdego, na kogo się natknie. Ku wściekłości Ambry Claudio mówi:

– Mecenasiu, jeśli to dla pana nie problem, chciałbym, żeby badanie wykonała moja współpracownica, doktor Allevi.

Jacopo odwraca się gwałtownie i wpatruje się we mnie, jakby się zastanawiał, w jaki sposób można mnie fizycznie zgładzić.

Na kilka chwil ciekawość, czy się zgodzi, czy nie, odbiera mi dech. De Andreis jednak, zwracając się do Claudia jakby nigdy nic, odpowiada:

– Znakomicie! Wręcz będzie to przyjemniejsze.

– Dobrze. Alice, zaprowadź mecenasa do gabinetu pobrań.

I tak przemierzam długi korytarz w towarzystwie Jacopa. Sami, w jakiejś nierealnej ciszy, którą on przerywa zaraz po zdjęciu marynarki z cieniutkiej gabardyny. Siada na krześle naprzeciw mnie, w błękitnej koszuli i granatowym krawacie, na pozór zmęczony, ale spokojny, pachnący znakomitymi męskimi perfumami. Włosy, nieco dłuższe od czasu, kiedy go poznałam, łagodzą jego posągowe rysy. Jest starannie ogolony, ma nieskazitelny wygląd i wyraźną chęć, by wprowadzić mnie w zakłopotanie.

– Sytuacja jest paradoksalna. Nie sądzi pani, Alice?

Czuję, że ręce mi drżą, kiedy rozkładałam na stole materiały niezbędne do wykonania pobrania.

– Dlaczego, mecenasiu? – pytam nonszalancko.

– Paradoks polega na tym, że to właśnie pani ma wykonać to pobranie.

– Powiedział pan, że to żaden problemem.

– W istocie tak jest. Jeśli nie jest nim dla pani, pani doktor, dlaczego miałyby być dla mnie? – pyta dwuznacznym tonem.

– A więc wszystko w porządku – stwierdzam, podchodząc z tamponem, aby zebrać śluz z ust i nasączyć tampon śliną, z której potem otrzyma się DNA. Claudio wybrał ten sposób, uznając pobranie krwi za niekonieczne. Poprzednio wykonał badania krwi, wykorzystując próbki również do analiz toksykologicznych.

– Proszę odtworzyć usta, mecenasiu.

Robi to posłusznie, odsłaniając piękne i zdrowe uzębienie. Aż wargi wykrzywają mu się w uśmiechu, którego nie jest w stanie powstrzymać. Ile razy Giulia zagubiła się w tym uśmiechu?

– Mecenasiu? – pytam.

On ma spuszczoną głowę, jedną ręką zasłania oczy.

Wszystkiego się spodziewałam po tym spotkaniu, w ostateczności nawet patosu. Ale na pewno nie tego, że Jacopo De Andreis dostanie ataku śmiechu.

– Nie mogę o tym myśleć. Nie mogę o tym myśleć – powtarza.

Słyszałam o ludziach, którzy śmieją się nerwowo. Czyżby to był ten przypadek?

– Mecenasio De Andreis. – Jacopo podnosi wzrok, wyraźnie kontrastujący z uśmiechem, który przeobraził się już w grymas. Wyraża udrękę, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Udrękę kogoś skazanego na śmierć. – Dobrze się pan czuje?

– Pyta pani, czy dobrze? – pyta osłupiały. – Jak, pani zdaniem, mogę się dobrze czuć? – Wpatruje się we mnie z urazą, która wyraźnie nie jest osobista. To gniew absolutny.

– Proszę wybaczyć – mówię nieśmiało.

– Wybaczyć? Przede wszystkim powinna pani przeprosić za to, co zrobiła. Może nawet wyjdzie pani z tego czysta, ale powinna się pani wstydić.

Czuję się całkowicie rozbita. Patrzę na niego jak idiotka, cała drzę. W rękę trzymam tampon.

– Mecenasio, ja...

– Ugięła się pani wobec nalegań jakiejś... – Przerywa, nie kończąc zdania.

– Mecenasio. Abstrahując od moich przewin i błędów, to, co się dzieje... i tak wyszłoby na jaw. Doskonale pan wie dlaczego.

Przygląda mi się z zainteresowaniem.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

Połykam przynętę i odsłaniam karty.

– Nie był pan ostrożny, opowiadając o kłótni komuś, kto powtórzył to na policji.

Jacopo jest w szoku. Wyraz jego twarzy i brak jakiegokolwiek odpowiedzi są potwierdzeniem, jakiego się spodziewałam. Rozmawiał z Biancą. Opowiedział jej, co się wydarzyło tamtego popołudnia. Powiedział jej o kłótni między Giulią a Dorianą. A zrobił to, bo on i Bianca pozostają w dużo większej zażyłości, niż się sądzi.

Przybycie Claudia kładzie kres moim próbom dowiedzenia się czegoś więcej.

– Jakież problemy? – pyta, prawdopodobnie zdziwiony widokiem naszych wstrząśniętych twarzy.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiadam bezzwłocznie.

– Nie wykonałaś jeszcze pobrania? – zauważa.

– Prawie skończyliśmy – odpieram natychmiast.

– Mam nadzieję – brzmi jego sucha odpowiedź. Zamyka drzwi.

– Czy już możemy? – pytam Jacopa, który jest wciąż niemal omdlały.

– Skąd... – Znow nie kończy zdania.

– Skąd wiem? Intuicja. Nic więcej.

Jacopo milczy i pozwala, bym dokonała pobrania. Po skończeniu, przed wyjściem z gabinetu, waha się przez chwilę, jakby czuł konieczność powiedzenia czegoś. A może to tylko moje wrażenie?

Wydaje się, że był dość oschły również w stosunku do Claudia, który natychmiast mnie wezwał, żeby się upewnić, czy znow czegoś nie zbroiłam.

- Co zrobiłaś De Andreisowi? Wyszedł stąd rozjuszony niczym byk.
- Ja? Nic. Skąd przyszło polecenie, by zrobić mu test?
- Calligaris uzyskał nowe szczegóły od swojego kluczowego świadka. Poza tym to była tylko kwestia czasu i sam by do tego doszedł.
- Jakie szczegóły?
- O tym, że Fortis tamtego popołudnia podczas kłótni nie była sama. Allevi, jeśli już przy tym jesteśmy, czy możesz mi wyjaśnić wczorajszy telefon?
- Nic, nic. Takie dręczące myśli.

Claudio wydaje się usatysfakcjonowany odpowiedzią.

- Bierzemy się do dzieła? – proponuje, zapinając fartuch i przeglądając się w szkle obrazu wiszącego na ścianie. – Jakby powiedział szef, *a rolling stone gathers no moss*.

Chwilę przed wyjściem z pokoju bierze mnie za rękę, jakby był to gest oczywistej czułości.

W szarawym świetle wilgotnego wieczoru można niemal przejrzeć się w kałużach powstałych po ulewie, która przerwała długą serię upalnych dni i czystego nieba.

Stoję przed bramą domu Bianki. Zadzwoiłam domofonem, ale nikt nie odpowiedział. Krążyłam trochę po okolicy i zamierzam znów spróbować, kiedy nagle ją widzę, jak nadchodzi ulicą pod osłoną parasola burberry.

Dlaczego ta sama wilgoć, która rozmyła moje kontury niczym na akwareli, nie naruszyła jej nieskazitelnego wizerunku, pozostaje tajemnicą fizyki i chemii. Ubrana w markowy, lekki, granatowy trencz, ma włosy zebrane w duży miękki kok; niezbyt wydatne wargi pomalowane są intensywnie czerwoną szminką. Jej oczy są jak zwykle ocienione, a długie, grube rzęsy osłaniają je za każdym razem, kiedy mruga powiekami. Wygląda jak modelka z reklamy perfum *Trésor Lancôme*'a.

Patrzy na mnie z zaciekawieniem i niewyraźnym lękiem.

– Cześć – odzywa się ciepłym głosem, który dobrze znam.

– Cześć, Bianco. Chciałabym z tobą porozmawiać. Znajdziesz dla mnie czas? – Wydaję się spokojna, ale czuję, że cała drzę.

Wyjmuje z torby klucze do mieszkania, trochę niepewna, co powinna zrobić.

– Zgoda. Zresztą, ja też jestem ci winna pewne wyjaśnienia. – Otchłań, która pojawia się w jej piwnych oczach przyciąga niczym magnes.

Wchodzimy w milczeniu po schodach i kiedy znajdujemy się już w salonie, proponuje mi coś do picia. Odmawiam.

– A więc proszę – zachęca mnie prawie z uśmiechem. – Co chcesz mi powiedzieć?

Nie odpowiadam natychmiast, patrzę na nią w milczeniu. Tak długo, że jest niemal przerażona tą ciszą.

Nie do końca wiem, w jaki sposób rozpocząć temat. Zdaję się na moje zdolności improwizacji i pozwalam sobie na piorunujący początek.

– Panadol – szepczę.

– Co? – odpowiada pytaniem.

Nie wiem, czy dlatego, że dobrze nie usłyszała, czy może dlatego, że usłyszała aż nadto dobrze.

– Panadol, Bianco. Ten, który podałaś Giulii.

Bianca blednie i przez chwilę nawet obawiam się, że zaraz zemdleje.

– Alice, naprawdę, nie rozumiem. Nie chcesz chyba sugerować, że jestem odpowiedzialna za śmierć mojej siostry? – odpowiada, wyraźnie skonsternowana, z niedowierzaniem i jakby nerwowym rozbawieniem.

– Niczego nie sugeruję. Jestem tego pewna.

Bianca bierze komórkę.

– Dzwonię na policję.

– Ale dlaczego? Lepiej nie. Przecież wszystko tak dobrze obmyślałaś... Prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. To nie w twoim stylu wywoływać sensację.

Bianca jest uosobieniem gniewu.

– Jesteś szalona, Alice.

– Szaleńcy często mówią prawdę. A moja prawda, Bianco, jest bardzo łatwa do wyjaśnienia. Wystarczy zrekonstruować dzień Giulii tamtego pamiętnego dwunastego lutego.

Bianca jest wyraźnie zniecierpliwiona i niezdecydowana, czy powinna mnie uciszyć, czy pozwolić mi mówić. Chwilowo jednak mi nie przerywa.

Więc kontynuuję.

– Zaraz po obiedzie Giulia spotyka się z Saveriem i zażywają wspólnie heroinę. Po czym Saverio wychodzi. Jest mniej więcej szósta po południu, kiedy przyjmuje u siebie Jacopa, z którym już od lat ma romans. Giulia nie wie tylko, że ty też masz na niego chrapkę. Prawdopodobnie od zawsze, odkąd byliście dziećmi. Dorastaliście razem, wszyscy troje; on był piękny i braterski, więc obydwie się w nim zakochałyście. On jednak wybrał Julię. A ty tego nie trawiłaś, nigdy nie mogłaś strawić. Tak samo jak nie mogłaś udźwignąć ciężaru opiekowania się nią, konieczności opuszczenia Nowego Jorku, by wrócić tutaj i się nią zająć. Nie mogłaś znieść, że ta dziewczynka, ze swoją trudną osobowością, mogłaby cię przyćmić.

Bianca patrzy na mnie w milczeniu, wstrząśnięta. Jej bladość jest niepokojąca.

– Wracając do Giulii i Jacopa. Spotykają się, kiedy to możliwe, w wolnych chwilach. On jest naprawdę zakochany w Giulii, ale nie potrafi wybrać między nią a Dorianą. Poza tym jest szczerze przywiązany do Doriany. Od lat są zaręczeni i uważa ją za najlepszą przyjaciółkę. Na dodatek Dorianą jest niesamowicie bogata, a posag ma dla Jacopa wielkie znaczenie. Nie potrafię sobie dobrze wyobrazić, w jaki sposób i dlaczego Dorianą przyłapała ich tamtego popołudnia niemal in flagranti, choć nie wykluczam, że to ty sama mogłaś ją naprowadzić. Ponieważ, Bianco, mówmy szczerze... O wszystkim wiedziałaś. A wiedziałaś, bo Giulia opowiedziała ci o swym romansie, a ty w głębi serca umierałaś z zazdrości.

To dziwne, ale Bianca wciąż słucha, nie przerywając, więc kontynuuję, a im bardziej daję wyraz moim myślom, tym bardziej wydają mi się jedyną możliwą prawdą.

– Dorianą prawdopodobnie żywiła wobec Giulii podejrzliwość i na pewno nie czuła sympatii do tej kuzyneczki trochę nazbyt obecnej w życiu jej narzeczonego. Podjudzona we właściwy sposób, Dorianą pojawia się w domu Giulii i obrzuca ją obelgami, jakie przez lata w sobie tłumiła. Giulia nie jest typem potulnym więc ją atakuje, a przy okazji drapie. Dorianą opuszcza mieszkanie, ale najgorsze jest to, że Jacopo idzie za nią, co głęboko Julię dotyka. Zostawia ją samą, odrzuca, by zająć się swoją narzeczoną. Dochodzi ósma, Giulia jest zrozpaczona. I kiedy wszystko jej się wali i nie wie, do kogo się zwrócić, robi to, co zwykle w takiej sytuacji.

Przerywam, bo chciałabym, żeby to ona dokończyła zdanie.

Ale Bianca wciąż wpatruje się we mnie w milczeniu.

– Dzwoni do jedynej osoby, która może jej pomóc, do swojej siostry. Giulia zadzwoniła do ciebie.

Bianca kaszle, jej oddech jest urywany. Źrenice są maksymalnie zwężone, adrenalina niemal ją rozpala.

– Mów dalej – prosi słabym głosem.

– Prosi, byś natychmiast do niej przyjechała, a ty, jak zawsze, odkąd się urodziła, nie odmawiasz jej pomocy. Dom, w którym wciąż czuje się obecność Jacopa. Giulia jest smutna i zagubiona, bardziej niż zwykle poruszona. Mówi ci o kłótni z Dorianą. Jest wstrząśnięta, ale jednocześnie prawie zadowolona. Teraz, kiedy zostali zdemaskowani, Jacopo będzie musiał podjąć decyzję. Prosi cię o coś na uspokojenie, bo nie jest już w stanie opanować żadnej emocji bez pomocy narkotyków albo leków. Mówisz, żeby była spokojna, czuwasz nad nią i zamiast podać jej środek uspokajający, podsuwasz jej panadol, lekarstwo, które zażywasz jeszcze od czasów nowojorskich. Giulia połyka je bezzwłocznie. Nigdy nie spodziewałaby się po tobie niczego złego. Pomyślałaś zapewne, że podobna okazja już się nie nadarzy i dlatego skorzystałaś z chwili, w dosłownym znaczeniu. Po jakim czasie umarła, Bianco? W ciągu dziesięciu, piętnastu minut? Umarła w jednej chwili? Patrzyłaś, jak umiera.

Biankę przeszywa ledwie dostrzegalny dreszcz. Mam wrażenie, że w końcu chciałaby mi przerwać, ale jestem bardziej zdecydowana, niżbym się tego sama po sobie spodziewała.

– Pozwól mi skończyć. Jest dziewiąta siedemnaście. Giulia już nie żyje, a ty zastanawiasz się, co zrobić. Postanawiasz zmylić śledztwo w sposób dość banalny, a najlepsze jest to, że długo ci się to udawało. Używasz telefonu Giulii, żeby zadzwonić do Jacopa, bo dobrze wiesz, że nie odbierze. W końcu opuszczasz mieszkanie z poczuciem wyzwolenia.

W ciągu kolejnych dni rozpoczynasz strategię osaczenia Jacopa. Wykorzystujesz jego cierpienie, żeby być coraz bliżej. Jesteś wyrozumiała i przyjacielska, a przede wszystkim przypominasz mu Giulie. On ulega, a dla ciebie jest to spełnienie marzenia. Jacopo jest zraniony, zagubiony i tylko ty możesz go pocieszyć. Opowiada ci o tamtym popołudniu, mówi o swoim poczuciu winy. Nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś dla niego tylko namiastką. Zaczynasz myśleć, że po pozbyciu się Giulii została tylko jedna przeszkoda. Doriana. Przypadek chce, że okazuje się przeszkodą łatwą do wyeliminowania. Wystarczy skierować na nią podejrzenia. Nie masz jednak pewności, czy materiał znaleziony pod paznokciami Giulii należy do Doriany, więc żeby wybrnąć z tej sytuacji, wykorzystujesz głupią i łatwowierną początkującą lekarkę, którą nabrałaś na piękne słówka.

Przypominając to, co czułam wobec Bianki, czerwienię się ze wstydu.

– Osiągasz cel i wplątujesz we wszystko narzeczoną Jacopa, przekonana, że to koniec całej historii. W rzeczywistości popełniasz bardzo poważny błąd. Nie doceniasz intensywności uczucia, jakie Jacopo żywi dla Doriany. Jest przerażony tym, co zrobiłaś. Ja oczywiście też za to zapłaciłam, ponieważ złożono na mnie doniesienie do Izby Lekarskiej, które, uczciwie mówiąc, uważam za zasłużone. Prawdopodobnie Jacopo czuje się też nieswojo z powodu twoich nacisków. Czują kuzynka, z którą dzielił ból wywołany utratą Giulii, zmieniła się w natrętną, a przede wszystkim niechętnie widzianą kochankę. A powód jest oczywisty – nie jesteś nią, Bianco. Nie jesteś Giulią.

Bianca podrywa się z krzesła, ale nie otwiera ust.

– Jacopo nie zastanawia się długo i uwalnia się od ciebie. Właśnie wtedy, kiedy przyparta do muru Doriana gotowa jest się usunąć, nie szkodząc Jacopowi. Kobiety naprawdę potrafią być głupie. Lub raczej niektóre kobiety. Ale nie ty. Ty reagujesz na swój sposób, zemstą, i dlatego poszłaś wczoraj do Calligarisa, by donieść na Jacopa. Poza tym robisz to, by ocalić

kogoś, kogo naprawdę kochasz, być może jedyną osobę, na której naprawdę ci zależy: siebie samą.

Cisza, jaka zaległa w pokoju, stała się ogłuszająca. Nie mogę uwierzyć, że mówiłam tak jasno i odważnie. Mam wewnętrzną siłę, której istnienia nawet nie podejrzewałam.

Bianca wstaje, chwieje się na nogach. Z opuszczonymi oczami podchodzi do drzwi. Otwiera je i patrzy na mnie twardym wzrokiem.

– Wyjdź z mojego domu. Wysłuchałam cię, tyle byłam ci winna. Mam tylko nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiała cię oglądać.

Podnoszę z podłogi torbę i podchodzę do drzwi.

– Żegnaj, Bianco.

Każdy mięsień mojego ciała jest napięty i czuję zawroty głowy. Sądzę, że dzisiejszego ranka stałam się kimś innym. A to dlatego, że zmierzyłam się z samą sobą, i z powodu ryzyka, jakie podjęłam.

Ryzyko jest częścią życia. Żeby dotrzeć do sedna, trzeba mieć odwagę i stawić mu czoło.

Wyjeżdżam.

Nie mam pewności, czy robię dobrze, czy źle, ale wyjeżdżam.

Porzucając swoją drogę i skacząc w pustkę, pozostawiam za sobą rozsądek i wsiadam na pokład samolotu, który zabiera mnie daleko od domu.

Jeden Bóg wie, co zastanę po powrocie.

Lotnisko w Kairze to kłębowski najbardziej zdesperowanej części ludzkości. Rozglądam się dokoła i czuję się zagubiona. Dochodzę do wniosku, że nie jestem stworzona do przygody.

Po wyjściu z lotniska upał odurza mnie niczym nagła gorączka. Pomysł, żeby udać się do ambasady i przejść zwyczajową procedurę, wydaje mi się teraz głupi i nieprzemyślany. Igor zapewniał, że to legalne, Silvia też powiedziała, bym była spokojna. Jeśli się nie powiedzie, zostaną na wakacjach w Kairze. Z Cordelią. Dla dobra moich nerwów – które trzymają się zadziwiająco dobrze – próbuję nie myśleć o konsekwencjach tego wszystkiego, co zrobiłam. Czy nie okaże się to o wiele bardziej pochopte, niż sądziłam? Po przybyciu do ambasady w Kairze uprzedzam Cordelię.

– Pozwól, że ja będę mówiła – oznajmiam stanowczo.

– Dlaczego? – pyta z obrażoną miną.

Dlatego, że jesteś w stanie wpakować nas w poważne tarapaty, Cordelio.

– Dlatego, że czasem dajesz się ponieść i powodujesz niezręczną sytuację.

– Nie zgrywaj mądrali, Alice. Poza tym ich to zupełnie nic nie obchodzi. Chcą, byśmy zapłaciły, i tyle. Pieniądze mamy, prawda? – Potwierdzam. – Więc nie będzie żadnego problemu.

Rzeczywiście, tym razem Cordelia się nie myli. Płacimy i następnego dnia dostajemy wizy. Po dwóch nocach spędzonych na walce z komarami i niepokojem. W sobotnie popołudnie znów jesteśmy na lotnisku i tym razem nie ma już nic, co oddzielałoby mnie od celu.

Za każdym razem, kiedy podróżowałam samolotem, widziałam morze. Ogromne połacie błękitu i lazuru. Tym razem miejsce morza zajęła pustynia; pod nami piach, o intensywnej barwie jasnej ochry, i nic poza piachem.

– Pierwszy raz jesteś w Afryce? – pyta Cordelia, odrywając mnie od urzekającego widoku za oknem.

– Raz, podczas rejsu z rodzicami spędziliśmy jedno popołudnie w Tunisie. Myślisz, że to się liczy?

Cordelia marszczy nosek.

– Raczej nie.

– A ty?

– Och, tak. Byłam przez miesiąc w Algierze, kiedy grałam w jednym filmie. Potem moja rola została wycięta, ale to było piękne doświadczenie. A kiedy byłam młodsza, wiele razy jeździłam do Arthura i Kate.

– Kim jest Kate?

– To matka Arthura. Druga żona ojca.

– Dlaczego jeździłaś do Johannesburga? – pytam z ciekawością.

– Od dziecka Arthur i ja często się spotykaliśmy, co w naszej rodzinie należy do rzadkości.

Moje starsze rodzeństwo – dzieci pierwszej żony – ledwie znam. Pozostali Malcomessowie, szczerze mówiąc, są trochę skurwielami. Arthur i ja jesteśmy obydwój na swój sposób jedykami, no i jesteśmy młodszy. Różnica wieku między nami nie jest zbyt duża, a ponieważ zawsze bardzo się kochaliśmy, nasi rodzice sprzyjali tej bliskości, by dać nam poczucie rodzinnej więzi, choć w rzeczywistości pojęcie to wcale do Malcomessów nie pasuje. Poza tym, co może wyda ci się dziwne, moja matka i Kate zawsze żyły w zgodzie. Arthur spędzał letnie wakacje w naszej willi w Arezzo, więc ja też często jeździłam do nich do Johannesburga. Pewnego roku spędziłyśmy tam nawet z matką Boże Narodzenie. Było bardzo dziwnie, bo tam panowało lato.

– Jaka jest Kate?

– Zajęta swoim życiem. Zawsze taka była. To ona opuściła mojego ojca, on był w niej szalenie zakochany. Zresztą Kate to wspaniała kobieta. Teraz przytyła parę kilo, ale wciąż jest piękna. Arthur jest do niej ładnie podobny. To Kate w męskim wydaniu. Była stewardesą, więc dużo czasu spędzała z dala od domu. Myślę, że to ona zaszczepiła w nim tę manię podróżowania. Kilka lat temu przeniosła się na Florydę z drugim mężem i wydaje się, że zapuściła tam korzenie. Ale ja w to nie wierzę. Oni to mają we krwi, są jak cyganie.

– Arthur cierpiał z powodu tej sytuacji?

– Kto to może wiedzieć? On się nie zwierza, to nie w jego stylu. Jeśli cierpiał, to nie dawał tego po sobie poznać. Myślę, że ta swoboda była mu na rękę; więzy nazbyt go uciskają.

Kiedy samolot leci nad Chartumem, czuję, że serce podskakuje mi w piersi.

– Arthur mówi zawsze, że pierwszy raz, kiedy stawia się stopę w Afryce, to moment święty, którego nigdy się nie zapomina – wyjaśnia Cordelia.

– W twoim przypadku tak było?

– Nie. Nie lubię Afryki. On ją uwielbia, zresztą to jego dom, nie jest obiektywny.

Zaraz po wyjściu z lotniska, po niekończącej się kontroli celnej, niemal się rozpuszczam z powodu strasznego gorąca, jeszcze dotkliwszego niż w Egipcie. Nawet lniana bluzka, którą mam na sobie, to za dużo. Słońce jest porażające, wątpię, czy kiedykolwiek widziałam je tak wyraźnie na nieprawdopodobnie intensywnym błękitnie nieba. Powietrze ma posmak piasku, a ja czuję się jakby pośród niczego. Cordelia też jest zagubiona, rozgląda się dokoła, wypatrując przez wielkie okulary przeciwsłoneczne Riccarda, jedynej osoby, która wie o naszym przyjeździe. Długo zastanawialiśmy się nad celowością uprzedzenia Arthura. W końcu, przekonane, że nigdy by się nie zgodził na nasz przyjazd, postanowiłyśmy zrobić mu niespodziankę, choć nazywanie tego niespodzianką jest co najmniej ryzykowne, biorąc pod uwagę sytuację. Prawda jest taka, że nie chciałam, by mnie zniechęcił. Chciałam działać po swojemu, nawet jeśli miałabym popełnić błąd. Dzisiaj się dowiem, czy był to błąd, a jeśli tak, jak bardzo poważny, ale niezależnie od tego, mały czy duży, jest to błąd, który całą duszą chcę popełnić.

Po dwudziestu minutach niekończącego się oczekiwania pojawia się Riccardo siedzący za kierownicą bardzo starego dzipa.

– Mam nadzieję, że masz klimatyzację – odzywa się Cordelia, nawet się z nim nie witając.

Biedny Riccardo dwoi się i troi, żeby poupychać bagaże, a jednocześnie odpowiada, że nie, samochód nie jest w nią wyposażony. Cordelia prychnęła i bez wahania zajmuje miejsce na

przednim siedzeniu.

– Miałyście dobrą podróż? – pyta Riccardo grzecznie. Jest tak opalony, że wygląda jak czekoladka.

– Tak, dziękuję. Całą drogę gadałyśmy.

– Jedziemy od razu do szpitala, jestem ciekaw, jaką zrobi minę – mówi Riccardo, przejeżdżając przez wąskie, kręte uliczki, w których kilkakrotnie utykamy. Drogi zatłoczone są wszystkimi możliwymi środkami lokomocji, od rikszy po toyotę corollę.

– Rozpływam się. Ile jest stopni? – pyta Cordelia, wachlując się dłonią i wywołując w ten sposób minimalny ruch upalnego powietrza.

– Czteryście? – mówię, ledwie dysząc.

– Żadnego szpitala! Zawieź nas najpierw do Acropole, muszę wziąć prysznic.

Mam ochotę ją udusić, ale na nic by się to zdało. Riccardo i tak zawiózłby ją do hotelu, nieważne, jak bardzo bym się opierała.

– Alice, chcesz, żebym ją zostawił w Acropole, a ciebie zawiózł od razu do szpitala?

– To po drodze?

– Nie całkiem, ale zrobię to, nie przejmuj się.

Cordelia parska.

– Ale jesteście męczący. OK, Riccardo, wieź nas prosto do szpitala. Jeśli nie przeszkadza ci, że pokażesz się w takim stanie... – dodaje, zwracając się do mnie.

Nie jest to pozbawione racji, ale nie mogę wytrzymać. Poza tym przejrzałam się w samolotowej toalecie i nie wyglądam znów tak okropnie. Umyłam też zęby i spryskałam nadgarstki tonikiem.

To nie mój wygląd może być przeszkodą podczas spotkania.

Przejeżdżamy przez Chartum i w końcu docieramy do szpitala, gmachu wyglądającego na niedawno zbudowany; oddziały są wyraźnie przepełnione, ale inne, niż sobie wyobrażałam, dość czyste i nieźle wyposażone. Riccardo pokazuje nam drogę, a ja właściwie sama nie wiem, jak się czuję. Kiedy docieramy na miejsce, doktor Fragassi wychodzi naprzeciw z entuzjazmem, przekonany zapewne, że niespodzianka bardzo się Arthurowi przyda.

Widać, że go dobrze nie zna.

– Zaskakujmy go stopniowo, będzie zabawniej – szepce Cordelia, związując długie jasne włosy w niedbały koński ogon. Jest trochę spocona i ma rozmazany tusz. – Wchodzę pierwsza.

Uśmiecham się pobłaźliwie. Mam chwilę, żeby przejrzeć się szybko w lusterku, które zawsze przy sobie noszę w ogromnej, beżowej torbie marki Longchamp, doskonałej na tę okazję, bo bardzo w stylu kolonialnym. Mój wodoodporny tusz wytrzymał atak upału; wycieram chusteczką czoło i pociągam usta błyszczkiem. Podchodzę do drzwi i słyszę już jego głos. Robi Cordelii wyrzuty.

– Oszalałaś? – mówi, ale nie wydaje się zagniewany. – Przyjechać aż tutaj...

– To straszne miejsce, masz rację, ale dla mojego braciuszka zrobiłabym wszystko – odpowiada słodko Cordelia.

Dochodzi mnie jego śmiech. Boże, jak bardzo mi go brakowało. To tak jakby usłyszeć znajomą muzykę.

– Nie jest straszne – poprawia ją ze spokojem.

– Jeśli to ńędzne i niechlujne miasto nie jest straszne, nie wiem, jakie inne miejsce na świecie takie jest. W każdym razie, Arthurze, to nie koniec niespodzianek – dodaje, podnosząc głos i mrugając porozumiewawczo do Riccarda.

Ta niespodzianka wydaje mi się w tej chwili po prostu śmieszna. Między nami wszystko jest w zawieszeniu.

Nie mogę nawet powiedzieć, że go naprawdę znam. Przecież nic nie wiedziałam o Kate. O jego wakacjach w Arezzo. Nie wiem prawie nic o jego przeszłości. Nie znam jego ulubionego koloru. Jego ulubionego filmu. To banalne sprawy, ale życie składa się też z takich małych wielkich banałów.

Co ja tutaj robię? Wdzieram się w jego przestrzeń nieproszona. To więcej niż ryzyko.

Ale nie mogę już uciec; mogę tylko zmierzyć się z jego oczami, które spojrzą na mnie najpierw ze zdziwieniem, a potem może ze współczuciem.

Sala zapełniona jest łózkami i noszami. W powietrzu unosi się dość silny odór; ludzkie ciała przecież się pocą.

Arthur stoi, ma na sobie granatowy T-shirt włożony na lewą stronę, schudł kilka kilo, a jego cera jest ziemista pod spłowiałą opalenizną. Wciąż się uśmiecha, kiedy rozmawia z Riccardem i Cordelią, wydaje się pogodny, ale serce mi się ściska. Jest cieniem samego siebie. Kiedy podnosi wzrok, podążając za zaciekawionym spojrzeniem Cordelii, i dostrzega mnie, widzę w jego oczach bezgraniczne zdumienie.

Nasze spojrzenia krzyżują się wśród tych wyblakłych ścian.

Siła odczuwanej emocji roztrząskuje mnie na kawałki.

– *You?* – szepce, przechylając lekko głowę.

Spuszczam wzrok, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia.

– Ja... nie chciałam... – Sama nie wiem, co powiedzieć.

Pozornie niepomny niczego, Arthur wychodzi mi naprzeciw.

Przystaje na chwilę, przyglądając mi się uważnie. Wyciągam do niego niezdarnie rękę i podchodzę kilka kroków, aż stajemy naprzeciw siebie. Muska palcami moją dłoń z nieśmiałością, o jaką go nie podejrzewałam. W końcu się uśmiecha – swoim najpiękniejszym uśmiechem, otwartym i ufnym – i bierze mnie w ramiona. Jakbyśmy byli sami, zupełnie nie zwraca uwagi na otoczenie.

Pachnie mydłem najgorszej jakości, ale dla mnie to wspaniały zapach. Jego nieogolona broda leciutko drapie moją gołą szyję. Mimo skrępowania przytulenie go to doznanie absolutnej błogości.

Pozostali chorzy przyglądają się nam tymczasem, jakbyśmy byli bohaterami jakiejś opery mydlanej.

– Gołąbeczki. Nie wiem jak wy, ale ja się duszę! Arthurze, zapytamy tego lekarza, czy możesz wyjść? – wtrąca się Cordelia.

On się natychmiast ode mnie odrywa, niemal jakby się oparzył.

– Oczywiście, że mogę. Nie muszę prosić o pozwolenie.

– Znakomicie. Więc uciekajmy stąd – odpowiada pospiesznie Cordelia, ujmując go pod ramię. Ale on – zauważam to – nie może oderwać ode mnie oczu. I jest to cudowne uczucie.

– Masz koszulkę na lewą stronę – zauważa Cordelia.

– Nie spodziewałem się odwiedzin – odpowiada ze śmiechem, spoglądając na szwy T-

shirta. Ja tymczasem z emocji nie jestem w stanie wydusić choćby słowa, kładę więc tylko rękę na jego ramieniu i wymownie spoglądam. On muska moją dłoń – jego ręka jest obandażowana tam, gdzie – jak przypuszczam – wkłuwano mu liczne kroplówki.

Ruszamy w stronę czegoś w rodzaju poczekalni, owionięci jakąś nierealną atmosferą.

– To był twój pomysł, prawda? – Arthur zwraca się do siostry, głaszcząc ją po głowie.

– Tak, ale znalazłam natychmiast silne wsparcie. Alice nie wahała się nawet chwili, by mi towarzyszyć. Prawda, Alice?

On odwraca się, by na mnie spojrzeć, a ja gubię się w jego oczach.

– T-tak – bełkoczę.

– Na moją obronę mogę ci powiedzieć, że do ostatniej chwili próbowałem je od tego odwieść – włącza się Riccardo.

Cordelia prychnęła.

– Twoja opinia zupełnie nas nie interesuje – odpowiada zgryźliwie. Nigdy nie zrozumie, dlaczego tak go traktuje.

Uśmiecham się solidarnie do Riccarda, który nieco zawstydzony spuszcza wzrok. Arthur daje siostrze prztyczka.

– Wstręciucha.

Ona uśmiecha się sztucznie, przepraszając swoją ofiarę.

– Pójdę po coś do picia – proponuje Riccardo z godnością, nic jej nie odpowiadając.

– Ja poproszę colę zero – rzuca zamówienie księżniczka.

– Wątpię, czy jest – zastrzega Riccardo.

Tymczasem ja i Arthur nie przestajemy się szukać wzrokiem i patrzeć sobie w oczy. Tęsknota, jaką czuję, jest niewypowiedzianie piękna.

– Arthurze, z tobą jest naprawdę źle. Kiedy cię wypuszczą z tego okropnego miejsca? – rzuca niepokonaną Cordelia.

– Wkrótce – odpowiada wymijająco. – A wy jak długo się zatrzymacie? – pyta, gładząc się po czole. Blizna przecinająca brew wydaje się bardziej wyraźna, niż zapamiętałam.

– Przez cały przyszły tydzień. A ty oczywiście wrócisz z nami do domu.

Arthur ciemnieje na twarzy. Może i mało go znam, ale pewne szczegóły mi nie umykają.

– Cordelio, może dla Arthura jest za wcześnie – wtrącam.

– Kiedy wyzdrowieję – oświadcza Arthur z poważną miną – wrócę do pracy z Riccardem. Nie wrócę do Rzymu, dopóki nie skończymy – stwierdza stanowczo. Przez chwilę jego zachowanie w niewytłumaczalny sposób mnie rani. Ale przecież to naturalne. Czego się spodziewałam, że spakuje bagaże i natychmiast wróci ze mną do domu? Być może dostrzegłszy moje ponure milczenie, gładzi mnie po policzku – ma lodowate dłonie, co mnie martwi, bo na zewnątrz jest co najmniej czterdzieści trzy stopnie Celsjusza.

– Nie przyjechałem tutaj tylko po to, żeby złapać malarię.

Riccardo wraca, wymachując pepsa light, którą Cordelia łaskawie przyjmuje, jednak nie bez pewnego grymasu pogardy. Dla Arthura ma wodę, a dla mnie coś w rodzaju gatorade. Wszyscy czworo siedzimy na rozpadających się krzeselkach w sali o zielonych ścianach, na których farba tu i ówdzie popękała od wilgoci, pośród kłębiącego się tłumu i ostrego odoru ludzkiego potu pomieszanego z rozcieńczonym środkiem dezynfekcyjnym. Cordelia ze swoją snobistyczną miną wygląda, jakby znalazła się tu przez przypadek, Arthur robi wrażenie

opuszczonego rozbitka, Riccardo wydaje się lwem w klatce, a ja jestem całkowicie zdezorientowana.

A kiedy moje oczy zerkają ukradkiem na rachityczne dzieci i mnóstwo osób z amputowanymi kończynami, wszystkie sprawy, do których przywiązuję zasadniczą wagę, wydają mi się błahe i odległe.

Konkurencja w pracy. Wszystkie moje jakże kosztowne zachcianki.

Wszystko dalekie, precz, a sio. Czuję, jakbym miała dług wobec życia.

Siedząc w dziupie Riccarda, otulona płaszczem upału, czuję, jak krople potu spływają mi po czole, ziarenka piachu wpadają do suchych, zapuchniętych i zmęczonych oczu. A jednak jestem pewna, że nieważne, jak bardzo dziwnie się tutaj czuję, Chartum na pewno jest w tym momencie jedynym miejscem na świecie, w którym chcę być.

Acropole to spartański hotel. Cordelia, rozejrzawszy się dokoła, patrzy na mnie z wyrzutem. Pusty pokój Arthura jest niezbyt oddalony od naszego. Tymczasem troszczy się o nas Riccardo.

– Pierwsza idę pod prysznic. – Cordelia chwyta kosmetyczkę i zamyka się w łazience. Włączam klimatyzację i rozciągam się na łóżku. Wyjmuję z torby jakieś czasopismo.

Nagle słyszę pisk dochodzący z łazienki. Wyobrażając sobie scenerię rodem z *Psychozy*, wchodzę z lękiem do łazienki i zastaję Cordelię przyklejoną do ściany, bezbroną w obliczu gigantycznej stonogi – czy co to tam jest – która chodzi sobie spokojnie po brodziku.

– Zabij to, proszę, co za ohydztwo! – błaga przerażona.

– Wychodź szybko. Zadzwoń na recepcję.

Raptem Cordelia wybuchą śmiechem, a ja niespodziewanie idę w jej ślady. Śmiejemy się, jakbyśmy były pijane, kiedy próbuje wytłumaczyć przez telefon, co się stało. Zdarza się, mówią, to nie jest wina braku higieny. Cordelia dla pewności bierze prysznic w japonkach.

Potem, w łóżku, ja czytam, a ona ogląda Al Jazeera.

– Rozumiesz coś? – pytam.

– Oczywiście, że nie. Ale czego się tu spodziewałaś? Filmu z Jamesem McAvoyem? – odpowiada z westchnieniem.

Po niespełna dziesięciu minutach śpi już głęboko, a wtedy moja komórka zaczyna wibrować. Przez chwilę marzę, że to Arthur, ale to moja matka, która zasypuje mnie pytaniami o klimat i partyzantów.

Dwadzieścia minut i dziesięć stron „Vanity Fair” – znów wibruje.

– *Elis*. – To głos Arthura. Nie może mnie zobaczyć, ale uśmiecham się błogo. – Wszystko w porządku w hotelu?

– Pomijając gigantyczne stonogi... tak, wszystko w porządku. – Opowiadam mu szybko naszą przygodę. On ją bagatelizuje.

– Nie dziw się, może się też zdarzyć w Grand Villa. A w ośrodkach na Malediwach są też karaluchy.

– Jak się czujesz? – pytam.

– W porządku – odpowiada.

– OK.

– OK.

– Jutro cię odwiedzę, dobrze?

– Znakomicie. To dobranoc.

– Dobranoc, Arthurze.

– Alice – odzywa się nagle po krótkiej pauzie, wypełnionej niepewnością – cieszę się, że tu jesteś.

Nie odpowiadam od razu.

– A ja się cieszę, że tu jestem.

– Dziękuję... za wszystko.

– Nie ma za co.

Wracam do lektury dużo bardziej zadowolona. Dobry humor trwa jednak krótko.

Kilka chwil przed zaśnięciem dostaję SMS od Silvii.

Jacopo De Andreis i Dorigana Fortis zostali zatrzymani w sprawie zabójstwa Giulii Valenti.

A co z alibi? Dorigana była kryta od dziewiątej. Najwyraźniej Jacopo nie.

Co za okropna niesprawiedliwość!

Spędzam strasznie niespokojną noc.

Nazajutrz zaspany Riccardo, który przez całą noc pisał, zawozi mnie do szpitala. Kiedy próbowałam obudzić Cordelię, ona, jak przystało na arystokratkę, odparła znużonym głosem, że nie zamierza ruszyć się z pokoju przed południem.

Droga wydaje mi się bardzo długa, ale Riccardo jest towarzyski.

– No więc jak posuwają się wasze badania?

Riccardo odchrząkuje.

– Raczej dobrze. Nie wiem jednak, na ile materiał, który zebraliśmy, nadaje się do publikacji. Arthur nalega, żeby jak najbardziej drążyć, ale... nie zna jeszcze dobrze tego zawodu. Jest idealistą, nie rozumie, że wiadomości trzeba filtrować. Chciałby odmalować rzeczywistość ze wszystkimi odcieniami, bez upiększeń, nie zważając na to, że możemy nadepnąć na odcisk komuś, kto mógłby nam kazać słono za to zapłacić. Jesteśmy tylko dziennikarzami, sprzedajemy słowa temu, kto gotów jest dać najwyższą cenę, ale Arthur nie chce tego zrozumieć. Myśli, że naprawdę może coś zmienić. To nie jego wina, to kwestia naiwności. Braku doświadczenia. Ty i Cordelia jesteście bardzo miłe, że przyjechałyście aż tutaj – dodaje po chwili, ostrożnie zmieniając temat.

– Wydaje mi się to minimum. Gdybym zachorowała z dala od domu... chciałabym mieć kogoś, na kim mogłabym się oprzeć. Nie chodzi oczywiście o to, że ty nie wystarczasz – bąkam – ale masz swoje zajęcia...

– Tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć. Nie okazuje tego, ale on też jest zadowolony. Naprawdę.

Odprowadza mnie aż do pokoju Arthura i zostawia nas samych pod pretekstem, że musi pokrażyć po mieście i zrobić trochę zdjęć.

Siadam na skraju łóżka, w którym Arthur leży. Wygląda dość mizernie, ale w jego zmęczonym spojrzeniu jest jakiś nowy błysk pełen nadziei.

– *Elis*, czy według ciebie... mógłbym zapalić papierosa? – pyta cicho.

– Raczej nie.

– Dlaczego? – nalega. – Nie mam nic w płucach. Tylko krew jest chora. No i jeszcze nerki, OK. Ale nie rozumiem, dlaczego papieros miałby mi zaszkodzić. Przeciwnie. W tym stanie może mi tylko pomóc.

– Co ci powiedział Fragassi?

– Nie pytałem go. Jeszcze dostałby ataku. Jest strasznie bojaźliwy. Ale jaja, Alice. Zostawmy papierosa – mówi, najpierw siadając, a potem wstając. Chwieje się, ale

uporczywie odmawia wsparcia się na moim ramieniu.

Idziemy jak dwoje nieznanym korytarzem; kroczę za nim bez słowa.

– Jak tam w pracy? Lepiej?

– Tak... jestem dużo spokojniejsza. Ale nie chcę już o tym rozmawiać. Niedobrze mi się od tego robi. W tym tygodniu mam wakacje. – Tym bardziej nie zamierzam mówić mu o Bianca, Jacopie i Giulii, o czym najwyraźniej nic nie wie, biorąc pod uwagę, że nigdy nie przeczytał mojej wiadomości. Mam tego dość.

– Nazywasz wakacjami siedzenie przy chorym?

– Tak, jeśli chorym jesteś ty.

Arthur patrzy na mnie swoimi straszliwie podkrążonymi niebieskimi oczami.

– Nie powinnaś spędzać tu zbyt wiele czasu, to niezdrowe miejsce. Powiem Riccardowi, żeby zabrał cię do miasta. Chartum jest piękniejszy, niż się sądzi.

Bo piękno jest w twoich oczach, taka jest prawda.

– Arthurze, gdybym chciała pojechać na wakacje na równik, wybrałabym raczej Karaiby. Nie ruszam się stąd.

– Czy stosujesz profilaktykę przeciwmalaryczną? – pyta, zmieniając temat.

– Oczywiście. Choć jest strasznie uciążliwa. Mam spuchnięte kostki.

– Zawsze to lepiej, niż skończyć w tym syfie. Uważaj. W aptece sprzedają spray odstraszający komary. Nie jest bardzo skuteczny, ale lepsze to niż nic. Powiem Riccardowi, żeby kupił zapas wystarczający na tydzień. Dla ciebie i oczywiście dla tej zarazy, Cordelii. Alice, zauważyłaś, że ona jest całkowicie rozkojarzona?

– Dopiero teraz to odkryłeś?

– Nie, ale to się pogarsza z dnia na dzień. Nie powiniśmy jej w tym wspierać.

– To minie – mówię, żeby go uspokoić, ale wcale nie jestem o tym przekonana.

Kiedy jesteśmy już poza oddziałem, domaga się papierosa, którego mu w przyływie świadomości zawodowej odmawiam. Specjalnie się nie skarży.

– Nie chodź nigdzie sama i zabroń też Cordelii. To nie jest bezpieczne miejsce. Wychodź tylko z Riccardem i powiedz, żeby cię zabrał do Al-Mogran. To miejsce, gdzie Nil Biały łączy się z Nilem Błękitnym. Coś fantastycznego.

– OK.

– Nie rób zdjęć, to zabronione. Trzeba kupić prawa.

– Zwariowali?

– Takie są zasady. Ale nie pozwól się zabrać na kolację do Gran Villa. Sam cię tam zabiorę, jak tylko stanę na nogi. – Arthur spogląda przez zamknięte okno o szybach pochłapanych błotem. – Widzisz tę ziemię, taką czerwoną? Typowa dla obszarów równikowych – wyjaśnia, wskazując na skały. – Kiedy byłem mały, miałem kolekcję próbek ziemi z miejsc, które odwiedzałem. W szklanych butelkach po sokach owocowych. Moja matka przywoziła mi ich bardzo dużo. Ciekawe, gdzie są teraz. – To smutne widzieć go tak wymizerowanym i słabym. – Chciałbym zabrać cię do Afryki Południowej. Jeśli mam gdzieś korzenie, to tam. – Arthur odwraca wzrok i patrzy mi w oczy. Uśmiecha się słabo.

– Jak mogliśmy tak wszystko zepsuć? – pytam, patrząc w próżnię.

Arthur sztywnieje. Wkłada ręce do kieszeni granatowych bawełnianych spodni od piżamy i przenosi wzrok ze mnie na sanitariusza, który popycha wózek z tacami z obiadem. Roznosi

się zapach bulionu i gotowanego mięsa. Jest strasznie nieprzyjemny.

– Nie wiem – mruczy po prostu ochryłym głosem. Sanitariusz mówi coś do Arthura po arabsku, po czym wchodzi na oddział.

– Co powiedział?

Arthur wzdycha głęboko.

– Że jestem idiotą.

– Poważnie?

Teraz uśmiecha się rozczulony.

– Nie, głuptasku. Ale ja tak myślę – kończy, ujmując mnie za rękę i zabierając ze sobą do pokoju.

Poprosiłam Riccarda, żeby pozwolił mi skorzystać ze swojego notebooka do połączenia się z Internetem. Jest wieczór, nie ma nic do roboty, więc kiedy on i Cordelia piją na tarasie drinka z dwójką Anglików, których Riccardo poznał podczas pobytu w hotelu, ja surfuję po stronach gazet, żeby znaleźć więcej szczegółów na temat sprawy Valenti. W ten sposób dowiaduję się, że Jacopo De Andreis wieczór w dniu śmierci Giulii spędził w domu z matką i że to stanowi jego kruche alibi, które sprawdzają teraz śledczy. Alibi Doriany zostało potwierdzone, ale musi odpowiedzieć na serię zarzutów, które jej przedstawiono. Jacopo i Doriana wzajemnie się bronią, trzymając wspólny front. Żywię poważną obawę, że prawda nie wyjdzie na jaw i że będą musieli zapłacić za coś, za co nie ponoszą odpowiedzialności.

Sprawdzam też moją skrzynkę pocztową, w której znajduję dwie bardzo ciekawe wiadomości.

Pierwsza:

Co się mówi na zboczach Kilimandżaro? Jak się czuje włóczęga?

Nadszedł oficjalny komunikat Izby Lekarskiej. Jesteś oczyszczona, jak przewidywałyśmy, ale żeby mi to było ostatni raz. Fakt, że Jacopo De Andreis zajęty jest zupełnie innymi kłopotami, ocalił ci tyłek. Przesłuchali też oczywiście Biankę Valenti, która wycofała wszelkie oskarżenia, mówiąc, że ona i Jacopo źle się zrozumieli. Cóż! Co za ludzie!

Odezwij się.

Silvia

Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Spacerowałam po skraju przepaści i nie spadłam. Nie zrobię tego drugi raz, nie martw się.

Jeśli chodzi o Arthura, żadnych nowości poza tym, że wydaje się szczęśliwy z powodu mojej obecności. Szczerze mówiąc, ja też jestem bardzo szczęśliwa.

Au revoir

A.

Druga:

Jestem w Nowym Jorku, z dala od zbyt bolesnej sprawy, której nie mogę dłużej znieść.

Jeśli chodzi o tę historię, którą mi opowiedziałaś...

Nie doceniasz przypadku, Alice. Naprawdę go nie doceniasz. Pewne rzeczy zdarzają się z czystego przypadku. A jednak oskarżyłaś mnie, że miałam szczęście.

Może ja też tak sądziłam. Ale spójrz na mnie teraz: czy naprawdę uważasz mnie za szczęściarę?

Postanawiam nie odpowiadać, a jej mail budzi we mnie odrazę.

Nazajutrz dzielę się moją prawdą z Arthurem. Straszliwie mi brakowało konfrontacji z jego sposobem widzenia rzeczywistości, pilnie jej potrzebuję.

– Więc nie ma żadnego dowodu? – pyta, kiedy spacerujemy po korytarzu oddziału.

Aż drzę z niecierpliwości, żeby zobaczyć go poza tym okropnym miejscem.

Potrząsam głową.

– To są tylko moje przeczucia i na swój sposób, nie wiem, na ile świadomie czy nieświadomie, Bianca je potwierdziła.

Arthur nie wydaje się poruszony opowieścią. Zdarza mi się czasem, że czuję się jakaś anormalna, i nie zawsze jest to przyjemne. Nie odczuwam tego jednak nigdy w towarzystwie Arthura, który ma tę wspaniałą cechę, że uważa odmienność za wielką zaletę.

– Myślę, że w każdym razie powinnaś o tym porozmawiać z Calligarisem. Zdążył cię już poznać i zobaczysz, że nie zamknie ci drzwi przed nosem. Musisz to zrobić. Możliwe, że Bianca nigdy nie zapłaci za śmierć siostry, ale ty nie powinnaś mieć sobie nic do zarzucenia.

– Masz rację. To także sposób, by nadać sens temu wszystkiemu, co zrobiłam.

– A to niemało – dodaje, muskając czubek mojego nosa. – Na swój sposób jesteś małą bohaterką.

Uśmiecham się i chyba rumienię. Nie wiem. Czuję potrzebę, by go przytulić, i nie odmawiam tego sobie.

On odpowiada na uścisk i jest to chwila, która warta jest całego szaleństwa tej nierozważnej podróży.

*Postanowiłam zagubić się
w świecie. Nawet jeśli się
pogrążę, pozwolę, żeby
sprawy niosły mnie swoim
biegiem. Nieważne gdzie.
Nieważne gdzie.*

Dziwny tydzień mija na wizytach w szpitalu i krótkich wizytach w mieście.

Arthur i ja nie poruszaliśmy już więcej drażliwych tematów dotyczących przeszłości, a tym bardziej przyszłości. Ograniczyliśmy się do pogodnego przeżywania tej dziwacznej terażniejszości, złożonej ze spojrzeń i delikatnych uśmiechów, w tym miejscu, gdzie wszystko zdaje się nieruchome, w tej dusznej i parnej atmosferze, która wyczerpuje moje siły, ale w której wcale nie czuję się nieswojo i do której, czemu nie, mogłabym powrócić.

Od wyjazdu dzieli mnie jeden dzień.

Na oddziale zastaję Arthura w stanie skrajnego zniecierpliwienia.

– Mam tego dość.

– Nie możesz jeszcze wyjść. Jesteś rekonwalescentem – protestuję, ale w głębi duszy tak naprawdę chciałabym przeżyć z nim choć kilka godzin poza murami szpitala.

– Czuję się świetnie – odpowiada zdecydowanym tonem. – Dzisiaj wychodzę. Wezwij taksówkę, *please*.

– Uprzedzić Riccarda?

– O tej porze jest zapewne w pracy – odpowiada, sprawdzając godzinę na swoim *seawellerze*.

– Wolę do niego zadzwonić.

Podpisuje zgodę na zwolnienie, mimo że lekarze, a przede wszystkim Fragassi, są przeciwni. Wrzuca do torby swoje rzeczy, związuje włosy w coś na kształt małego ogonka, żegna się po arabsku z towarzyszami z pokoju i przestępuje próg, jakby wychodził z więzienia.

Riccardo i Cordelia czekają już na nas na zewnątrz. Arthur siada z przodu i opuszcza szybę. Pierwsza rzecz, o którą prosi, to papieros.

– Pani doktor, czy mogę spełnić jego życzenie? – pyta jak zwykle uprzejmy Riccardo.

– Nie może mu to specjalnie zaszkodzić. Myślę, że tak.

– Jeszcze tego brakowało, żebyś mi zabroniła.

Riccardo otwiera paczkę cameli. Arthur zapala to, co nazywa „najlepszym papierosem w życiu”. Po czym prosi, by zawieźć go do hotelu, żeby mógł wziąć, jak to określili jeszcze tego samego wieczoru, „najlepszy prysznic w życiu”.

Wieczorem czekamy na niego z Cordelią w naszym pokoju, wykorzystując czas na zrobienie się na bóstwa. Około ósmej Arthur i Riccardo pukają do drzwi. Wreszcie odnajduję –

przynajmniej fizycznie – tego Arthura, którego zapamiętałam. Pachnie drzewem sandałowym i jest dokładnie ogolony. Ma czyste włosy z falami, których mogłaby mu pozazdrościć każda kobieta, a ubrany jest w błękitną lnianą koszulę, takiej samej barwy, jak jego piękne oczy.

Wita się ze mną, po prostu kładąc mi dłoń na ramieniu. Żadnego pocałunku czy innego czułego gestu. Poza wyglądem fizycznym Arthur wrócił do siebie również w sposobie zachowania.

– Dziś wieczorem – komunikuje Riccardo – zasłużyliśmy sobie na luksus hotelowy. Ale musimy się pospieszyć, zanim nadejdzie godzina policyjna.

Naciski na Cordelię, by się pospieszyła, zajmują nam co najmniej kwadrans. Wyłania się w końcu z pokoju w pomarańczowym kaftanie, długim etnicznym naszyjniku ze srebra i karneolu na szyi, bardzo w stylu Talithy Getty.

W końcu docieramy do lokalu, który jest hotelem i restauracją, tak luksusowego, że Cordelia patrzy na mnie srogo, wciąż myśląc o tym, czego ją pozbawiłam. Zajmujemy miejsca i pospiesznie zamawiamy z obawy przed zbliżającą się godziną policyjną.

Arthur odzyskał cały swój blask i jego urok jest nieodparty.

Dużo mnie kosztuje powstrzymanie się, by bez przerwy na niego nie patrzeć.

Wszystko jest bardzo intrygujące. Nie zdarza się codziennie szansa trafienia do tak niekonwencjonalnego miasta i znalezienia się przy stole z takimi ludźmi jak moi współbiedniacy. Każdy z nich mówi o czymś ciekawym, o czym nic nie wiem. Znają świat. Czuję się straszną ignorantką, kiedy rozmawiają o polityce zagranicznej, o międzynarodowych kryzysach. Cordelia wie o tym więcej ode mnie, co mówi samo za siebie. A jednak jest to nadzwyczajny wieczór, jeden z tych, których się nie zapomina. Wysoki i ciemny jak heban pianista, elegancki, jak potrafią być tylko niektórzy posągowi Afrykanie, ubrany cały na biało, gra na fortepianie jazzowe kawałki; atmosfera ma w sobie coś ulotnego.

Jest to miejsce, gdzie bardzo łatwo stracić poczucie rzeczywistości.

Taki wieczór może się przytrafić tylko raz w życiu.

Po powrocie do Acropole zatrzymujemy się w holu i siedzimy z innymi gośćmi aż do pierwszej, pławiąc się w kosmopolitycznej, wciągającej atmosferze. Są tu przedstawiciele różnego rodzaju przedsiębiorstw, turyści, wszystkie osoby, które już spotkałam podczas ostatniego tygodnia, ale które zaczęły mnie interesować dopiero teraz, kiedy jest ze mną Arthur i mogę dzielić się z nim wrażeniami.

Sala zaczyna w końcu pustoszeć i kiedy Riccardo proponuje, żebyśmy też poszli spać, wymieniamy z Arturem spojrzenia, a jest w nich coś magnetycznego i prywatnego, jakby zakodowana wiadomość. Przyjaciele idą przed nami, a my kroczymy obok siebie wzdłuż korytarza, przyglądając się sobie uważnie. Riccardo żegna się i rusza w stronę swojego pokoju. Cordelia kołysze się przed nami na bosaka i śpiewa *Like a virgin*, trzymając sandały w ręku.

Szukam dłoni Arthura, a jej uścisk przyprawia mnie o dreszcz.

– Chodź do mojego pokoju – szeptem i nie brzmi to jak to zaproszenie, raczej jak polecenie. Jestem pewna, że oblałam się piękną purpurą. – Nie było okazji porozmawiać o pewnych sprawach.

– OK – odpowiadam, starając się, by zabrzmiało to naturalnie. A kiedy za nim idę, Cordelia wchodzi do naszego pokoju, mrugając do mnie porozumiewawczo.

Arthur otwiera drzwi i wpuszcza mnie do środka. Rzuci klucze i paczkę papierosów na wiklinowy stolik. Jego pokój nie różni się specjalnie od naszego, jest tylko mniejszy. Na biurku mnóstwo rozrzuconych kartek papieru; on i Riccardo pisali raczej jakąś monografię niż artykuł.

Kiedy muskam palcami kartki, on podchodzi tak cicho, że niemal tego nie zauważam. Odwracam się. Stoimy nieruchomo naprzeciw siebie i długo milczymy.

– Wspaniale znów cię zobaczyć – zaczyna. Jego schrypnięty głos zdradza ślad emocji. Potakuję z przekonaniem. On mówi dalej z czułością. – Czy naprawdę musiałem złapać malarię, by zrozumieć, że musimy porozmawiać o wszystkim, co pozostało w zawieszeniu?

– Powinniśmy porozmawiać o tym wcześniej. Tak bardzo bym chciała cofnąć czas – szepczę. *Alice, opanuj się, nie wybuchnij płaczem właśnie teraz. Nie zrób z siebie płaksy.*

– A ja nie. – Patrzę mu w oczy rozczarowana. – Nie zrozum mnie źle. Nie chciałbym się cofnąć, bo znaleźlibyśmy się znów w kropce i jeszcze raz bym cię skrzywdził.

– Sama się skrzywdziłam. Ty stawiałeś sprawę zawsze bardzo jasno. Nigdy nie powiedziałaś o sobie słowa nieprawdy.

Arthur potakuje, ale nie wydaje się całkowicie przekonany.

A potem nie mówimy już nic – bo właściwie nie ma już nic do powiedzenia – i dzieje się to, o czym marzyłam i śniłam.

Rytmiczny dźwięk kropel spadających do umywalki z nieszczelnego kranu tylko trochę zakłóca mój sen. Mimo moskitiery komar nęka mnie nieustannym bzyczeniem. Lśniące światło księżycy w pełni zmusza mnie do zmiany pozycji.

A jednak ta noc spędzona w ramionach Arthura jest absolutnie doskonała.

* * *

Siedzimy w wypożyczonym dżipie, tym co zwykle, Arthur za kierownicą, obok niego Cordelia, a ja z Riccardem z tyłu. Mówi tylko Cordelia. My milczymy, od czasu do czasu odpowiadamy lakonicznie. Jestem w arcydepresyjnym nastroju.

Załatwiamy wszystkie formalności związane z lotem, a ja jestem coraz bardziej przygnębiona. Na lotnisku jest mały bar, gdzie idziemy sami z Arturem napić się kawy.

– Zadzwoń, jak tylko doleczysz – prosi.

– OK.

– Zostanę tu jeszcze jakieś dziesięć dni, a potem wrócę do Rzymu, żeby zorganizować przeprowadzkę do Paryża. Zobaczysz, nie będzie to aż takie trudne.

– OK.

– Uważaj na Cordelię, gdy mnie nie będzie, bardzo cię proszę. Jest coraz bardziej nieźrównoważona.

– OK.

– Przystaniesz mówić ciągle OK?

– OK – odpowiadam, uśmiechając się.

– Nie żartuję. Nie ma powodu, żebyś była tak przybita.

– Nie jestem w stanie się cieszyć. Potwornie, ale to potwornie się boję.

– Czego? – pyta zniecierpliwionym tonem, ręką zaczesując włosy do tyłu.

– O ciebie, o nas – odpowiadam niepewnym głosem. Jego powściągliwe zachowanie wcale mi nie pomaga.

– Nie ma powodu – dodaje łagodnie. – Między nami już wszystko w porządku. I czuję się dobrze.

Ułatwiasz sobie. W każdym razie, dla zasady, dość narzekań.

– Masz rację. Nagle ogarnęła mnie lekka panika. – To nie całkiem prawda, ale ważne, by w to uwierzył.

– Mogę to zrozumieć.

Wykazując się nadzwyczajnym wyczuciem, podchodzą Cordelia i Riccardo. Nadeszła chwila pożegnania, nie ma już czasu. Arthur wacha moje włosy.

– Szczęśliwej podróży, *Alice in Wonderland* – szepce, żeby uniknąć ciekawskich uszu Cordelii, i puszcza do mnie oko. – Wrócę.

– Szybko – mruczę.

– Szybko – potwierdza cierpliwie.

– Arthurze. *I love you.*

Nie odpowiada. Gładzi mnie delikatnie po policzku i żegna gestem ręki.

W stanie silnego przygnębienia kieruję się w stronę przejścia do hali odlotów. Zmuszam się, by się nie odwrócić. Nie chcę, by zobaczył, że mam oczy pełne łez. Nie teraz, nie on, który zawsze tak bardzo kontroluje emocje.

Kiedy Cordelia częstuje mnie gumą, czuję, że ktoś chwyta mnie mocno za ramię.

Odwracam się. To on.

Mówi do mnie cicho.

– *I'm sorry.* Nie jestem dobry w mówieniu o tym, co czuję. – Uśmiech rozciąga jego wargi, a cień zakłopotania pojawia się w stanowczym tonie. – Ale... *I love you too.* Tak jak umiem.

Potakuję, ocierając grzbietem dłoni spływającą po policzku łzę.

Całuje mnie w czoło, a wtedy z głośnika rozlega się wezwanie do natychmiastowego stawienia się przy wejściu na pokład. Odwracam się na chwilę do Cordelii, która z uśmiechem mówi:

– Nieważne, bez pośpiechu; możecie mi też zrobić ślicznego bratanka tam, na ławeczce.

Arthur uśmiecha się najpierw do niej, a potem prosto do mojego serca.

Mam spotkanie z inspektorem Calligarisem.

– Już panią zapowiadam.

Wróciłam parę dni temu i jestem na komendzie policji. Złożyłam obietnicę samej sobie i mam zamiar jej dotrzymać.

Siedzę w poczekalni, natarczywie obserwowana przez jakiegoś wąsatego Cejlończyka i dziewczynę lekkich obyczajów.

Calligaris staje w drzwiach gabinetu; ciągle ma ten sam wygląd pechowca.

– Proszę wejść, pani doktor. Napije się pani kawy?

– Tak, dziękuję – odpowiadam swobodnie.

Calligaris zapala papierosa i opada na swój obrotowy fotel.

– Gratuluję opalenizny – mówi. – Pasuje do pani.

– Dziękuję, inspektorze. Kilka dni temu wróciłam z podróży do Afryki.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie odzywała się pani w ostatnich dniach. Prawie już przywykłam do pani wizyt albo telefonów.

– Jak pan widzi, umówienie spotkania z panem było moją pierwszą myślą po powrocie.

– No dobrze, moja droga, jakie olśnienie tym razem na panią spłynęło na drodze do Damaszku?

Śmieje się, śmieje.

– Inspektorze... czy pomyślał pan kiedyś, choćby hipotetycznie, że Bianca Valenti może mieć coś wspólnego ze śmiercią siostry?

Typowe dla niego uprzejme spojrzenie wyraża teraz ogromne zmieszanie.

– Pani doktor, pani pytanie mnie zdumiewa. Jednakże odpowiedź brzmi: tak – odpowiada oschle. – Miałem pewne odczucia, a ja. w moim zawodzie często, bardzo często kieruję się odczuciami.

– No właśnie, to dobrze – mówię, zaskoczona jego odpowiedzią. – Ja... uporządkowałam pewne myśli – zaczynam z wahaniem, nieprzekonana jeszcze, jaki sposób przekazania mu prawdy będzie najlepszy. W końcu słowa zaczynają płynąć poza moją kontrolą. Wyraz jego twarzy jest na przemian neutralny i zdziwiony, ale milczy. Słucha, nie przerywając.

Kiedy brakuje mi już słów po tym, jak zrzuciłam z siebie ciężar historii, która odbierała mi sen, on wydaje się przez kilka chwil oszołomiony.

– Pani jest naprawdę zadziwiającą osobą. Giorgio Anceschi w swoich opowieściach nie oddaje pani sprawiedliwości. Pani z wyjątkową nonszalancją oscyluje między niezręcznością a przebiegłością. Nie wiem tylko, ile z tego po prostu w pani jest, a na ile to taktyka.

– Wszystko to tylko spontaniczność, doktorze Calligaris. Niestety.

– Nie, nie, nie, nie, nie. Powinna być pani dumna ze swojego talentu. Nikt pani nie słuchał, a jednak pani szła prosto swoją drogą, włączając się do gry i pracując z pasją.

– Mówi pan poważnie? A może mi pan nie wierzy? – mamrocę zasmucona.

– Oczywiście, że pani wierzę. Absolutnie i bez zastrzeżeń.

Marszczę czoło.

– Zaskakuje mnie pan. Pan, który z powodu dużo mniejszej sprawy uznał mnie za mitomankę.

Calligaris uśmiecha się, może tylko grzecznościowo, w nieco wymuszony sposób.

– Widzi pani... A może mogę mówić Alice? W końcu mogłabyś być moją córką. A może nie. – Przerywa, jakby wykonywał działania arytmetyczne zbyt trudne dla jego mózgu. – Może raczej wnuczką.

– Oczywiście, inspektorze.

– Więc, Alice. Jedna, tylko jedna cecha jest niezbędna w pracy detektywa. Całej reszty można się nauczyć i różne rzeczy modyfikować. Ale to, co najważniejsze, albo masz, albo nic z tego.

– Co to takiego?

Calligaris rozkłada ramiona, odsłaniając plamy potu na koszuli pod pachami.

– Zdolność obserwacji. Zdolność obserwacji – powtarza jeszcze bardziej uroczystym tonem, jakby dla uwypuklenia. – No więc ja ciebie obserwowałem. Nie jesteś mitomanką. I nie kłamiesz. Nie możesz jeszcze o tym wiedzieć, ale zamierzamy zwolnić Jacopa De Andreisa. To nie on zabił kuzynkę. Doriana Fortis również nie. Sprawdziliśmy ich i wszystko zgadza się z ich wersją wydarzeń. Bianca Valenti od samego początku nie była dla mnie przekonująca, ale w przeciwieństwie do wszystkich innych zamieszanych w sprawę, którzy w jakiś sposób pozostawili różne ślady w życiu Giulii tamtego dnia, ona nie. Bianca jest pozornie poza wszelkim podejrzeniem. I niestety pozostanie, bo chwilowo nie ma nic, czym można by ją przygwoździć. Ja sam nie wiem, czego miałbym się uchwycić, by uzasadnić podjęcie wobec niej dochodzenia. Na pewno nie mogę wykorzystać faktu noszenia przez nią w torebce panadolu; poza tym wiele innych leków zawiera kofeinę... Brak nam dowodów, ale nie istnieje żadna inna możliwa wersja zdarzeń.

Calligaris mimo woli jest skonsternowany, przedstawiając mi rzeczywistość, która sama w sobie jest okropna. Jedynym pocieszeniem dla mnie jest to, że przynajmniej nikt niewinny nie płaci za to, że istnieją nieprzekraczalne granice sprawiedliwości.

– Wie pan, że wyjechała do Nowego Jorku? Nie sądzę, by zdecydowała się kiedykolwiek wrócić – dzielę się moją opinią.

– Cóż, ja też nie. Tutaj spaliła za sobą mosty. Zamordowała siostrę, choć nikt o tym nie wie, i próbowała zniszczyć De Andreisa i Fortis. Nic jej już tu nie zatrzymywało; będzie teraz wyrządzać szkody w Ameryce – konkluduje z goryczą, wyrażającą całe swoje rozczarowanie.

– Alice, myślę, że masz wielki talent śledczy – stwierdza po chwili ku mojemu zaskoczeniu.

Przyjmuję komplement z przekornym uśmiechem.

– Dużo ryzykowałeś, wiesz? Nie myśl, że umknęły mi twoje drobne problemy z Izłą Lekarską, bo ja wiem wszystko!

– Na szczęście wyszłam z tego bez szwanku.

– Ja też przyłożyłem rękę do tego szczęścia, moja droga. Kiedy De Andreis przedstawił mi swoje podejrzenia na twój temat, to ja odwiodłem go od wniesienia skargi, mówiąc, że wobec braku jakiegokolwiek dowodu straci tylko czas i pieniądze. Zasugerowałem sankcję

dyscyplinarną, wiedząc, że tylko mocno się tym wystraszysz. Zresztą zasłużenie – dodaje tonem przestrogi.

– Jestem pana dłużniczką, inspektorze Calligaris.

– Szkoda by było cię spalić – przyznaje, gasząc papierosa w popielniczce, pamiętając z Walencji, i podsuwając mi torebkę z cukierkami miętowymi. – Tym bardziej, że mam dla ciebie pewną propozycję.

Nadstawiam uszu i robię pytającą minę.

– Propozycję?

– Tak, pracę w niepełnym wymiarze.

Oczy wychodzą mi z orbit.

– Pracę! Chce mi pan dać pracę?

Calligaris wydaje się lekko zdziwiony.

– Jasne. Pracę.

– Jest pan pewny?

– Oczywiście.

– Nie mogę tego przyjąć. Nie mam jeszcze specjalizacji.

– Chodzi o pracę tymczasową, nie o etat. W pewnym sensie w charakterze wolnego strzelca – prezyduje, gładząc się po podbródku. – Kiedy będę potrzebował osobistej konsultacji, po prostu zadzwonię do ciebie. Pozwoli ci to wściubiać nos, a wiem, że to lubisz, z całkowitą swobodą, bez ryzyka kłopotów. Naprawdę wierzę w twoje możliwości i byłbym zadowolony, gdybym mógł w przyszłości korzystać z twojej pomocy.

– Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie wpakuję się w tarapaty.

– Właśnie. Oferuję ci sposób, byś mogła robić to, co lubisz bez takiego ryzyka. Rozmawiałem o tym z Giorgiem, jeśli może cię to pokrzepić, i on się ze mną zgadza.

– Nie opowiedział mu pan tej historii, prawda, inspektorze Calligaris?

– Nie w szczegółach, to oczywiste. Odwagi, Alice. Czekam na odpowiedź. Zgadzasz się czy nie?

Rozglądam się dokoła, trochę ogłupiała. Zastanawiam się. Jeśli wbrew legalności i świadomości poruszałam się już ze sprytem i odwagą Różowej Pantery, co mogłabym wykombinować, jeżeli się zgodzę? Do czego jeszcze jestem zdolna?

Pragnę podziękować Ricie Vivian, mojej agentce i przewodniczce, jako że bez niej ta książka nie byłaby tym, czym jest; wydawnictwu Longanesi za zaufanie; mojej matce, że nie przestała nawet przez chwilę we mnie wierzyć; moim dziadkom za kibicowanie; Gaetanowi, Annie i Francescowi Tirrito, że marzyli wraz ze mną; Chiarze Tirrito, ponieważ jej sposób bycia był inspiracją dla postaci Giulii; mojej „przybranej” rodzinie, wszystkim jej członkom, za okazane ciepło i wielki entuzjazm; moim wykładowcom za wszystko, czego mnie nauczyli, a szczególnie profesorowi Alessiowi Asmundo za poświęcony mi czas, profesorowi Claudiowi Crino, prawdziwemu Najwyższemu, i profesorowi Vincenzowi Bonavita za objaśnienia; Laurze Bar-resi, za jej życzliwą ocenę; Amalii Piscopo, zdolnej jak mało kto cieszyć się cudzą satysfakcją; Alessandrze Roccato za intelektualną szczodrość; Luisie Biasini za błyskotliwe kwestie, które jej ukradłam; wszystkim moim kolegom ze specjalizacji, że nie są tacy jak Ambra Mirti della Valle; małym Camilli i Lulu; nieodżałowanemu Ryszardowi Kapuścińskiemu, bo jest coś z niego w Arthurze; Coldplay, źródłu niezastąpionych inspiracji; Queen, Francowi Battiato, Enricowi Ruggieriemu, Davidowi Bowie, Paulowi Bowlesowi, The Drums i Morgan.

Na koniec, choć ponad wszystkimi, Stefanowi, mojemu stałemu centrum grawitacji.

[1](#) William Szekspir *Sonet XVI*, przeł. Maciej Słomczyński

===LUIgTCVLI1A5tAm9Pfk56SXpMbByHnEGZydOIFQxQy pLZRV5